

Czarna niedziela

Thomas Harris



calibre 0.9.27

THOMAS HARRIS

<

>

O AUTORZE

Thomas Harris urodził się w Tennessee, dorastał w Missisipi, dyplom uniwersytecki uzyskał na uczelni w Baylor. Po ukończeniu studiów podjął pracę w Waco (Teksas) w „Tribune Herald”, zaczynając od zajęcia gońca, a kończąc na stanowisku reportera kroniki policyjnej. W tym czasie współpracował dorywczo z różnymi czasopismami, drukując swoje artykuły, następnie przeniósł się do Nowego Jorku i tam rozpoczął prace w Associated Press jako reporter i redaktor odpowiedzialny. Właśnie wtedy wspólnie z kolegami reporterami Samem Maullem i Dickiem Rileyem - wpadł na pomysł, który z czasem posłużył jako temat do powieści „Czarna Niedziela”.

ROZDZIAŁ 1

Noc zapadła, zanim lotniskowa taksówka z trudem zdołała pokonać dziewięciokilometrowy odcinek nadbrzeżnej drogi prowadzącej do Bejrutu. Z jej tylnego siedzenia Dahlia Iyad obserwowała, jak w ostatnich blaskach dnia biel śródziemnomorskich fal ustępuje szarości. Myślała o Amerykaninie. Będzie musiała odpowiedzieć na wiele pytań związanych z jego osobą.

Taksówka skręciła na rue Verdun i powoli zaczęła się posuwać w kierunku centrum miasta, do Sabry pełnej palestyńskich uciekinierów. Kierowca nie potrzebował wskazówek. Rzucił badawcze spojrzenie w lusterko wsteczne, wyłączył światła i wjechał na małe podwórze opodal rue Jeb el-Nakhel. Na podwórku panowały grobowe ciemności. Dahlia słyszała odległy szum ruchu ulicznego i rytmiczny odgłos stygnącego silnika. Upłynęła minuta.

Taksówka zakołysała się, gdy przednie i tylne drzwi otwarto gwałtownie z obu stron i silne światło latarki oślepiło kierowcę. Dahlia poczuła zapach oliwy z pistoletu trzymanego zaledwie o kilka centymetrów od jej oka.

Mężczyzna z latarką podszedł do tylnych drzwi samochodu, pistolet zniknął.

Djinni powiedziała cicho Dahlia. Wsiądź i idź za mną odezwał się po arabsku z akcentem górali z Dżabal.

W cichym, bejruckim pokoju czekał na Dahlię Iyad surowy trybunał. Hatez Najecr, szef operacyjnej komórki wywiadowczej Jihaz al-Rasd (RASD), skupiającej samą śmietankę alFatah, siedział przy biurku z głową opartą o ścianę. Był to wysoki mężczyzna z małą głową. Między sobą podwładni nazywali go modliszką. Człowiekowi, na którym skupiał całą uwagę, robiło się niedobrze i czuł się porażony.

Najeer był przywódcą Czarnego Września. Nie wierzył w koncepcje wyrażane w słowach „sytuacja na Bliskim Wschodzie”. Wizja przywrócenia Palestyny Arabom nie nastrajała go optymistycznie. Wierzył w zagładę, w ogień, który oczyszcza. W to samo wierzyła Dahlia Iyad.

Podobnie dwaj pozostali mężczyźni obecni w pokoju: Abu Ali, zawiadujący oddziałami dokonującymi zamachów z ramienia Czarnego Września we Francji i Włoszech, oraz Muhammad Fasil, specjalista od zaopatrzenia i projektodawca ataku na wioskę olimpijską w Monachium. Obaj byli członkami RASD - mózgu Czarnego Września. Ich pozycja nie została nigdy zaakceptowana przez szersze kręgi ruchu bojowników palestyńskich, gdyż Czarny Wrzesień tkwi w łonie al-Fatah jak pożądanie w ciele.

Właśnie ci trzej ludzie zdecydowali, że Czarny Wrzesień uderzy teraz na terenie Stanów Zjednoczonych. Powstało chyba z pięćdziesiąt kolejno odrzucanych planów. A przez ten czas amerykańska broń bez przerwy napływała do izraelskiego portu w Hajfie.

Wreszcie powstał odpowiedni plan i teraz - jeśli tylko uzyska aprobatę Najeera - przeprowadzenie całej akcji znajdzie się w rękach młodej kobiety, która właśnie weszła do pokoju. Dahlia odłożyła galabije na krzesło i obrzuciła ich spojrzeniem. Dobry wieczór, towarzysze.

- Witaj, towarzyszo - odparł Najeer. Nie wstał, gdy weszła do pokoju. Nie wstali też dwaj pozostali mężczyźni. Przez rok pobytu w Stanach Dahlia zmieniła się. W spodniemie wyglądała szykownie i jakby rozbijając.

Amerykanin jest gotów. Z przyjemnością mogę powiedzieć, że da sobie radę. On tym żyje.

- Czy ma wystarczająco silną wolę?

Miała wrażenie, jakby Najeer czytał jej myśli.

- Jest dostatecznie silny. Zresztą ma we mnie podporę i polega na mnie.

- Domyślam się tego z twoich raportów, ale kod jest kiepski. Mamy jakieś pytania, Ali?

Abu Ali spojrzał na Dahlię uważnie. Pamiętała go z wykładów psychologii na Amerykańskim Uniwersytecie w Bejrucie.

- Czy ten Amerykanin zawsze sprawia wrażenie rozsądnego? - zapytał.

- Tak.

- Ale uważasz, że jest obłąkany?

- Zdrowie psychiczne i racjonalne zachowanie to nie to samo, towarzyszu.

- Czy jego uzależnienie od ciebie wzrasta? Czy miewa okresy, kiedy cię nienawidzi?

- Czasami bywa wrogo usposobiony, ale teraz już rzadko.

- Jest impotentem?

- Twierdzi, że od powrotu z Północnego Wietnamu do chwili naszego spotkania, dwa miesiące temu, był impotentem.

Dahlia przyglądała się Alemu. Z oszczędnych, zręcznych gestów i wilgotnych oczu przypominał jej mangustę.

- Wierzysz, że uda ci się przemoc jego impotencją?

- To nie jest kwestia wiary, towarzyszu, lecz władzy. A w tym pomaga mi moje ciało. Gdyby strzelba była skuteczniejsza, użyłabym strzelby.

Najeer skinął głową z uznaniem. Wiedział, że mówiła prawdę. Dahlia pomagała w szkoleniu trzech japońskich terrorystów, którzy dokonali zamachu na lotnisku w Lód pod Tel-Awivem, zabijając bez wyboru kogo popadnie. Początkowo było ich czterech. W czasie szkolenia jeden się załamał i Dahlia, na oczach trzech pozostałych, roztrzaskała mu głowę ze schmeissera.

- Skąd masz pewność, że w przyptywie wyrzutów sumienia nie wyda cię amerykańskim władzom? - nalegał Ali.

- Co by na tym zyskali, gdyby to zrobił? Jestem drobną płotką. Zdobyliby materiały wybuchowe, ale przecież oni i tak mają dużo plastiku, o czym my wiemy aż za dobrze. - Ostatnie słowa Dahlii skierowane były do Najeera, który obrzucił ją ostrym spojrzeniem.

Izraelscy terroryści niemal stale używali amerykańskiego plastiku C-4. Najeer przypominał sobie, jak wynosił ciało swego brata ze zdemolowanego mieszkania w Bhandoum, a potem wrócił jeszcze, żeby odnaleźć jego nogi.

- Amerykanin zwrócił się do nas, bo potrzebne mu były materiały wybuchowe, o czym wiecie, towarzyszu - ciągnęła Dahlia. - Mnie będzie potrzebował jeszcze w innych sprawach. Nie urażamy jego przekonań politycznych, ponieważ on nie ma żadnych. Również termin „sumienie” nie może mieć tu zastosowania w normalnym tego słowa znaczeniu. On mnie nie zdradzi.

- Przyjrzyjmy mu się jeszcze raz - powiedział Najeer. - Ty, Dahlio, starałaś się go poznać od jednej strony. Pozwól, że przedstawię ci go w zupełnie innych sytuacjach. Ali, możemy zaczynać?

Abu Ali ustawił na biurku szesnastomilimetrowy projektor filmowy i zgasił światła.

- Dostaliśmy ten film, towarzyszeko, całkiem niedawno z pewnego źródła w Północnym Wietnamie. Amerykańska telewizja pokazała go raz, zanim znalazłaś się w House of War. Wątpię, czy to widziałaś.

Na ścianie zamajaczył niewyraźny obraz czołówki z numerem filmu, któremu towarzyszył niezrozumiały bełkot spikera. W miarę jak taśma przesuwiała się coraz szybciej, nieartykułowane dźwięki przekształciły się w hymn Wietnamskiej Republiki Demokratycznej, a na rozświetlonym kwadracie ściany pojawił się obraz pobielonej izby. Na podłodze siedziało dwudziestu czterech amerykańskich jeńców wojennych. Obrazu dopełniał pulpit z mikrofonem. Do pulpitu podszedł wolnym krokiem wysoki, wymizerowany mężczyzna. Miał na sobie workowaty jeniecki mundur, skarpetki i sandały z rzemyków. Jedną rękę chował w fałdach kurtki, drugą trzymał płasko na udzie, gdy kłaniał się oficjalnym gościom siedzącym w pierwszym rzędzie. Zwrócił się do mikrofonu i zaczął wolno mówić.

- Nazywam się Michael J. Lander. Jesieni komandorem porucznikiem amerykańskiej marynarki wojennej. Dziesiątego lutego 1967 roku zostałem wzięty do niewoli w trakcie zrzucania bomb zapalających na szpital cywilny pod Ninh Binh... pod Ninh Binh. Mimo że moje zbrodnie wojenne nic budzą wątpliwości. Wietnamska Republika Demokratyczna nie ukarała mnie, lecz pokazała jedynie cierpienie i spowodowane zbrodnictwami takimi jak ja i inni... i inni. Żałuję tego, co zrobiłem. Przykro mi, że zabijaliśmy dzieci. Zwracam się do narodu amerykańskiego, żeby przerwał tę wojnę. Wietnamska Republika Demokratyczna nie czuje... nie czuje wrogości do narodu amerykańskiego. To sprawa podżegaczy wojennych, którzy sprawują władzę. Wstydzę się tego, co zrobiłem.

Kamera pokazuje pozostałych jeńców, siedzących jak pilni uczniowie w klasie, o twarzach

starannie wypranych z jakiegokolwiek wyrazu. Na koniec rozlega się hymn.

- Dość toporne dzieło - odezwał się Ali, którego angielszczyzna była niemal płynna. - Tę rękę niechybnie przywiązali mu do boku.

Ali bacznie obserwował Dahlię w trakcie projekcji filmu. Gdy na ekranie pojawiło się zbliżenie wychudłej twarzy Landera, jej oczy rozszerzyły się na chwilę, ale wyraz jej twarzy pozostał niewzruszony.

- Zrzucał bomby zapalające na szpital - powiedział Ali w zadumie. - Ma więc niejaki doświadczenie w takich sprawach.

- Schwytano go, kiedy leciał helikopterem ratunkowym po załogę zestrzelonego Phantoma - powiedziała Dahlia. - Czytaliście mój raport.

- Czytałem to, co on ci opowiedział - odparował Najeer.

- On mówi mi prawdę. Nie kłamie. Mieszkałam z nim dwa miesiące i wiem.

- Właściwie to drobiazg - stwierdził Ali. - Jest kilka innych spraw, które nas bardziej interesują.

Przez następne pół godziny Ali zadawał jej pytania dotyczące najintymniejszych zachowań Amerykanina. Kiedy skończył, Dahlia miała wrażenie, że w pokoju pojawił się jakiś zapach. Prawdziwy, czy tylko wyimaginowany, przeniósł Dahlię w przeszłość, do obozu uchodźców palestyńskich pod Tyrem, gdy jako ośmioletnia dziewczynka zwijała wilgotne posłanie, na którym uprzednio jej matka i mężczyzna, który przyniósł im jedzenie, jęczeli w ciemnościach.

Potem zaczął ją przesłuchiwać Fasil. Miał krótkie, zręczne dłonie technika, z odciskami na opuszkach palców. Siedział na krześle wysunięty do przodu; obok na podłodze leżała jego mała torba.

- Czy twój Amerykanin zajmował się materiałami wybuchowymi?

- Tylko opakowaniami z zaopatrzenia wojskowego. Ale opracował staranny plan z dokładnością co do minuty. I chyba rozsądny plan.

- Warn wydaje się rozsądny, towarzyszeko. Może dlatego, że jesteście z nim blisko związana. Sprawdźmy, czy istotnie jest taki rozsądny.

Dahlia zapragnęła nagle, żeby Amerykanin był tu teraz, a ci mężczyźni mogli usłyszeć jego powolnie wypowiedane słowa, jak krok po kroku jego straszliwy plan układa się w ciąg jasno określonych zadań, z których każde ma swoje rozwiązanie.

Odetchnęła głęboko i zaczęła opowiadać o technicznych trudnościach związanych z jednoczesnym uśmierceniem osiemdziesięciu tysięcy ludzi, włącznie z nowym prezydentem Stanów Zjednoczonych, na oczach całego narodu.

- Zasadniczą przeszkodą jest ciężar. Musimy się ograniczyć do sześciuset kilogramów plastiku. Proszę o papierosa, pióro i kartkę papieru.

Pochylona nad biurkiem, narysowała krzywą przypominającą przekrój misy. Wewnątrz, nieco powyżej, nakreśliła drugą, mniejszą krzywą o takich samych parametrach łuku.

- Oto cel - wskazała piórem większą krzywą. Potem pióro przesunęło się na mniejszą linię. - Zasadą tak ukształtowanego pocisku...

- Wiem, wiem - warknął Fasil - jak znakomita mina Claymore'a. To proste. Przewidywana gęstość tłumy?

- Tłum siedzący ramię przy ramieniu, odsłonięty od bioder w górę. Muszę wiedzieć, czy plastik...

- Towarzysz Najeer powie ci wszystko, co trzeba odparł Fasil wyniośle.

Dahlia niewzruszenie ciągnęła dalej: Muszę wiedzieć, czy materiał wybuchowy, który otrzymam od towarzysza Najeera, to będzie paczkowany plastik przeznaczony dla obiektów żywych, ze stalowymi kulami w środku, podobnie jak w minach Claymore'a. Ze względu na ciężar, potrzebny nam będzie sam plastik. Zarówno pojemniki, jak kule tego rodzaju byłyby bezużyteczne.

- Dlaczego?

- Ze względu na ciężar, naturalnie - Dahlia była już zmęczona Fasilem.

- A co będzie, towarzysko, jeśli nie będziecie mieli szrapnela? Jeśli zależy wam na wstrząsie, niech mi wolno będzie poinformować, że...

- Pozwólcie, że najpierw ja was poinformuję, towarzyszu. Potrzebuję waszej pomocy i nie odrzucę jej. Nie udaję, że jestem taką specjalistką jak wy. Przecież my nie rywalizujemy ze sobą, towarzyszu. W rewolucji nie ma miejsca na zazdrość.

- Odpowiedz na jej pytanie - głos Najeera brzmiał twardo. Fasil powiedział natychmiast: - Plastik jest pakowany bez szrapneli. Co zastosujecie zamiast tego?

- Zewnętrzna powierzchnia specjalnie ukształtowanego plastiku będzie pokryta kilkoma warstwami naboju kalibru sto siedemdziesiąt siedem. Amerykanin przewiduje, że pole rozrzutu zawrze się w granicach 150° w pionie i 260° w płaszczyźnie poziomej. W strefie śmierci wypadnie średnio trzy i pół pocisku na osobę.

Oczy Fasila rozszerzyły się. Widział, jak amerykańska mina Claymore'a, nie większa od szkolnego podręcznika, wycięła krwawy szlak w kolumnie zbliżających się oddziałów żołnierzy, kosząc trawę dookoła. To, co Dahlia proponuje, będzie miało moc tysiąca min Claymore'a wybuchających równocześnie.

- Detonacja?

Elektryczna głowica wybuchowa podłączona do dwunastowoltowego systemu elektrycznego sterowca. Będzie tam też identyczny system awaryjny na oddzielną baterię. No i zapalnik.

- Dość - powiedział technik. - Nie mam więcej pytań.

Dahlia spojrzała na niego. Uśmiechał się - - z zadowolenia, a może ze strachu przed Hafezem Najeerem - tego nie wiedziała. Zastanawiała się, czy Fasil wie, że ta większa krzywa przedstawia stadion w Tułano, gdzie 12 stycznia odbędzie się trwające dwadzieścia jeden minut pierwsze spotkanie Wielkich Rozgrywek Pucharowych.

Dahlia czekała godzinę w pokoju na drugim końcu korytarza. Kiedy wezwano ją ponownie do Najeera, okazało się, że przywódca Czarnego Września jest już sam. A więc teraz się dowie.

W całym pokoju panował mrok z wyjątkiem niewielkiej przestrzeni wokół lampy do czytania. Najeer, oparty o ścianę, siedział w cieniu. Jego ręce pozostały w kręgu światła i bawiły się czarnym komandoskim nożem. Odezwał się bardzo miękkim głosem:

- Zrób to, Dahlia. Zabij, ilu się da.

Pochylił się raptownie ku światłu i uśmiechnął jakby z ulgą, ukazując w ciemnej twarzy olśniewająco białe zęby. Wyglądał niemal jowialnie, kiedy otworzył torbę technika i wyjął z niej jakąś małą statuetkę. Była to figurka Madonny, taka, jakie można spotkać na wystawach sklepów z dewocjonaliami, jaskrawo pomalowana, tandetnie wykonana.

- Obejrzyj ją - rzucił Najeer.

Obracała figurkę w rękach. Ważyła jakieś pół kilograma i nie sprawiała wrażenia, iż jest z gipsu. Lekko zarysowana krawędź wskazywała, że wykonano ją techniką odcisku, a nie odlewu. Pod spodem widniał napis: „Made in Taiwan”.

- To plastik - powiedział Najeer. - Podobny do amerykańskiego C-4, ale wyprodukowany dalej, na Wschodzie. Pod pewnymi względami ma przewagę nad C-4. Po pierwsze, kosztem nieznacznego obniżenia trwałości, jest silniejszy, a po drugie - podgrzany do temperatury powyżej pięćdziesięciu stopni, staje się bardzo ciągliwy. Tysiąc dwieście takich figurek przyplynie do Nowego Jorku, od jutra za dwa tygodnie, na frachtowcu „Letycja”. W manifeście okrętowym będzie informacja, że jest to przeładunek z Tajwanu. Importer Muzi zgłosi się po nie w porcie. A potem dopilnujecie, żeby zamilkł na zawsze.

Najeer wstał i przeciągnął się.

- Dobrze się sprawiliście, towarzyszeko, i jesteście po dalekiej podróży. Odpoczniecie ze mną.

Najeer miał skromnie urządzone mieszkanie na najwyższym piętrze przy rue Verdun 18, podobne do mieszkań Fasila i Alego na innych piętrach tego samego budynku.

Dahlia siedziała na brzegu łóżka Najeera z małym magnetofonem na kolanach. Poleciał jej, żeby nagrała taśmę do odtworzenia w bejruckim radiu po dokonaniu zamachu w Stanach. Była naga i

Najeer przyglądając się jej z kanapy spostrzegł, że się wyraźnie podnieciła, gdy zaczęła mówić do mikrofonu.

- Obywatele Ameryki - zaczęła - dzisiaj bojownicy o wyzwolenie Palestyny wymierzili cios w samo serce waszego kraju. Ten koszmar sprowadzili na waszą ziemię wasi handlarze śmiercią, którzy zaopatrują izraelskich rzeźników. Wasi przywódcy byli głusi na płacz bezdomnych. Wasi przywódcy pozostawali obojętni, kiedy Żydzi siali spustoszenie w Palestynie i sami popełniali zbrodnie w południowo-wschodniej Azji. Karabiny, samoloty bojowe, setki milionów dolarów popłynęło z waszego kraju do rąk podżegaczy wojennych, podczas gdy miliony waszych ludzi głoduje. Narodu nie da się oszukać.

Słuchaj, ludu Ameryki. Chcemy być twoimi braćmi. To wy sami musicie zlikwidować plugastwo, które wami rządzi. Od tej chwili za każdego Araba, który zginie z ręki Izraelity, zginie jeden Amerykanin z ręki Araba. Każdą muzułmańską lub chrześcijańską świątynię zniszczoną przez izraelskich gangsterów, pomścimy zniszczeniem jakiejś budowli w Ameryce.

Twarz Dahlii była zaróżowiona, sutki naprężone, kiedy mówiła dalej:

- Mamy nadzieję, że takie okrucieństwo więcej się nie powtórzy. Decyzja należy do was. Mamy nadzieję, że nigdy już nie będziemy musieli zaczynać roku od rozlewu krwi i cierpienia. Salam alejkum.

Dwie mile od pokoju, w którym Dahlia i Najeer trwali w uścisku w skotłowanej pościeli, mały izraelski kuter torpedowy bezgłośnie ciął fale Morza Śródziemnego.

Kiedy znalazł się w odległości tysiąca metrów na południe od Grotteaux-Pigeons, za burtę zrzucono tratwę. Wsiadło do niej dwunastu uzbrojonych mężczyzn. Wyglądali jak biznesmeni - mieli na sobie garnitury i krawaty wyprodukowane przez Rosjan, Arabów i Francuzów. Na nogach buty na gumowych podszewkach. Żaden nie posiadał dowodu tożsamości. Ich twarze miały twarde wyraz. To nie była ich pierwsza wizyta w Libanie.

W blasku księżyca woda miała barwę siwoszarą. Ciepła, napływająca z daleka bryza lekko marszczyła powierzchnię morza. Ośmiu mężczyzn wiosłowało długimi pociągnięciami, starając się pokonać czterystumetrową odległość do piaszczystej plaży przy rue Verdim. Była godzina czwarta jedenaście dwadzieścia trzy minuty do wschodu słońca, siedemnaście minut do rozpoczęcia błękitnego brzasku dnia, który rozjaśni miasto. Cicho wyciągnęli tratwę na ląd, przykryli ją płótnem piaskowego koloru i szybko udali się plażą do rue Ramlet el-Baida, gdzie czekało na nich czterech mężczyzn i cztery samochody - ciemne kontury na tle blasku bijącego z turystycznych hoteli na północy. Znajdowali się zaledwie kilka jardów od samochodu, kiedy brązowo-biały landrover głośno zahamował o trzydzieści jardów dalej, na rue Ramlet. Jego światła skierowane były na mały konwój. Dwaj mężczyźni w brunatnych mundurach zeskoczyli z wozu z wycelowaną bronią. - Nie ruszać się! Dokumenty.

Rozległ się dźwięk podobny do dźwięku pękającego ziarna kukurydzy; z mundurów libańskich policjantów uleciał obłok pyłu, gdy - trafieni dziewięciomilimetroowymi pociskami z parabellum z tłumikiem - padali na drogę.

Trzeci członek patrolu, siedzący za kierownicą, usiłował odjechać. Pocisk strzaskał przednią szybę i czoło mężczyzny. Wóz zatoczył się i wpadł na palmę na poboczu, a policjanta zarzuciło na klakson. Dwaj ludzie podbiegli do ciężarówki, odciągnęli ciało - ale już w niektórych domach na plaży zaczęły zapalać się światła.

Ktoś otworzył okno i rozległ się gniewny krzyk po arabsku:

- Co to za cholerne hałasy? Może ktoś zadzwoni po policję!

Dowódca grupy, stojący obok ciężarówki, odkrzyknął ochryplym, pijackim głosem po arabsku: - Gdzie jest Fatima? Jeśli zaraz nie zejdzie, odjeżdżamy!

- Zabierajcie się stąd, pijane bydlaki, bo sam wezwę policję!

- Alejkum salam, sąsiedzie. Już jadę odparł pijacki głos z ulicy. Światło w mieszkaniu zgasło.

W ciągu niespełna dwóch minut morze zamknęło się nad ciężarówką i znajdującymi się w niej ciałami.

Dwa samochody skierowały się na południe przez rue Ramlet, dwa pozostałe skręciły ku Corniche Ras Beyrouth, przejechały dwie przecznice, po czym zawróciły na północ w kierunku rue Verdun...

Dom przy rue Verdun 18 strzeżony był przez całą dobę. Jeden wartownik pilnował hallu, drugi - uzbrojony w karabin maszynowy - obserwował budynek z dachu po przeciwnej stronie ulicy. Teraz ten z dachu leżał w dziwnej pozycji za karabinem, a jego poderżnięte gardło połyskiwało wilgocią w blasku księżyca. Wartownik z holu leżał na zewnątrz, pod drzwiami, dokąd wyszedł zwabiony dźwiękami kołysanki śpiewanej przez pijaka.

Kiedy Najeer zasnął, Dahlia delikatnie wyzwoliła się z jego objęć i poszła do łazienki. Długo stała pod prysznicem, rozkoszując się ostrym strumieniem wody. Najeer nie był najlepszym kochankiem. Namydlając ciało uśmiechnęła się na myśl o Amerykaninie i nie słyszała kroków w hallu.

Najeer na wpół poderwał się z łóżka, kiedy drzwi do jego mieszkania otworzyły się gwałtownie i światło latarki oślepiło go.

- Towarzyszu Najeer! - powiedział mężczyzna ponaglącym tonem.

- Aiwa. - Tak.

Błysnęła broń maszynowa i krew trysnęła z Najeera, gdy pociski wgniatały go w ścianę. Zabójca zgarnął wszystko z jego biurka do torby, kiedy silna eksplozja w innej części budynku wstrząsnęła pokojem.

Naga dziewczyna w drzwiach łazienki sprawiała wrażenie niby porażonej strachem. Zabójca skierował pistolet w stronę jej wilgotnych piersi. Jego palec zacisnął się na spuście. To był piękny

biust. Lufa pistoletu maszynowego zadrżała.

Ubierz się, ty arabska dziwko - powiedział mężczyzna i wyszedł z pokoju.

Eksplozja o dwa piętra niżej, która wyrwała ścianę w mieszkaniu Abu Alego, zabiła jego samego i jego żonę na miejscu. Napastnicy, kaszląc od pyłu, zmierzali już w kierunku schodów, gdy jakiś szczupły mężczyzna w piżamie wyszedł z mieszkania na końcu korytarza, próbując nacisnąć spust pistoletu maszynowego. I dalej próbował, nawet wtedy, kiedy grad pocisków przeszył go na wylot, a strzepy piżamy przylepiły się do jego ciała, a częściowo rozprysły po ścianach całego korytarza.

Napastnicy wybiegli na ulicę, dopadli samochodów i z rykiem silników odjechali na południe, w kierunku morza; dopiero wtedy odezwały się pierwsze syreny wozów policyjnych.

Dahlia, w płaszczu kąpielowym Najeera, ściskając w ręce torebkę, w ciągu kilku sekund znalazła się na ulicy i wmieszała w tłum z sąsiednich budynków. Rozpaczliwie usiłowała zebrać myśli, kiedy poczuła silny uścisk czyjejś ręki na ramieniu. Był to Muhammad Fasil. Pocisk zostawił krwawą pręgę na jego policzku. Owinął rękę krawatem i przyłożył ją do rany.

- Najeer? - zapytał.

- Nie żyje.

- Myślę, że Ali też. Okno w jego mieszkaniu wyleciało w powietrze w chwili, gdy wyszedłem z rogu. Strzelałem do nich z samochodu, ale... Słuchaj, co ci powiem. Najeer wydał rozkaz. Twoja misja musi być wykonana. To, co się tu stało, nie może mieć wpływu na nasze plany; materiały wybuchowe przyplyną zgodnie z umową. Broń automatyczna również; twój schmeisser i AK-47 zapakowane są oddzielnie, razem z częściami rowerowymi.

Dahlia spojrzała na niego zaczerwienionymi od dymu oczyma.

- Zapłacą za to - powiedziała. - Zapłacą tysiącrotnie.

Fasil zabrał ją do bezpiecznego domu w dzielnicy Sabra, żeby przeczekała tam do wieczora. Gdy zapadł zmrok, zawiózł ją swoim rozklekotanym Citroenem na lotnisko. Dahlia miała na sobie pożyczoną suknię, o dwa numery za dużą, ale była zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować.

O dziesiątej trzydzięci wieczorem Boeing 707 PanAm wystartował z łoskotem nad Morze Śródziemne i nim jeszcze pod prawym skrzydłem zniknęły arabskie światła, Dahlia zapadła w wyczerpujący sen.

ROZDZIAŁ 2

W tym samym czasie Michael Lander robił jedyną rzecz, którą naprawdę lubił. Pilotował sterowiec kompanii Aldrich, unosząc się na wysokości ośmiuset stóp nad stadionem Orange Bowl w Miami i zapewniając stabilną platformę do pracy ekipie telewizyjnej w tylnej części gondoli. Poniżej, na wypełnionym po brzegi stadionie, mistrz świata - drużyna „Delfinów” z Miami - dawała łupnia drużynie „Stali” z Pittsburgha.

Wrzask tłumu niemal zagłuszał trzaski dochodzące z radia nad głową Landera. W czasie upałów zdawało mu się, że czuje zapach tłumu na stadionie, i że silny strumień woni rozgrzanych ciał i bezmyślnego wrzasku z dołu podtrzymuje sterowiec. Lander czuł obrzydzenie do tego strumienia. Wolał loty między miastami. Sterowiec leciał wtedy spokojnie i pozostawał czysty.

Jedynie od czasu do czasu zerkał w dół, na boisko. Obserwował skraj stadionu i punkt orientacyjny, który sobie wyznaczył między masztem a linią horyzontu, by utrzymać wysokość dokładnie ośmiuset stóp.

Lander był doskonałym pilotem w ciężkich warunkach lotu. Sterowce w ogóle trudne są do prowadzenia. Ich niemal samoistna zdolność do utrzymywania się w powietrzu oraz duża powierzchnia sprawiają, że wydane są na łaskę wiatru; jedynie zręczny pilot potrafi nimi sterować. Lander wyczuwał wiatr instynktem marynarza, a ponadto posiadał dar, spotykany jedynie u najlepszych pilotów sterowców dar przewidywania. Ruchy sterowca są cykliczne i Lander wykonał dwa ruchy naprzód, utrzymując wielki, szary wielorybi kształt pod wiatr, jak rybę płynącą pod prąd. Nieznacznie przesunięty gwałtownym podmuchem, dziób sterowca uniósł się i znieruchomiał, rzucając cień na część stadionu. Podczas przerw w grze na boisku wielu widzów spoglądało ku niemu w górę, a niektórzy machali ręką. Tak wielkie i długie cielsko, zawieszony w klarownym powietrzu, fascynowało ich.

Lander miał automatycznego pilota w głowie. Dyktował mu drobne poprawki kursu, pozwalające utrzymać sterowiec w niezmiennym położeniu, podczas gdy on sam rozmyślał o Dahlii. O meszku na jej plecach i w talii i o tym, co czuł, gdy dotykał go ręką. O ostrości jej zębów. O smaku miodu i soli.

Spojrzał na zegarek. Dahlia godzinę temu opuściła Bejrut; jest w drodze do Stanów.

Latanie i Dahlia - to były dwa tematy, o których mógł myśleć bez przykrości.

Pokierowaną lewą ręką lekko pchnął do przodu dźwignię mocy i skoku śmigła, cofnął ster wysokości obok swojego fotela. Olbrzymi statek powietrzny uniósł się szybko w górę, a Lander powiedział do mikrofonu:

- Nora jeden, zero, wchodzę na tysiąc dwieście stóp i robię rundę dokoła stadionu.

- Roger, Nora jeden, zero - odpowiedziała wesoło wieża w Miami.

Kontrolerzy ruchu i radiowcy z wieży lubili rozmawiać ze sterowcem, wielu miało nawet

przygotowane dowcipy, spodziewając się, że manadlecieć. Sterówce budziły ciepłe uczucia, jak pandy. Milionom Amerykanów, którzy widzieli je w czasie imprez sportowych lub targów, sterowiec kojarzył się z olbrzymim, sympatycznym, poruszającym się powoli przyjacielem na niebie. Sterówce prawie zawsze porównuje się ze słońcem lub wielorybem. Nigdy z bombą.

Wreszcie rozgrywka dobiegła końca i teraz dwustudwudziestopięciostopowy cień sterowca kładł się na wielomilowy strumień samochodów, odpływający od stadionu. Operator telewizyjny i asystent zabezpieczyli sprzęt i jedli kanapki. Lander często z nimi pracował.

Zachodzące słońce odbijało się czerwonożłotym blaskiem na wodach Zatoki Biscayne, nad którą przelatywali. Potem Lander skręcił na północ; pod sobą mieli teraz pięćdziesiąt jardów plaży w Miami i ekipa telewizyjna wraz z inżynierem lotu skierowała lornetki na dziewczyny w kostiumach bikini. Niektórzy kąpiący się machali ku nim.

- Hej, Mike, czy Aldrich robi też prezerwatywy? - zawołał operator Pearson z ustami pełnymi jedzenia.

- Tak - odparł Lander przez ramię. - Prezerwatywy, opony, odladczcze, pióra do wycieraczek samochodowych, zabawki do kąpieli, baloniki dziecięce i worki na ciała.

- A ty dostajesz prezerwatywy za darmo?

- Pewnie. Jedną mam nawet przy sobie.

- A co to jest worek na ciało?

- To duży, gumowy worek w jednym, uniwersalnym rozmiarze. W środku jest czarny. Wuj Sam używa ich zamiast prezerwatyw dla tych, z którymi czasem się zabawiał.

Lander nie zawahałby się, gdyby przyszło mu nacisnąć guzik przeciwko takiemu Pearsonowi czy któremuś z pozostałych członków ekipy telewizyjnej.

W zimie sterowiec rzadko latał; jego zimowa baza znajdowała się niedaleko Miami - wielki hangar wciśnięty między budynki obok lotniska. Każdej zaś wiosny przemieszczał się na północ z prędkością od trzydziestu pięciu do sześćdziesięciu węzłów, w zależności od siły wiatru; na północy bowiem odbywały się stanowe targi lub mecze baseballowe. Aldrich zapewniał Landerowi mieszkanie w pobliżu zimowej bazy sterowca, ale tego dnia złapał lot do Newark linią National i poleciał do swojego domu, obok północnej bazy sterowca, w Lakehurst, New Jersey.

Żona, odchodząc od niego, zostawiła mu dom. Tej nocy światło w garażu przerobionym na warsztat paliło się do późna. Czekając na Dahlię, Lander pracował. Mieszał na stole puszkę żywicy epoksydowej i w całym warsztacie czuć było jej ostry zapach. Na podłodze za nim leżał jakiś osobliwy obiekt o długości osiemnastu stóp. Była to forma odlewnicza, którą Lander wykonał z kadłuba małej zagłówki. Odwrócił go na drugą stronę i rozciął wzdłuż stępki, łącząc obie części w osiemnastocalowym odstępnie. Gdy patrzyło się z góry, forma wyglądała jak wielka, zaokrąglona podkwa. Przez wiele tygodni poświęcał wolny czas wyłącznie na skonstruowanie jej. Ale teraz była

już gotowa i śliska od smaru.

Lander cicho pogwizdując nakładał na nią warstwy włókna szklanego, starannie wyrównując brzegi. Kiedy włókno stwardnieje i wystuka się je z formy, powstanie lekka, gładka osłona, doskonale - mieszcząca się pod gondolą sterowca. Osłona ta będzie miała otwór na jedyne koło podwozia i antenę transpondera. Rama podtrzymująca ładunek, która zostanie ukryta pod osłoną, wisiała już na gwoździu, na ścianie garażu. Była to bardzo lekka i mocna konstrukcja z dwiema podłużnymi listwami wzmacniającymi ze stali chromowo-molibdenowej 5130 Reynoldsa, z rurkami i żeberkami z tego samego materiału.

Lander przerobił podwójny garaż na warsztat jeszcze gdy był żonaty i w nim właśnie wykonał wiele mebli, zanim wyjechał do Wietnamu. Rzeczy, których żona nie chciała zabrać, nadal tu były, umieszczone pod krokwiami - wysokie dziecięce krzeselko, składany stolik turystyczny, wiklinowe meble ogrodowe. Jarzeniówki rzucały ostre światło, Lander pracował więc nad formą w czapce baseballowej na głowie i cicho pogwizdywał.

Na chwilę przerwał i myślał, myślał. Potem zabrał się do wygładzania powierzchni; poruszając się po warsztacie, podnosił wysoko nogi, żeby nie podrzeć gazet rozpostartych na podłodze.

Tuż po czwartej po południu zadzwonił telefon. Lander podniósł słuchawkę.

- Michael? - brytyjski akcent zawsze go u niej zaskakiwał; wyobrażał sobie telefon schowany w jej ciemnych włosach.

- A kogo się spodziewałaś?

- Babcia czuje się dobrze. Jestem na lotnisku. Przyjadę później, nie czekaj na mnie.

- Co...

- Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę, Michael. - Połączenie zostało przerwane.

Słońce już prawie wschodziło, gdy Dahlia wjechała na podjazd domu Landera. Okna były ciemne. Ogarnął ją lęk, ale nie tak wielki, jak podczas ich pierwszego spotkania; wtedy miała uczucie, jakby znajdowała się w pokoju ze żmiją, której nie może zobaczyć. Kiedy już zamieszkała z Landerem, udało jej się wydzielić martwą część jego istoty. I kiedy teraz byli razem, czuła wprawdzie, że w pokoju jest żmija -- ale potrafiła ją zlokalizować i powiedzieć, czy śpi, czy nie.

Wchodząc do domu hałasowała bardziej niż było to konieczne, a potem na schodach, w panującej ciszy, wypowiedziała jego imię. Nie chciała go przestraszyć. W sypialni panowały grobowe ciemności.

Od drzwi dostrzegła ogieniek papierosa, jak malutkie czerwone oko.

- Cześć - powiedziała.

- Chodź tutaj.

Poszła przez ciemność w kierunku ogniska. Stopą dotknęła dubeltówki, leżącej na podłodze obok łóżka. W porządku. Żmija spała.

Lander śnił o wielorybach i wcale nie miał ochoty opuszczać snu. We śnie, pewnego dnia - jednego z wielu nie kończących się długich dni - pilotował sterowiec marynarki wojennej, którego wielki cień sunął po lodzie. Był rok 1956 i Lander leciał nad biegunem. Wieloryby wygrzewały się w arktycznym słońcu i do ostatniej chwili nie dostrzegły go. Dopiero kiedy znalazł się prawie nad nimi, zanurkowały do wody. Ich ogony strzelały w górę, gdy ześlizgiwały się z błękitnego lodowego występu do Morza Arktycznego. Patrząc w dół z gondoli, Lander nadal mógł obserwować wieloryby, które schroniły się pod lodowym występem - w chłodnym błękicie, gdzie nie docierał żaden dźwięk.

Potem znalazł się nad biegunem i magnetyczny kompas zaczął szaleć. Aktywność słońca zakłóciła wskaźnik azymutu magnetycznego, posadził więc Fletchera przy sterze wysokości i zaczął prowadzić według słońca, podczas gdy igła kompasu zwisała w dół, ku lodowi.

- Ten kompas - powtarzał, chodząc po domu - ten kompas.

- Wskaźnik azymutu magnetycznego ze Spitsbergenu, Michael - powiedziała Dahlia, ręką dotykając jego policzka. - Przyniosłam ci śniadanie.

Znała ten sen. I miała nadzieję, że częściej będą mu się śniły wieloryby. Był wtedy łatwiejszy.

Landera czekał ciężki dzień, a ona nie mogła być z nim. Rozsunęła zasłony i słońce rozjaśniło pokój.

Wolałabym, żebyś nie musiał iść.

- Powtarzam ci jeszcze raz kiedy się ma licencję pilota, oni naprawdę człowieka pilnują. Jeśli sam się nie zgłoszę, przyślą urzędnika z Biura Weteranów Wojennych z ankietą. Z kwestionariuszem. Są w nim mniej więcej takie punkty: A - zbadać warunki zamieszkania. B - czy ankietowany jest przygnębiony, i tak dalej, i tak dalej.

- Dasz sobie radę.

- Wystarczy jeden telefon do Federalnej Agencji Lotniczej, jedna drobna, cholerna sugestia, że jestem nieco roztrzęsiony i koniec ze mną. Uziemią mnie. A jeśli ten urzędnik zajrzy do garażu? - Lander napił się soku pomarańczowego. - A poza tym, chciałbym jeszcze raz przyjrzeć się urzędasom.

Dahlia stała przy oknie, na policzku i karku czuła ciepło słońca.

- Jak się czujesz?

- Masz na myśli, czy jestem dzisiaj spokojny? Właściwie tak, jestem spokojny.

- Wcale nie to miałam na myśli.

- Gówno prawda, właśnie że to. Pójdę po prostu z jakimś urzędnikiem do jego pokoju, zamkniemy drzwi i on powie mi, co nowego rząd zamierza dla mnie zrobić.

Poczuł gwałtowne pchnięcie gdzieś z tyłu czaszki.

- No dobrze, czy jesteś dzisiaj spokojny? Czy zamierzasz wszystko popsuć? Chcesz tego urzędnika zabić, żeby musieli cię obezwładnić? Wylądujesz wtedy w celi i będziesz mógł sobie śpiewać „Boże, pobłogosław Amerykę i Nixona” i onanizować się.

Nacisnęła jednocześnie dwa spusty. Wcześniej naciskała je oddzielnie; po raz pierwszy nacisnęła oba razem i obserwowała, co z tego wyniknie.

Pamięć Landera była żywa. Wspomnienia na jawie przywoływały na jego twarz grymas bólu; we śnie mogły sprawić, że krzyczał.

Masturbacja: strażnik wietnamski przyłapał go na onanizowaniu się w celi i zmusił, żeby robił to w obecności innych.

„Boże, pobłogosław Amerykę i Nixona”: gdy jeńcy wojenni wracali do domu, w bazie lotnictwa wojennego w Clark na Filipinach jakiś urzędnik sił powietrznych pokazał im przez szybę C-141 własnoręczny podpis prezydenta. Lander, siedząc z boku, po drugiej stronie przejścia, przeczytał to od prawej do lewej dzięki słońcu, które na wskroś prześwietlało papier.

Teraz oczy miał prawie zamknięte, gdy patrzył na Dahlię. Usta lekko rozchylone, rozluźniony wyraz twarzy. Chwila była niebezpieczna. Powoli mijały sekundy, drobiny kurzu wirowały w blasku słońca wokół Dahlii i krótkiej, paskudnej broni obok łóżka.

- Michael, wcale nie musisz zabierać się do nich pojedynczo - powiedziała miękko. - Tej drugiej rzeczy też nie musisz robić sam. Ja to zrobię. Uwielbiani to robić.

Mówiła prawdę. Lander zawsze wiedział, kiedy mówiła prawdę. Otworzył szeroko oczy i przez chwilę nie słyszał bicia własnego serca.

Korytarze bez okien. Michael Lander sunie w martwym powietrzu długich korytarzy rządowego biurowca, mijając lśniące łuki ze sprężyste poddającymi się skrzydłami drzwi. Strażnicy w błękitnych mundurach Administracji Służb Ogólnych sprawdzają wnoszone paczki. Lander nie miał żadnej paczki.

Recepcjonistka czytała książkę pod tytułem „A Nurse to Marry”.

- Nazywam się Michael Lander.

- Wziął pan numerek?

- Nie.

- Proszę wziąć numerek.

Wziął z tacki leżącej na skraju biurka numerowany krążek.

- Który numer?

- Trzydzieści sześć.

- Jak się pan nazywa?

- Michael Lander.

- Inwalidztwo?

- Nie. Miałem się dzisiaj zgłosić.

Wręczył jej list z Biura Weteranów Wojennych.

- Proszę usiąść. - Odwróciła się do mikrofonu obok. - Siedemnaście.

Numer siedemnasty, jakiś mizerny młody człowiek w kurtce ze sztucznego tworzywa, przeszedł ocierając się o Landera i zniknął w kłitce za sekretarką.

Na pięćdziesiąt miejsc w poczekalni prawie połowa była zajęta. Przeważali młodzi ludzie, wyglądający w cywilnym ubraniu równie niechlujnie, jak w mundurze. Lander z łatwością wyobraził sobie ich gdzieś na dworcu autobusowym, w pomiętych mundurach kategorii A, przy automatach do gry. Przed Landerem usiadł mężczyzna z błyszczącą blizną powyżej skroni. Widać było, że zaczesywał włosy tak, aby ją ukryć. Co dwie minuty wyjmował z kieszeni chusteczkę i wycierał nos. Miał chusteczki we wszystkich kieszeniach.

Mężczyzna obok Landera siedział bardzo spokojnie, z rękami zaciśniętymi na udach. I tylko jego oczy poruszały się bezustannie. Odprowadzał wzrokiem każdą osobę, która przechodziła przez pokój. Ponieważ nie mógł ruszać głową, często musiał napinać się cały, żeby dostrzec kogoś, kto był daleko. W ciasnym labiryncie za sekretarką, w małym pokoiku, czekał na Landera Harold Pugh. Pugh miał stopień doradcy szefa i stale awansował. Przydział do sekcji specjalnej Biura Weteranów Wojennych uważał za sukces zawodowy i cieszył się z tego.

Wraz z nowym przydziałem spadł nań obowiązek zapoznania się ze sporą liczbą lektur. Wśród stosu poradników znalazł też jeden napisany przez generalnego konsultanta do spraw psychiatrii przy Ministerstwie Sił Powietrznych. Można było przeczytać w nim między innymi: „Jest absolutnie niemożliwe, aby człowiek narażony na długotrwałe niewłaściwe traktowanie, izolację i deprawację, nie popadł w stan depresji wynikającej z hamowania przez długi czas reakcji agresywnych. Ujawnienie się i manifestacja reakcji depresywnej jest jedynie kwestią czasu”.

Pugh miał szczerzy zamiar zabrać się do poradników, jak tylko będzie miał trochę czasu.

Przed sobą na biurku miał opinię Landera z wojska; naprawdę robiła wrażenie. Czekał na Landera, przejrzał ją jeszcze raz. Michael J. Lander 0214278603. Rok 1951 - Korea. Oficerska Szkota Marynarki Wojennej. Bardzo wysokie oceny. Rok 1954 - szkolenie w lataniu na obiektach

lżejszych od powietrza w Lakehurst, N. J. Wyjątkowe wyniki. Rekomendacja do badań oblodzenia, prowadzonych przez Siły Powietrzne. 1956 rok - ekspedycja polarna marynarki wojennej. Przeniesiony do administracji po wycofaniu się z marynarki wojennej z programu „Ster owiec” w 1964 roku. W tym samym roku zgłosił się na ochotnika do jednostki helikopterowej w Wietnamie. Dwie tury. Zestrzelony pod Dong-Hoi 10 lutego 1967 roku. Sześć lat w niewoli.

Pugh uznał za rzecz niezwykłą fakt, iż człowiek z takimi aktami zrezygnował z patentu oficerskiego. Coś tu musiało być nie w porządku. Przypomnił sobie, że po powrocie jeńców wojennych przesłuchiowano przy zamkniętych drzwiach. Może lepiej nie pytać Landera, dlaczego zrezygnował.

Spojrzał na zegarek. Trzecia czterdzieści. Facet się spóźniał. Nacisnął klawisz telefonu na biurku i usłyszał głos recepcjonistki.

- Czy pan Lander już przyszedł? - zapytał.

- Kto, panie Pugh?

Zastanowił się, czy celowo dobiera słowa, aby się rymowały z jego nazwiskiem.

- Lander, Lander. Jeden z tych specjalnych. Ma pani go przysłać natychmiast, jak tylko przyjdzie.

- Tak jest, panie Pugh.

Recepcjonistka wróciła do powieści. Za dziesięć czwarta chcąc zaznaczyć miejsce, w którym przerwała czytanie, złapała do ręki list Landera. Nazwisko zwróciło jej uwagę.

- Numerek trzydzieści sześć, trzydzieści sześć - zawołała. Zadzwoiła do Pugh'a. - Przyszedł pan Lander.

Pugh był, delikatnie mówiąc, zaskoczony wyglądem Landera. W kapitańskim mundurze lotnictwa cywilnego sprawiał wrażenie człowieka energicznego. Ruchy miał szybkie, patrzył prosto w oczy. A Pugh wyobrażał go sobie jako człowieka o uciekającym spojrzeniu.

Wygląd Pugh'a nie zdziwił Landera. Nienawidził urzędników przez całe swoje życie.

- Dobrze pan wygląda, kapitanie. Nieźle panu zrobiło wycofanie się z armii. A nieźle. No pewnie, miło jest wrócić na łono rodziny.

Lander uśmiechnął się, ale w jego oczach nadal zachował się wyraz powagi.

Wymowa, „who” rymuje się z „Pugh”.

- Sądzę, że moja rodzina ma się dobrze.

- Nie mieszka pan z rodziną? W pana aktach figuruje informacja, że jest pan żonaty, zaraz, sprawdzę jeszcze... ależ tak, ma pan dwoje dzieci.

- Zgadza się, mam dwoje dzieci, ale jestem rozwiedziony.

- Przepraszam. Obawiam się, że mój poprzednik, Gorman, zostawił mi niewiele informacji. Gormana awansowano za brak kompetencji.

Lander uważnie obserwował Pugh; jego usta wykrzywił lekki uśmiezek.

- Kiedy się pan rozwiódł, kapitanie Lander? Muszę uaktualnić pana akta.

Pugh przypominał krowę, która przeżuwa beztrząsco pokarm na skraju trzęsawiska, nie przeczuwając, co czai się na nią w cieniu.

Nagle Lander zaczął mówić o rzeczach, o których nigdy nawet nie mógł myśleć. I nigdy nie myślał.

- Po raz pierwszy wystąpiła o rozwód na dwa miesiące przed moim zwolnieniem. To było, zdaje się, wtedy, gdy rozmowy paryskie utknęły na sprawie wyborów. Ale wtedy nie załatwiła tego. Odeszła dopiero w rok po moim powrocie. Może pan jednak spać spokojnie, Pugh, rząd zrobił wszystko, co było w jego mocy.

- Jestem pewny, ale to musiało...

- Gdy mnie schwytano, oficer marynarki przychodził do mojej żony na herbatkę, żeby ją pocieszyć. Wie pan z pewnością, że opracowano specjalną procedurę przygotowania żon jeńców wojennych.

- Przypuszczam, iż czasem...

- Poinformował ją, że pośród zwolnionych jeńców wojennych wzrasta liczba przypadków homoseksualizmu i impotencji. Rozumie pan, żeby wiedziała, czego się może spodziewać. - Lander pragnął powstrzymać się od dalszego mówienia. Musi się powstrzymać.

- Lepiej pozwolić...

- Po wiedział jej także, że długość życia zwolnionych jeńców jest o połowę krótsza od przeciętnej. - Lander uśmiechał się teraz szeroko.

- Ale, kapitanie, w grę musiały wchodzić zapewne jeszcze inne czynniki.

- Oczywiście, miała na boku jakiegoś nadętego bubka, jeśli to pan miał na myśli.

Lander zaśmiał się, poczuł znajome ostre ukłucie, ucisk w oczach. Wcale nie musisz się zabierać do nich pojedynczo, Michael. Wylądujesz w celi i wtedy będziesz mógł sobie śpiewać i onanizować się.

Lander zamknął oczy, żeby nie widzieć pulsu na szyi Pugh.

W pierwszym odruchu Pugh zamierzał wybuchnąć śmiechem, żeby się przypodobać Landerowi. Ale jako baptysta poczuł się urażony niefrasobliwymi, tanimi aluzjami do seksu. W porę powstrzymał śmiech. I to uratowało mu życie.

Ponownie wziął do ręki teczkę z aktami Landera.

- Czy po rozwodzie ktoś panu udzielił porady? Lander nie był już taki spięty.

- O, tak. Pewien psychiatra ze szpitala marynarki wojennej w St. Alban przedyskutował to ze mną. Cały czas popijając Yoo-Hoo.

- Gdyby pan jeszcze potrzebował porady, mogę to załatwić.

Lander mrugnął. - Panie Pugh, jest pan człowiekiem światowym, ja też. Takie rzeczy jak rozwód się zdarzają. Wolałbym, żeby pan się zajął jakąś rekompensatą za tę kończynę górną. - I uniósł zniekształconą rękę.

Teraz Pugh poczuł się na pewnym gruncie. Wyciągnął z teczki formularz 214.

- Ponieważ ewidentnie nie jest pan inwalidą, musimy znaleźć jakiś sposób, ale... - mrugnął do Landera - zajmiemy się panem.

Była czwarta trzydzieści i na ulicach rozpoczął się wieczorny ruch, kiedy Lander wyszedł z budynku Biura Weteranów na tonący w kurzu Manhattan. Na plecach czuł zimny pot, gdy tak stał na schodach i patrzył, jak tłum cywilów płynie w kierunku stacji kolei podziemnej przy 23 Ulicy. Nie był w stanie iść tam z nimi i potem tłoczyć się w pociągu.

Wielu z urzędników Biura wymykało się wcześniej z pracy. Otwierali z rozmachem wahadłowe drzwi, spychając go pod ścianę. Landera ogarnęła chęć do bójk. Nagle w tym potoku ludzi obok znalazła się Margaret, czuł jej zapach i dotyk. Mówić o tym przy jakimś biurku ze sklejki! Musiał o czymś pomyśleć. Gwizdek czajnika. Na Boga, tylko nie to! Nagle poczuł zimny ból w kieszce stolcowej. Sięgnął po tabletkę lomotilu. Za późno na lomotil. Musi znaleźć toaletę. Szybko. Wrócił do poczekalni.

Nieruchome powietrze oblepiło mu twarz niczym pajęczyna.

Kiedy wchodził do małej ubikacji, był blady, czoło pokrywał mu pot. Jedyna kabina była zajęta i jakiś mężczyzna już pod nią czekał. Lander odwrócił się i przeszedł przez poczekalnię.

Spastyczny skurcz kiszki stolcowej - tak brzmiała diagnoza.

Leczenia nie przepisano. Sam sobie znalazł lomotil. Dlaczego go nie zażyłem, zanim tu przyszedłem? Mężczyzna o rozbieganych oczach śledził Landera tak długo, jak długo mógł nie odwracać głowy. Ból w jelitach napływał teraz falami, na rękach wystąpiła gęsia skórka, zrobiło mu się mdło.

Gruby portier pogrzebał wśród kluczy i wpuścił Landera do łazienki dla pracowników. Sam

został na zewnątrz, żeby nie słuchać nieprzyjemnych odgłosów. W końcu Lander uniósł twarz ku sufitowi. W trakcie wymiotowania oczy wypełniły mu łzy, które teraz spływały po policzkach.

Przez chwilę znów kuczał obok ścieżki, pilnowany przez strażników, w czasie forsownego marszu do Hanoi. To było to samo. To samo. Wrócił gwizdek czajnika. - Sukinsyny - zarechotał. - Sukinsyny. - Wytarł twarz zeszpeconą ręką.

Dahlia, która przez cały dzień zajmowała się kartami kredytowymi Landera, czekała na peronie, gdy wysiadł z pociągu podmiejskiego. Widziała, jak schodził ze schodka i domyśliła się, że unika wstrząsów. Napełniła papierowy kubek wodą z wodotrysku i wyjęła z torebki małą buteleczkę wyciągu z opium. Nalała trochę opium do wody, która nabrała mlecznej barwy.

Nie zauważył jej, dopóki nie znalazła się przy nim z kubkiem w ręce.

Lekarstwo smakowało jak gorzka lukrecja i pozostawiło na języku i wargach uczucie lekkiego odrętwienia. Zanim doszli do samochodu, ból zaczął łagodnieć, a po pięciu minutach minął całkowicie. Gdy dotarli do domu, Lander padł na łóżko i przespał trzy godziny.

Obudził się z zamętem w głowie, nienaturalnie czujny. Jego mechanizmy obronne pracowały z całą mocą, umysł odcinał się od bolesnych obrazów z szybkością kulki w automacie. Jego myśli zatrzymywały się na bezpiecznych, malowanych obrazkach, gdzieś pośród brzeczyków i dzwoneczków. Jednego był pewien - tego dnia niczego nie wysadził.

Czajnik - Landerowi zeszywniał kark. Miał wrażenie, jakby swędziało go gdzieś między ramionami a korą mózgową, tam gdzie nie mógł dosięgnąć. Stopy zaczęły mu drżeć.

Dom był kompletnie ciemny, jego duchy poza zasięgiem jego woli. Nagle dostrzegł z łóżka światło zbliżające się z dołu, ze schodów. To Dahlia niosła świecę, na ścianę padał jej olbrzymi cień. Miała na sobie ciemną, długą do ziemi suknię, która okrywała ją całkowicie, a bosa stopy stąpały bezszelestnie. Stała obok niego; w jej wielkich, ciemnych oczach światło świecy odbijało się jak główki szpilek. Wyciągnęła do niego rękę.

- Chodź, Michael. Chodź ze mną.

Powoli, idąc tyłem, prowadziła go na dół, do ciemnego hallu, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. Rozpuszczone ciemne włosy opadały jej na ramiona. Białe stopy wyglądały spod rąbka sukni. Prowadziła go do bawialni, nie używanej od siedmiu miesięcy. W blasku świecy Lander zobaczył, że na końcu pokoju czeka na nich olbrzymie łóżko, a ściany udrapowane są ciężkimi zasłonami. Jakieś kadzidło dotknęło jego twarzy, a na stoliku obok łóżka migotał mały, błękitny płomyk lampki spirytusowej. To nie był już ten sam pokój, w którym Margaret... nie, nie.

Dahlia postawiła świecę obok lampki i ledwie wyczuwalnym ruchem zdjęła z Landera bluzkę od pizamy. Rozwiązała tasiemkę i uklękła, żeby zsunąć mu spodnie, muskając włosami jego uda. Lekko pchnęła go na łóżko. Pod plecami poczuł chłód jedwabiu i zimny ból w genitaliach.

Leżał przyglądając się, jak zapalała dwie stożkowate świece w kinkietach. Podała mu cienką

fajkę z haszyszem i stanęła w nogach łóżka; za nią drgały cienie świece.

Lander czuł, że tonie w jej przepastnych oczach. Przypomniawszy sobie, jak w dzieciństwie leżał w trawie, w jasne letnie noce, i wpatrywał się w niebo, które nagle nabierało głębi, długości i szerokości. Patrzył tak długo, aż niebo przestawało być daleko w górze i wtedy leciał ku gwiazdom.

Dahlia zrzuciła suknię i stanęła przed nim.

Jej widok poruszył go do głębi, jak za pierwszym razem; zabrakło mu tchu w gardle. Miała duże piersi, kształtem przypominające bardziej kopułę niż kadłub okrętu, pełne nawet bez biustonosza. Gdy była podniecona, sutki jej ciemniały. Kształty miała obfite, lecz nie rażąco; w blasku świece połyskiwały jej wypukłości i wklęsłości.

Kiedy się odwróciła, żeby wziąć naczynie z oliwką znad lampki spirytusowej, Landera ogarnęło słodkie omdlenie; światło igrało na jej ciele. Uklękła na nim i wcierała ciepłą oliwkę w jego klatkę piersiową i brzuch, a jej piersi kołysały się przy tym lekko.

Kiedy pochyliła się do przodu, jej brzuch zaokrąglił się nieco, aby chwilę później ukryć się za ciemnym trójkątem. Gęsty, miękki i sprężysty pióropus, z którego pięły się w górę pojedyncze kępki, jakby pragnęły się wspinać jeszcze wyżej, na brzuch. Czuł, że dotyka jego pępka, a gdy zerknął w dół, zobaczył na skręconych w pierścienie włosach, błyszczące w blasku świece jak perły, pierwsze krople jej soku.

Wiedział, że za chwilę będzie go dużo, że poczuje jego ciepło w kroczu i że będzie smakował bananami i solą.

Potem, z oliwką w ustach, pieściła go delikatnie, rytmicznie, zgodnie z pulsowaniem jego krwi; jej włosy ciepłą falą rozsypały się po jego ciele.

Przez cały ten czas ani na chwilę nie spuszczała z jego twarzy szeroko rozwartych, jak u pumy, oczu, w których odbijał się księżyc w pełni.

ROZDZIAŁ 3

Dźwięk podobny do powoli przetaczającego się grzmotu wstrząsnął powietrzem sypialni, płomienie świec zamigotały, ale Dahlia i Lander zajęci sobą nie zwrócili nań uwagi. Był to znajomy dźwięk - późny rejsowy samolot pasażerski z Nowego Jorku do Waszyngtonu. Boeing 727 leciał na wysokości sześciu tysięcy stóp nad Lakehurst i wznosił się w górę.

Tego wieczoru wiózł myśliwego. Barczysty mężczyzna w brązowym garniturze siedział z boku, tuż za skrzydłem. Stewardesa przyjmowała pieniądze za bilety. Podał jej nowy pięćdziesięciodolarowy banknot. Zmarszczyła brwi.

- Nie ma pan mniejszego?

- To za dwa bilety - odpowiedział wskazując wielkiego mężczyznę śpiącego na siedzeniu obok.

- Za niego i za mnie.

Mężczyzna mówił z akcentem, którego stewardesa nie mogła rozpoznać. W końcu doszła do wniosku, że to pewnie Niemiec lub Holender. Myliła się.

Był to major Dawid Kabakov z Mossad Aliyah Beth, Izraelskiej Służby Wywiadowczej, który myślał właśnie z nadzieją, że może trzech mężczyzn siedzący za nim po drugiej stronie przejścia zapłacą za bilety banknotami o mniejszych nominałach. W przeciwnym razie stewardesa gotowa ich wszystkich zapamiętać. Właściwie powinien był tego dopilnować w Tel-Awii. Przed startem na lotnisku Kennedy'ego miał tak mało czasu, że nie zdążył rozmiąć pieniędzy. Był to niewielki błąd, ale go zirytował. Major Kabakov dożył trzydziestu siedmiu lat, gdyż popełniał niewiele błędów.

Obok niego sierżant Robert Moshevsky pochrapywał cicho z głową odrzuconą do tyłu. Podczas długiego lotu z Tel-Awii ani Kabakov, ani Moshevsky nawet najmniejszym gestem nie zdradzili, że znają mężczyzn siedzących z tyłu, choć znali ich przecież od lat. Byli to potężnie zbudowani faceci o zniszczonych twarzach, ubrani w nie rzucające się w oczy, workowate garnitury. Mossad nazywał ich „taktyczną grupą operacyjną”. W Ameryce nazwano by ich „brygadą szturmową”.

W ciągu trzech dni po zabiciu Hafeza Najeera w Bejrucie, Kabakov bardzo mało spał, a wiedział, że zaraz po przybyciu do stolicy Ameryki będzie musiał napisać dokładne sprawozdanie. Mossad, analizując materiał przywieziony przezeń z akcji na przywódcę Czarnego Września, zareagował natychmiast po przesłuchaniu taśmy magnetofonowej. Na pośpiesznie zwołanej konferencji w ambasadzie amerykańskiej postanowiono wysłać Kabakova.

Na spotkaniu przedstawiciele obydwu służb wywiadowczych w Tel-Awii jasno stwierdzono, że Kabakov zostanie wysłany do Stanów, aby pomóc Amerykanom w ustaleniu, czy istnieje realne zagrożenie, a jeśli tak, dopomóc w identyfikacji i zlokalizowaniu terrorystów.

Takie jednoznaczne rozkazy otrzymał Kabakov oficjalnie. Nieoficjalnie kierownictwo Mossadu przekazało mu dodatkowe dyrektywy, równie kategoryczne i jednoznaczne: ma powstrzymać Arabów wszelkimi środkami, jakie się okażą potrzebne.

Negocjacje w sprawie sprzedaży Izraelowi dodatkowych samolotów odrzutowych typu Phantom i Skyhawk znalazły się w punkcie krytycznym, a presję Arabów przeciwko tej transakcji powiększał niedobór ropy na rynkach zachodnich. Izrael musi mieć samoloty. Pierwszego dnia, kiedy Phantomy nie pojawią się nad pustynią, wtoczą się na nią arabskie czołgi.

Akt okrucieństwa na masową skalę, popełniony na terenie Stanów, przechyliłby szalę na korzyść amerykańskich izolacjonistów. Amerykanie nie powinni sobie uświadamiać, że za pomoc Izraelowi mogą ponieść wysokie koszty.

O trzech mężczyznach siedzących w samolocie za Kabakovem nie wie ani izraelski, ani amerykański Departament Stanu. Zameldują się w mieszkaniu w pobliżu National Airport i będą czekać na wezwanie Kabakova. A Kabakov ma nadzieję, że nie będzie musiał ich wzywać. Wolałby załatwić wszystko sam, po cichu.

Spodziewał się też, że dyplomaci nie będą się do niego mieszać. Nie ufał ani dyplomatom, ani politykom. Jego postawę oraz podejście do spraw najlepiej określały jego słowiańskie cechy: przyciężki, ale inteligentny.

Kabakov uważał, że nieostrożni Żydzi umierają młodo, a słabi kończą za drutami kolczastymi. Był dzieckiem wojny; wraz z rodziną zbiegł z Łotwy tuż przed niemieckim najazdem, a później uciekał przed Rosjanami. Jego ojciec zginął w Treblince. Matka przedostała się z nim i jego siostrą do Włoch, ale ta podróż zabiła ją. Kiedy przedzierała się do Triestu, wewnętrzny ogień dodawał jej siłę, ale jednocześnie pożerał ciało.

Gdy po trzydziestu latach Kabakov przypomina sobie drogę do Triestu, ma znów przed oczami rozkołysane ramię matki, gdy szła trzymając go za rękę; znów widzi jej kościsty łokieć, prześwitujący przez łachmany. Zapamiętał też jej rozpaloną twarz, gdy przed świtem budziła ich śpiących w rowie.

W Trieście przekazała dzieci syjonistycznej organizacji podziemnej i zmarła w bramie po drugiej stronie ulicy.

Dawid Kabakov i jego siostra przyjechali do Palestyny w 1946 roku i przestali uciekać. Dawid w wieku dziesięciu lat został kurierem Palmach i walczył w obronie drogi Tel-Awiw Jerozolima.

W ciągu dwudziestu siedmiu lat walki lepiej niż ktokolwiek poznał cenę pokoju. Nie czuł nienawiści do narodu arabskiego, ale był przekonany, że próby negocjacji z al-Fatah to jedno wielkie gówno. Takiego określenia używał, gdy któryś ze zwierzchników pytał go o zdanie, co nie zdarzało się tak często.

Mossad uważał Kabakova za dobrego oficera wywiadu, którego z uwagi na znaczne zasługi bojowe i sukcesy w terenie - szkoda sadzać za biurkiem. Ponieważ w akcjach, w których brał udział, często groziło mu schwytanie przez wroga, wyłączono go z uczestnictwa w wewnętrznych naradach Mossadu. Pozostał w wydziale operacyjnym, uderzając raz za razem w twierdzę al-Fatah w Libanie i Jordanii.

W najściślejszym gronie Mossadu nazywano go „ostatnią deską ratunku”. Ale nikt nigdy nie

powiedział mu tego w oczy. Kiedy pilot skręcił, naprowadzając maszynę na pasy lotniska National, spod skrzydła wychynęły nagle światła Waszyngtonu. Kabakov wyłowił wzrokiem budynek Kapitolu, oślepiająco biały w blasku reflektorów. Przemknęło mu przez myśl, że może właśnie Kapitol jest celem terrorystów.

W niewielkiej salce konferencyjnej ambasady izraelskiej dwaj mężczyźni uważnie przyjrzeni się Kabakovowi, gdy ten wszedł wraz z ambasadorem Joachimem Tellem. Izraelski major przypomniał Samowi Corleyowi z FBI przełożonego sprzed dwudziestu lat, kapitana konnej jednostki wywiadowczej w Fort Benning.

Fowler z CIA nigdy nie służył w wojsku. Kabakov skojarzył mu się z buldogiem. Obaj panowie przestudiowali zgromadzone pośpiesznie dossier Izraelczyka. Ale były to przeważnie stare odbitki, wyciągnięte z sekcji Bliskiego Wschodu CIA, dotyczące wojen: Sześciodniowej i Październikowej, oraz wycinki prasowe w stylu: „Kabakov - tygrys Mitla Pass” - ot, dziennikarstwo.

Ambasador Tell, ubrany jeszcze uroczyście do oficjalnego obiadu w ambasadzie, dokonał krótkiej prezentacji.

W sali zapanowała cisza i Kabakov nacisnął przycisk małego magnetofonu. Rozległ się głos Dahlii Iyad: „Obywatele Ameryki...”

Gdy taśma przekręciła się do końca, Kabakov przemówił; mówił wolno, z namysłem, ważąc każde słowo.

- Sądzymy, że Ailul-al-Aswad, czyli Czarny Wrzesień, przygotowuje uderzenie na terenie Stanów. Tym razem nie interesują ich ani zakładnicy, ani negocjacje czy rewolucyjne gesty. Pragną jak najwięcej ofiar - chcą was przyprawić o mdłości. Przypuszczamy, że przygotowania są już daleko posunięte i że główną postacią jest ta kobieta.

Kabakov zrobił krótką pauzę.

- Bardzo prawdopodobne, że ona już jest w waszym kraju.

- Wobec tego musicie mieć informacje uzupełniające tę taśmę - odezwał się Fowler.

- Jej uzupełnieniem jest fakt, że wiemy, iż terroryści chcą uderzyć tutaj oraz okoliczności, w jakich taśma została znaleziona. Przesłuchiwali ją nieco wcześniej - wyjaśnił Kabakov.

- Zabrał pan tę taśmę z mieszkania Najeera po dokonaniu zabójstwa?

- Tak.

- Nie przesłuchiwał go pan uprzednio?

- Przesłuchiwanie Najeera byłoby bezcelowe. Sam Corley dostrzegł złość na twarzy Fowlera. Spojrzał na teczkę przed sobą.

- Dlaczego pan myśli, że to ta kobieta, którą pan zastał w pokoju Najeera, nagrała tę taśmę?

- Ponieważ Najeer nie zdążył jej schować w bezpiecznym miejscu. A Najeera trudno podejrzewać o nieostrożność - - odparł Kabakov.

- A jednak nie był dość ostrożny i dał się panu zabić powiedział Fowler.

- Najeer żył długo, wystarczająco długo, aby wydarzyła się masakra w Monachium, na lotnisku w Lód... zbyt długo. Jeśli nie będziecie ostrożni, teraz amerykańskie ręce i nogi będą fruwać w powietrzu.

- Dlaczego pan uważa, że obecnie, kiedy Najeer nie żyje, plan zostanie zrealizowany?

Corley oderwał wzrok od wycinka prasowego, który właśnie przeglądał i sam odpowiedział Fowlerowi:

- Ponieważ sama taśma jest niebezpieczna. Jej nagranie mogło być końcowym elementem przygotowań. Rozkazy zostały już wydane. Mam rację, majorze?

Kabakov z miejsca rozpoznawał specjalistę od przesłuchań. Corley wystąpił w roli adwokata.

- W zupełności - odparł.

- Operacja może być przygotowana w innym kraju i przeniesiona tutaj w ostatniej chwili - powiedział Corley.

- Na jakiej podstawie twierdzi pan, że ta kobieta jest tutaj?

- Mieszkanie Najeera było od pewnego czasu pod obserwacją. Nie było jej w Bejrucie ani przed, ani po naszej akcji. Dwaj lingwiści Mossadu niezależnie od siebie zanalizowali taśmę i doszli do takiego samego wniosku: kobieta nauczyła się angielskiego w dzieciństwie od Brytyjczyka, ale przez ostatni rok lub dwa miała do czynienia z angielszczyzną amerykańską. W pokoju znaleziono odzież produkcji amerykańskiej.

- Może była jedynie kurierem i przyjechała po ostatnie instrukcje od Najeera - powiedział Fowler. - Instrukcje można przekazywać wszędzie.

- Gdyby była tylko kurierem, nigdy nie poznałaby Najeera osobiście - odparł Kabakov. - Czarny Wrzesień jest podzielony na komórki jak gniazdo os. Większość agentów zna jednego, najwyżej dwóch innych ludzi z organizacji.

- Dlaczego nie zabił pan także tej kobiety, majorze? - zadając to pytanie Fowler nie patrzył na Kabakova. Gdyby patrzył, nie wytrzymałby długo jego spojrzenia.

Po raz pierwszy zabrał głos ambasador:

- Ponieważ w owej chwili nie było potrzeby jej zabijać, panie Fowler. I mam nadzieję, że nie

będzie pan żałował, że tak się nie stało.

Kabakov mrugnął do niego. Ci faceci nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Nie można ich było ostrzec. Przed oczami Kabakov miał obraz uzbrojonych po zęby Arabów, którzy przez Góry Synaju napadali na cywilną ludność żydowską w miastach. Bo nie było samolotów, bo Amerykanie byli słabi. Bo on oszczędził tę kobietę. Jego liczne zwycięstwa miały smak popiołu. Fakt, że nie mógł przecież wiedzieć, jak ważna była ta kobieta, w jego własnych oczach nie usprawiedliwiał go w najmniejszym nawet stopniu. Operacja w Bejrucie nie została przeprowadzona bezbłędnie.

Kabakov spojrzał na silne szczęki Fowlera.

- Czy macie jakieś informacje o Hafezie Najeerze?

- W naszych kartotekach Najeer występuje jako jeden z funkcjonariuszy al-Fatah.

- Pełne informacje na jego temat załączyłem do mojego raportu. Niech się pan przyjrzy zdjęciom, panie Fowler. Zrobiono je po wcześniejszych wyczynach Najeera.

- Widziałem te okrutne sceny.

- Takich jak te na pewno pan nie widział. Kabakov zaczynał mówić podniesionym głosem.

- Hafez Najeer nie żyje, majorze Kabakov.

- I to co było dobre, zostało pogrzebane wraz z jego kośćmi, panie Fowler. Jeśli nie znajdziecie tej kobiety, Czarny Wrzesień przytrze wam nosa.

Fowler spojrzał na ambasadora, jakby spodziewał się, że ten zainterweniuje, ale małe, mądre oczy Joachima Telia ani drgnęły. Był po stronie Kabakova.

Gdy major odezwał się znowu, jego głos był niemal zbyt spokojny.

- Musi pan w to uwierzyć, panie Fowler.

- Czy rozpoznałby pan tę kobietę, majorze? - zapytał Corley.

- Skoro ma bazę tutaj, po co pojechała do Bejrutu?

- Potrzebne jej było coś, czego nie mogła zdobyć tutaj. Coś, co tylko Najeer mógł jej zapewnić, w zamian za coś, za co ona z kolei osobiście ponosiła gwarancję.

Kabakov zdawał sobie sprawę, że brzmiało to nieco dziwnie; również użycie trzy razy pod rząd słowa „coś” sprawiło, że nie był z siebie zadowolony.

Fowler otworzył usta chcąc zabrać głos, ale Corley go ubiegł:

- Tu nie mogło chodzić o karabiny.

- Sprowadzanie tutaj broni przypominałoby noszenie wody do rzeki - powiedział Fowler ponuro.

- Musiało chodzić o sprzęt, o dotarcie do innej komórki albo o kontakt z jakimś wysoko postawionym agentem - mówił dalej Corley. - Wątpię, żeby chodziło o dotarcie do jakiegoś agenta. O ile wiem, tutejszy wywiad Zjednoczonej Republiki Arabskiej to raczej miernota.

- To prawda - wtrącił ambasador. - Nasz człowiek do wszystkiego sprzedaje im zawartość mojego kosza na śmieci i kupuje od ich człowieka zawartość ich kosza. My wrzucamy do kosza starą pocztę i zmyśloną korespondencję. Ich kosze zawierają przeważnie upomnienia od wierzycieli i ogłoszenia o pewnych nadzwyczajnych wyrobach gumowych.

Spotkanie trwało jeszcze trzydzieści minut, po czym Amerykanie podnieśli się do wyjścia.

- Postaram się postawić to na porządku dziennym jutro rano w Langley powiedział Corley.

- Jeśli pan chce, mógłbym...

Fowler przerwał Kabakovowi: - Pański raport i taśma wystarczą w zupełności, majorze.

Była trzecia po południu, gdy Amerykanie wyszli z ambasady.

- Oj, Arabowie nadchodzą! - rzekł Fowler do Corleya, kiedy szli do samochodów.

- Co pan o tym myśli?

- Myślę, że nie zazdroszczę panu obowiązku przedstawienia jutro tej sprawy błękitnookiemu Bennettowi. Jeśli są w to zamieszani jacyś szaleńcy, Agencja umywa od tego ręce, kolego. Żadnych szaleństw na terenie Stanów.

CIA była jeszcze obolała po aferze Watergate.

- Jeżeli sekcja bliskowschodnia coś znajdzie, damy panu znać.

- Dlaczego był pan taki nadęty w ambasadzie?

- Jestem już zmęczony Żydami. Pracowaliśmy z nimi w Rzymie, Londynie, Paryżu, a raz nawet w Tokio. Pokazuje się im Araba, naprowadza, i co się dzieje? Czy próbują go wykorzystać? Nie. Czy go śledzą? Owszem. Ale tylko dopóty, dopóki nie poznają jego przyjaciół. A potem następuje wielkie „bum”. Po Arabach ani śladu, a my zostajemy z kutasem w rękę.

- Nie musieli przysyłać Kabakova - zauważył Corley.

- Owszem, musieli. Zauważył pan zapewne, że na spotkaniu nie było Weismana, ich attache wojskowego. A przecież obaj wiemy, że pracuje on również dla wywiadu. Ale teraz zajmuje się koordynacją zakupu Phantomów. Izraelowi zależy na tym, żeby oficjalnie nie łączyć obu tych spraw.

- Będzie pan jutro w Langley?

- Będę. Niech się pan pilnuje, żeby Kabakov nie zrobił pana na szaro.

W każdy czwartek rano amerykańskie służby wywiadowcze spotykają się w wyłożonej płytami z ołowiu, pozbawionej okien sali w kwaterze CIA w Langley, w Wirginii. Przybywają tu przedstawiciele CIA, FBI, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, Secret Service, Narodowego Biura Wywiadowczego oraz doradcy wywiadowczych służb wojskowych przy Połączonych Szefostwach Wojsk. W miarę potrzeby, wzywani są eksperci. Porządek dzienny przewiduje czternaście punktów; do głosu trzeba się zapisać. Do przedyskutowania jest wiele tematów, a czas ściśle wyliczony.

Corley mówił przez dziesięć minut, Fowler - pięć, a przedstawiciel sekcji wywrotowej Urzędu do Spraw Imigracji i Naturalizacji nawet krócej.

Gdy Corley wrócił ze spotkania, w jego małym pokoiku w siedzibie FBI czekał już Kabakov.

- Muszę podziękować panu, że się pan zjawił - powiedział Corley. - Nasz rząd zamierza podziękować waszemu ambasadorowi. Nasz ambasador w Tel-Awiiwie złoży podziękowanie Yigal Allonowi.

- Proszę bardzo, ale co zamierzacie zrobić?

- Diabelnie mało - odparł Corley zapalając fajkę. - Fowler przyniósł stos taśm z nagraniami z radia kairskiego i bejruckiego. Twierdzi, że są to nagrania samych pogróżek, z których nic nie wynikło. Agencja zamierza porównać głos z pana taśmy z głosami z radia.

- Ale moja taśma to nie pogróżka. Została nagrana do odtworzenia po akcji.

- Agencja sprawdzi jej pochodzenie w Libanie.

- W Libanie CIA kupuje takie samo gówno jak my i to najczęściej od tych samych ludzi - powiedział Kabakov. - Materiały, które w dwie godziny później pojawiają się w gazetach.

- Czasami nawet wcześniej - dodał Corley. - W tym czasie można sobie pooglądać zdjęcia. W naszych kartotekach mamy około stu sympatyków al-Fatah; są to ludzie, których podejrzewamy o przynależność do ruchu Piątego Lipca. Urząd do Spraw Imigracji i Naturalizacji nie chwali się tym, ale oni mają tam kartotekę podejrzanych sojuszników Arabów. Tylko że w tej sprawie będzie pan musiał pojechać do Nowego Jorku.

- Czy na własną rękę może pan postawić w stan pogotowia urzędy celne?

Już to zrobiłem. Tylko to możemy zrobić. Do poważnego ataku przypuszczalnie będą musieli sprowadzić bombę spoza kraju, to znaczy, jeśli w ogóle w grę wchodzi bomba - powiedział Corley. - W ciągu ostatnich trzech lat mieliśmy tutaj trzy niewielkie wybuchy, które łączymy z ruchem Piątego Lipca, wszystkie w izraelskich biurach w Nowym Jorku. Od tamtej...

- Raz użyli plastiku, a w pozostałych dwóch wypadkach dynamitu - przerwał mu Kabakov.

- Otóż to. Nie zasypiacie gruszek w popiele, co? Najwidoczniej niełatwo jest u nas zdobyć plastik, w przeciwnym razie nie woziliby się z dynamitem ani nie byłoby prób ekstrakcji nitrogliceryny i przypadków wysadzenia się w powietrze.

- Ruch Piątego Lipca skupia wielu amatorów - wyjaśnił Kabakov. - Najeer nie powierzyłby im takiego zadania. Zaopatrzenie w odpowiednie środki będzie oddzielne. Jeśli jeszcze nie nadeszło, nastąpi wkrótce. - Wstał i podszedł do okna. - A zatem pański rząd zapewni mi wgląd w kartoteki i nakaże władzom celnym, aby miały na oku facetów z bombami - i to wszystko?

- Przykro mi, majorze, ale na podstawie informacji, jakie mamy, nie możemy zrobić nic więcej.

- Stany Zjednoczone mogłyby poprosić swoich nowych sojuszników w Egipcie o wywarcie nacisku na Kadhafiego. On opłaca Czarny Wrzesień. Ten łajdak dał im pięć milionów dolarów ze skarbca Libii w nagrodę za morderstwa w Monachium. Kadhafi mógłby odwołać całą operację, gdyby Egipt mocniej go nacisnął.

Pułkownik Muammar Kadhafi, przewodniczący libijskiej Rady Rewolucyjnej, znowu umizgał się do Egiptu, dążąc do utrwalenia władzy. Dlatego właśnie teraz mógł pozytywnie zareagować na naciski Egipcjan.

- Departament Stanu nie miesza się do tego - oświadczył Corley.

- Amerykańskie służby wywiadowcze sądzą, że terroryści wcale nie mają zamiaru dokonać tu zamachu, prawda, Corley?

- Prawda - potwierdził Sam Corley znużonym głosem. - Oni uważają, że Arabowie się nie odważą.

ROZDZIAŁ 4

W tym samym czasie frachtowiec „Letycja” przekraczał dwudziesty pierwszy południk w drodze na Wyspy Azorskie i do Nowego Jorku. W najdalszej, przedniej ładowni, w zamkniętej jej części, znajdowało się tysiąc dwieście funtów plastiku w szarych skrzynkach.

Obok skrzynek, w całkowitych ciemnościach, leżał półprzytomny Ali Hassan. Na jego brzuchu siedział szczur i powoli posuwał się ku twarzy. Hassan leżał tu już od trzech dni, postrzelony w brzuch przez kapitana statku, Kemala Larmoso. Szczur był głodny, ale nie agresywny. Z początku odstraszały go jęki Hassana, ale teraz słychać było tylko jego płytki, gardłowy oddech. Szczur stał przez chwilę na zaskorupałym, rozdętym brzuchu, obwąchując ranę, po czym ruszył w kierunku klatki piersiowej.

Hassan czuł przez koszulę jego pazury. Musi poczekać. W lewej ręce trzymał krótki żelazny drąg, upuszczony przez kapitana Larmoso w chwili, kiedy Hassan zaskoczył go przy skrzynkach. W prawej dłoni miał automatycznego waltera, którego wyciągnął za późno - niestety. Nie mógł teraz strzelić, w obawie, aby ktoś nie usłyszał. Zdrajca Larmoso powinien być przekonany, że on nie żyje, kiedy znowu przyjdzie do ładowni.

Nos szczura dotykał już prawie szczęki Hassana.

Ciężki oddech człowieka poruszał wąsy gryzonia. Mobilizując wszystkie siły Hassan zamachnął się i dźgnął szczura, czując, jak łom wchodzi w jego bok. Odbijając się pazurami od ciała człowieka, szczur zeskoczył i zaczął uciekać; pazury zachrobotały na metalowej podłodze.

Mijały minuty. Nagle Hassan usłyszał lekki szelest. Szelest dochodził z nogawki spodni. Całe szczęście, że stracił czucie od pasa w dół.

Pokusa, aby się zabić, nie opuszczała go ani na chwilę. Miał dość siły, aby przyłożyć waltera do skroni. I robi to, powtarzał sobie, jak tylko przyjedzie Muhammad Fasil. Do tego czasu musi pilnować skrzynek.

Hassan nie zdawał sobie sprawy, jak długo leżał w ciemnościach. Wiedział, że odzyskał przytomność zaledwie na parę minut i starał się wykorzystać ten czas na zastanowienie się. „Letycja” znajdowała się o trzy dni drogi od Azorów, gdy przyłapał Larmoso wężącego koło skrzynek. Jeśli Fasil drugiego listopada nie otrzyma umówionego telegramu z Azorów, będzie miał dwa dni na działanie, zanim „Letycja” znów ruszy w drogę. Azory były ostatnim miejscem postoju przed Nowym Jorkiem.

Fasil będzie działał, myślał Hassan. Nie zawiodę go. Każdy stukot starego diesla „Letycji” powodował wibrację płyt pokładu pod głową Hassana. Pod powiekami migotały czerwone kręgi. Z wysiłkiem wsłuchiwał się w pracę diesla, wyobrażając sobie, że słucha pulsu Boga.

Sześćdziesiąt stóp nad ładownią, w której leżał Hassan, odpoczywał w swojej kabynie kapitan Kemal Larmoso; popijał piwo sapporo i słuchał wiadomości. Armia libańska znowu toczyła walki z partyzantami. Świetnie, pomyślał, niech szlag trafi i jednych, i drugich. Libańczycy czepiali się jego

dokumentów, partyzanci zagrażali jego życiu. Gdy zawijał do Bejrutu, Tyru czy Tobruku, musiał płacić i jednemu, i drugiemu. Nie tyle partyzantom, co tym pieprzonym wielbłądom, libańskim celnikom.

Teraz pracował dla partyzantów. Od momentu, gdy Hassan przyłapał go przy skrzynkach, wiedział, że został wciągnięty. Fasil i jego ludzie będą go szukać, kiedy wróci do Bejrutu. A może Libańczycy wezmą przykład z króla Husseina i przegonią partyzantów? Wtedy trzeba będzie płacić haracz tylko jednemu. Dość już miał tego wszystkiego - „Zawieź go tam”, „Przywieź karabiny”, „Nic nie mów”. Wiem coś na temat nicniemówienia, pomyślał Larmoso, przecież nie od pośpiesznego golenia mam takie ucho. Pewnego razu znalazł minę przyczepioną do złuszczonego kadłuba „Letycji”, z zapalnikiem gotowym do odpalenia, gdyby tylko odmówił żądaniom partyzantów.

Larmoso był wielkim, owłosionym mężczyzną; bił od niego zapach, od którego nawet załódze statku stawały łyzy w oczach, a ważył tyle, że siatka jego koi dotykała niemal podłogi. Otworzył zębami następną butelkę sapporo i pił w zamyśleniu; małe oczka utkwił w przyklejonym do grodzi zdjęciu z jakiegoś włoskiego magazynu, przedstawiającym heteroseksualny stosunek analny.

Następnie podniósł z podłogi stojącą obok koi figurkę Madonny i postawił ją sobie na klatce piersiowej. Nosila ślady noża, którym sprawdzał, z czego jest zrobiona, zanim zorientował się, co to jest.

Larmoso znał trzy miejsca, w których materiały wybuchowe mógłby wymienić na pieniądze. Pierwsze to Miami, gdzie przebywali kubańscy emigranci, którzy mieli więcej pieniędzy niż rozumu. W Republice Dominikany był człowiek, który płacił brazylijskimi cruzeiros za wszystko, co strzelało lub wybuchało. Trzecim ewentualnym klientem mógłby być rząd amerykański. W tym przypadku czekałaby go nie tylko nagroda, ale i dodatkowe korzyści. Amerykańskie władze celne mogłyby zapomnieć o pewnych uprzedzeniach w stosunku do niego.

Larmoso otworzył skrzynki, ponieważ chciał położyć łapę na importerze Benjaminie Muzim, który dał mu nienormalnie dużą łapówkę; chciał ustalić wartość kontrabandy, żeby wiedzieć, ile może zażądać. Nigdy przedtem nie traktował w ten sposób ładunków Muziego, ale ostatnio uparcie docierały do niego pogłoski, jakoby Muzi zamierzał skończyć z interesami na Bliskim Wschodzie; gdyby to było prawdą, nielegalne dochody Larmoso ogromnie by spadły. Przypuszczając, że może to być ostatni ładunek dla Muziego, kapitan robił więc, co mógł.

Spodziewał się, że odkryje większy ładunek haszyszu, towaru, który Muzi często kupował ze źródeł al-Fatah. Zamiast haszyszu odkrył plastik, a potem nagle pojawił się Hassan, który jak głupiec od razu sięgnął po pistolet. Plastik to poważny interes, nie to, co zwyczajne narkotyki, kiedy przyjaciele mogą się nawzajem podroczyć, żeby więcej z siebie wycisnąć.

Larmoso miał nadzieję, że Muzi potrafi dogadać się z partyzantami i dalej zbijać fortunę na plastiku. Ale Muzi byłby wściekły, że ktoś zaglądał do skrzynek.

Gdyby importer nie chciał się z nim dogadać, gdyby odmówił zapłaty i wstawienia się do partyzantów w sprawie rekompensaty dla niego, Larmoso zamierzał zatrzymać plastik i sprzedać go gdzie indziej. Lepiej być uciekinierem bogatym niż biednym.

Najpierw jednak musi zrobić inwentarz tego, co ma do sprzedania i pozbyć się pewnych śmieci z ładowni.

Larmoso wiedział, że ciężko zranił Hassana i dał mu sporo czasu, aby umarł. Postanowił, że w porcie Ponta Delgada, gdy na pokładzie jest tylko wachta kotwiczna, włoży go do worka, obciąży i wrzuci na głębię po opuszczeniu Azorów.

Muhammad Fasil przez cały dzień wpadał do urzędu telegraficznego w Bejrucie co godzinę. Z początku miał nadzieję, że telegram Hassana z Azorów tylko się spóźnia. Zwykle telegramy przychodziły do południa. Do tej pory nadeszły trzy: z Benghazi, Tunisu i Lizbony, w miarę jak stary frachtowiec przedzierał się na zachód. Każdy z nich innymi słowami przekazywał tę samą treść: materiały wybuchowe znajdują się w nienaruszonym stanie. Następny telegram powinien zawierać informację: „Dzisiaj stan matki dużo lepszy” i podpis: „Jose”. O szóstej po południu, kiedy telegramu nadal nie było, Fasil pojechał na lotnisko. Miał przy sobie dokumenty wystawione na algierskiego fotografa oraz futerał aparatu fotograficznego, w którym mieścił się pistolet magnum. Miejsce w samolocie zarezerwował na wszelki wypadek dwa tygodnie wcześniej. W Ponta Delgada będzie o czwartej po południu następnego dnia.

Kapitan Larmoso zluzował oficera pokładowego przy sterze, gdy wczesnym rankiem drugiego listopada z „Letycji” można było dojrzeć szczyty Santa Maria. Popłynął wzdłuż brzegu małej wysepki od strony południowo-wschodniej, po czym skręcił na północ w kierunku San Miguel i portu Ponta Delgada.

Portugalskie miasteczko wyglądało pięknie w zimowym słońcu; białe budynki kryte czerwoną dachówką, między nimi wiecznie zielone rośliny pnące się niemal na wysokość dzwonnicy, a w tle łagodne stoki gór, uisane uprawnymi poletkami.

„Letycja”, jakby bardziej niż przedtem złuszczone, stała przycumowana do nabrzeża; jej wypłowiwała linia zanurzenia wyłaniała się, w miarę jak załoga wyładowywała przesyłkę regenerowanego lekkiego sprzętu rolniczego, by znów zniknąć pod wodą, gdy załadowano skrzynki z butelkami wody mineralnej.

Larmoso był spokojny. Wyładunek i załadunek towarów ograniczał się jedynie do ładowni na rufie. Mała, zamknięta komora z przodu zostanie nienaruszona.

Prawie całą pracę zakończono po południu następnego dnia i Larmoso dał załodze przepustkę na ląd, polecając płatnikowi wydzielić każdemu marynarzowi tylko tyle gotówki, by starczyła na jeden wieczór w barach i burdelach.

Załoga, z góry ciesząc się na wieczór, gromadnie pośpieszała nabrzeżem. Marynarz idący na przedzie miał jeszcze pod uchem plamkę kremu do golenia. Przechodząc, nie zauważyli szczupłego mężczyzny, który policzył ich spod kolumnady Banco Nacional Ultramarino.

Na statku panowała teraz cisza, poza odgłosem kroków kapitana Larmoso, który zszedł do maszynowni - małego pomieszczenia, słabo oświetlonego żarówką w osłonie z siatki. Grzebiąc w stosie odrzuconych części, wybrał korbówód, który uległ zniszczeniu, kiedy silnik „Letycji” zatarł się

wiosną niedaleko Tobruku. Tłok wyglądał jak wielka metalowa kość, gdy ważył go w rękach. Osądzwszy, iż jest wystarczająco ciężki, aby ciało Hassana, spuszczone po długiej pochylni, spoczęło na dnie Atlantyku, wyniósł go na rufę i ukrył wraz z liną w schowku.

Następnie wziął z kuchni wielki jutowy wór na śmieci i poszedł z nim przez pustą mesę oficerską w stronę zejścia pod pokład w przedniej części statku. Zarzucił sobie wór na ramiona jak szal i pogwizdując przez zęby, głośno kroczył korytarzem. W pewnej chwili dobiegł go z tyłu jakiś słaby dźwięk. Zatrzymał się nasłuchując. Pewnie to ten stary, który ma wachtę kotwiczną, chodzi po pokładzie na górze. Larmoso przeszedł przez luk mesy do trapu i zszedł w dół metalowymi schodkami na poziom przedniej ładowni. Ale zamiast do niej wejść, głośno zatrasnął właz i stanął pod grodzią u stóp zejściówki, wpatrzony w górę, w luk nad ciemnym tunelem metalowych schodów. Pięciostrzałowy lekki pistolet Smith & Wesson wyglądał w jego wielkiej pięści jak dziecięcy pistolecik lukrecjowy.

W pewnej chwili luk mesy otworzył się i powoli, jak łeb polującego węża, wsunęła się weń mała, zgrabna głowa Muhammada Fasila.

Larmoso wystrzelił, powodując niewiarygodny huk wśród metalowych ścian. Nabój z przeraźliwym wizgiem odbił się od poręczy. Larmoso wskoczył do ładowni i zatrasnął za sobą pokrywę luku. Spociał się i odrażający zapach jego ciała zmieszał się z zapachem rdzy i zimnych smarów w ładowni.

Od strony schodów dały się słyszeć powolne, równo odmierzone kroki. Larmoso domyślał się, że Fasil jedną ręką trzyma się poręczy, a w drugiej ma broń wycelowaną w zamknięty właz - wcisnął się więc za skrzynię stojącą jakieś dwanaście stóp od luku, przez który musiał wejść Fasil. Czas pracował dla niego. Ostatecznie pomoże mu załoga. Pomyślał, co mógłby zaproponować Fasilowi, jak się wytłumaczyć. Ale to nie zdałoby się na nic. Zostały mu cztery naboje. Zabije Fasila, kiedy ten będzie wchodził przez właz. Tak postanowił. Przez chwilę na zejściówce było cicho. Potem grzmotnęło magnum Fasila, pocisk przebił pokrywę luku i metalowe odłamki rozsypały się po ładowni. Larmoso wystrzelił w zamknięty właz kolejny pocisk, który wycisnął jedynie dołek w metalu; strzelił jeszcze raz i jeszcze, aż właz się otworzył i ciemny kształt wpadł do środka.

Kiedy wystrzelił ostatni nabój, w krótkim błysku spostrzegł, że strzelał do poduszki z kanapy w mesie. Potykając się i klnąc zaczął uciekać przez ciemną ładownię do przedniej komory. Weźmie pistolet Hassana i zabije Fasila, myślał.

Larmoso poruszał się bardzo sprawnie jak na tak potężnego mężczyznę, znał przy tym rozkład pomieszczeń. W ciągu trzydziestu sekund znalazł się pod włazem komory i zaczął szukać klucza. Gdy otworzył drzwi, fala smrodu na chwilę zatamowała mu oddech, ale natychmiast dał nura do środka. Nie chcąc zdradzać się światłem, czołgał się po podłodze w zupełnych ciemnościach, szukając Hassana i mruczając coś pod nosem. Nagle jego ręka trafiła na but. Powiódł dłonią w górę, poprzez nogawkę i brzuch. Przy pasku nie było broni. Sprawdził po obu stronach ciała. Trafił na rękę, poczuł, że się poruszyła, ale broni nie znalazł, dopóki nie wystrzeliła mu w twarz.

Fasilowi dzwoniło w uszach i musiało upłynąć wiele minut, zanim usłyszał chrapliwy szept z przedniej komory.

- Fasil, Fasil.

Partyzant małą latarką oświetlił pomieszczenie; drobniutkie łapki rozbiegły się spłoszone. Światło latarki igrało przez chwilę na czerwonej masce Larmoso, który leżał martwy na plecach; w końcu Fasil wszedł do środka.

Klęknąwszy, ujął w dłonie pogryzioną przez szczury twarz Alego Hassana. Usta Alego poruszyły się.

- Fasil.

- Dobrze się spisałeś, Hassan. Zaraz sprowadzę doktora.

Fasil wiedział, że to beznadziejne. Hassanowi nikt już nie mógł pomóc, był spuchnięty z powodu zapalenia otrzewnej. Ale Fasil mógł porwać lekarza na pół godziny przed wyjściem „Letycji” w morze i zmusić go do popłynięcia. Przed Nowym Jorkiem będzie mógł go zabić. Hassan zasłużył, aby potraktować go humanitarnie. To mu się należało.

Hassan, wróć za pięć minut z apteczką. Zostawię ci światło.

- Czy wypełniłem swój obowiązek? - ledwo dosłyszalnym szeptem zapytał ranny.

- Wypełniłeś. Trzymaj się, stary. Zaraz przyniosę morfinę, a potem sprowadzę lekarza.

Fasil po omacku szukał drogi w ciemnej ładowni, kiedy z tyłu rozległ się wystrzał z pistoletu Hassana. Zatrzymał się i oparł głowę o zimny metal.

- Zapłacicie za to - wyszeptał.

Powiedział to mając na myśli ludzi, których nigdy nie widział.

Stary mężczyzna, który pełnił wachtę kotwiczną, był nadal nieprzytomny, a z tyłu głowy, gdzie uderzył go Fasil, wyrósł mu wielki guz. Fasil zaciągnął go do kabiny pierwszego oficera, położył na koi, po czym usiadł, żeby się zastanowić.

Pierwotny plan zakładał, że skrzynki zostaną odebrane przez importera Benjamina Muziego w dokach Brooklynu. W żaden sposób nie można było sprawdzić, czy Larmoso działał w porozumieniu z Muzim, czy nie. Zresztą, z Muzim też trzeba będzie zrobić porządek, bo wiedział zbyt wiele. Służbę celną zainteresuje nieobecność Larmoso. Będzie zadawać pytania. Najprawdopodobniej nikt więcej na statku nie wiedział, co znajduje się w skrzynkach. Larmoso został zabity, lecz klucze do przedniej komory nadal wisiały w zamku. Teraz znalazły się w kieszeni Fasila. Jedno było pewne - plastik nie może dotrzeć do Nowego Jorku.

Pierwszy oficer Mustafa Fawzi był rozsądnym i niezbyt odważnym człowiekiem. O północy, kiedy wrócił na statek, Fasil przeprowadził z nim krótką rozmowę. W jednej ręce trzymał wielki, czarny rewolwer, w drugiej - dwa tysiące dolarów. Zapytał Fawziego o zdrowie matki i siostry w Bejrucie i dał do zrozumienia, że ich dalsze zdrowie zależy w dużym stopniu od jego współpracy.

Sprawa została szybko załatwiona.

Była godzina siódma wieczorem wschodnioeuropejskiego czasu urzędowego, kiedy w domu Michaela Landera zadzwonił telefon. Lander pracował w garażu i tam odebrał telefon; Dahlia mieszła farbę w puszcze.

Po ilości zakłóceń na linii Lander domyślił się, że ktoś dzwoni z bardzo daleka. Miał przyjemny głos z brytyjskim akcentem podobnym do akcentu Dahlii. Poprosił do telefonu „panią domu”.

Dahlia momentalnie znalazła się przy telefonie; przez chwilę wymieniała po angielsku jakieś nudne uwagi o krewnych i nieruchomościach. Potem przeszła na język arabski i przez dwadzieścia sekund wartkim strumieniem płynął arabski slang.

Dahlia odwróciła się ku niemu zasłaniając słuchawkę ręką.

- Michael, trzeba odebrać plastik na morzu. Możesz postarać się o łódź?

Lander zaczął błyskawicznie myśleć. - Mogę. Ustal dokładne miejsce spotkania. Czterdzieści mil na wschód od latarni w Barnegat, pół godziny przed zachodem słońca. Kontakt wizualny tuż przed zachodem i po zapadnięciu ciemności. Gdyby siła wiatru przekraczała pięć stopni, przełożymy całą imprezę dokładnie o dwadzieścia cztery godziny. Powiedz mu, żeby przepakował materiał w paczki, które może unieść jeden człowiek.

Dahlia szybko przekazała wszystko przez telefon i odwiesiła słuchawkę.

- Dwunastego, we wtorek - powiedziała, patrząc na Landera z zaciekawieniem. - Michael, jakoś za szybko to obmyśliłeś.

- Wcale nie - odparł Lander.

Dahlia dość prędko się zorientowała, że Landera nie wolno okłamywać. Byłoby to równie głupie, jak programowanie komputera półprawdami i oczekiwanie prawidłowych odpowiedzi. Poza tym, Lander orientował się nawet wtedy, gdy ją jedynie kusilo, żeby skłamać. Teraz była z siebie zadowolona, że od początku zaufała mu w sprawie sprowadzenia plastiku.

Słuchał spokojnie, gdy opowiadała o wydarzeniach na statku.

- Sądzisz, że Muzi namówił do tego Larmoso?

- Fasil nie wie. Nie miał okazji zapytać Larmoso. Musimy przyjąć, że Muzi namówił Larmoso. Nie możemy inaczej, prawda? Jeżeli Muzi odważył się zainteresować ładunkiem, jeśli planował zatrzymanie zaliczki od nas i sprzedaż plastiku gdzie indziej, to by znaczyło, że sprzedał nas tutejszym władzom. Musiał to zrobić dla własnego bezpieczeństwa. A nawet jeśli nas nie zdradził, trzeba będzie się nim zająć. Wie o wiele za dużo, widział też ciebie. Mógłby cię zidentyfikować.

- Cały czas zamierzałaś go zabić?

- Tak. Nie należy do nas i zajmuje się niebezpiecznymi interesami. Gdyby władze postraszyły go w związku z innymi sprawami, kto wie, co mógłby im powiedzieć?

Nagle zdała sobie sprawę, że zachowuje się zbyt apodyktycznie i dodała łagodniejszym tonem:

- Nie mogłabym znieść myśli, że zawsze stanowiłby dla ciebie zagrożenie, Michael. Ty też mu nie ufałeś, prawda? Na wszelki wypadek miałeś opracowany plan przejścia towaru na morzu. To zdumiewające!

- O, tak, zdumiewające - odparł Lander. - Ale jeszcze jedno. Muziemu nic złego nie może się przydarzyć, dopóki nie odbierzemy plastiku. Jeśli poszedł z donosem do władz, żeby zapewnić sobie ich pobłażliwość w innych swoich sprawkach, w porcie będzie zastawiona na nas pułapka. Dopóki myślą, że się tam zgłosimy, istnieje znikome niebezpieczeństwo, że zorganizują obserwację statku. Jeśli zaś Muzi zginie przed nadejściem statku, domyśla się, że nie przyjdziemy do portu. I będą czekać na nas na statku. - Lander wpadł nagle we wściekłość; twarz wokół ust mu pobieliała. - Tylko twój genialny wielbłądzi mózdzek mógł wymyślić kogoś takiego, jak Muzi!

Dahlia nie zareagowała. Nie przypomniała mu, że to on znalazł Muziego. Wiedziała, że wkrótce opanuje tę wściekłość, powiększając w ten sposób tkwiący w nim ładunek gniewu, a wtedy wróci do rozwiązywania problemów, którym się właśnie poświęca.

Zamknął na chwilę oczy.

- Będziesz musiała pojechać po zakupy. Daj mi ołówek.

ROZDZIAŁ 5

Po śmierci Hafeza Najeera i Abu Alego jedynie Dahlia i Fasil wiedzieli, kim jest Lander, chociaż Benjamin Muzi spotkał go kilkakrotnie i to on właśnie skontaktował go z Czarnym Wrześniem, a w konsekwencji umożliwił zdobycie plastiku.

Od samego początku największym problemem Landera było zdobycie materiałów wybuchowych. W pierwszym okresie gorączkowego podniecenia, kiedy już wiedział, co ma zrobić, nie przyszło mu do głowy, że będzie potrzebował pomocy. Piękno jego czynu polegało między innymi na tym, że dokona go sam. Jednak w miarę dojrzewania planu, gdy coraz częściej przyglądał się z góry tłumom ludzi, dochodził do wniosku, iż zasługują na coś więcej niż kilka skrzynek dynamitu, który mógłby kupić czy ukraść. Zasłużyli na większe względy niż rzucony z rozbitej gondoli na chybił trafił szrapnel czy kilka funtów gwoździ i łańcuchów.

Czasem w nocy, gdy leżał na plecach nie mogąc zasnąć, uniesione ku górze twarze tłumu wypełniały sufit, z otwartymi ustami kołysały się jak poruszane wiatrem kwiaty na łące. Często była to zwielokrotniona twarz Margaret. Wówczas ognista kula unosiła się ku nim z jego rozpalonej twarzy, wirując jak mgławica Krab, spalając je na węgiel, a jego kołysząc do snu.

Musi zdobyć plastik.

Dwukrotnie przejechał cały kraj, aby go znaleźć. Zajrzał do trzech wojskowych arsenałów, chcąc zbadać możliwość kradzieży, ale okazało się to niemożliwe. Pojechał do zakładów wielkiej korporacji produkujących oliwkę dla dzieci i napalm, kleje przemysłowe i plastyczne materiały wybuchowe, by przekonać się, że zabezpieczenie fabryki jest równie silne jak w zakładach wojskowych, a środki służące do tego o wiele bardziej wymyślne. Niski próg stabilności nitrogliceryny całkowicie wykluczał ewentualną jej ekstrakcję z dynamitu. Zachłannie przeglądał gazety w poszukiwaniu artykułów o terroryzmie, wybuchach, bombach. Stos wycinków w jego sypialni rósł. Gdyby wiedział, że zachowuje się typowo, poczułby się urażony; gdyby wiedział, w ilu pokojach chorzy ludzie gromadzą wycinki wyczekując na swój dzień! Wiele wycinków Landera pochodziło z zagranicznych wydań - z Rzymu, Helsinek, Damaszku, Hagi, Bejrutu.

Pomysł przyszedł mu do głowy w połowie czerwca, w pewnym motelu w Cincinnati. Latał tego dnia nad targami, a potem popił sobie trochę w motelowym barze. Było późno. Nad jednym końcem baru zawieszono pod sufitem odbiornik telewizyjny. Lander siedział niemal bezpośrednio pod nim, zapatrzony w swój kieliszek. Większość klientów, obróciwszy się na stołkach, zwracała w jego stronę wzniesione ku górze twarze, na których migotał sinawy odblask telewizora.

Lander poruszył się i ożywił. Wyraz twarzy klientów oglądających telewizję wyrażał gniew, obawę. Właściwie nie lęk, bo czuli się wystarczająco bezpieczni, ale wyglądali jak ludzie obserwujący wilki przez okna swoich chat. Lander poderwał swój kieliszek i przeszedł na drugi koniec baru, skąd widać było ekran. Emitowano film o Boeingu 747 spoczywającym na pustyni; gorące powietrze drżało dokoła samolotu. Najpierw eksplodowała przednia część kadłuba, potem środkowa, wreszcie samolot ogarnął snop ognia i dymu. Było to powtórzenie specjalnego wydania wiadomości o terroryzmie arabskim. Masakra w Monachium. Koszmar w wiosce olimpijskiej.

Helikopter na lotnisku. Stłumione wystrzały wewnątrz, gdy zabijano izraelskich atletów. Ambasada w Chartumie, w której zamordowano amerykańskich i belgijskich dyplomatów. Przywódca al-Fatah, Jasir Arafat wypiera się odpowiedzialności za akty terrorystyczne.

I znowu Arafat, na konferencji prasowej w Bejrucie gorzko oskarżający Anglię i Stany Zjednoczone o wspieranie Izraela w atakach na partyzantów. „Nasza zemsta będzie straszliwa” mówi Arafat, a w jego oczach reflektory telewizji odbijają się niczym dwa księżycy.

Oskarżone o poparcie ze strony pułkownika Kadafiego - ucznia Napoleona i stałego sojusznika al-Fatah oraz jej bankiera - „Stany Zjednoczone zasłużyły na mocny policzek. I dalej: „Niechaj Bóg przeklnie Amerykę”.

- Szumowiny - powiedział facet w kurtce do krykieta, stojący obok Landera. - Banda szumowin.

Lander roześmiał się głośno. Kilku pijących odwróciło się w jego stronę.

- Tak cię to rozśmieszyło, kolego?

- Nie. Zapewniam pana, sir, że to bynajmniej nie jest śmieszne. Męty. - Lander położył pieniądze na barze i wyszedł, słysząc, że mężczyzna coś za nim wykrzykuje.

Nie znał żadnych Arabów. Zaczął czytać o arabsko-amerykańskich grupach sympatyzujących z Palestyńczykami, ale jedno zebranie w Brooklynie przekonało go, że obywatelskie komitety arabsko-amerykańskie były zbyt ucziwe jak na jego potrzeby. Dyskutowano tam na takie tematy jak „sprawiedliwość”, „prawa jednostki” i zachęcano, aby pisać do kongresmenów. Gdyby zechciał zmierzyć ducha wojowniczości na sali, podejrzewał, i chyba słusznie, że bardzo szybko znalazłby się tajniak z przypiętym do nogi nadajnikiem i podszedł od razu do niego.

Nie lepsze okazały się demonstracje na Manhattanie popierające kwestię Palestyńczyków. Na United Nations Plaza, jak i na Union Square zebrało się może ze dwudziestu arabskich wyrostków otoczonych morzem Żydów.

Nie, jemu potrzebny był doświadczony, chciwy kanciarz z dobrymi kontaktami na Bliskim Wschodzie. W końcu znalazł takiego. Lander otrzymał nazwisko Benjamina Muziego od znajomego pilota, który przywiózł z Bliskiego Wschodu interesujące paczuski, ukryte w przyborniku do golenia, i przekazał je importerowi.

Dość ponure biuro Muziego znajdowało się na tyłach jakiegoś rozsypującego się magazynu na Sedgwick Street w Brooklynie. Landera wprowadził olbrzymi, cuchnący Grek, w którego łysinie odbijało się przyćmione światło, kiedy torował sobie drogę pośród stert skrzyń. Tylko drzwi biura były kosztowne: stalowe, z dwiema blokadami i zamkiem Foxa. A także otworem na pocztę na wysokości brzucha, z podnoszoną metalową płytką, którą można było zamknąć od środka.

Muzi był bardzo gruby i sapał, kiedy zdejmował stos faktur z krzesła, żeby Lander miał gdzie usiąść.

- Może coś na pokrzepienie?

- Nie.

Muzi osuszył do końca butelkę wody Perriera i sięgnął do lodówki po następną. Wrzucił do niej dwie tabletki aspiryny i upił potężny łyk.

- Powiedział pan przez telefon, że chciałby porozmawiać ze mną w jakiejś niezwykle poufnej sprawie. Nie przedstawił się pan, czy zatem nie sprawi panu różnicy, jeśli będę się zwracał do pana „Hopkins”?

- Bardzo proszę.

- Świetnie. Panie Hopkins, gdy ludzie mówią coś „w zaufaniu”, na ogół mają na myśli naruszenie prawa. Jeżeli pańska sprawa jest tego rodzaju, nie chcę mieć z tym nic wspólnego, czy to jasne?

Lander wyjął z kieszeni plik banknotów i położył go na biurku Muziego. Ten nie tknął pieniędzy, nawet na nie nie spojrział. Lander zabrał je i skierował się ku drzwiom.

- Chwileczkę, panie Hopkins. - Muzi zrobił gest w kierunku Greka, który podszedł do Landera, przeszukał go i przecząco pokręcił głową.

- Proszę siadać. Dziękuję, Salop. Zaczekaj na zewnątrz. - Olbrzym zamknął drzwi za sobą.

- To ohydne imię - odezwał się Lander.

- Tak, ale on o tym nie wie - powiedział Muzi, wycierając twarz chusteczką do nosa. Złożył dłonie pod brodą i czekał.

- Podobno jest pan człowiekiem o ogromnych wpływach - zaczął Lander.

- Niewątpliwie mam duże wpływy.

- Radzono mi...

- Wbrew powszechnemu mniemaniu, panie Hopkins, w rozmowie z Arabem wcale nie trzeba się pogrążyć w niekończących się opowieściach; zwłaszcza że Amerykanom najczęściej brak tej subtelności, która czyniłaby je interesującymi. Tutaj nie ma podsłuchu. Niech pan mówi, o co chodzi.

- Chciałbym przekazać list do przywódcy sekcji wywiadowczej al-Fatah.

- A ktoś by to mógł być?

- Nie wiem. Ale pan może się dowiedzieć. Powiedziano mi, że w Bejrucie może pan niemal wszystko. List będzie opieczętowany kilkakrotnie w specjalny sposób i musi dotrzeć do adresata nietknięty.

- Tak, domyślam się, że musi.

Oczy Muziego kryły się pod powiekami, jak oczy zółwia.

- Wiem, co pan ma na myśli: że to list-bomba. Nie, tak nie jest. Będzie pan mógł obserwować z odległości dziesięciu stóp, jak wkładam go do koperty. Będzie pan mógł nawet polizać róg koperty, a potem ją ją opieczętuje.

- Załatwiam interesy z ludźmi, których interesują pieniądze. A ludzie zajmujący się polityką często nie płacą rachunków albo z głupoty zabijają człowieka. Nie sądzę...

- Dwa tysiące dolarów teraz i drugie tyle po dotarciu przesyłki na miejsce.

Lander znowu położył pieniądze na biurku.

- I jeszcze jedno - radziłbym otworzyć cyfrowe konto bankowe w Hadze.

- W jakim celu?

- Do lokowania większej ilości libijskiej waluty, gdyby pan przeszedł na emeryturę.

Nastąpiła przedłużająca się cisza. W końcu przerwał ją Lander.

- Musi pan pamiętać, że list powinien trafić wyłącznie do rąk adresata. Nikt inny nie może o tym wiedzieć.

Ponieważ nie wiem, do czego pan zmierza, będę pracował na ślepo. Mogę popytać tu i ówdzie, ale nawet pytania są niebezpieczne. Czy zdaje pan sobie sprawę, że ruch al-Fatah jest rozdarty, skłócony wewnątrz?

Niech pan to przekaże Czarnemu Wrześniowi - nalegał Lander.

- Ale nie za cztery tysiące.

- Ile?

- Poszukiwania będą trudne i kosztowne, i nawet wówczas nie ma pewności...

- Ile?

- Osiem tysięcy dolarów. Płatne bezzwłocznie. Zrobię, co tylko będę mógł.

- Cztery tysiące teraz i cztery po wykonaniu zadania.

- Osiem teraz, panie Hopkins. Potem ani ja pana nie będę znał, ani pan nigdy więcej nie przyjdzie tutaj.

- Zgoda.

- Za tydzień jadę do Bejrutu. List dostarczy mi pan tuż przed wyjazdem, nie wcześniej. Przyniesie go pan tutaj w nocy, siódmego, i zapieczętuje w mojej obecności. Proszę mi wierzyć, wcale nie mam ochoty znać jego treści.

W liście podane było prawdziwe nazwisko Landera, jego adres oraz propozycja oddania wielkiej przysługi sprawie palestyńskiej. Lander prosił o wyznaczenie spotkania z reprezentantem Czarnego Września, gdziekolwiek na zachodniej półkuli. Do listu dołączony był przekaz na tysiąc pięćset dolarów na pokrycie kosztów.

Muzi przyjął list i osiem tysięcy dolarów z powagą, nie bawiąc się w żadne ceregiele. Jedną z cech jego charakteru było to, że wywiązywał się z zobowiązań, jeżeli jego cena została zaakceptowana.

Tydzień później Lander otrzymał widokówkę z Bejrutu. Kartka nie zawierała jednak żadnej wiadomości. Zastanawiał się, czy Muzi sam nie otworzył listu dowiadując się z niego nazwiska i adresu.

Minał trzeci tydzień. Cztery razy musiał polecieć sterowcem z Lakehurst. W tygodniu tym dwa razy wydawało mu się podczas jazdy samochodem na lotnisko, że jest śledzony, choć nie był tego pewien. W czwartek, 15 sierpnia, miał nocny lot reklamowy nad Atlantic City; sterowane komputerem świetlne reklamy ukazywały się na wielkich, bocznych płaszczyznach powłoki sterowca.

Po powrocie do Lakehurst wsiadając do samochodu zauważył kartkę zatkniętą za wycieraczkę. Zły, wysiadł i wyciągnął ją, pewny, że to jakaś reklama. Obejrzał kartę dokładnie pod światło. Był to bilet upoważniający do wejścia na pływalnię w Maxie's Swim Club nie opodal Lakehurst. Na odwrocie widniały słowa: „Jutro o trzeciej po południu, jeśli się zgadzasz, mrugnij raz światłami”.

Lander rozejrzał się po ciemnym parkingu lotniska. Nikogo nie dostrzegł. Mrugnął światłami i pojechał do domu.

W New Jersey istnieje wiele prywatnych klubów pływackich, dobrze utrzymanych i raczej kosztownych, prowadzących zróżnicowaną politykę rasową. U Maxiego dominowała klientela żydowska, ale w odróżnieniu od innych klubów, Maxie akceptował czarnych oraz Portorykańczyków, w niewielkich ilościach i pod warunkiem, że ich znał. Lander przyjechał na basen o drugiej czterdzieści pięć i przebrał się w kostium kąpielowy w szatni z pustaków, z kałużami wody na podłodze. Słońce, ostry zapach chloru i wrzask dzieci przypomniały mu inne czasy - pływalnię w klubie oficerskim, dokąd chodził z Margaret i dziećmi. A po pływaniu drink na brzegu basenu, Margaret trzymająca nóżkę kieliszka, śmiejąca się i odrzucająca w tył mokre włosy, świadoma, że patrzą na nią młodzi porucznicy.

Lander czuł się w tej chwili bardzo samotny; ani na chwilę nie mógł zapomnieć o swoim białym ciele i zeszpeconej ręce, kiedy wyszedł na rozgrzany beton. Wszystkie cenne drobiazgi włożył do drucianego koszyka i oddał pracownikowi klubu, a otrzymany plastikowy numerek schował do kieszonki w spodenkach kąpielowych. Woda była nienaturalnie niebieska, a na jej powierzchni migotało światło, rażąc go w oczy.

Spotkanie w basenie ma wiele plusów, pomyślał. Nikt nie ma broni ani magnetofonu, nikomu nie można ukradkiem pobrać odcisków palców.

Przez pół godziny pływał leniwie tam i z powrotem. W basenie było co najmniej piętnaścioro dzieci z różnymi nadmuchiwanymi konikami morskimi i kołami. Kilka młodych par odbijało pasiastą piłkę plażową, a na brzegu jakiś muskularny młody człowiek smarował się olejkiem do opalania.

Lander przewrócił się na plecy i zaczął pływać w najgłębszej części basenu, poza zasięgiem nurkujących. Właśnie obserwował małą, dryfującą chmurkę, kiedy zderzył się z jakimś pływakiem, wpadając w płataninę rąk i nóg. Okazało się, że to jakaś dziewczyna z maską i rurką do oddychania, zajęta bardziej obserwowaniem dna niż zwracaniem uwagi, dokąd płynie.

Przepraszam - powiedziała, przebierając nogami. Lander wydmuchał wodę z nosa i popłynął dalej bez słowa. Po następnej półgodzinie pływania postanowił wyjść. Właśnie miał się wspiać na brzeg, gdy nagle wynurzyła się obok niego dziewczyna w masce. Zdjęła ją i uśmiechnęła się.

- Czy to nie pańska zguba? Znalazłam go na dnie basenu - w ręce trzymała jego plastikowy numerok.

Lander spojrzał w dół i zobaczył, że kieszonka w spodenkach jest wywinięta na zewnątrz.

- Powinien pan sprawdzić, czy w portfelu jest wszystko - powiedziała dziewczyna i znów zniknęła pod wodą.

W portfelu znalazł przekaz pieniężny, który wysłał do Bejrutu. Zwrócił koszyczek szatniarzowi i przyłączył się do dziewczyny na basenie. Właśnie zabawiała się w najlepsze z dwoma małymi chłopcami. Kiedy od nich odpływała, głośno protestowali. Było na co popatrzeć, gdy igrała w wodzie, lecz Lander zmarznięty, w samych tylko spodenkach kąpielowych, rozżłościł się na jej widok.

- Porozmawiajmy w basenie, panie Lander - powiedziała, brnąc w miejsce, gdzie woda sięgała jej tuż pod piersi.

- Czego się pani spodziewa, mam strzelać w kąpielówkach i od razu popsuć wszystko?

Przyglądała mu się uważnie, w jej oczach tańczyły barwne refleksy światła. Nagle położył kaleką rękę na jej ramieniu, zaglądając jej w twarz, czekając, że się wzdrygnie. Zamiast tego ujrzał łagodny uśmiech. Na szczęście nie mógł dostrzec jej reakcji pod powierzchnią wody: jej lewa ręka wolno się odwróciła, palce zakrzywiły, gotowe uderzyć w razie potrzeby.

- Mogę do ciebie mówić Michael? Ja jestem Dahlia Iyad. Tu jest dobre miejsce do rozmowy.

- Czy zawartość mojego portfela zadowoliła cię?

- Powinieneś być zadowolony, że go sprawdziłam. Nie sądzę, żebyś chciał mieć do czynienia z jakimś głupcem.

- Co o mnie wiesz?

- Wiem, jak zarabiasz na życie. Wiem, że byłeś jeńcem wojennym. Mieszkasz sam, czytasz do późna w nocy i palisz gorszy gatunek marihuany. Wiem, że twój telefon nie jest na podsłuchu, w każdym razie nie z centrali w twojej piwnicy, ani ze słupa przed domem. Nie wiem natomiast na pewno, czego chcesz.

Wcześniej czy później, musiałyby to powiedzieć. Pomijając brak zaufania do tej kobiety, ciężko to było wypowiedzieć, tak ciężko, jak ciężko otworzyć się przed psychiatrą. Ale dobrze, powie.

- Chcę zdetonować tysiąc dwieście funtów plastiku w czasie rozgrywek pucharowych.

Spojrzała na niego, jakby przyznał się z trudem do jakiejś dewiacji seksualnej, która jej szczególnie przypadła do gustu. Ze spokojnym, powściągliwym współczuciem, stłumionym podnieceniem. Witamy w naszym towarzystwie.

- Ale nie masz plastiku, tak?

- Właśnie - spojrzał w bok i zadał jej pytanie: - A ty możesz go zdobyć?

- To będzie zależało. Sporo chcesz. Woda zalała mu głowę, kiedy odwrócił się gwałtownie, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Nie chcę tego słyszeć. Nie będę tego słuchał. Mów wprost.

- Jeżeli się przekonam, że potrafisz to zrobić, jeśli przekonam mojego dowódcę, że potrafisz to zrobić i zrobisz - wtedy tak, mogę zdobyć plastik. I zdobędę.

- W porządku - to uczciwe postawienie sprawy.

- Chcę wszystko zobaczyć. Chcę pojechać z tobą do domu.

- Czemu nie?

Nie pojechali prosto do domu Landera. Tej nocy miał lot reklamowy i zabrał ze sobą Dahlię. Nie było w zwyczaju zabierać pasażerów na nocne loty reklamowe, ponieważ usuwano prawie wszystkie siedzenia, żeby zrobić miejsce dla komputera sterującego ośmioma tysiącami świateł, umieszczonych po bokach powłoki. Ale jeżeli wszyscy się ścieśnili, uzyskiwało się nieco miejsca. Drugiemu pilotowi Farleyowi, który na dwa poprzednie loty przyszedł ze swoją przyjaciółką z Florydy i wszystkim też było niewygodnie, nie wypadało teraz narzekać, że musiał odstąpić swoje miejsce młodej kobiecie. Wraz z operatorem komputera oblizywali się na widok Dahlii i - kiedy Lander nie widział - zabawiali się strojeniem lubieżnych min.

Manhattan iskrzył się nocą niczym wielki brylantowy okręt, gdy przelatywali nad nim na wysokości dwóch i pół tysiąca stóp. Lecieli w kierunku rozjarzonej światłami korony stadionu Shea, na którym drużyna „Metsów” rozgrywała nocny mecz; boki sterowca zamieniły się w ogromne, migające światłami tablice ogłoszeniowe. „Nie zapomnij jutro z rana zatrudnić weterana” - takie

było pierwsze ogłoszenie. „Winstony smakują bosko...” następna reklama urwała się nagle, a technik, klnąc, dłużej przy perforowanej taśmie.

Później Dahlia i Lander przyglądali się, jak w blasku reflektorów obsługa naziemna w Lakehurst zabezpieczała sterowiec na noc. Szczególnie interesowała ich gondola, z której mężczyźni w kombinezonach usunęli komputer i zainstalowali na powrót siedzenia.

Lander wskazał mocną poręcz biegnącą wokół podstawy gondoli. Zaprowadził Dahlię na jej tył, żeby zobaczyła, jak odłącza się turbogenerator zasilający światła. Generator jest to ciężkie, gładkie urządzenie, kształtem przypominające okonia, którego mocny trzypunktowy zaczep mógłby okazać się bardzo przydatny. Podszedł do nich Farley z notatnikiem.

- Hej, nie zamierzacie chyba zostać tu na noc? Dahlia uśmiechnęła się do niego rozbijając. - To wszystko jest takie podniecające.

- Tak - zachichotał Farley i odszedł mrugnawszy okiem. W drodze z lotniska do domu twarz Dahlii była zarumieniona, a oczy błyszczały.

Od pierwszej chwili, kiedy znaleźli się w domu, dała Landerowi jasno do zrozumienia, że nie oczekuje od niego żadnych wyczynów. Pilnowała się też, by nie okazać mu odrazy. Była z nim ciałem, przywiozła je ze sobą, bo tak było najwygodniej, zdawała się mówić. Fizycznie była mu uległa, ale w tak subtelny sposób, iż w języku angielskim trudno by na to znaleźć słowa. I zachowywała się bardzo, bardzo delikatnie.

Ale w interesach było zupełnie inaczej. Lander szybko przekonał się, że nie onieśmieli jej swoją znajomością techniki. Musiał wyłożyć jej szczegółowo punkt po punkcie swój plan, w miarę potrzeby wyjaśniając znaczenie takich czy innych terminów. Jeśli chwilami nie zgadzała się z nim, to na ogół jej sprzeciw dotyczył metod postępowania z ludźmi; odkrył, że była bystrym sędzią i miała ogromne doświadczenie w postępowaniu z ludźmi przestraszonymi i znajdującymi się pod presją. Ale nawet kiedy upierała się przy swoim zdaniu, nigdy nie wyrażała tego żadnym gestem czy wyrazem twarzy, na której widać było jedynie skupienie.

Kiedy już dogadali się na temat spraw technicznych, przynajmniej w teorii, Dahlia przekonała się, że największym zagrożeniem dla całego przedsięwzięcia jest chwiejność Landera. Był niczym wspaniała maszyna sterowana przez dziecko o morderczych instynktach. Coraz częściej potrzebował z jej strony podpory. Ponieważ w tej dziedzinie nie zawsze mogła wszystko przewidzieć, musiała działać kierując się wyczuciem. W miarę upływu czasu Lander zaczął jej opowiadać o sobie; mówił o rzeczach bezpiecznych dla niego, które go nie bolały. Niekiedy wieczorem, trochę podпиты, bez końca potrafił wyrzekać na niesprawiedliwości w marynarce wojennej, aż w końcu po północy Dahlia odchodziła do swojego pokoju, zostawiając go klnącego przed telewizorem. A kiedyś, pewnej nocy, kiedy siedziała na skraju jego łóżka, opowiedział jej historię o tym, jak po raz pierwszy w życiu zobaczył sterowiec. Miał osiem lat, strupy na kolanach, stał na gliniastym placu zabaw przy wiejskiej szkole, spojrzął w górę i zobaczył sterowiec. Srebrzysty statek, lawirując, by złapać wiatr, przeleciał nad podwórzem szkolnym, ciągnąc za sobą jakieś podskakujące w powietrzu małe obiekty - jak się okazało, były to batoniki Baby Ruth na małych spadochronikach. Biegając za sterowcem, Michael pozostawał w jego cieniu przez całą długość podwórza; inne dzieci też biegły,

odpychając się wzajem, chcąc złapać balonik. Dobięgli do końca podwórza, a dalej było już zaorane pole i cień sterowca zaczął się oddalać, pofałdowany na bruzdach. Lander, w krótkich spodenkach, upadł na polu i pozdzierał sobie strupy z kolan. Szybko się jednak poderwał i odprowadzał wzrokiem sterowiec, aż zniknął z pola widzenia; strumyczki krwi spływały z jego kolan, w kurczowo zaciśniętej dłoni trzymał batonik ze spadochronikiem.

Podczas kiedy on pogrążył się w opowieści, Dahlia, słuchając, wyciągnęła się na łóżku obok niego i wtedy przyszedł do niej wprost z tamtego szkolnego podwórka, z twarzą rozjaśnioną zachwytem przeżytych tamtego odległego dnia.

Od tej chwili stał się bezwstydnym. A ona była posłuszna jego okropnym zachciankom i akceptowała je jak własne. Jej ciało przyjęło go z całą wspaniałomyślną szczodrobliwością. Przestała dostrzegać jego brzydotę. A on czuł, że teraz może powiedzieć jej wszystko i wyrzucał to z siebie, nawet rzeczy, o których przedtem nigdy nie mógł mówić, nawet Margaret; Margaret zwłaszcza.

Dahlia słuchała ze współczuciem i zainteresowaniem. Nigdy nie okazała ani śladu lęku czy niechęci, chociaż nauczyła się być ostrożna, zwłaszcza gdy mówił o pewnych sprawach; potrafił nagle skierować przeciwko niej swoją złość za krzywdy wyrządzone przez innych. Dahlia musiała dobrze go poznać i udało się jej to. Znała go lepiej niż ktokolwiek na świecie, lepiej nawet od komisji specjalnej, która badała jego ostatni czyn. Członkowie komisji mieli do dyspozycji stopy dokumentów i fotografie oraz świadków, którzy stawali się sztywni w czasie zeznań. Dahlia dowiedziała się wszystkiego z ust samego potwora.

To prawda, że poznawała go, aby go wykorzystać; lecz czy znalazłby się ktoś, kto słuchałby nie chcąc nic w zamian? Mogłaby wiele dla niego zrobić, gdyby jej celem nie było morderstwo.

Bezgraniczna szczerość Landera, w połączeniu z jej spostrzeżeniami, pozwoliła jej wyobrazić sobie, jaki był w przeszłości. I właśnie z niej, z jego przeszłości, wykuwała się jej broń.

Zbiorcza szkoła Willett-Lorance, wiejska szkoła między Willett i Lorance, w Południowej Karolinie, 2 lutego 1941 roku: - Michael, Michael Lander, chodź tutaj i przeczytaj swoje wypracowanie. Buddy Ives i ty, Atkins Junior, szczególnie was proszę o uwagę. Bawiliście się bezmyślnie, kiedy Rzym płonął. Za sześć tygodni testy oddziela ziarna od plew w tej klasie.

Michaela trzeba było jeszcze dwa razy wywoływać. Jest zdumiewająco mały, gdy tak idzie przejściem między ławkami. Szkoła Willett-Lorance nie ma specjalnego programu dla dzieci wybitnie uzdolnionych. Ale Michael ma osiem lat i już „przeskoczył” do czwartej klasy.

Buddy Ives i Atkins Junior mają po dwanaście lat i ostatnie ferie spędzili zanurzając głowę drugoklasisty w misce klozetowej. Siedzą teraz pilnie skupieni. Ale nie interesuje ich wypracowanie Michaela, lecz on sam.

Michael wie, że zapłaci za to. Stoi przed klasą w obwisłych, krótkich spodenkach, które nosi tylko on jeden spośród dzieci, czyta tak, że ledwie można go dosłyszeć i zdaje sobie sprawę, że będzie musiał za to zapłacić. Ma tylko nadzieję, że stanie się to na podwórzu. I wolałby raczej, żeby

go bili niż zanurzali w wodzie.

Ojciec Michaela jest pastorem, a matka filarem Stowarzyszenia Rodzicielsko-Nauczycielskiego. Michael nie jest słodkim, przylepny dzieckiem. Uważa, że coś jest z nim nie w porządku. Jak daleko sięga pamięcią, zawsze miał okropne uczucie, którego nie rozumiał. Nie potrafił jeszcze odróżnić wścieklej pasji od nienawiści do siebie. O sobie myśli wciąż jak o małym, wstydliwym chłopcu w krótkich spodenkach i nie cierpi tego obrazu. Czasami przygląda się, jak w zaroślach ośmiolatki bawią się w kowbojów. Kilka razy przyłączył się do nich, wrzeszczał „bang-bang” i strzelał z palca. Ale czuł się wtedy głupio. Gdyby ktoś się temu przyglądał, mógłby powiedzieć, że nie wczuwał się w rolę i nie był prawdziwym kowbojem.

Podchodzi do swoich kolegów z klasy, jedenasto - dwunastolatków. Właśnie wybierają strony boiska do gry w piłkę nożną. Stoi razem z grupą chłopców i czeka. Nie jest źle, jeżeli kogoś wybiorą na końcu, byle w ogóle wybrali. Zostaje sam pośrodku boiska. Nie został wybrany. Wie, która drużyna wybierała ostatnia i idzie do drugiej. Widzi siebie, jak idzie. Widzi kościste kolana pod krótkimi spodenkami, wie, że o nim mówią, stłoczeni w gromadkę. Odwracają się do niego plecami.

Nie może ich prosić, żeby pozwolili mu grać. Odchodzi z płonąca twarzą. Na podwórzu z czerwonej gliny nie ma takiego miejsca, w którym mógłby zniknąć im z oczu.

Jako południowiec, Michael ma głęboko zakodowane pewne zasady. Mężczyzna zawsze odpowiada na wyzwanie do walki. Mężczyzna jest twardy, uczciwy, honorowy i silny. Potrafi grać w piłkę nożną, uwielbia polowanie i nie pozwala na używanie swobodnego języka w towarzystwie pań, choć sam w gronie kolegów mówi o nich używając wulgarnego słownictwa.

Ale kiedy się jest dzieckiem i nie ma niezbędnej odporności psychicznej, same zasady mogą zabić.

Michael nauczył się już nie wdawać w bijatyki z dwunastolatkami, jeśli to tylko jest możliwe. Mówią o nim, że jest tchórzem. A on w to wierzy. Potrafi się wysławiać i nie umie tego ukryć. Mówią, że jest maminsynkiem. A on przypuszcza, że pewnie tak jest.

Skończył czytać w klasie swoje wypracowanie. Wie, jak będzie uderzał mu w nozdrza oddech Atkinsa Juniora. Nauczycielka mówi, że Michael jest „dobrym patriotą klasowym”. I nie rozumie, dlaczego Michael odwraca od niej twarz.

10 września 1947 roku, boisko do gry w piłkę nożną za szkołą Willett-Lorance:

Michael Lander wychodzi z domu grać w piłkę nożną. Jest w dziesiątej klasie i wychodzi bez wiedzy rodziców. Czuje, że musi to zrobić. Chce się cieszyć sportem, podobnie jak jego koledzy z klasy. Ciekaw jest siebie. W stroju do gry czuje się cudownie anonimowy. Gdy ma go na sobie, nie dostrzega siebie. Dziesiąta klasa to trochę za późno, żeby zaczynać grać w piłkę i Michael musi się wiele nauczyć. Ku swojemu zdumieniu stwierdza, że koledzy są dla niego wyrozumiali. Po kilku dniach beładnego młócenia ramionami i wystawiania jak kołek na boisku, odkryli, że - wprawdzie naiwny w grze - ma dobre uderzenie i chce się czegoś od nich nauczyć. Był to dla niego dobry okres. Trwał tydzień. Potem rodzice odkryli, że chodzi grać w piłkę. Nie znosili trenera, bezbożnego

człowieka, o którym się mówiło, że ma w domu alkohol. W radzie szkolnej zasiada teraz wielbny pastor Lander. Landerowie podjeżdżają pod boisko swoim kaiserem. Michael nie widzi ich do chwili, kiedy wywołują go po nazwisku. Matka idzie sztywno trawiastym skrajem boiska. Wielbny Lander czeka w samochodzie.

- Zdejmij z siebie to kretyńskie ubranie.

Michael udaje, że nie słyszy. Grał w obronie i właśnie przygotowywał się do podania piłki. Zajął swoje stanowisko. Widział wyraźnie każde źdźbło trawy. Przeciwnik na wprost niego ma czerwone zadrapania na łydce.

Matka idzie wzdłuż linii autowej. Przekroczyła ją. Idzie w jego stronę. Dwieście funtów - uzasadnionej w jej mniemaniu - wściekłości.

- Powiedziałam, żebyś zdjął z siebie ten idiotyczny strój i wsiadł do samochodu.

W tym momencie Michael mógł się jeszcze uratować - mógł odszczeknąć się matce. Mógł uratować go trener, gdyby był szybszy i mniej mu zależało na pracy. Michael nie może dłużej robić z siebie widowiska. Nie mógł po tym pozostać na boisku; koledzy już wymieniają spojrzenia, których nie może znieść. Biegnie truchtem w kierunku zbudowanego z prefabrykatów budynku, w którym mieści się szatnia. Z tyłu dobiegają go parsknięcia.

Trener dwukrotnie nawołuje, żeby chłopcy wrócili do zajęć.

- Niepotrzebni nam tutaj maminsynkowie - mówi.

Michael porusza się w szatni z rozwagą, zostawia swój strój ułożony porządnie na ławce, klucz do szafki kładzie na wierzchu. Czuje w sobie wielki, przytłaczający ciężar, na zewnątrz nie okazuje złości.

W drodze do domu, w kaiserze, wysłuchuje potoku obelg. Odpowiada, że tak, rozumie, jaki wstyd przynosi rodzicom, że powinien pomyśleć o innych. Zgadza się, gdy przypominają mu, że musi oszczędzać ręce do gry na fortepianie.

18 lipca 1948 roku: Michael Lander skromny człowiek, siedzi na tylnym ganku swojego domku obok kościoła baptystów w Willett i naprawia kosiarkę do trawy. Zarabia trochę pieniędzy naprawiając kosiarki i drobne urządzenia. Gdy patrzy przez siatkę w oknie, widzi ojca leżącego na łóżku z rękoma pod głową, słuchającego radia. Kiedy myśli o swoim ojcu, widzi jego białe nieudolne dłonie, luźny pierścień seminarium duchownego Cumberland-Macon na serdecznym palcu. Na Południu, jak i w wielu innych miejscach, kościół to instytucja kobieca, podtrzymywana przez kobiety i dla kobiet. Mężczyźni tolerują ją dla spokoju w domu. Mężczyźni ze wsi nie szanują wielbnego Landera, dlatego że nigdy nie udają mu się plony i nie potrafi sam nic zrobić. Jego kazania są nudne i chaotyczne, pisane naprędce, w czasie, gdy chór śpiewa hymn dziękczynienia. Wielbny Lander wiele czasu poświęca na pisanie listów do dziewczyny, którą znał w liceum. Nigdy ich nie wysyła, lecz zamyka w blaszanym pudełku w swoim pokoju. Szyfrowy zamek kłódki jest dziecinnie prosty i Michael od lat czyta te listy. Ot, tak, dla zabawy.

Okres pokwitania okazał się bardzo korzystny dla Michaela. Ma piętnaście lat, jest wysoki i szczupły. Dużym wysiłkiem woli udaje mu się grać rolę miernoty w szkole. Na przekór wszelkim przeciwnościom wyrósł na chłopca o miłej osobowości. Zna pewien dowcip o łysej papudze i dobrze go opowiada. Dzięki piegowatej dziewczynie, starszej o dwa lata, Michael odkrywa, że jest mężczyzną. Odczuwa olbrzymią ulgę po latach wysłuchiwania, że jest pedałem i niemożności udowodnienia, że jest inaczej.

Ale nawet w tym okresie „drugie ja” Michaela stoi z boku chłodne, obserwujące. Ten drugi Michael widzi nieuctwo klasy, z przekąsem mówi o szkole z coraz to innym, nowym grymasem twarzy. W chwilach stresu stawia przed nim obraz niesympatycznego małego erudyty i uświadamia mu, jak straszliwa pustka go czeka, gdy jego nowy obraz zostanie zagrożony.

Mały erudyta stoi na czele legionu nienawiści, potrafi odpowiedzieć na każde pytanie, a jego credo brzmi: „Niech Bóg was wszystkich potępi”. W wieku piętnastu lat Lander funkcjonuje sprawnie. Doświadczony obserwator mógł wprawdzie dostrzec kilka rzeczy, które wskazywały, że Michael kieruje się emocjami, ale te - same w sobie nie budzą podejrzeń. Michael nie potrafi znieść współzawodnictwa. Nigdy nie potrafił kontrolować agresji, która to umiejętność pozwala przetrwać większości ludzi. Nie mógł nawet brać udziału w grach stołowych ani hazardowych. Lander rozumie, że można hamować agresję, ale sam tego nie potrafi. W sferze emocji, między przyjemną, pozbawioną elementów rywalizacji atmosferą a totalną wojną, pełną zbezczeszczonych i spalonych trupów nie istnieje dla niego żaden pośredni etap. Nie znajduje ujścia dla emocji. Zgromadził w sobie więcej trucizny niż ktokolwiek byłby w stanie znieść.

Chociaż twierdzi, że nie lubi kościoła, modli się często w ciągu dnia. Jest przekonany, że przyjmując określone pozycje ciała, przyspiesza działanie modlitw, i tak, dotknięcie czołem kolana jest najskuteczniejszą pozycją. Jeśli musi zrobić to w publicznym miejscu, stosuje podstęp, żeby nikt niczego nie zauważył. Na przykład upuszcza coś pod krzesło i pochyla się, żeby to podnieść. Modlitwy wypowiedane na progu lub w chwili gdy dotyka zamka u drzwi też należą do bardziej skutecznych. Często - wielokrotnie w ciągu dnia - modli się za osoby, które na krótko odżywają w jego pamięci. Bez udziału jego woli, wbrew wysiłkom, żeby tego już nie robić, prowadzi wewnętrzne dialogi, gdy wybije się ze snu. Właśnie prowadzi taki dialog:

- Stara panna Phelps znowu zamiata podwórko szkolne. Ciekawe, kiedy pójdzie na emeryturę. Jest tu już tak dawno.

- Chciałbyś, żeby ją rak zniszczył?

- Nie! Drogi Jezu, wybacz mi, wcale jej nie życzę, żeby umarła na raka. Gdyby tak się stało, wołałbym sam najpierw umrzeć na raka (Michael odstukuje w nie malowane drewno). Dobry Boże, niech raczej ja umrę na raka.

A może chciałbyś wziąć strzelbę i wypruć z niej głupie, stare, zgniłe flaki?

Nie! Nie! Panie Jezu, nie chcę! Chcę żeby była bezpieczna i szczęśliwa. Nic nie może poradzić, że jest taka. To uprzejma i dobra pani. Jest w porządku. Przebacz, że użyłem słów: „Boże przeklnij”.

A może chciałbyś wetknąć jej głowę w kosiarkę do trawy?

Nic chciałybym, nic chciałybym.

- Pierdolę Ducha Świętego.

- Nie! Nie powinienem tak myśleć! Nie będę tak myśleć! To grzech śmiertelny. Nie dostanę rozgrzeszenia. Nie będę myślał - pierdolę Ducha Świętego. Och i znowu tak pomyślałem.

Michael sięga za siebie, do klamki siatkowych drzwi. Dotyka czołem kolana. Następnie koncentruje się usilnie na kosiarce do trawy. Chce ją naprawić jak najszybciej. Zbiera pieniądze na naukę latania.

Zawsze go pociągały maszyny i miał do nich talent. Nie były jego pasją, dopóki nie poznał ich tak, że pochłonęły go i stały się jego ciałem. Odkąd potrafił znaleźć się w ich wnętrzu, zaczął utożsamiać swoje działania z działaniami maszyny i mały erudyta przestał mu się pokazywać.

Najpierw był Piper Cub na lotnisku polowym. Przy sterach Lander przestawał istnieć, był tylko mały samolocik przechylający się na boki, opadający w dół, nurkujący; kształt samolotu stawał się jego kształtem, jego wdzięk i siła były wdziękiem i siłą Michaela, czuł wiatr opływający maszynę i był wolny.

Wstąpił do marynarki wojennej, gdy miał szesnaście lat i nigdy już nie wrócił do domu. Kiedy pierwszy raz złożył podanie do szkoły lotniczej, nie przyjęto go; służył więc przez całą wojnę koreańską prowadząc zaopatrzenie na lotniskowcu „Coral Sea”. W albumie ze zdjęciami Lander ma takie, na którym stoi wraz z obsługą naziemną na tle skrzydła „korsarza” i odłamków bomb. Wszyscy są uśmiechnięci i obejmują się ramionami. Tylko on się nie uśmiecha. W ręce trzyma zapalnik.

1 czerwca 1953 roku Lander obudził się tuż po brzasku w barakach dla rekrutów w Lakehurst. Na swoje nowe miejsce przydziału przybył w nocy i żeby się dobudzić, musiał wziąć zimny prysznic. Potem ubrał się starannie. Marynarka wojenna dobrze mu zrobiła. Podobał mu się mundur, podobał się sam sobie w mundurze i anonimowość, jaką dzięki niemu zyskiwał. Był kompetentny i czuł się akceptowany. Dzisiaj zamelduje się, zgłosi gotowość do nowych zadań, przedstawi eksperymentalne detonatory bomb głębinowych, uruchamiane ciśnieniowo, do walki z łodziami podwodnymi. Znał się na zaopatrzeniu. Jak wielu ludzi o głęboko zakorzenionym uczuciu zagrożenia, lubił terminologię związaną z bronią.

W porannym chłodzie szedł w kierunku kompleksu budynków zaopatrzenia, rozglądając się wokół ciekawie i odkrywając to, czego nie widział w nocnych ciemnościach. Były tam olbrzymie hangary dla sterowców. Drzwi jednego z nich właśnie otwierały się z łoskotem. Lander spojrzał na zegarek i przystanął na chodniku, patrzył. Najpierw powoli wynurzył się z hangaru dziób, potem cały wielki, długi kadłub statku powietrznego. Był to typ ZPG-1 o pojemności miliona stóp sześciennych helu. Lander nigdy przedtem nie był tak blisko sterowca. Trzysta dwadzieścia cztery stopy srebra, które w blasku wschodzącego słońca mieniło się ogniem. Lander przebiegł przedpole hangaru. Pod sterowcem uwijała się obsługa naziemna. Jeden z silników z lewej burty ryknął i obłok błękitnego dymu zawisł w powietrzu.

Lander nie chciał uzbrajać sterowca w bomby głębinowe. Nie chciał przy nim pracować, wyprowadzać i wprowadzać do hangaru. Widział tylko jego stery.

Następne egzaminy konkursowe do szkoły oficerskiej zdał gładko. Pewnego gorącego lipcowego popołudnia 1953 roku dwustu osiemdziesięciu nowo zaciągniętych mężczyzn przystąpiło do testu. Lander zdobył pierwsze miejsce. Ta pozycja pozwoliła mu wybrać rodzaj jednostki. Wybrał sterówce.

Zakres kinestezji przy sterowaniu poruszającymi się maszynami nie został do tej pory zadowalająco wyjaśniony. Niektórych ludzi określa się słowem „naturalny”, ale to nie jest adekwatny termin. Mikę Hailwood, znakomity wyścigowy kierowca motocyklowy, jest właśnie naturalnym kierowcą. Również Betty Skelton była naturalnym pilotem, co poświadczyć mogą wszyscy, którzy ją widzieli w jej małym dwupłatowcu. Lander był naturalnym pilotem. Przy sterach statku powietrznego zapominał o sobie, był pewny siebie, zdecydowany, odporny na stresy. A w czasie lotu jego umysł wybiegał swobodnie naprzód, rozważając możliwości, planując kolejne posunięcia.

W 1955 roku był najlepszym pilotem sterowców na świecie. W grudniu tego roku jako drugi oficer brał udział w serii ryzykownych lotów z bazy lotniczej marynarki wojennej w South Weymouth w Massachusetts, mających na celu zbadanie efektów akumulacji lodu w złych warunkach atmosferycznych. W lotach tych załoga sterowca zdobyła doroczne trofeum Harmona.

No i wreszcie Margaret. Poznał ją w styczniu, w klubie oficerskim w Lakehurst, gdzie podejmowano go uroczyście po lotach z South Weymouth. Był to początek najlepszego roku w jego życiu.

Miała dwadzieścia jeden lat, była przystojna i dopiero co wróciła z Zachodniej Wirginii. Lander, lew w doskonale skrojonym mundurze, podbił ją z miejsca. Tak się dziwnie złożyło, że był jej pierwszym mężczyzną i wprowadzanie jej w tajniki miłości przynosiło mu wiele satysfakcji - ale tym trudniej było mu później, kiedy odkrył, że miała innych.

Ślub wzięli w Lakehurst, w kaplicy z wmurowaną płytą pamiątkową z wraku sterowca „Akron”.

Lander zaczął teraz oceniać siebie na tle Margaret i swojego zawodu. Latał na największym, najdłuższym i najbardziej lśniącym sterowcu na świecie. Margaret zaś uważał za najprzystojniejszą kobietę świata.

Jak bardzo różniła się od jego matki! Czasami, kiedy budził się ze snu o matce, długo przyglądał się Margaret, z zachwytem odnotowując fizyczne różnice między tymi kobietami.

Mieli dwoje dzieci i latem jeździli swoją łodzią na wybrzeże w Jersey. Było im dobrze. Margaret nie należała do zbyt spostrzegawczych osób, ale z czasem odkryła, że Lander nie był taki, jakim go sobie wyobrażała. Stale potrzebowała jego wsparcia, a on w traktowaniu jej wpadał z jednej skrajności w drugą. Czasem był nadmiernie troskliwy. Kiedy coś mu się nie udało w pracy lub w domu, stawał się zimny i daleki. Niekiedy miewał napady okrucieństwa, które ją przerażały.

Nie umieli rozmawiać o swoich problemach; Lander albo stawał się irytująco pedantyczny, albo w ogóle nie chciał nic mówić. Pozbawieni więc byli oczyszczającego działania walki.

Na początku lat sześćdziesiątych dużo czasu spędzał poza domem, latając na olbrzymich sterowcach ZPG-3W. Były to największe do tej pory sterowce ciśnieniowe na świecie, wznoszące się na wysokość czterystu trzech stóp. Licząca czterdzieści stóp antena radarowa, obracająca się wewnątrz obszernej powłoki, stała się kluczowym elementem w krajowym systemie wczesnego ostrzegania. Lander był wtedy szczęśliwy, co pozytywnie odbijało się na jego zachowaniu w domu. Ale rozwój radarowego systemu wczesnego ostrzegania wykluczył przydatność sterowców dla obronności kraju i w 1964 roku kariera Landera jako pilota sterowców w marynarce wojennej dobiegła końca. Jego załoga została rozwiązana, sterowiec zdemontowano i Lander został na ziemi. Przydzielono go do administracji.

Jego stosunek do Margaret zmienił się na gorsze. Pojawiły się między nimi godziny pełnej urazy ciszy. Wieczorami wypytywał ją, co robiła w ciągu dnia. Była niewinna. Ale on nie wierzył. Fizycznie stała mu się obojętna. Pod koniec 1964 roku jej zajęcia w ciągu dnia przestały być niewinne. Ale bardziej niż seks potrzebne jej były ciepło i przyjaźń.

Gdy rozpoczęła się eskalacja w Wietnamie, Lander zgłosił się do jednostki helikopterów, gdzie go przyjęto z otwartymi ramionami. Teraz zajęty był szkoleniem. Znowu latał. Dawał Margaret kosztowne prezenty. Było jej przykro i niezręcznie przyjmować je od niego, ale wołała to niż jego poprzednie zachowanie.

Na ostatni urlop przed zaokrętowaniem do Wietnamu pojechali na Bermudy. I choć zamęczał ją opowieściami o szczegółach technicznych śmigłowców, był jednocześnie troskliwy, a czasem nawet kochający. Margaret odwzajemniała jego uczucia. Lander był przekonany, że nigdy bardziej jej nie kochał.

10 lutego 1967 roku wystartował z pokładu lotniskowca „Ticonderoga” na południu Morza Chińskiego w swój sto czternasty lot ratowniczy. Pół godziny po wejściu księżyca krążył nad ciemnym oceanem na wysokości Dong-Hoi.

Znajdował się w korytarzu do lądowania piętnaście mil od brzegu, czekając na samoloty wracające z akcji. Jeden z Phantomów został trafiony. Pilot meldował, że nawalił prawy silnik i widać płomienie. Zanim katapultują się wraz z drugim pilotem, chce odlecieć dalej nad morze.

Lander, siedząc w rozklekotanej kabinie śmigłowca, rozmawiał z nim cały czas; z lewej strony miał ciemny masyw Wietnamu.

- Ding, zero, jeden, gdy znajdziesz się w przyzwoitej odległości od brzegu, daj znać światłami, jeśli możesz.

Lander mógł odszukać załogę Phantomu za pomocą urządzenia samonaprowadzającego, ale chciał skrócić czas akcji do minimum.

- Panie Dillon - zwrócił się do strzelca w drzwiach - będziemy schodzić w dół tak, żeby miał

pan przed sobą ład. Operacyjny potwierdza: żadnych naszych okrętów w pobliżu, żadnych statków; co nie z gumy - to wróg.

W słuchawkach usłyszeli wyraźnie głos z myśliwca:

- Mixmaster, mam ogień w drugim silniku, kabina wypełnia się dymem. Katapultujemy się.

Wykrzyknął jeszcze współrzędne, ale zanim Lander zdążył potwierdzić odbiór, połączenie zostało przerwane.

Lander wiedział, co się teraz stanie - dwaj oficerowie opuszczą osłony na twarze, obudowa kabiny odpadnie, lotnicy wystrzelą się w lodowate powietrze, koziołkując w swych fotelach, które odpadną, a potem nastąpi wstrząs i powolne opadanie poprzez chłodną ciemność ku dżungli.

Lander zwrócił wielki śmigłowiec w kierunku lądu, łopaty śmigła ciężko kroili morskie powietrze. Mógł teraz wybrać: albo czekając na osłonę z powietrza będzie krążył w pobliżu, próbując nawiązać łączność przez radio - albo poleci bez osłony.

- Jest tam, sir - powiedział drugi pilot.

Lander ujrzał wybuch płomieni jakąś milę w głąb lądu i Phantom eksplodował w powietrzu. Był nad plażą, kiedy dotarł do niego sygnał z urządzenia samonaprowadzającego. Przekazał prośbę o osłonę z powietrza, ale nie czekał na nią. Z wyłączonymi światłami ślizgał się nad podwójnym baldachimem drzew.

Z wąskiej, pobrużdżonej koleinami drogi błysnął sygnał świetlny. Dwaj rozbitkowie na ziemi mieli na tyle rozsądku, że oznaczyli dla niego miejsce lądowania. Między pniami drzew rosnących po bokach drogi było miejsce dla śmigła. Cała akcja potrwa krócej, jeśli usiądzie, niż gdyby miał ich wciągać hakiem, jednego po drugim. Opadał między ścianami drzew, trawy wskutek podmuchu położyły się płasko po bokach drogi. Nagle noc rozbłysła pomarańczowymi językami ognia, a kabina wokół niego rozleciała się w kawałki, spryskane krwią drugiego pilota; zwała się, kołysząc się przeraźliwie, wypełniona zapachem palącej się gumy.

Bambusowa klatka była zbyt krótka, aby Lander mógł się w niej wyprostować. Roztrzaskana przez pocisk ręka bolała go straszliwie. Przez jakiś czas bredził. Wietnamczycy nie mieli czym opatrzyć rany, z wyjątkiem sulfonamidu ze starej francuskiej podręcznej apteczki. Wyjęli z klatki kawałek deseczki i przywiązali do niej rękę Landera; pulsowała bólem bez przerwy. Po trzech dniach spędzonych w klatce, poprowadzono go na północ do Hanoi; szedł, poszturchiwany przez małych, muskularnych mężczyzn, ubranych w zabłocone, czarne piżamy i uzbrojonych w bardzo czyste karabiny automatyczne AK-47.

W pierwszym miesiącu uwięzienia w Hanoi Lander omal nie oszalał z bólu. Siedział w celi razem z nawigatorem lotnictwa, ciągle zadumanym byłym nauczycielem zoologii o nazwisku Jergens. Jergens przykładął wilgotne kompresy na pokaleczoną rękę Landera i starał się pomóc mu w miarę możliwości, ale siedział w niewoli już tak długo, że był cały roztrzęsiony. Trzydzieści siedem dni po przybyciu Landera doszedł do stanu, w którym nie mógł się powstrzymać od krzyku i zabrano go z

celi. Lander płakał po jego odejściu.

W piątym tygodniu, pewnego popołudnia, przyszedł do celi młody wietnamski lekarz z małą czarną torbą. Lander nie chciał go dopuścić do siebie. Musiało go trzymać dwóch strażników, kiedy lekarz wstrzykiwał mu silny zastrzyk miejscowego znieczulenia. Poczul taką ulgę jakby opływał go strumień zimnej wody. Gdy był już zdolny do myślenia, złożono mu propozycję.

Wyjaśniono, że środki medyczne, jakimi dysponuje Demokratyczna Republika Wietnamu, są niewystarczające nawet dla jej własnych rannych. Ale można sprowadzić leki uśmierzające ból oraz chirurga, który zajmie się jego ręką, jeżeli zgodzi się podpisać przyznanie się do popełnienia zbrodni wojennych. Lander doskonale wiedział, że jeśli teraz jego ręka nie zostanie należycie opatrzona, straci dłoń, a może nawet całe ramię. Nie będzie mógł już latać. Nie sądził, aby przyznanie się do winy podpisane w takich okolicznościach zostało potraktowane w kraju poważnie. A nawet gdyby tak było, bardziej zależało mu na ręce niż na dobrej opinii. Środek znieczulający przestawał działać. Ból znowu ogarniał ramię. Lander zgodził się.

Na to, co nastąpiło potem, nie był przygotowany. Kiedy zobaczył pulpit, pokój wypełniony jeńcami siedzącymi jak uczniowie w klasie, gdy powiedziano mu, że musi na głos odczytać swoje zeznanie, dech zaparło mu w piersiach.

Wypchnięto go do sąsiedniej izby. Silna dłoń woniejąca rybą zamknęła mu usta, a tymczasem inny strażnik wykręcał mu ramię. Był bliski omdlenia. Jak szalony kiwał głową, starając się wyzwolić spod ręki na twarzy. Dostał jeszcze jeden zastrzyk w rękę, przywiązana i osłonięta kurtką przed jego wzrokiem.

Odczytał tekst, mrugając w świetle lamp, przy wtórze warkotu kamery filmowej.

W pierwszym rzędzie siedział mężczyzna o głowie pooranej bliznami, o skórze stwardniałej, jakby wygarbowanej, niczym u sępa. Był to pułkownik Ralph DeJong, starszy oficer amerykański z jenieckiego obozu pracy. W ciągu czterech lat uwięzienia DeJong dwieście pięćdziesiąt osiem dni spędził w odosobnieniu. Kiedy Lander skończył swoje wyznanie, pułkownik odezwał się nagle, jego głos rozniósł się po całej izbie:

- To kłamstwo.

Dwóch strażników błyskawicznie rzuciło się na niego. Wyciągnęli go z izby. Lander musiał przeczytać swoje wnioski po raz drugi. DeJong spędził w izolatce sto dni ze zmniejszonymi racjami żywnościowymi.

Wietnamczycy zajęli się ręką Landera w szpitalu na peryferiach Hanoi, standardowym budynku wewnątrz pobielonym wapnem, maty z trzciny zastępowały szyby, które wyleciały. Ręka po zabiegu nie wyglądała pięknie. Chirurg o zacerwienionych oczach, który zajmował się Landerem, nie miał doświadczenia w chirurgii plastycznej i dysponował niewielką ilością środków znieczulających. Miał natomiast drut z nierdzewnej stali, podwiązki do naczyń i cierpliwość, więc z czasem ręka znowu zaczęła działać. Lekarz mówił po angielsku i ćwiczył język prowadząc z Landerem piekielnie nudną rozmowę podczas zabiegów.

Lander, rozpaczliwie szukając czegoś, co by odwróciło jego wzrok od ręki, spostrzegł w kącie sali operacyjnej francuski respirator, najwyraźniej nie używany. Poruszany był silnikiem na prąd stały, z dziwnym kołem zamachowym do pompowania worka. Z trudem chwytając powietrze Lander zapytał o aparat.

Doktor odparł, że silnik spalił się i nikt nie wie, jak go naprawić. Czepiając się wszystkiego, co by mu pozwoliło choć na chwilę uciec od bólu, Lander zaczął mówić o twornikach i ich przewijaniu. Krople potu wystąpiły mu na twarz.

- Potrafiłby pan to naprawić? - doktor zmarszczył brwi. Wiązał maleńki supełek. Supełek nie większy od łebka mrówki, nie większy niż miazga zęba, większy od rozżarzonego słońca.

- Tak. - Lander mówił o miedzianym drucie i szpulach, a niektóre słowa rwały się w połowie.

- No - powiedział lekarz - to by było na razie tyle.

Większość amerykańskich jeńców wojennych zachowywała się w niewoli w sposób godny podziwu w oczach amerykańskich władz militarnych. Latami cierpieli w milczeniu, żeby powrócić do ojczyzny i żwawo salutowali przykładając ukośnie dłoń do daszka nad zapadniętymi oczami. Byli to mężczyźni zdecydowani, o silnym, nie załamującym się ego. Mężczyźni, którzy potrafili wierzyć w idee.

Do takich należał pułkownik DeJong. Kiedy wyszedł z odosobnienia, żeby z powrotem przejąć rządy w obozie jenieckim, ważył sto czterdzieści funtów. Jego głęboko osadzone oczy płonęły krwawo jak u męczennika. Nie wydał wyroku na Landera, dopóki nie zobaczył go w celi ze szpulą miedzianego drutu, przewijającego uzwojenie twornika do wietnamskiego silnika, a na talerzu obok - ości ryby.

Pułkownik DeJong puścił w obieg słowo i Landera otoczyła cisza w baraku. Stał się wyrzutkiem.

Doskonałość zawodowa nigdy nie miała wpływu na wzmocnienie mechanizmów obronnych Landera i teraz też nie pozwalała mu się bronić. Hańba w oczach współtowarzyszy, a później izolacja, były tylko powrotem czegoś znajomego z przeszłości, powrotem złych czasów. Jedyne Jergens z nim rozmawiał, ale Jergens często przebywał w izolatce. Zabierano go tam za każdym razem, gdy nie mógł powstrzymać krzyku.

Oslabiony raną, wyczerpany malarią Lander został obnażony - znowu stał się człowiekiem o dwóch nie pasujących do siebie częściach: dzieckiem nienawidzonym i nienawidzącym oraz mężczyzną, którego obraz powstał w jego wyobraźni, kiedy myślał o tym, jaki chciałby być. W głowie odbijały się echem stare dialogi, ale głos mężczyzny - głos rozsądku - był silniejszy. W takim stanie Lander wytrwał sześć lat. Musiało się wydarzyć coś więcej niż niewola, aby pozwolił na to, by dziecko nauczyło mężczyznę zabijania.

Na ostatnie Boże Narodzenie w niewoli Lander otrzymał od Margaret list. Pisała, że pracuje i że dzieci mają się dobrze. Do listu dołączone było zdjęcie przedstawiające Margaret z dziećmi na tle

domu. Dzieci urosły, a Margaret trochę utyłła. Na ziemi odbijał się cień osoby robiącej zdjęcie. Cień był szeroki i padał na ich nogi. Zastanawiał się, kto robił zdjęcie. Przyglądał się temu cieniowi bardziej niż żonie i dzieciom.

15 lutego 1973 roku wprowadzono Landera na pokład samolotu sił zbrojnych C-141 w Hanoi; dyżurny przypiął go pasem. Lander nie patrzył przez okno.

Pułkownik DeJong też był na pokładzie samolotu, lecz trudno go było poznać. Miał złamany nos i wybite zęby; dla swoich ludzi stanowił przykład człowieka, który odmawia współpracy z wrogiem. A teraz dawał przykład ignorowania Landera. Jeśli Lander to spostrzegł, nie okazał tego. Był wymizerowany, miał ziemistą cerę i w każdej chwili groził mu atak malarii. Lekarz wojskowy na pokładzie samolotu miał go cały czas na oku. Wózek z napojami orzeźwiającymi kursował w przejściu bez przerwy.

Kilku oficerom polecono, aby rozmawiali z jeńcami, gdyby mieli na to ochotę. Jeden z nich usiadł obok Landera, ale ten nie chciał rozmawiać. Oficer zwrócił jego uwagę na wózek z przysmakami. Lander wziął kanapkę i ugryzł ją. Poruszył parę razy szczękami i wypluł kęs do torebki, a kanapkę włożył do kieszeni. Potem zrobił to samo z jeszcze jedną kanapką.

Siedzący obok niego oficer zaczął go zapewniać, że jest bardzo dużo kanapek, ale po chwili dał za wygraną i poklepał go po ramieniu. Lander nie reagował.

Filipiny, baza sił powietrznych w Clark. Była orkiestra i dowódca bazy przygotowany na powitanie jeńców. Kamery telewizyjne czekały. Pułkownik DeJong miał wysiąść z samolotu pierwszy. Przechodząc w kierunku drzwi zobaczył Landera i zatrzymał się. Przez sekundę jego twarz wyrażała nienawiść. Lander spojrzał w górę na niego i szybko odwrócił głowę. Trząśł się. DeJong otworzył usta, wyraz jego twarzy zmiażdżył nieco; przeszedł dalej, na spotkanie powitalnych okrzyków i słońca.

Landera położono w szpitalu marynarki wojennej St. Alban w Queens. Tam rozpoczął pisanie dziennika, czego jednak nie kontynuował długo. Pisał bardzo wolno i uważnie, w obawie, że gdyby pisał szybciej, pióro mogłoby mu się wymknąć spod kontroli i napisać coś, czego nie chciałby zobaczyć.

A oto cztery pierwsze zapisy:

2 marca, St. Alban:

Jestem wolny. Margaret przez pierwsze osiem dni odwiedzała mnie codziennie. W tym tygodniu była trzy razy. W inne dni była na giełdzie samochodowej. Wygląda dobrze, ale nie jest taka, jaką sobie wyobrażałem tam. Wygląda, jakby była cały czas zadowolona. Dwa razy przyprowadziła dziewczynki. Były tu dzisiaj. Siedziały, trochę mi się przyglądały, trochę rozglądały się po pokoju. Rękę trzymałem pod pościelą. Dzieci nie mają się tutaj czym zająć. Mogą zejść na dół, do recepcji i kupić sobie coca-cola. Muszę pamiętać, żeby mieć dla nich drobne. Dzisiaj Margaret musiała im dać. Przypuszczam, że w ich oczach wyglądam dziwnie. Margaret jest dla nich bardzo dobra i cierpliwa i one jej słuchają. Tej nocy śnił mi się Łasica, byłem więc dzisiaj roztargniony w rozmowie z nimi.

Margaret podtrzymała konwersację.

12 marca, St. Alban:

Lekarze mówią, że mam malarię podzwrotnikową i dlatego cykl napadów dreszczy jest nieregularny. Podają mi chlorochinolinę, ale ona nie działa natychmiast. Dreszcze złapały mnie dzisiaj przy Margaret. Ona nosi teraz krótko obcięte włosy. Wprawdzie nie wygląda już jak dawna Margaret, ale za to włosy pachną ładnie. Gdy miałem atak dreszczy, trzymała mnie. Była ciepła, ale odwróciła ode mnie głowę. Mam nadzieję, że nie pachnę brzydko. A może to moje dźwięki? Boję się, że Margaret coś o mnie usłyszy. Łudzę się, że nie widziała filmu.

Dobra wiadomość. Lekarze ocenili uszkodzenie mojej ręki tylko na dziesięć procent. Nie wpłynie to na mój status pilota. Wcześniej czy później, Margaret i dzieci będą musiały zobaczyć moją rękę.

20 marca, St. Alban:

Jest tutaj również Jergens. Ma nadzieję wrócić do nauczania, ale jest w kiepskiej formie. Myślę, że przebywaliśmy w tej samej celi równo dwa lata. On twierdzi, że siedemset czterdzieści pięć dni. Jego też nawiedzają sny. Czasami też o Łasicy. Drzwi do jego pokoju muszą być stale otwarte. Załamał się tak przez to ciągle odosobnienie pod koniec niewoli. Oni nie wierzyli mu, że nie krzyczał po nocach celowo. Łasica wrzeszczał na niego i wołał generała Łoją. Naprawdę Łój był kapitanem i nazywał się Lebron Nhu, i muszę to zapamiętać. Był pół-Francuzem i pół-Wietnamczykiem. Więc oni pchnęli Jergensa na ścianę, a wtedy Jergens zaczął mówić:

„Niektóre gatunki roślin i zwierząt noszą w sobie śmiertelne pierwiastki i - jeśli są to homozygoty - ich rozwój zatrzymuje się na pewnym poziomie i roślina czy zwierzę umiera. Jest taka tajemnicza mysz domowa rasy żółtej *mus musculus*, która nigdy naprawdę się nie rodzi. Łój, to powinno cię zainteresować. (W tym momencie zaczęli go wyciągać z celi.) Jeżeli żółtą mysz skojarzyć z nie-żółtą, połowa miotu będzie żółta, a połowa nie-żółta. (Jergens trzymał się prętów, więc Łasica wyszedł na zewnątrz, żeby kopnąć go w palce rąk.) Taki jest spodziewany wskaźnik skojarzenia heterozygoty żółtej z homozygotą ustępującą, jakąkolwiek nie-żółtą, na przykład - aguti - małym, żarłocznym gryzoniem o smukłych nogach, przypominającym królika, ale z mniejszymi uszami. Jeśli skojarzyć dwa żółte osobniki, przeciętny miot będzie liczył dwa żółte i jeden nie-żółty, podczas gdy spodziewany wskaźnik barwy u młodych jest następujący: jeden czysto żółty, dwie heterozygoty żółte i jedna nie-żółta. (Jego ręce krwawiły, gdy strażnicy ciągnęli go korytarzem, ale nie przestawał ryczeć.) Homozygotą żółta umiera w stadium embrionalnym. I to jesteś ty, Łój. Pełzający kurak na krótkich, zakrzywionych nóżkach, który genetycznie zachowuje się tak, jak żółta mysz”.

Jergens dostał za to sześć miesięcy izolacji i diety, przez którą stracił zęby. Tę historię o żółtej myszy miał wydrapaną na deskach swojej pryczy i kiedy go zabrano, często to sobie czytałem.

Nie zamierzam więcej o tym myśleć. Owszem, zamierzam. Mogę to sobie powtarzać, gdy coś robię. Muszę podnieść swój materac i sprawdzić, czy ktoś w tym szpitalu pisał na deskach.

3 kwietnia 1973, St. Alban:

Za cztery dni mogę jechać do domu. Powiedziałem Margaret. Będzie musiała zamienić się z kimś na giełdzie samochodowej, żeby po mnie przyjechać. Muszę panować nad sobą, teraz, gdy jestem już silniejszy. Wybuchnąłem dzisiaj, kiedy Margaret powiedziała mi, że zajęła się handlem samochodami. Poinformowała mnie, że zamówiła w grudniu wóz mieszkalny, więc już powinien być gotowy. Powinna była poczekać. Ja mógłbym więcej utargować. Podobno kupiec poszedł jej na rękę. Bardzo była z siebie zadowolona.

Gdybym miał kątomierz, poziomnicę, tabele nawigacyjne i kawałek sznurka, mógłbym oznaczać datę bez kalendarza. Codziennie przez godzinę słońce świeci prosto w moje okno. Listwy drewnianej ramy okiennej odbijają się krzyżem na ścianie. Znam czas, znam szerokość i długość geograficzną szpitala. Te dane, plus kąt padania słońca, pozwoliłyby określić datę. Obliczyłem ją na ścianie.

Powrót Landera do domu był trudny dla Margaret. Pod jego nieobecność zaczęła budować sobie inne życie, z innymi ludźmi i teraz musiała wszystko przerwać, żeby zabrać go do domu. Gdyby po ostatniej wyprawie w 1968 roku powrócił do domu, prawdopodobnie by go porzuciła; ale kiedy dostał się do niewoli, nie wystąpiła o rozwód. Chciała być uczciwa, Inie mogła znieść myśli o opuszczeniu go w chorobie.

Pierwszy miesiąc w domu był straszny. Lander łatwo się denerwował i pigułki nie zawsze mu pomagały. Nie znosił, gdy drzwi domu były zamknięte, nawet na noc, i po północy kręcił się po domu upewniając się, że drzwi są otwarte. Podchodził do lodówki dwadzieścia razy dziennie, aby się przekonać, iż jest pełna jedzenia. Dzieci były dla niego grzeczne, ale rozmawiały o ludziach, których on nie znał.

W miarę, jak przybywało mu sił, zaczął mówić o powrocie do aktywnego życia. W ciągu dwóch pierwszych miesięcy w szpitalu przybyło mu osiemnaście funtów.

W Urzędzie Doradcy Generalnego przy Departamencie Marynarki Wojennej znajdują się dokumenty, z których wynika, że 24 maja Lander został wezwany na zamknięte przesłuchanie pod zarzutem kolaboracji z wrogiem; oskarżenie wniósł pułkownik Ralph DeJong.

Z kopii przesłuchania wynika, że przedstawiono dowód rzeczowy nr 7, a był nim film propagandowy produkcji północnowietnamskiej, i że natychmiast potem na prośbę oskarżonego przesłuchanie przerwano na piętnaście minut. Następnie wysłuchano kolejno - oskarżonego i pułkownika DeJonga.

Ze sprawozdania można dowiedzieć się dalej, że oskarżony dwukrotnie zwrócił się do przesłuchującego gremium słowem „mamo”. Dużo później cytaty te zostały uznane przez specjalną komisję sędziowską za błędy drukarskie na kopii.

Ze względu na wcześniejsze przykładowe zachowanie oskarżonego oraz przyznanie mu odznaczenia za próbę ratowania zestrzelonej załogi samolotu, która to akcja doprowadziła do wzięcia go w niewolę, urzędnicy prowadzący przesłuchanie byli skłonni okazać wyrozumiałość.

Do sprawozdania przypięto notatkę podpisaną przez pułkownika DeJonga. Stwierdza w niej, iż wobec życzenia wyrażonego przez Departament Obrony, aby nie nadawać nieprzychylnego rozgłosu nieodpowiednim zachowaniom niektórych jeńców wojennych, pragnie wycofać oskarżenie „mając na uwadze wyższy cel, jakim jest dobro służby”, pod warunkiem, że Lander poda się do dymisji.

Alternatywą rezygnacji był sąd wojenny. Lander wątpił, czy wytrzymałby jeszcze raz obejrzenie filmu.

Do sprawozdania dołączono więc kopię jego rezygnacji ze służby w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych.

Lander wyszedł z przesłuchania odrętwiały. Czuł się jakby go pozbawiono jednej kończyny. Wkrótce będzie musiał powiedzieć o tym Margaret. Chociaż nigdy nie wspomniała nawet o filmie, musiała wiedzieć, dlaczego zrezygnował. Błąkał się bez celu po Waszyngtonie, samotna postać w jasny, wiosenny dzień, po raz ostatni odziana w schludny mundur. Przed oczyma cały czas przesuwają mu się obrazy z filmu ze wszystkimi szczegółami, tyle że zamiast stroju jenieckiego - w dziwny jakiś sposób miał na sobie krótkie spodenki. Usiadł na ławce obok Elipsy, nie opodał mostu do Arlington i rzeki. Zaczai się zastanawiać, czy przedsiębiorca pogrzebowy skrzyżuje mu ręce na piersiach, i dalej, czy mógłby zostawić kartkę z prośbą do niego, aby zdrową rękę położył na chorej, i czy woda nie rozmoczy tej kartki, jeśli schowa ją do kieszeni. Samobójcze myśli, w których pogrążał się jak w tunelu, sprawiały, że patrzył na pomnik Waszyngtona nie widząc go w rzeczywistości. Wpatrywał się weń tak intensywnie, aż wypełnił on jego pole widzenia, podobnie jak siatka współrzędnych w lornecie. Monument wznosił się w świetlanym kręgu w tle, jak wartownik na posterunku. Nagle coś weszło w pole widzenia Landera, mącąc ostrość jego wizji.

Był to srebrzysty statek powietrzny z jego dzieciństwa, sterowiec firmy Aldrich. Patrząc, jak kołysze się łagodnie w przeciwnym wietrze na tle nieruchomego punktu pomnika, Lander uchwycił brzeg ławki, jakby to był ster wysokości. Teraz statek zaczął skręcać; skręcał szybko, mając wiatr z prawej i dryfując nieco, gdy przelatywał z cichym brzęczeniem nad Landerem. W rześkim, wiosennym powietrzu spłynęła na niego nadzieja.

Przedstawiciele kompanii Aldricha ucieszyli się, kiedy się zjawił. Jeśli nawet ktoś z kierownictwa wiedział, że jego twarz ukazała się na dziewięćdziesiąt osiem sekund w sieci telewizyjnej, że zdradził swój kraj - nigdy o tym nie wspomniał. Wystarczyło, że doskonale latał.

Przed próbnym lotem Lander pół nocy nie spał. Margaret dręczyły złe przeczucia, gdy wiozła go na lotnisko, odległe zaledwie o pięć mil od ich domu. Niepotrzebnie się martwiła. Był odmieniony już wtedy, kiedy szedł do sterowca. Zalała go fala dawnych emocji, która dodała mu sił, sprawiła, iż jego umysł stał się spokojny, a ręce pewne.

Latanie okazało się cudowną terapią dla niego; w każdym razie dla jednej części Landera. Jego umysł składał się z dwóch części, połączonych ze sobą podobnie jak drążki cepa gdy odzyskał wiarę w siebie, część jego umysłu uspokoiła się dzięki tej wierze, dając jednocześnie impuls do uderzenia ze strony tej drugiej części. Upokorzenia, jakich zaznał w Hanoi i Waszyngtonie, wróciły ze zdwojoną siłą na jesieni i zimą 1973 roku. Rozdźwięk między własnym wyobrażeniem o sobie a sposobem, w jaki go potraktowano, powiększył się tak dalece, że stał się aż nieprzyzwoity.

Wiara w siebie traciła swoją moc w godzinach ciemności. Pocił się, miał złe sny, pozostawał impotentem. Nocami dziecko w nim, wróg żywiący się cierpieniem, szeptał mężczyźnie:

- Ile to jeszcze będzie cię kosztowało! Ile? Widzisz, jak Margaret kołysze się przez sen? Myślisz, że pozwalała sobie trochę, gdy ciebie nie było?

- Nie.

- Głupiec. Zapytaj ją.

- Nie muszę jej pytać.

- Ty głupi mięczaku.

- Zamknij się.

- Gdy ty wyłeś w celi, ona tu zabawiała się z innym.

- Nie, nie, nie.

- Zapytaj ją.

Zapytał pewnego zimowego wieczoru pod koniec października. W jej oczach pojawiły się łzy i wyszła z pokoju. Jest winna czy nie?

Myśl, że nie dochowała mu wierności, stała się jego obsesją. Zapytał farmaceutę, do którego chodziła, czy w ciągu ostatnich dwóch lat przychodziła z receptą na środki antykoncepcyjne, ale usłyszał w odpowiedzi, że to nie jego interes. Leżąc obok niej po jeszcze jednej kłęsce, cierpiał tortury wyobrażając sobie ze szczegółami, jak odbywa stosunki z innymi mężczyznami. Czasami byli to Buddy Ives i Junior Atkins - jeden leżał na Margaret, drugi czekał na swoją kolejkę.

Nauczył się unikać jej, kiedy był zły i męczyła go podejrzliwość, więc niektóre wieczory spędzał w warsztacie w garażu. W inne próbował prowadzić z nią beztroską rozmowę, udając, że interesuje się jej zajęciami w ciągu dnia i postępami dzieci w szkole.

Margaret uwierzyła w jego wyzdrowienie i sukcesy w pracy. Myślała, że właściwie jest już praktycznie zdrowy. Zapewniała go, że impotencja minie. Mówiła, że rozmawiał z nią o tym doradca z marynarki wojennej przed jego powrotem do domu. Używała słowa impotencja.

Pierwsza wiosenna tura sterowca w 1974 roku ograniczała się do północnego wschodu i Lander mógł pozostać w domu. Trasa drugiej prowadziła wschodnim wybrzeżem do Florydy. Miało go nie być trzy tygodnie. Jacyś znajomi Margaret wydawali przyjęcie w przeddzień jego odjazdu i zaprosili Landerów. Był w dobrym humorze i nalegał, żeby poszli.

Było to miłe spotkanie ośmiu par coś do jedzenia i tańce. Lander nie tańczył. Stał z grupką oczarowanych nim mężów i z czołem pokrytym kropelkami potu opowiadał w tempie automatu o balonce i systemach amortyzacyjnych w sterowcach. Margaret przerwała ten wykład, bo chciała

pokazać mu patio. Gdy wrócił, mężczyźni rozmawiali o zawodowym futbolu. Zabrał głos i kontynuował swój wykład dokładnie od miejsca, w którym mu przerwano.

Margaret tańczyła z panem domu. Dwa razy. Za drugim razem mężczyzna przytrzymał jej rękę o chwilę dłużej niż grała muzyka. Lander obserwował ich. Rozmawiali spokojnie. Wiedział, że mówią o nim. Swoim słuchaczom wpatrzonym w kieliszki opowiedział wszystko o osłonach łańcuchowych. Jednocześnie myślał o tym, że Margaret jest bardzo ostrożna. Ale widział, jak chłonęła wszystkimi porami zainteresowanie mężczyzn.

Blady z wściekłości, w milczeniu prowadził wóz do domu.

Gdy znaleźli się w swojej kuchni, Margaret nie mogła już dłużej znieść jego milczenia.

- Dlaczego wreszcie nie krzyczysz, dlaczego nie skończysz z tym? No dalej, powiedz, co myślisz.

Jej kotek przyszedł do kuchni i otarł się o jego nogę. Chwyciła go na rękę w obawie, że mógłby go kopnąć.

- Powiedz, co takiego zrobiłam, Michael. Przecież było przyjemnie, prawda?

Taka była ładna. Skazana przez swą urodę. Lander nie odpowiedział. Podeszedł do niej szybko, patrząc jej w twarz. Nie cofnęła się. Nigdy jej nie uderzył. Nie mógł. Wyrwał jej kotka i podeszedł do zlewu. Kiedy zorientowała się, co zamierza zrobić, kot był już w maszynie do rozdrabniania odpadków. Podbiegła, szarpała go za ramię; włączył maszynkę. Słyszała miauczenie kota, dopóki mechanizm nie dobrał się do jego żywotnych organów. Przez cały czas Lander nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

Jej krzyki obudziły dzieci; tę noc spędziła w ich pokoju. Słyszała, jak tuż po świcie wychodził z domu.

Przysłał jej kwiaty z Norfolk. Dzwonił do niej z Atlanty. Nie odbierała telefonu. Chciał jej powiedzieć, że zrozumiał bezpodstawność swoich podejrzeń, że były wytworem chorej wyobraźni. Z Jacksonville napisał długi list, w którym przeproszał ją, przyznał, że był okrutny, niesprawiedliwy i szalony, i obiecał, że nigdy już się tak nie zachowa.

Dziesiątego dnia objazdu, zaplanowanego na trzy tygodnie, drugi pilot sprowadzał właśnie sterowiec do masztu cumowniczego, kiedy jakiś kapryśny poryw wiatru cisnął statek na ciężarówkę obsługi naziemnej, rozrywając materiał powłoki. Jej naprawa miała potrwać dobę - Lander nie wyobrażał sobie, jak wytrzyma tę dobę w motelu, bez wiadomości od Margaret.

Złapał lot do Newark. W Newark, w sklepie ze zwierzętami, kupił ładnego perskiego kotka. W domu zjawił się około południa. Panowała cisza, dzieci były na obozie. Samochód Margaret stał na podjeździe. Na małym ogniu grzała się woda w czajniku. Da jej kotka, przeprosi, obejmą się i ona mu przebaczy. Wyjął kotka z pojemnika i wyprostował kokardę na jego szyi. Wszedł na schody.

Na kanapie rozwalał się w pozycji pólężącej jakiś obcy facet, a Margaret z podskakującymi

piersiami siedziała na nim okrakiem i cwałowała. Nie zauważyli go, dopóki nie wrzasnął. Walka była krótka. Lander nie odzyskał jeszcze wszystkich sił, a ten obcy był wielki, szybki i przestraszony. Grzmotnął Landera dwukrotnie mocno w skroń i uciekli z Margaret.

Lander siedział na podłodze w bawialni oparty o ścianę. Otwarte usta były pokrwawione, wzrok pusty. Czajnik gwizdał ostro przez pół godziny - nie poruszył się; gdy woda się wygotowała, zapach spieczonego metalu wypełnił dom.

Kiedy ból i wściekłość sięgają poziomu, który przekracza ludzką zdolność uporania się z nimi, możliwa jest niezwyklego rodzaju ulga, ale wymaga ona częściowej śmierci.

Gdy już miał pewność, że jego wola umrze, na jego twarzy pojawił się krwawy grymas, straszliwy uśmiech. Wierzył, że jego wola uszła z niego ustami i nosem i cienką strugą wypływa wraz z westchnieniem. I wtedy odczuł ulgę. Skończyło się. O, tak, skończyło się. Dla Landera-mężczyzny był to koniec.

Okaleczony mężczyzna w Landerze będzie jeszcze cierpieł, będzie podrygiwał spazmatycznie jak zabie udka w rondelku, spragniony wyzwolenia od bólu. Ale nigdy już nic podda się wściekłości, nigdy już wściekłość nie porazi jego serca. Będzie współżyć z wściekłością, bo powstał z wściekłości, wściekłość była żywotnym elementem jego istnienia, dzięki niej żył, jak ssaki żyją dzięki powietrzu.

Wstał, umył twarz i wyszedł z domu, a kiedy wrócił na Florydę, był już spokojny. Umysł miał chłodny jak krew węża. Zniknęły gdzieś dialogi toczące się w jego głowie. Teraz był tylko jeden głos. Mężczyzna funkcjonował doskonale, ponieważ dziecko potrzebowało jego bystrego umysłu i zręcznych palców. Żeby znaleźć ulgę przez zabijanie, zabijanie i zabijanie. I śmierć.

Nie wiedział jeszcze, co robi, ale kiedy tak trwał zawieszony nad stadionami tydzień za tygodniem, pomysł sam przyszedł. A gdy już wiedział, co musi zrobić, zajął się znalezieniem środków; zanim je znalazł, pojawiła się Dahlia. Częściowo opowiedział jej o tym wszystkim, reszty domyśliła się sama.

Kiedy opowiadał o tym, jak zastał Margaret i jej kochanka w swoim domu, był pijany, a potem stał się agresywny. Uderzyła go wtedy krawędzią dłoni za uchem tak, że stracił przytomność. Rano nie pamiętał, że go uderzyła.

Musiały upłynąć dwa miesiące, żeby Dahlia była go pewna; dwa miesiące słuchania, obserwowania, jak buduje, planuje i lata, dwa miesiące leżenia w nocy obok niego.

A gdy była już pewna, opowiedziała wszystko Hafezowi Najeerowi, a on wyraził zgodę.

I teraz, kiedy materiały wybuchowe są na morzu, na frachtowcu „Letycja”, który zbliża się ku Stanom ze stałą prędkością dwunastu węzłów, całe przedsięwzięcie jest zagrożone przez zdradę kapitana Larmoso, a być może i Benjaminą Muziego. Czy Larmoso zaglądał do skrzynek na polecenie Muziego? Może Muzi postanowił zatrzymać zaliczkę, sprzedać Landera i Dahlię władzom, a plastik dostarczyć gdzie indziej? Jeżeli tak, nie mogli ryzykować odbioru plastiku w porcie nowojorskim.

Muszą przejąć go na morzu.

ROZDZIAŁ 6

Na oko łódź była całkiem zwyczajna - wysmukła, trzydziestoosiemstopowa łódź sportowa typu „canyon runner” dla amatorów wędkowania, posiadających dużo pieniędzy i mało czasu. W sezonie, w każdy weekend, wiele takich łodzi z odzianymi w bermudy brzuchatymi mężczyznami na pokładzie pędzi przez wzburzone wody na wschód, gdzie u wybrzeży New Jersey dno morskie gwałtownie się obniża i gdzie żerują duże ryby.

W czasach, kiedy łodzie produkuje się z włókna szklanego i aluminium, ta wykonana została z drewna i pokryta podwójną warstwą filipińskiego mahoniu. Łódź była piękna i mocna, a także kosztowna. Nawet nadbudówkę zbudowano z drewna, chociaż nie było tego widać, jako że większość elementów wykończenia pociągnięto farbą. Radary nie wychwytyją drewna.

Dwa duże silniki dieslowskie z turbosprężarkami upchnięto w komorze silnikowej, a pomieszczenie, w którym na normalnej jednostce zazwyczaj spożywa się posiłki i odpoczywa, tutaj poświęcono, aby zyskać miejsce na dodatkową ilość paliwa i wody. Właściciel łodzi spędził większą część lata na Karaibach, przewożąc haszysz i marihuanę z Jamajki do Miami, pod osłoną bezksiężycowych nocy. Na zimę wrócił na północ i łódź była do wynajęcia, ale nie dla rybaków. Opłata wynosiła dwa tysiące dolarów za dzień, szokująco wysoka kaucja - i żadnych pytań. Żeby zdobyć pieniądze na kaucję, Lander musiał oddać w zastaw hipoteczny swój dom.

Łódź znajdowała się w opustoszałej przystani przy ostatnim pomoście na Toms River obok zatoki Barnegat, zaopatrzona w paliwo, i czekała.

21 listopada o dziesiątej rano Lander i Dahlia przyjechali wynajętą furgonetką na przystań. Mżył zimny deszcz i pomosty były opustoszałe. Lander otworzył podwójne drzwi przystani od strony lądu, wjechał tyłem i zatrzymał furgonetkę sześć cali od rufy wielkiej sportowej łodzi rybackiej. Na jej widok Dahlia aż krzyknęła z wrażenia, ale Lander, zajęty sprawdzaniem ekwipunku według listy, nie zwracał na nic uwagi. Przez dwadzieścia minut ładowali potrzebny sprzęt na pokład: dwa zwoje liny, wysmukły maszt, dwie strzelby o długich lufach, strzelbę z lufą obciętą do osiemnastu cali, karabin szybkostrzelny, małą platformę przymocowaną do czterech pływaków, mapy, uzupełniające i tak dobrze zaopatrzone pojemniki z mapami na łodzi, oraz szereg starannie zapakowanych paczuszek, między innymi z lunchem.

Każdą rzecz Lander przywiązywał tak mocno, że nawet gdyby ktoś przewrócił łódź do góry dnem i potrzasał, nic by nie wypadło.

Później nacisnął przycisk na ścianie i wielkie drzwi od strony wody ze skrzypieniem uniosły się w górę, wpuszczając do wnętrza szare, zimowe światło. Wskoczył na pokład. Najpierw ryknął diesel z lewej, potem na sterburcie; w mrocznym świetle przystani uniosł się w górę obłok niebieskiego dymu. Wzrok Landera przenosił się teraz z jednego wskaźnika na drugi w oczekiwaniu, aż silniki się rozgrzeją.

Na jego znak Dahlia odcumowała i przyłączyła się doń na pokładzie nawigacyjnym. Lander przesunął dźwignię przepustnicy do przodu, woda za rufą napęczniała jak mięso, fale z bulgotem

omywały burty - łódź wolno wchodziła dziobem w deszcz.

Wypłynąwszy z Toms River, Lander i Dahlia przenieśli się do sterówki w ogrzewanej kabinie, w której zamierzali przepłynąć Zatokę Barnegat i wyjść na otwarte morze.

Północny wiatr podnosił krótkie fale. Pokonali je gładko. Wycieraczki wolno zdejmowały drobne krople wody z szyby. W zasięgu wzroku nie było żadnej innej łodzi. Długi piaszczysty cypel osłaniający zatokę przycupnął we mgle w pewnej odległości od portu, a z drugiej strony widać było komin fabryczny na krańcu Oyster Creek.

Zatokę Barnegat przepłynęli w niecałą godzinę. Wiatr zmienił się na północno-wschodni, podnosząc u jej wyjścia fale od dna. Lander roześmiał się na widok pierwszych atlantyckich bałwanów, rozpryskujących się fontanną o dziób łodzi. Zimny pył wodny opadał po drugiej stronie, nad nieosłoniętą częścią sterówki, kłując ich w twarze.

- Gdy wyjdziemy na otwarte morze, nie będzie tak wysokiej fali, koleżanko - powiedział Lander, patrząc, jak Dahlia ociera twarz wierzchem dłoni.

Widziała, że on się znakomicie bawi. Miał wielką frajdę czując łódź pod sobą. Fascynowało go, że utrzymuje się na powierzchni wody; fascynowała go moc żywiołu, poddawanie się mu, to znów przebijanie się z twardą jak skała nieustępliwością. Obracał koło sterowe to w jedną, to w drugą stronę, korygując kąt spotkania łodzi z wielkimi falami, wyęzając swój zmysł równowagi, chcąc wyczuć zmienne siły napierające na kadłub. Łąd zostawał z tyłu po obu stronach łodzi, latarnia w Barnegat rozbłyskiwała z prawej burty.

Oddalili się od brzegu, zostawiając za sobą mżawkę i wpłynęli pod wilgotne zimowe słońce; Dahlia odwróciła się, przyglądając się mewom zataczającym koła, olśniewająco białym na tle szarych chmur stłoczonych za nimi. Tak samo krążyły mewy nad plażą w Tyrze, gdy jako dziecko stała na ciepłym piasku małymi brunatnymi stopami, wystającymi spod łachmanów. Zbyt długo starała się poznać dziwne ścieżki, jakimi kroczył umysł Landera. Zaczęła się zastanawiać, jak obecność Muhammada Fasila wpłynie na ich wzajemny stosunek, jeśli Fasil jeszcze żyje i czeka z materiałami wybuchowymi tam, ponad dziewięćdziesięciosześniową głębią. Musi z nim natychmiast porozmawiać. Są rzeczy, które powinien zrozumieć, zanim popełni fatalną pomyłkę.

Gdy zwróciła się znów w stronę morza, Lander przyglądał się jej, z jedną ręką na kole sterowym. Morskie powietrze zaróżowiło jej policzki, oczy błyszczały. Kołnierzyk kożuska miała podniesiony wokół szyi, lewi'sy ciasno opinały jej biodra, co było wyraźnie widać, kiedy starała się utrzymać równowagę na chwiejnym pokładzie.

Lander zaś, który miał do dyspozycji dwa mocne silniki dieslowskie i robił to, co robił dobrze, odrzuciwszy głowę do tyłu śmiał się i śmiał. Był to śmiech prawdziwy i zdziwił Dahlię, która nieczęsto go do tej pory słyszała.

- Istna baba-dynamit z ciebie, wiesz? - powiedział wycierając oko kłykciami.

Spojrzała w dół, na pokład i znowu uniosła głowę do góry, uśmiechając się do niego: -

Zdobędziemy ten plastik.

- Tak - Lander pokiwał głową - będziemy mieli cały plastik świata.

Płynęli na wschód kursem stu dziesięciu stopni według kompasu magnetycznego, z małą poprawką na północ, uwzględniając odchylenia busoli; później, gdy bucząca i dzwonowa boja opodal Barneгат pozwoliły na dokładniejsze ustalenie kierunku wiatru, Lander dodał pięć stopni na północ. Fale atakujące z lewej burty uspokajały się teraz i kiedy łódź przedzierała się przez nie, tylko niewielkie fontanny wody wzbijały się w górę. Gdzieś tam za linią horyzontu czekał frachtowiec unoszony przez zimowe fale.

Wczesnym popołudniem zatrzymali się, ponieważ Lander chciał ustalić pozycję radionamiernikiem. Chciał to zrobić wcześniej, aby uniknąć zakłóceń, które byłyby nieuniknione o zachodzie słońca. Pracę tę wykonał bardzo starannie; wziął trzy namiary, naniósł je na mapę, zazначzył godziny i odległości starannymi, małymi cyferkami.

Kiedy ruszyli na wschód, w kierunku punktu oznaczonego na mapie znakiem „X”, Dahlia zrobiła w kuchence kawę do kanapek, które zabrała ze sobą, a potem uprzątnęła wszystko ze stołu. Małymi paskami taśmy samoprzylepnej umocowała na jego blacie parę nożyczek chirurgicznych, zwinięte bandaże, trzy małe strzykawki jednorazowego użytku z morfiną i jedną z ritalinem. Wzdłuż listwy zabezpieczającej blat ułożyła komplet szyn chirurgicznych i też zabezpieczyła je taśmą.

Miejsce przypuszczalnego spotkania, daleko poza północnym torem wodnym, między Barneгат i Ambrose, osiągnęli na godzinę przed zachodem słońca. Lander sprawdził pozycję radionamiernikiem i lekko skorygował kurs na północ.

Najpierw dostrzegli dym - ciemną plamkę nad horyzontem od wschodu. Później, gdy wyłoniła się nadbudówka, dwa punkty poniżej dymu. Wkrótce potem pojawił się sunący powoli kadłub. Lander skierował łódź w stronę statku; słońce stało nisko za jego plecami, na południowym zachodzie. Tak jak planował, będzie mógł obejrzeć sobie statek w słońcu. Gdyby zaś jakiś strzelec na pokładzie miał teleskopowy celownik, słońce go oślepi.

Zmniejszył obroty silników i sportowa łódź zaczęła się zbliżać do pokrytego liszajami frachtowca; Lander przyglądał mu się przez lornetkę. W pewnej chwili z lewej burty wystrzeliły w górę na flaglinkach dwie flagi sygnalizacyjne. Lander zdołał rozróżnić biały znak „X” na błękitnym polu, a pod nim czerwony romb na białym tle.

- M. F. - odczytał.

- To on, Muhammad Fasil - powiedziała Dahlia.

Zostało jeszcze czterdzieści minut do zachodu słońca. Lander postanowił to wykorzystać. Wokoło nie było widać żadnych statków, lepiej więc było podjąć ryzyko przeładunku przy dziennym świetle niż narażać się na jakieś niespodzianki ze strony frachtowca po ciemku. Za dnia, we dwójkę z Dahlia, będą mogli trzymać nadburcie frachtowca na muszce.

Dahlia wyrzuciła wimpel. Łódź podchodziła coraz bliżej i bliżej, dysze wylotowe bulgotały. Oboje naciągnęli na twarz maski z pończoch.

- Podaj sztucer - powiedział Lander.

Włożyła mu go do ręki. Otworzył okno przed sobą i oparł broń na tablicy rozdzielczej tak, że wylot lufy wystawał na przedni pokład. Był to automatyczny dwunastostrzałowy remington z długą lufą. Lander wiedział, że nie można trafić do celu z poruszającej się łodzi. Omawiali to z Dahlia wiele razy. Jeśli Fasil stracił panowanie nad załogą i zostaną ostrzelani, Lander odpowie ogniem, odwróci się do nich rufą i zacznie uciekać pod słońce, a Dahlia w tym czasie opróżni magazynek swojej broni. A jeśli odległość między nimi zmniejszy się, przerzuci się na karabin.

Nic baw się w celowanie, bo nasza łódź się kołysze - doradził Dahlii. Im więcej pocisków wystrzelisz, tym skuteczniej odeprzesz ich ogień.

Potem dopiero przypomniał sobie, że ona ma większe od niego doświadczenie w posługiwaniu się bronią ręczną.

Frachtowiec obrócił się wolno, unosząc się na olbrzymich falach niemal prostopadle w górę. Z odległości trzystu jardów Lander dostrzegł tylko trzech ludzi na pokładzie i obserwatora na mostku. Jeden z mężczyzn podbiegł do fału i opuścił flagi sygnałowe, potwierdzając wimpel Landera. Byłoby łatwiej posłużyć się radiem, ale Fasil nie mógł być jednocześnie i na pokładzie, i w kabinie radiowej.

- To on, Fasil, ten w niebieskiej czapce - powiedziała Dahlia, opuszczając lornetkę.

Kiedy łódź znalazła się w odległości stu jardów od statku, Fasil powiedział coś do ludzi stojących obok, a oni natychmiast przekręcili żurawik łodzi ratowniczej za burtę i stanęli wzdłuż relingu tak, aby było widać ich ręce.

Lander ustawił silniki na jałowy bieg, po czym wszedł na rufę, by wywiesić odbijacz na prawej burcie, na koniec wspiął się na pomost nawigacyjny, z krótką bronią w ręce.

Wyglądało na to, że Fasil panuje nad załogą. Lander dostrzegł, że ma rewolwer za paskiem. Na pewno wydał rozkaz, aby na pokładzie nie było nikogo poza matem i jednym członkiem załogi. Plamy rdzy na burcie frachtowca lśniły pomarańczowo w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, kiedy Lander doprowadził łódź pod jego zawietrzną stronę i Dahlia rzuciła linę marynarzowi. Ruszył z nią szybko w kierunku pachołków pokładowych, lecz Dahlia przecząco pokręciła głową, a potem skinęła w dół. Marynarz zrozumiał i zahaczył linę o pachołek, luźny jej koniec przerzucając z powrotem do Dahlii.

Wszystko bardzo dokładnie omówili wcześniej, więc teraz Dahlia szybko zacisnęła pętlę, przywiązując linę do nadburcia; dzięki czemu mogli odłączyć się w jednej chwili. Przy maksymalnym wychyleniu steru silniki utrzymywały rufę łodzi prostopadle do burty statku.

Fasil przepakował plastik w dwudziestopięcioletnie torby. Leżały za nim na pokładzie

czterdzieści osiem paczek. Słysząc było tarcie odbijacza o bok frachtowca, kiedy wznosił się i opadał na martwej fali od zawietrznej. Przez burtę „Letycji” przerzucono drabinę.

Fasil zawołał w dół do Landera: - Schodzi do was mat. Jest nie uzbrojony. Może wam pomóc załadować paczki.

Lander skinął głową i mężczyzna przelał przez burtę. Robił wszystko, aby nie patrzeć ani na Dahlię, ani na Landera, groźnie wyglądających w maskach. Posługując się żurawikiem łodzi ratunkowej jak miniaturowym dźwigiem, Fasil razem z marynarzem włożyli do siatki ładunkowej pierwsze sześć paczek i pakunek z bronią automatyczną, owinięty w płótno. Na rozkołysanej łodzi niełatwo było uchwycić odpowiednią chwilę, by odczepić ładunek z haka; raz i Lander, i mat z frachtowca wyciągnęli się jak dłudzy na pokładzie.

Gdy w kokpicie było już dwanaście paczek, operację przeładunku na chwilę przerwano i cała trójka zajęła się przenoszeniem paczek na dziób łodzi i umieszczaniem ich w kabinie. Tylko tyle mógł zrobić Lander, żeby powstrzymać się przed rozerwaniem opakowania i sprawdzeniem jego zawartości. W dłoniach czuł napięcie elektryczne. Potem nadeszła następna porcja dwunastu paczek, a po niej dalsze. Wszyscy troje byli mokrzy od potu mimo panującego zimna.

Okrzyk obserwatora na mostku, ledwie słyszalny pod wiatr, z trudem dotarł do Fasila, który odwrócił się i skulił dłonie wokół uszu. Mężczyzna na górze machał rękami i pokazywał coś. Fasil przechylił się przez reling i krzyknął w dół:

- Coś się zbliża od wschodu, idę zobaczyć!

W niespełna piętnaście sekund znalazł się na mostku i wyrwał lornetkę przestraszonemu obserwatorowi. Błyskawicznie zszedł na pokład i mocując się z siatką ładunkową, zawołał przez burtę:

- Mała łódź z pasem koło dziobu.

Straż przybrzeżna - powiedział Lander, Jaki zasięg... jak daleko jest?

Jakieś osiem kilometrów, ale płynie szybko. Spuszczaj to, do diabła!

Fasil uderzył w twarz marynarza stojącego obok i położył jego ręce na wciągarnie. Siatka ładunkowa wypełniona ostatnią partią dwunastu paczek plastiku zahuściła się nad powierzchnią morza i szybko opadła do kokpitu, z piskiem lin w blokach i głuchym tąpnięciem, po czym natychmiast została przeciągnięta w dół.

Na pokładzie frachtowca Fasil odwrócił się do spoconego marynarza i powiedział: - Stań przy nadburciu tak, żeby było widać twoje ręce.

Mężczyzna wlepił wzrok w horyzont i zdawał się wstrzymywać oddech, kiedy Fasil przechodził przez burtę.

Zastępca kapitana, stojąc w kokpicie, nie mógł oderwać wzroku od Fasila. Arab wręczył mu

zwitek pieniędzy i wyjął rewolwer, trzymając lufę przy jego górnej wardze.

- Dobrze się sprawiłeś. Milczenie i życie to jedno. Zrozumiałeś?

Mężczyzna chciał skinąć głową, ale nie pozwolił mu na to pistolet trzymany pod nosem.

- Idź w pokoju.

Wspiął się po drabince zwinnie jak małpa; Dahlia zrzuciła linę łączącą ich z frachtowcem.

W tym czasie Lander zdawał się pogrążony w melancholijnych rozmyślaniach. Dał swojemu umysłowi zadanie: na podstawie danych, które posiada, przedstawić wszystkie możliwe warianty tego, co może się zdarzyć w najbliższym czasie.

Załoga łodzi patrolowej, zbliżająca się z drugiej strony statku, jeszcze ich nie dostrzegła. Prawdopodobnie ich zaciekawienie wzbudził widok frachtowca, który raz wznosił się, to znów opadał w bruzdy między falami; chyba że dostali cynk. Łódź patrolowa - na tych wodach jest ich sześć, osiemdziesiąt dwie stopy długości, dwa silniki dieslowskie, tysiąc sześćset obrotów na minutę każdy, z łatwością robi dwadzieścia węzłów. Radar Sperry-Rand SPB-5, osiem osób załogi. Jeden karabin maszynowy i moździerz. Przez chwilę Lander zastanawiał się, czy nie ostrzelać frachtowca, co zmusiłoby kuter do zatrzymania się i udzielenia pomocy. Nie, zastępca kapitana oskarżyłby go o piractwo i łódź patrolowa ruszyłaby w pościg. A wtedy mogłyby przylecieć samoloty poszukiwawcze, wyposażone być może w urządzenia do wykrywania w podczerwieni, które mogłyby zlokalizować ich nagrzane silniki. Zaraz zapadnie ciemność. Przez pięć godzin nie będzie księżyc. Lepsza ucieczka.

Wrócił do rzeczywistości. Potrzeba mu było pięciu sekund na zastanowienie się.

- Dahlia, przygotuj reflektor.

Dał całą naprzód i łódź wspięła się na fali, spienionym łukiem oddalając się od frachtowca. Skierował ją w stronę odległego o czterdzieści mil lądu, silniki ryczały na pełnych obrotach, a wodny pył opadał za nimi, kiedy pędząc przebijali się przez niewielkie fale.

Nawet z ciężkim ładunkiem łódź posuwała się z prędkością dziewiętnastu węzłów. Jednakże kuter miał nieznaczną przewagę szybkości. Lander starał się, aby frachtowiec znajdował się między nimi jak najdłużej. Krzyknął w kierunku kokpitu do Fasila:

- Złap częstotliwość 2182 kHz.

Była to częstotliwość międzynarodowego radiotelefonicznego sygnału oznaczającego niebezpieczeństwo, a także częstotliwość wywoławcza, używana celem nawiązania kontaktu między statkami.

Frachtowiec został daleko za nimi; kuter - nadal za frachtowcem, ale już widoczny z łodzi - był coraz bliżej, wznosząc dziobem wielką falę.

Fasil wspiął się po drabince na górę, jego głowa pojawiła się nad pomostem nawigacyjnym.

- Kazali nam się zatrzymać.

- Pierdolę ich. Złap częstotliwość, której używa Straż Przybrzeżna. Jest zaznaczona na tarczy. Zobaczymy, czy wzywają pomocy.

Łódź pędziła z wyłączonymi światłami pozycyjnymi ku ostatniemu blaskowi na zachodzie. Za sobą miała pełen wdzięku biały dziób i wznoszoną przezeń falę dziobową połyskującą w ostatnich blaskach dnia: kuter Straży Przybrzeżnej gonił ich jak spuszczone z uwięzi terier.

Dahlia skończyła przymocowywać reflektor radiolokacji pasywnej do poręczy mostka. Był to podobny do latawca zestaw metalowych prętów, który kupiła w sklepie z akcesoriami morskimi za dwanaście dolarów i który dygotał, kiedy łódź nurzała się w falach.

Lander posłał Dahlię na dół, żeby sprawdziła umocowanie ładunku. Nie chciał zdać niczego na łaskę fal w czasie czekającej ich ucieczki.

Najpierw weszła do kokpitu, potem z trudem przedostała się na przód łodzi, do kabiny, gdzie przy radiu ze skwaszoną miną siedział Fasil.

- Jeszcze nic - powiedział po arabsku. - Po co ten reflektor?

- Straż Przybrzeżna i tak by nas wypatrzyła - odparła Dahlia. Musiała krzyczeć wprost do jego ucha, żeby ją usłyszał w szumie nurzającej się w falach łodzi. - Kiedy ich kapitan zorientuje się, że będzie musiał dalej prowadzić pościg w ciemnościach, każe operatorowi radaru ustalić naszą pozycję i śledzić nasz kurs, dopóki jest jeszcze widno, a później, kiedy zapadnie ciemność, nie będzie już miał kłopotu ze zlokalizowaniem punktu na ekranie.

Lander wytłumaczył jej to z wszystkimi nudnymi szczegółami.

Dzięki naszemu reflektorowi punkt na ekranie będzie wielki i gruby, wyraźnie odcinając się od zakłócającego wpływu fal. Zupełnie jak obraz metalowej łodzi...

Czy...

- Posłuchaj - mówiła szybko, zerkając w górę, w stronę mostka nad ich głowami. - Nic wolno ci się spoufalać ze mną pod żadnym pozorem, ani dotykać mnie, rozumiesz? W jego obecności musisz mówić wyłącznie po angielsku. W jego domu nigdy nic wchodzi na górę. I staraj się go nie zaskakiwać. Dla dobra naszej misji.

Twarz Fasila oświetlało od dołu światełko na skali radia, oczy błyszczały w ciemnych oczodołach.

A więc dla dobra misji, towarzyszeko Dahlio, dopóki on będzie działał, będę mu ustępował.

Dahlia skinęła głową. Jeśli będziesz mu ustępować, może się przekonasz, jak sprawnie działa -

powiedziała, ale jej słowa zagłuszył wiatr, kiedy wchodziła na rufę.

Było już ciemno. Jedyne na mostku świeciło się słabe światełko w szafce kompasu, dostrzegalne jedynie dla Landem. Widać było wyraźnie czerwone i zielone światła pozycyjne kutra i światło reflektora wwiercające się w ciemność. Lander oceniał, że statek rządowy płynie z prędkością o pół węzła większą niż jego łódź, która wyprzedzała go o jakieś cztery i pół mili. Na mostku pojawił się Fasil.

- Przekazali urzędowi celnemu wiadomość o „Letycji”. Nas postanowili sami dogonić.

- Powiedz Dahlii, że już prawie czas.

Kołysani przez fale zbliżali się do torów wodnych. Lander wiedział, że ludzie na kutrze nie mogą go widzieć, jednak najmniejszą zmianę kursu łodzi natychmiast powtarzał kuter. Niemal czuł na plecach macki radaru. Lepiej by było, gdyby pojawiły się jakieś inne statki... o tak! Ze strony lewej burty zabłysły białe światła nawigacyjne, a w chwilę potem również światła pozycyjne; jakiś frachtowiec płynący z dużą prędkością na północ. Lander skorygował lekko kurs, żeby przepłynąć jak najbliżej dziobu statku. Oczyma wyobraźni widział ekran radaru na kutrze, zielone światło odbijające się na twarzy operatora obserwującego, jak duży obraz frachtowca zbiega się z mniejszym obrazem szybkiej łodzi.

- Przygotuj się - krzyknął do Dahlii.

- Zaczynamy - powiedziała Dahlia do Fasila. Nie zadawał pytań. Spod materiałów wybuchowych wspólnie wyciągnęli małą platformę z pływakami. Pływaki zostały wykonane z pięciogalonowych bębnow; każdy z nich został wyposażony w mały otwór na górze i zwyczajny kurek od dołu. Dahlia przyniosła z kabiny maszt i reflektor radarowy z mostka. Wspólnie przytwierdzili reflektor na szczycie masztu, następnie maszt zamocowali w oprawce na platformie. Przy pomocy Fasila Dahlia przywiązała sześciostopową linę pod spodem platformy, a drugi jej koniec obciążyła ołowianym ciężarem. Kiedy w trakcie tej pracy spojrzeli w górę, zobaczyli światła frachtowca niemal nad sobą i dziób, który wyglądał jak skała. Minęli go w ułamku sekundy.

Lander skręcając na północ spojrzął do tyłu przez rufę, pragnąc utrzymać statek między sobą a łodzią patrolową. Teraz punkty na ekranie radaru połączyły się; wysoki frachtowiec zasłonił łódź Landera przed impulsami radaru.

Ocecił odległość od kutra. Odkręćcie do połowy kurki.

W chwilę później wyłączył silniki.

- Za burzę!

Dahlia i Fasil przerwali pływającą platformę przez burzę; maszt kołysał się szaleńczo, dopóki ciężar uczepony pod platformą nie unieruchomił jej. Na szczycie masztu, wysoko nad wodą, tkwił reflektor radarowy. Cała konstrukcja zachybotwała jeszcze raz, gdy Lander dał całą naprzód i łódź z wygaszonymi światłami skierowała się prosto ku lądowi, na południe.

- Operator radaru nie będzie pewny, czy obraz reflektora to my, czy coś nowego, albo czy może płyniemy z drugiej strony frachtowca - domyślił się Fasil. - Jak długo to będzie pływało?

- Z kurkami otwartymi do połowy piętnaście minut - odparła Dahlia. - Kiedy kuter dopłynie do miejsca, gdzie teraz jest platforma, już jej nie będzie.

- I wtedy popłynię za statkiem sprawdzić, czy nas tam nie ma?

- Być może.

- A czy teraz on nas widzi?

Drewnianą łódź... z tej odległości... niewiele, jeśli w ogóle. Nawet farba jest tutaj beżowiowa. Poza tym statek powoduje zakłócenia. Jeśliby się zatrzymał, żeby posłuchać, szum silnika statku też nam pomoże. Ale jeszcze nie wiemy, czy chwycił przynętę.

Z mostka Lander obserwował światła kutra. Widział dwa białe światła nawigacyjne na górze i jedno czerwone pozycyjne z lewej burty. Gdyby kuter skierował się w stronę łodzi, Lander dostrzegłby prawoburtowe zielone światło, zataczające łuk.

Obok niego stała teraz Dahlia i oboje obserwowali światła kutra. Widzieli tylko czerwone, a później, w miarę jak odległość między nimi rosła, jedynie białe światła nawigacyjne; wreszcie tylko od czasu do czasu promień światła reflektora, unoszony w górę falami, sondujący ciemną pustkę.

Lander poczuł, że ktoś trzeci jest na mostku.

To był kawał dobrej roboty powiedział Fasil.

Lander nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ 7

Oczy majora Kabakova były czerwone, on sam zaś poirytowany. Urzędnicy nowojorskiego Urzędu do Spraw Imigracji i Naturalizacji nauczyli się obchodzić z nim ostrożnie podczas dni, które spędził studiując policyjne fotki mieszkających w Stanach sojuszników Arabów.

Albumy formatu ksiąg rachunkowych, leżące w stosach na długim stole po obu jego stronach, zawierały w sumie sto trzydzieści siedem tysięcy zdjęć i opisów. Kabakov był zdecydowany przejrzeć wszystkie. W jego przekonaniu, jeśli to zadanie prowadziła kobieta, musiała najpierw zapewnić sobie przykrywkę. Kartoteka „podejrzanych Arabów”, trzymana przez Urząd w tajemnicy, zawierała kilka kobiet, ale żadna z nich nie przypominała kobiety z sypialni Hafeza Najeera. Urząd do Spraw Imigracji i Naturalizacji oceniał liczbę Arabów na Wschodnim Wybrzeżu, nielegalnie przybyłych do Stanów w ciągu ostatnich lat, na osiemdziesiąt pięć tysięcy; nie figurują oni, oczywiście, w żadnych kartotekach. Większość z nich pracowała spokojnie na nie budzących podejrzeń stanowiskach, nie wchodząc nikomu w drogę i z rzadka tylko powodując zainteresowanie władz. Uderzyła go nagle myśl, że może kobieta, której poszukuje, to jedna z nich.

Zmęczonym ruchem przewrócił stronę. Oto i kobieta. Katherine Ghalib. Zajmuje się dziećmi opóźnionymi w rozwoju. Ma hit pięćdziesiąt i wyglądu na tyle.

Obok niego pojawił się urzędnik.

Majorze, w biurze jest do pana telefon.

- Dobrze, tylko proszę nie ruszać tych piekielnych ksiąg, bo zgubię miejsce, w którym skończyłem. Telefonował Sam Corley z Waszyngtonu.

- Jak idzie?

- Na razie bez rezultatu. Mam jeszcze około osiemdziesięciu tysięcy Arabów do sprawdzenia.

- Dostałem meldunek od Straży Przybrzeżnej. Może to nic ważnego, ale wczoraj po południu jeden z ich kutrów zauważył łódź motorową obok libijskiego frachtowca u wybrzeży Jersey. Łódź uciekła im, gdy chcieli się jej przyjrzeć.

- Wczoraj?

- Tak, kiedy wracali od pożaru na statku. Frachtowiec płynął z Bejrutu.

- A gdzie jest teraz?

- Stoi zaaresztowany w porcie brooklyńskim. Nie było na nim kapitana. Szczegółów jeszcze nie znam.

- A co z łodzią?

- Wymknęła się w ciemnościach. Kabakov zaklął siarczyście.

- Dlaczego dopiero teraz zawiadamiają nas o tym?

- Skąd mam wiedzieć, do diabła? Zadzwońię do Urzędu Celnego, oni panu złożą szczegółowe sprawozdanie.

Pierwszy oficer „Letycji”, pełniący jednocześnie funkcję kapitana, Mustafa Fawzi, od godziny rozmawiał z urzędnikami celnymi w swojej małej kabinie, rozpędzając rękami gęsty, gryzący dym z tureckich papierosów, które palił.

Owszem, przyznał, jakaś łódź podpłynęła do jego statku, ponieważ zabrakło jej paliwa i prosiła o pomoc. Zgodnie z prawem obowiązującym na morzu udzielił jej pomocy. Na pytanie o wygląd łodzi i jej pasażerów dał wymijającą odpowiedź. Stało się to na wodach międzynarodowych, podkreślił. Nie, dobrowolnie nie zgodzi się na przeszukanie swojego statku. Statek, w świetle prawa międzynarodowego, stanowi część terytorium Libii, a po nieszczęśliwym wypadnięciu kapitana Larmoso za burtę on odpowiada za statek.

Urząd Celny nie pragnie chyba konfliktu z rządem libijskim, zwłaszcza teraz, gdy sytuacja na Bliskim Wschodzie się zaogniła.

To, co widziała Straż Przybrzeżna, prawdopodobnie nie wystarczy, by otrzymać nakaz przeszukania. Fawzi przyrzekł złożyć zeznanie w związku z wypadkiem Larmoso i urzędnicy celni opuścili statek, aby porozumieć się z Departamentem Sprawiedliwości i Departamentem Stanu.

Fawzi wypił butelkę piwa świętej pamięci kapitana i zasnął twardo po raz pierwszy od wielu dni.

Jakiś głos wołał go z bardzo daleka. Powtarzał jego imię i coś raziło go w oczy. Fawzi obudził się i podniósł rękę, żeby osłonić się przed migającym snopem światła.

- Dobry wieczór, Mustafa Fawzi - odezwał się Kabakov. - Proszę trzymać ręce na pościeli.

Sierżant Moshevsky, olbrzym, który wyłonił się zza Kabakova, zapalił światła. Fawzi usiadł na łóżku, wzywając Boga.

- Nie ruszać się - Moshevsky trzymał nóż za uchem Fawziego.

Kabakov przysunął sobie krzesło i usiadł obok łóżka. Zapalił papierosa.

Mam ochotę na spokojną rozmowę. Będzie spokojna?

Fawzi skinął głową i Kabakov gestem nakazał Moshevsky'emu, żeby się odsunął.

- A więc, Fawzi, zamierzam ci wytłumaczyć, w jaki sposób możesz mi pomóc nie narażając się na ryzyko. Jeśli odmówisz współpracy, zabiję cię bez wahania; jeśli mi pomożesz, nie będę miał powodu, żeby to zrobić. Bardzo mi zależy, żebyś to zrozumiał.

Moshevsky poruszył się niecierpliwie i dorzucił od siebie:

Najpierw utniemy...

Nie, nie - przerwał Kabakov, podnosząc rękę. - Gdy mamy do czynienia z osobami mniej inteligentnymi od ciebie, często trzeba im uzmysłwić, że jeśli nie będę z nich zadowolony, czeka ich ból i kalectwo, ale kiedy okażą się użyteczni noszą się spodziewać wspaniałej nagrody. Obaj wiemy, jaka zazwyczaj to jest nagroda.

Końcem małego palca Kabakov strząsnął popiół z papierosa. - Normalnie pozwoliłbym przyjacielowi połamać ci ręce przed rozmową. Ale, widzisz, Fawzi, naprawdę nic nie stracisz opowiadając mi, co się tu wydarzyło. Nie pomogłeś urzędnikom celnym, co zostało zaprotokołowane. Jeśli pomożesz mnie, pozostanie to w tajemnicy.

Rzucił swój izraelski dowód tożsamości na łóżko.

- Pomożesz?

Fawzi spojrział na dokument i z trudem przełknął ślinę. Nie odezwał się.

Kabakov wstał i westchnął.

- Sierzancie, wyjdę odetchnąć świeżym powietrzem. Może Mustafa Fawzi chciałby się napić czegoś orzeźwiającego. Zawołajcie mnie, jak zje swoje jądra.

Odwrócił się w stronę drzwi kabiny.

- Mam krewnych w Bejrucie - Fawzi z trudem panował nad głosem. Kabakov widział, jak wali mu serce w mizernej klatce piersiowej.

- Z pewnością - powiedział Kabakov. - I zapewne już im grożono. Możesz kłamać urzędnikom celnym, ile ci się podoba, ale nie okłamuj mnie, Fawzi. Nie ma takiego miejsca, w którym mógłbyś być bezpieczny przede mną. Ani tutaj, ani w kraju, ani w żadnym porcie na kuli ziemskiej. Szanuję twoich krewnych. Rozumiem wszystko i będę cię krył.

- Libańczycy zabili Larmoso na Azorach - zaczął Fawzi.

Moshevsky nie gustował w torturach i wiedział, że Kabakov też ich nie lubi. Sporo wysiłku kosztowało go powstrzymanie się od uśmiechu, kiedy przeszukiwałabinę. Za każdym razem, gdy gładka opowieść Fawziego załamywała się, Moshevsky przerywał swoje zajęcie, żeby rzucić mu groźne spojrzenie.

- Opisz tego Libańczyka.

- Szczupły, średniego wzrostu. Na twarzy miał zasklepioną ciętą ranę.

- Co było w tych paczkach?

- Nie wiem. Allah niech będzie świadkiem. Libańczyk wyjmował je ze skrzynek i upychał w przednim luku. Nie pozwalał nikomu tam wchodzić. Ile osób było na łodzi?

- Dwie.

- Opisz je.

- Jeden był wysoki i szczupły, drugi niższy. Mieli na twarzach maski. Byłem przestraszony i nie przyglądałem się.

- Jakim językiem mówili?

- Ten wyższy mówił - z Libańczykiem po angielsku.

- A niższy?

- Niższy nic nie mówił.

- Czy ten niższy mógł być kobietą? Arab zaczerwienił się. Nie chciał się przyznać, że przestraszyła go kobieta. To było nie do pomyślenia.

- W obliczu Libańczyka z bronią wymierzoną w ciebie, wobec zagrożenia twoich krewnych, zdecydowałeś się na współpracę, Fawzi - przypomniał mu łagodnie Kabakov.

- Ten niższy mógł być kobietą - przyznał w końcu Fawzi.

- Widziałaś jej ręce na paczkach?

- Miała rękawiczki. Ale z tyłu maski miała taką gulę - to mogły być włosy. No i jeszcze ten tyłek.

- Tyłek?

- No właśnie, taki zaokrąglony. Szerszy niż u mężczyzny. Chyba że to był taki kształtny chłopiec?

Moshevsky, grzebiąc w lodówce, poczęstował się piwem. Za butelką coś było. Wyciągnął to i podał Kabakovowi.

- Czy religia wymagała od kapitana Larmoso, aby przechowywał przedmioty kultu religijnego w lodówce? - zapytał Kabakov, trzymając naciętą nożem figurkę Madonny blisko twarzy Fawziego.

Wzrok Fawziego wyrażał najszczerze niezrozumienie i niesmak, jaki czuje muzułmanin na widok sakralnej rzeźby. Kabakov, pogrążony w myślach, powąchał figurkę i skrobał ją paznokciem. Plastik. Larmoso wiedział, co to było, ale zapewne niewiele wiedział o jego właściwościach, pomyślał Kabakov. Kapitan sądził, że najbezpieczniej trzymać figurkę w chłodzie, podobnie jak resztę materiału wybuchowego w luku. Niepotrzebnie się obawiał, myślał Kabakov. Obrócił figurkę w rękach. Jeżeli zadali sobie tyle trudu, żeby zamaskować plastik, widocznie zamierzali przemyścić

go przez cło. Daj mi dziennik okrętowy - warknął.

Fawzi po krótkiej chwili znalazł manifest z listem przewozowym: woda mineralna, dozwolone skóry, naczynia stołowe... o, jest - trzy skrzynki rzeźb o tematyce religijnej produkcji tajwańskiej. Adresat - Benjamin Muzi.

Muzi obserwował ze Wzgórz Brooklyńskich, jak „Letycja” wchodzi do portu w Nowym Jorku, eskortowana przez kuter Straży Przybrzeżnej. Zaklął w kilku językach. Co ten Larmoso zrobił? Z najwyższą prędkością na jaką go było stać, to jest około dwóch i pół mili na godzinę, Muzi pośpieszył do budki telefonicznej. Poruszał się z godnością słonia i podobnie jak u słonia jego kończyny miały zdumiewający wdzięk i lubiły poruszać się w pewnym porządku. Natomiast cała ta sprawa była jak najbardziej nie w porządku.

Ze względu na tuszę nie mógł wejść do budki, ale mógł dosięgnąć aparatu i wykręcić numer stojąc na zewnątrz. Zadzwoił do Sekcji Poszukiwań i Ratownictwa Straży Przybrzeżnej, przedstawiając się jako reporter z „El Diario - La Prensa”. Uczynny młody człowiek z działu informacji podał mu szczegóły uzyskane z centrum nasłuchu na temat „Letycji”, zaginionego kapitana i pościgu za szybką łodzią.

Muzi jechał drogą szybkiego ruchu Brooklyn Queens, z której widać było port brooklyński. Na molo, obok „Letycji”, ujrzał wyższych urzędników Urzędu Celnego i policji portowej. Doznał ulgi, gdy ani na kutrze, ani na frachtowcu nie dostrzegł czerwonej flagi Bravo z jaskółczym ogonem, która oznacza niebezpieczny ładunek na pokładzie. Albo władze jeszcze nie znalazły materiałów wybuchowych, albo ta szybka łódź zabrała plastik ze statku. Jeżeli tak, co jest bardzo prawdopodobne, miał trochę czasu, zanim prawo dotrze do niego. Zainwentaryzowanie ładunku i określenie brakującej pozycji zajmie władzom kilka dni. Nie był jeszcze spalony, ale zaczynało być wokół niego gorąco, i Muzi to czuł.

W którymś miejscu popełniono straszny błąd. Nieważne, czyja to była wina; i tak wszystko spadnie na niego. W banku w Holandii ma arabskie pieniądze wartości ćwierć miliona dolarów, a jego zleciodawcy nie przyjmą żadnego wytłumaczenia. Jeśli zabrali plastik na morzu, to, być może, liczyli się z jego zdradą. Co ten głupiec Larmoso zrobił? Cokolwiek to było, Muzi wiedział, iż nigdy nie będzie miał szansy wyjaśnienia, że był niewinny. Czarny Wrzesień zabije go przy pierwszej sposobności. Nie pozostaje nic innego, jak odejść na wcześniejszą emeryturę.

Ze swojego sejfu depozytowego w banku na Dolnym Manhattanie zabrał gruby plik banknotów i kilka książeczek kredytowych. Jedna z nich była wystawiona przez najstarszy i cieszący się najwyższym prestiżem bank w Holandii. Opiewała na sumę dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, zdeponowanych jednorazowo i płatnych tylko jemu.

Muzi westchnął. Jak miło by było zainkasować drugie tyle po dostarczeniu plastiku. Teraz na pewno partyzanci obstawią na jakiś czas bank w Holandii. Niech obstawiają. Muzi przeniesie rachunek i podejmie pieniądze gdzie indziej.

Ale tego, co go w tej chwili najbardziej niepokoiło, nie było w sejfie. Chodziło o paszporty. Przez lata trzymał je w sejfie, ale po ostatniej podróży na Bliski Wschód popełnił niewybaczalny

błąd i zostawił je w domu. Musi je zabrać. A wtedy z Newark poleci do Chicago, dalej do Seattle i przez Biegun Północny do Londynu. Zaraz, gdzie to ten Faruk jadał obiady w Londynie? Muzi, wielbiciel gustu i stylu Faruka, postanowił odszukać ten lokal.

Nie zamierzał wracać do biura. Niech przepytają Greka. Będą zdumieni jego ignorancją. Najprawdopodobniej partyzanci obserwowali również jego dom. Ale nie będą robili tego długo. Skoro mają już plastik, zajmą się czym innym. Byłoby głupotą z jego strony, gdyby się śpieszył. Niech myślą, że już uciekł. Poszedł do motelu w West Side i w rejestrze gości wpisał nazwisko Chesterfield Pardue. W umywalce schłodził dwanaście butelek Perriera. Przez chwilę czuł nerwowe dreszcze. Nagle poczuł chęć, aby wejść do suchej wanny i zaciągnąć plastikową zasłonkę, ale bał się, że mógłby w niej utknąć, jak to się raz zdarzyło w Atlantic City.

Dreszcze ustały i Muzi położył się na łóżku z rękoma na kłopotliwym brzuchu, z niezadowoloną miną wpatrując się w sufit. Był głupcem, że dał się wciągnąć w interesy z tymi parszywymi partyzantami. Sknery, głupole, tylko polityka ich bawi. Bejrut już wcześniej był dla niego pechowy, kiedy Intra Bank zbankrutował w 1967 roku. To bankructwo znacznie uszczupliło jego fundusz emerytalny. Gdyby nie to, Muzi już by się wycofał z interesów. Był już blisko zapewnienia tej luki, gdy nadarzyła się ta arabska oferta. Gruba gotówka za sprowadzenie plastiku pozwoliłaby mu wyrównać stratę z nadwyżką. Dlatego zgodził się podjąć ryzyko. Zresztą, połowa tej sumy też wystarczy. Emerytura. Jego ekskluzywna, mała willa pod Neapolem, w której nie ma żadnych uciążliwych schodów. Przebył do niej długą drogę.

Zaczynał jako chłopiec okrętowy na frachtowcu „Ali Bey”. W wieku szesnastu lat jego olbrzymia postura sprawiała mu już kłopoty przy bieganiu po trapach. Gdy „Ali Bey” w 1938 roku zawinął do Nowego Jorku, Muzi rzucił tylko okiem na miasto i natychmiast zszedł ze statku. Znając biegle cztery języki, bystry w liczeniu, wkrótce znalazł sobie zajęcie na brooklyńskim nabrzeżu jako kontroler w magazynie Turka nazwiskiem Jahal Bezir, człowieka o szatańskim sprycie, który zrobił olbrzymią fortunę na czarnym rynku podczas drugiej wojny światowej.

Bezir bardzo cenił Muziego, ponieważ nigdy nie udało mu się przyłapać go na kradzieży. Muzi zajmował się księgowością u Bezira do 1947 roku; w miarę upływu czasu stary człowiek coraz bardziej na nim polegał. Umysł starego Turka pozostał jasny i aktywny, ale coraz częściej wracał do języka swojego dzieciństwa, dyktując korespondencję w tym języku, a tłumaczenie pozostawiając Muziemu. Bezir demonstracyjnie czytał tłumaczenia, ale zdarzało się, zwłaszcza gdy listów było więcej, iż nie wiedział, który z nich trzyma w ręku. Zastanowiło to Muziego. Stary człowiek wzrok miał dobry. Daleki był od zgrzybiałości. Angielski znał płynnie. Za pomocą kilku sprytnych testów Muzi ustalił, że Bezir nie mógł już czytać. Wizyta w bibliotece publicznej pozwoliła mu wiele dowiedzieć się o afazji. Była to przypadłość, na którą właśnie cierpiał Bezir. Muzi długo zastanawiał się, jak to wykorzystać. A potem przystąpił do skromnych spekulacji walutowych na zagranicznych giełdach, wykorzystując kredyt Turka bez jego wiedzy i zgody.

Powojenne zmiany kursów waluty sprzyjały Muziemu. Chyba tylko z wyjątkiem koszmarnych trzech dni, kiedy padł ofiarą kartelu spekulantów, wykupując dziesięć tysięcy akcji po dwadzieścia siedem za funta szterlinga, a nieświadomy niczego Turek chrapał spokojnie na górze. Kosztowało go to trzy tysiące dolarów z własnej kieszeni, ale wtedy mógł już sobie na to pozwolić.

W tym też czasie zorganizował import haszyszu, czym bardzo ucieszył Bezira. Gdy Turek zmarł, pojawili się jacyś jego dalecy krewni, przejęli interes i zrujnowali go. Muziemu pozostało sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów zarobionych na spekulacjach walutowych i doskonałe kanały szmuglerskie. Dość, by zająć się kupnem i sprzedażą wszystkiego, co może przynieść dolary, z wyjątkiem twardych narkotyków. Heroina kusila go potencjalnymi astronomicznymi zyskami, ale Muzi wybiegał myślą dalej, poza łatwą fortunę. Nie chciał być napiętnowany do końca życia. Nie chciał być skazany na spędzanie nocy w sejfie. Nie pragnął ryzyka, jakie niosła ze sobą heroina i nie lubił ludzi, którzy „robili w heroinie”. Haszysz to zupełnie inna sprawa.

Do 1972 roku Jihaz al-Rasd operacyjna komórka al-Fatah była bardzo zaangażowana w handel haszyszem. Wiele półkilowych woreczków z haszyszem, które Muzi kupował w Libanie, nosiło ich znak firmowy - fedaina z pistoletem maszynowym. To właśnie przez kanały haszyszowe Muzi dostarczył list Amerykanina i przez nie też dotarło do niego w sprawie przeszmuglowania plastiku.

W ostatnich miesiącach Muzi wycofywał się z handlu haszyszem i systematycznie ucinął inne powiązania z Bliskim Wschodem. Chciał to zrobić stopniowo, odchodząc tak, aby się nikomu nie narazić. Nie chciał sobie robić wrogów, którzy mogliby przeszkodzić mu w spokojnym przejściu na emeryturę, na nie kończące się obiady al fresco na tarasie z widokiem na Zatokę Neapolitańską. I oto teraz sprawa „Letycji” postawiła wszystko pod znakiem zapytania. Może partyzanci nie byli go pewni wiedząc, że się wycofuje z interesów na Bliskim Wschodzie. Larmoso też musiał coś wyczuć, był niespokojny i gotów chwycić każdą okazję, żeby samemu wejść do interesu. Cokolwiek zrobił Larmoso, musiał nieźle wystraszyć Arabów.

Muzi wiedział, że poradzi sobie we Włoszech. Musi tylko raz zaryzykować tutaj, w Nowym Jorku i potem będzie już wolny. Leżał na motelowym łóżku, czekając na swój ruch; w jego brzuchu burczało, Muziemu należał się obiad u Lutece’a.

Kabakov siedział na zwoju ogrodowego węża i trząsał się z zimna. Mroźny przeciąg gwizdał w komórce na narzędzia na dachu magazynu, a ściany pokrywał szron; ale komórka dawała przynajmniej jakąś osłonę i dobry widok na dom Muziego po drugiej stronie ulicy. Senny mężczyzna czatujący przy bocznym oknie budy rozpakował tabliczkę czekolady i zaczął ją żuć; zmarznięta czekolada łamała się z lekkim trzaskiem. Trzej wywiadowcy z taktycznej grupy szturmowej przyjechali wynajętą furgonetką z Waszyngtonu po telefonie Kabakova.

Jechali pięć godzin autostradą ze względu na specyficzny bagaż, który na lotnisku przy badaniu fluoroskopowym wzbudziłby duże zainteresowanie; mieli pistolety maszynowe, karabiny snajperskie, granaty. Drugi członek grupy znajdował się niżej, na dachu, po drugiej stronie ulicy. Trzeci siedział z Moshevskym w biurze Muziego.

Senny Izraelczyk zaproponował Kabakovowi kawałek czekolady, ale ten potrząsał przecząco głową i nadal obserwował dom przez lornetkę, wsuniętą w szparę uchylonych drzwi komórki. Zastanawiał się, czy słusznie postąpił nie informując Corleya ani innych amerykańskich władz o Muzim i figurce Madonny. Prychnął przez nos. Naturalnie że słusznie. W najlepszym razie Amerykanie pozwoliliby mu na rozmowę z Muzim w jakimś urzędowym gmachu, w pokoju obok i w obecności adwokata. A tak będzie mógł z nim porozmawiać w bardziej sprzyjających warunkach, o ile Arabowie jeszcze go nie zabili.

Muzi mieszkał na przyjemnej, po obu stronach wysadzonej drzewami, ulicy w Cobble Hill w Brooklynie. Zajmował jedno z czterech mieszkań w domu z brunatnego kamienia. Było to największe mieszkanie w budynku, na parterze. Jedyne wejście znajdowało się od frontu i Kabakov miał pewność, że jeśli Muzi przyjdzie, to wejdzie tymi drzwiami. Sądząc po ubraniach w szafie, był zbyt gruby, żeby wchodzić przez okno.

Kabakov miał nadzieję, że zakończy całą sprawę szybko, jeśli tylko Muzi da mu namiar na plastik. Corleyowi powie o tym, kiedy już będzie po wszystkim. Zaczerwienionymi oczami spojrzął na zegarek: siódma trzydzieści. Jeśli Muzi nie pojawi się w ciągu dnia, będzie musiał ustalić obserwację na zmiany, żeby ludzie mogli się przespać. Kabakov ciągle sobie powtarzał, że Muzi przyjdzie. Paszporty importera - trzy, każdy na inne nazwisko - znajdowały się w kieszeni na piersi Kabakova. Znalazł je w czasie pośpiesznego przeszukania sypialni Muziego. Wolałby czekać w mieszkaniu, ale zdawał sobie sprawę, że najgroźniejszy moment dla Muziego to chwila, kiedy znajdzie się na ulicy, i Kabakov właśnie wtedy chciał go dopaść.

Jeszcze raz przyjrzał się oknom po drugiej stronie ulicy. W jednym z budynków po lewej stronie zasłona w oknie uniosła się do góry. Kabakov sprężył się cały. Przy oknie stała kobieta w halce. Kiedy się odwróciła, zobaczył za nią dziecko siedzące przy kuchennym stole. Na chodniku pojawiło się paru wczesnych przechodniów, bladych od snu, idących spiesznie do przystanku autobusowego przy Pacific Street, jedną przecznicę dalej. Kabakov wyjął paszporty i chyba po raz pięćdziesiąty przyjrzał się tłustej twarzy Muziego. Nogi zaczęły mu drętwieć, więc wstał, chcąc je rozprostować. W tej chwili zatrzeszczał radiotelefon:

- Jerry Dimples, we frontowych drzwiach na wprost ciebie mężczyzna z kluczami.

- Roger Dimples - odpowiedział Kabakov do mikrofonu. Skoro i tak niczego nie wypatrzył - - pomyślał o wywiadowcy niechże sobie idzie do domu, po całej nocy przechrapanej na podłodze magazynu. Chwilę później radiotelefon znowu zachrobotał i Izraelczyk na dachu po drugiej stronie ulicy potwierdził, że nocny obserwator opuścił budynek. Wywiadowca przeszedł przez ulicę, znalazł się w polu widzenia Kabakova i skierował się do przystanku autobusowego.

Kabakov wrócił do obserwowania okien i kiedy znowu spojrzął na przystanek, właśnie nadjechał wielki zielony autobus miejski, z którego wyległo stado sprzątaczek. Szły ulica, kołysząc się w biodrach mocne kobiety w średnim wieku. Z torbami na zakupy. Wiele z nich miało słowiańskie rysy podobne do jego rysów. Przypominały mu sąsiadki z dzieciństwa. Śledził je polowa lornetka. Grupa przeredzała się, w miarę jak jedna po drugiej zostawały przy domach, w których pracowały. Mijały teraz dom Muziego i gruba kobieta z samego środka grupy skręciła w kierunku wejścia; pod pachą trzymała parasolkę i po jednej torbie na zakupy w każdej ręce. Kabakov skierował na nią szkła. Uderzyło go w niej coś szczególnego - buty. Były to wielkie półbuty z kozłej skóry, a na jednej z baniastych łydek widniało świeże cięcie po goleniu.

- Dimples Jerry - powiedział do radiotelefonu. - Myślę, że ta gruba kobieta to Muzi. Wchodzę. Oslaniaj ulicę.

Kabakov odłożył karabin na bok i wziął z kąta komórki młot kowalski.

- Oślaniaj ulicę - powtórzył do mężczyzny za sobą. A potem ciężko zbiegł tupiąc po schodach, nie zważając, że dzienny obserwator może go usłyszeć. Wyjrzał na zewnątrz i szybko przeskoczył na drugą stronę ulicy, trzymając młot obydwoma rękami.

Brama nie była zamknięta, Kabakov stanął pod drzwiami mieszkania Muziego nasłuchując, po czym zamachnął się z całej siły młotem i walnął w sam środek zamka. Drzwi otworzyły się z trzaskiem, szczapy drewna oderwały się wraz z zamkiem, ale zanim upadły na ziemię, Kabakov znalazł się w środku, z wielkim pistoletem wymierzonym w grubego mężczyznę w sukni.

Muzi stał w drzwiach swojej sypialni z rękoma pełnymi papierów. Drżały mu szczęki, a spojrzenie jego oczu wpatrzonych w Kabakova miało zmęczony i otępiały wyraz.

- Przysięgam, że nie...

Odwróć się, ręce oprzyj na ścianie. - Kabakov starannie go przeszukał i wyjął mały automatyczny pistolet z torebki. Potem zamknął pokiereszowane drzwi i podparł je krzesłem. Muzi błyskawicznie odzyskał równowagę.

Czy pozwoli pan, że zdejmę tę perukę? Swędzi mnie głowa. Nie. Siadaj. - Kabakov zwrócił się do radiotelefonu. Dimples Jerry. Niech Moshevsky podjedzie ciężarówką. Wyjął z kieszeni paszporty.

- Muzi, chcesz żyć?

- Niewątpliwie jest to retoryczne pytanie. Mogę zapytać, kim pan jest? Nie pokazał pan nakazu ani mnie pan nie zabił. A tylko te dwa symbole władzy rozpoznałbym od razu.

Kabakov podał mu swoją legitymację. Wyraz twarzy grubego mężczyzny nie zmienił się, ale jego umysł natychmiast zaczął gorączkowo spekulować, dostrzegając szansę przeżycia. Skrzyżował ręce na fartuchu i czekał.

- Zapłacili ci już, prawda?

Muzi zawahał się. Pistolet Kabakova skoczył do przodu, tłumik syknął i pocisk z trzaskiem przeszył oparcie krzesła, tuż obok karku Muziego.

- Muzi, jeżeli mi nie pomożesz, jesteś nieboszczykiem. Oni ci nie pozwolą żyć. Jeśli tu zostaniesz, pójdziesz do więzienia. Powinieneś doskonale wiedzieć, że ja jestem twoją ostatnią deską ratunku. Przedstawię ci moją propozycję - ale tylko raz. Opowiedz mi wszystko, a ja wsadzę cię do samolotu na lotnisku Kennedy'ego. Tylko ja i moi ludzie możemy wsadzić cię do samolotu żywego.

- Znam pana, majorze Kabakov. Wiem, czym się pan zajmuje i wydaje mi się raczej mało prawdopodobne, żeby darował mi pan życie.

- Czy dotrzymujesz słowa w interesach?

- Często.

- Ja też. Masz już ich pieniądze albo przynajmniej ich część, tak sędzę. Powiedz mi wszystko i jedź je wydawać.

- W Islandii?

- To już twoja sprawa.

- Dobrze, powiem panu, ale chcę odlecieć jeszcze dzisiaj wieczorem.

- Zgoda, jeżeli informacje okażą się prawdziwe.

- Nie wiem, gdzie jest plastik i to jest prawda. Zwracano się do mnie dwukrotnie - raz tutaj, raz przez Bejrut.

Muzi wytarł twarz fartuchem, poczuł ulgę w całym ciele jak po kieliszku brandy.

- Czy mogę wziąć sobie butelkę Perriera, ten temat wywołuje pragnienie.

- Dom jest otoczony, Muzi.

- Proszę mi wierzyć, majorze, nie zamierzam uciekać.

Kuchnię od salonu dzielił jedynie podłużny barek i Kabakov mógł cały czas mieć go na oku. Skinął głową.

Najpierw przyszedł jakiś Amerykanin - powiedział Muzi stając obok lodówki.

- Amerykanin?

Muzi otworzył lodówkę i dostrzegł urządzenie na ułamek sekundy przed wybuchem, który rozszarpał go na kawałki i rzucił na ścianę kuchni. Cały pokój zdrzął, Kabakova poderwało w powietrze, krew buchnęła mu nosem, upadł, a meble wokół niego trzeszczały i podskakiwały. Potem otoczyła go ciemność, dzwoniąca cisza i trzask płomieni.

Alarm ogniowy przyjęto o godzinie 8. 05. Dyżurny oficer straży pożarnej zapisał to tak: „Dom z cegły, cztery kondygnacje, rozmiary 75 na 125, cały zajęty, maszyna 224, drabina 118, wyjazd na skutek alarmu”.

Policyjne dalekopisy na posterunkach wystukiwały taką wiadomość:

- telex nr 12, godz. 8. 20, 76 okręg melduje podejrzaną eksplozję i pożar na Vincent Street 382. Stwierdzono dwóch zabitych po przybyciu na miejsce, przewieziono ich do Kings County Hospital. Opr. 24.

Podajnik papieru zabrzczał dwukrotnie, karetka powróciła i podała następującą wiadomość:

- telex nr 13, godz. 8. 20, dotyczy telexu nr 12, jeden zabity, jeden, osoba urzędowa, ranny w Long Island College Hospital. Opr. 24.

Reporterzy z „Daily News”, „The New York Times” i AP czekali na korytarzu Long Island College Hospital, kiedy z pokoju wyszedł czerwony na twarzy oficer straży pożarnej. Był z nim Sam Corley i zastępca szefa. Oficer pożarnictwa przełknął ślinę.

- Przypuszczam, że był to wybuch gazu w kuchni - powiedział, odwracając twarz od kamer. - Badamy przyczynę wybuchu.

- Czy to człowiek z wywiadu?

Jest tylko jeden zabity - zerknął na kawałek papieru, który trzymał w ręce. Niejaki Benjamin Muzi, a może wymawia się „Muzzy”. Dział łączności ze społeczeństwem poda wam dokładnie. - Przepisnął się między reporterami i odszedł majestatycznie.

Jego kark był bardzo czerwony.

ROZDZIAŁ 8

Bomba, która zabiła Benjamina Muziego w czwartek rano, została umieszczona w jego lodówce dwadzieścia osiem godzin wcześniej przez Muhammada Fasila, który sam omal nie stracił ręki, zanim umieścił detonator w plastiku. Fasil popełnił błąd, ale nie przy konstruowaniu bomby, lecz w związku z Landerem.

Była prawie północ, gdy w środę Lander, Fasil i Dahlia zabezpieczyli łódź, i prawie druga po północy, kiedy dotarli do domu Landera z plastikiem.

Dahlia, idąc do domu, ciągle jeszcze czuła rozkołysany pokład łodzi pod stopami. Przygotowała szybki, gorący posiłek i Fasil pochłoniął go siedząc przy kuchennym stole, z twarzą poszarzałą ze zmęczenia. Jedzenie dla Landera Dahlia musiała zanieść do garażu. Nie mógł rozstać się z plastikiem. Otworzył jedno opakowanie, wyjął sześć figurek i ustawił je na ławie. Obracał je w rękach, wachał, próbował zupełnie jak szop mięczaki wyłowione z wody.

To chyba cyklonit produkcji chińskiej lub rosyjskiej zmieszany z trotylem albo kamnikitem czy innym rodzajem syntetycznego spoiwa kauczukowego, myślał Lander. Niebieskawobiała substancja miała słaby zapach, który drażnił głęboko przewody nosowe; zapach podobny do zapachu węża gumowego pozostawionego na słońcu czy zapachu worka na ciało. Lander zdawał sobie sprawę, że musi się pośpieszyć, jeśli chce wykonać wszystko w ciągu sześciu tygodni, które pozostały do Wielkich Rozgrywek Pucharowych. Odłożył figurkę i zmusił się do zjedzenia zupy, dopóki jeszcze ręce mu się nie trzęsły. Ledwo spojrzał na Dahlię i Fasila, kiedy weszli do garażu;

Fasil wkładał właśnie amfetaminę do ust. Chciał podejść do ławy z rzędem figurek, ale Dahlia powstrzymała go, dotykając jego ramienia.

Michael, potrzebuję pół kilograma plastiku powiedziała. - Wiesz, na to, o czym mówiliśmy.

Mówiła jak kobieta rozmawiająca ze swoim kochankiem w obecności osób trzecich, nie dopowiadając wszystkiego.

- Nie możesz zastrzelić Muziego?

Obojętny ton Landera sprawił, że Fasilowi, który przez tydzień żył w napięciu, pilnując plastiku na statku, zwęziły się nabiegłe krwią oczy.

- Nie możesz zastrzelić Muziego? - powtórzył, przedrzeźniając Landera. - Nie będziesz musiał nic robić, daj mi tylko plastik - i Arab ruszył ku ławie. Lander tak szybkim, że niemal niewidocznym ruchem ramienia sięgnął na dolną półkę po elektryczną piłę, nacisnął guzik i wyjące ostrze znalazło się o pół cala od wyciągniętej ręki Araba.

Fasil zastygł w bezruchu.

- Przepraszam, panie Lander. To nie jest brak szacunku. Tylko spokojnie. Tylko spokojnie. Możemy nie mieć okazji do zastrzelenia go. Nie chciałbym dopuścić, aby jakiś niepożądany

przypadek zakłócił pańską akcję.

- W porządku - powiedział Lander. Mówił tak cicho, że Dahlia nie słyszała go przy dźwięku pracującej piły. Zwolnił przycisk i ostrze zatrzymało się; widać było każdy pojedynczy ząb. Lander nożem przeciął Madonnę na pół.

- Masz detonator i drut?

- Tak, dziękuję.

- Bateria będzie ci potrzebna? Mam ich sporo.

- Nie, dziękuję.

Lander wrócił do swojego zajęcia i nawet nie spojrzał, kiedy Dahlia z Fasilem odjeżdżali jego samochodem kierując się na północ, w stronę Brooklynu, żeby przygotować śmierć Muziego.

„Wiadomości radiowe 88” radiostacji WCBS podały pierwszą informację o wybuchu w czwartek o 8. 30 rano, a o 9. 45 podano tożsamość ofiary. A więc dzieło dokonano się. Ostatni możliwy związek między Muzim a plastikiem został definitywnie przerwany.

Czwartek zaczął się pomyślnie. Lander usłyszał, że Dahlia wchodzi do garażu. Przyniosła mu filiżankę kawy. Dobra nowina - powiedział.

Dahlia wysłuchiwała uważnie powtórzenia wiadomości. Jadła brzoskwinie.

- Szkoda, że nie podali nazwiska tego rannego. Może to ten Grek.

- Grek mnie nie martwi. Widział mnie tylko raz i nie było go przy naszej rozmowie. Muzi go lekceważył. Wątpię, czy mu w ogóle ufał.

Lander przerwał pracę, żeby spojrzeć na Dahlię, która oparta o ścianę jadła brzoskwinie. Delektowała się owocem. Lubił patrzeć, jak oddaje się prostej przyjemności. Okazuje apetyt. Sprawiała wrażenie, że jest nieskomplikowana, niegroźna, a on sam, niewidoczny, porusza się dokoła niej. Był jak łagodny niedźwiedź, który obserwuje człowieka rozpakowującego przysmaki przy ognisku. Na początku, ledwie zamieszkała u niego, często odwracał się nagle, żeby na nią spojrzeć, spodziewając się dostrzec wyraz złości, chytrości czy odrazy. Ale ona zawsze była jednakowa - zuchwała w sposobie bycia, zachęcająca w wyrazie twarzy.

Dahlia zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę. Na pozór z zainteresowaniem przyglądała się, jak łączy przewody, którymi się zajmował, kiedy weszła. Ale tak naprawdę to była niespokojna.

Fasil przespał cały wczorajszy dzień i sporą część poranka. Ale niedługo wstanie. Będzie podniecony swoim sukcesem z bombą i trzeba go będzie powstrzymać przed okazywaniem radości. Dahlia żałowała, że Fasila przeszkolono przed 1969 rokiem, zanim chińscy instruktorzy przybyli do Libanu. Mogliby go wiele nauczyć na temat usuwania się w cień, czego nie nauczono go ani w Wietnamie Północnym, ani tym bardziej w Niemczech Wschodnich. Przyglądała się długim

palcom Landera, jak zręcznie operowały kolbą lutowniczą. Fasil popełnił błąd, który omal nie skończył się dla niego fatalnie; Dahlia musi dopilnować, żeby to się już nie powtórzyło. Musi uświadomić Fasilowi, że jeżeli nie będzie bardzo ostrożny, całe przedsięwzięcie skończy się krwawo, ale tutaj, w domu Landera. Zadanie wymagało jego bystrego i ostrego umysłu, a muskuły i siła ognia będą niezbędne w ostatniej chwili, przy mocowaniu materiału wybuchowego pod sterowcem. Na razie Dahlia powinna go trzymać w ryzach.

Formalnie Fasil był jej zwierzchnikiem w organizacji terrorystycznej, ale tę akcję powierzył jej nikt inny, tylko sam Hafez Najeer. Co więcej, ona miała klucz do Landera, a Lander był niezastąpiony. Z drugiej strony jednak, Hafez Najeer nie żyje i Fasil nie musiał się już obawiać jego gniewu. Ponadto, Fasil nie miał zbyt postępowych poglądów na temat kobiet. O ile łatwiej by było, gdyby wszyscy troje znali język francuski. Tak prosta różnica byłaby bezcenna, myślała Dahlia.

Jak wielu wykształconych Arabów, Fasil praktykował dwa sposoby bycia. W kręgu towarzyskim w zachodnim stylu, jak mówią Francuzi, traktował kobiety bez zarzutu - z wdziękiem i egalitarystycznie. Ale kiedy tylko znalazł się pośród tradycyjalistycznych Arabów, ostro ujawniał się jego wrodzony męski szowinizm. Kobieta była naczyniem, służącą, zwierzęciem pociągowym, nie panującym nad swoimi potrzebami seksualnymi, maciorą w nieustającej rui.

Być może Fasil ma kosmopolityczną postawę i jest radykałem, jeśli chodzi o politykę, ale tam, gdzie w grę wchodzi emocje, nie odszedł daleko od czasów swych dziadów, czasów rzeźni kobiet, wycinania łechtaczek, pasów cnoty, krwawych obrzędów, które miały nie dopuścić, aby dzieci płci żeńskiej sprowadziły hańbę na dom. Zawsze wyczuwała w głosie Fasila lekkie szyderstwo, kiedy zwracał się do niej per „towarzyszko”.

- Dahlia - głos Landera przywrócił ją do rzeczywistości, co w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na wyraz jej twarzy. Umiała panować nad mimiką.

~- Podaj mi szczypce.

Jego głos był spokojny, ręce pewne. Dobre oznaki, choć zapowiadał się ciężki dzień. Była zdecydowana nie dopuścić do niepotrzebnych kłótni. Dahlia wierzyła we wrodzoną inteligencję Fasila i jego poświęcenie dla sprawy, nawet jeśli nie mogła ufać jego stosunkowi do Landera. Miała zaufanie do własnej siły woli. Wierzyła w prawdziwe porozumienie i uczucie, jakie łączyło ją z Landerem, a także w działanie pięćdziesięciu miligramów chlorpromazinu, które rozpuściła w jego kawie.

ROZDZIAŁ 9

Kabakov z trudem wracał do przytomności; jak zrozpaczony nurek, który młóci wodę, aby jak najszybciej wydostać się na powietrze. W klatce piersiowej czuł ogień. Usiłował podnieść ręce do rozpalonego gardła, lecz coś miękkiego trzymało jego nadgarstki żelaznym uchwytem. Uprzytomnił sobie, że jest w szpitalu. Pod sobą czuł suche, szpitalne prześcieradło, to, że obok łóżka majaczy jakaś niewyraźna postać. Nie chciało mu się otwierać piekących oczu. Jego ciało było posłuszne jego woli. Odpocznie. Nie będzie walczył i krwawił. Nie po raz pierwszy odzyskiwał przytomność w szpitalu.

Moshevsky, stojący nad łóżkiem, puścił nadgarstki Kabakova, odwrócił się do dyżurnego policjanta przy drzwiach i najdelikatniej, jak tylko potrafił, wymruczał:

- Wraca do przytomności. Powiedz lekarzowi, żeby tu przyszedł. Ruszaj się!

Kabakov otworzył i zamknął najpierw jedną dłoń, potem drugą. Poruszył prawą nogą, potem lewą. Moshevsky omal się nie uśmiechnął z ulgą. Rozumiał, co robi Kabakov. Przeprowadzał inwentaryzację. On sam też nieraz robił coś takiego w podobnych sytuacjach.

Jeszcze przez wiele minut Kabakov dryfował między ciemnością i szpitalnym pokojem. Moshevsky, klnąc cicho, ruszył ku drzwiom i właśnie w tej chwili pojawił się lekarz, a za nim pielęgniarka. Lekarz był młody i miał baczki.

Spojrzał na kartę choroby, pielęgniarka otworzyła namiot tlenowy i odsłoniła górne prześcieradło rozpięte jak namiot na metalowej ramie, żeby nic nie dotykało ciała pacjenta. Lekarz poświecił choremu latarką w oczy. Były czerwone i gdy Kabakov je otworzył, popłynęły łzy.

Pielęgniarka wpuściła mu krople do oczu, a kiedy lekarz osłuchiwał pacjenta, ona strząsnęła termometr. Skóra rannego drżała pod dotknięciem zimnego stetoskopu i doktor nie bardzo dowierzał taśmie zabezpieczającej lewą stronę klatki piersiowej pacjenta. Ale izba przyjęć wykonała dobrą robotę. Lekarz z zawodową ciekawością przyjrzał się starym bliznom i szwom, którymi upstrzone było ciało Kabakova.

Czy mógłby pan nie zasłaniać światła? zapytał Moshevsky'ego.

Moshevsky przestąpił z jednej nogi na drugą. W końcu zamarł w pozycji „spocznij” i do końca badania wyglądał przez okno. Wyszedł za lekarzem na korytarz.

Czekał tam Sam Corley.

- No i... ?

Młody lekarz uniósł brwi z urażoną miną.

- A, pan z FBI. - Zupełnie jakby powiedział: a, to kaktus. - Chory doznał niewielkiego wstrząsu. Zdjęcie radiologiczne wygląda dobrze. Trzy złamane żebra. Oparzenia drugiego stopnia na lewym

udzie. Dym silnie podrażnił gardło i płuca. Ma pęknięte zatoki i być może trzeba będzie założyć dren. Po południu będzie u niego ENT. Wydaje się, że oczy i uszy ma w porządku, choć w uszach prawdopodobnie mu dzwoni. Ale to normalne.

- Czy dyrektor wspomniał panu, że jego stan należy uznać za krytyczny?

- Dyrektor może sobie uznawać, co mu się podoba. Ja uważam, że stan chorego jest niezły, a nawet dobry. Ma wyjątkowo silny organizm, ale niezbyt o niego dba.

- Ale...

- Panie Corley, dla mnie dyrektor może oświadczyć, że chory jest w ciąży. Nie będę zaprzeczał. Jak to się stało, jeśli mogę zapytać?

- Chyba wybuchł piec.

- O, z pewnością - doktor parsknął przez nos i odszedł korytarzem.

- Kto to jest ENT? - zapytał Corleya Moshevsky.

- Specjalista od chorób uszu, nosa i gardła. Ale, ale, myślałem, że pan nie zna angielskiego.

- Mowy nie ma o znajomości - odparł Moshevsky i szybko wszedł do pokoju z Corleyem, który groźnie zerkał na jego plecy.

Kabakov spał przez większą część popołudnia. Gdy środki usmierzające przestały działać, gałki oczne zaczęły się poruszać pod powiekami i Kabakov śnił barwne, narkotyczne sny. Był w swoim mieszkaniu w Tel-Awii i dzwonił czerwony telefon, a on nie mógł go dosięgnąć. Zaplątał się w stosie ubrań na podłodze; ubrania cuchnęły kordytem.

Dłonie Kabakova wczepiły się w prześcieradło. Moshevsky usłyszał odgłos dartej tkaniny i z prędkością bawołu wstał z krzesła. Rozprostował dłonie Kabakova i ułożył je wzdłuż jego boków, stwierdzając z ulgą, że Kabakov poszarpał tylko prześcieradło, a nie bandaż.

Powoli wracała pamięć. Wypadki w domu Muziego odzywały, ale nie po kolei i Kabakov, zły, musiał z tych fragmentów składać całość. Wieczorem namiot tlenowy zabrano, a dzwonienie w uszach zmalało na tyle, że mógł słuchać opowieści Moshevsky'ego o tym, co się wydarzyło po eksplozji - o karetce pogotowia, operatorach, prasie, którą udało się zwieść, ale która nadal podejrzliwie węszy.

Nie miał trudności z wysłuchaniem Corleya, kiedy go wpuszczono do pokoju.

- Co z Muzim? - Corley był blady z gniewu. Kabakov nie chciał mówić. Mówienie wywoływało kaszel, a kaszel wzmagął żar w jego piersi. Skinął na Moshevsky'ego.

- Powiedz mu zakrakał.

Akcent Moshevskynego znacznie się polepszył.

- Muzi był importerem...

- Chryste, wszystko to wiem. Mam o nim informacje. Opowiedz, co widziałeś i słyszałeś.

Moshevsky przeniósł wzrok na Kabakova, który nieznacznie skinął głową. Zaczął od przesłuchania Fawziego, odkrycia figurki Madonny i badania dokumentów okrętowych. Kabakov dopowiedział scenę w mieszkaniu Muziego. Kiedy skończyli, Corley chwycił telefon stojący przy łóżku Kabakova i wydał serię szybkich rozkazów - nakazy aresztowania „Letycji” i jej załogi - potem skierował ekipę laboratoryjną na statek. Kabakov przerwał mu tylko raz: - Niech pan im powie, żeby zelżyli Fawziego w obecności załogi.

- Co? - Corley zasłonił ręką słuchawkę.

- Niech powiedzą, że został aresztowany za odmowę współpracy. Niech go trochę poturbują. Jestem mu winien przysługę. On ma krewnych w Bejrucie.

- Zbłaźnimy się, jeśli wniesie skargę.

- Nie wniesie.

Corley odwrócił się do telefonu i przez kilka minut wydawał dalsze instrukcje - ... tak, Pearson, i nazwij Fawziego...

- ... kanibalem obżerającym się świniną - podsunął mu Moshevsky.

- ... tak, tak go właśnie nazwij - powiedział do słuchawki Corley. - Po tym, jak go uświadomisz, jakie ma prawa. Nie zadawaj pytań, Pearson, wykonaj, co ci każę. - Corley odłożył słuchawkę.

- A więc tak, Kabakov. W raporcie straży pożarnej napisali, że wyciągnęli pana z domu jacyś dwaj faceci z torbami golfowymi, którzy akurat tamtędy przechodzili. Jacyś gracze w golfa.

Corley stał na środku pokoju w zmiętym garniturze, bawiąc się kluczykami od samochodu. - I tak się jakoś złożyło, że ci faceci opuścili scenę furgonetką, zaraz po przyjeździe karetki. Co ma wspólnego jakiś wóz dostawczy z klubem golfowym, do którego należą ci dziwnie mówiący ludzie? Cytuję z policyjnego raportu pomocniczego: „Obaj mówili dziwnie”. Jak ty, Kabakov. Co tu jest grane? Masz zamiar mnie wykołować, czy jak?

- Zamierzałem zawiadomić pana, kiedy tylko bym się czegoś dowiedział w słabym krakaniu Kabakova nie było skruchy.

- Pewnie przysłałbyś mi pocztówkę ze swojego pieprzonego Tel-Awiwu: „Przepraszam za wielką dziurę w ziemi i zamieszanie”.

Corley wyglądał przez okno przez całą minutę. Kiedy odwrócił się znów w stronę łóżka, po gniewie nie było śladu. Pokonał go i gotów był zaczynać od nowa. Ta umiejętność budziła podziw

Kabakova.

- Jakiś Amerykanin - mruknął Corley. - Muzi powiedział coś o jakimś Amerykaninie. Aha, a sam Muzi był czysty. Na swoim koncie w żółtej kartotece policyjnej ma tylko jedno aresztowanie - za naruszenie nietykalności osobistej i zakłócenie porządku we francuskiej restauracji. Później te zarzuty odrzucono.

- Niewiele znaleźliśmy w jego domu. Plastikowa bomba o wadze nieco ponad funt. Przypuszczalnie została podłączona do oprawki żarówki w lodówce. Ktoś wyłączył lodówkę z sieci, założył przewód, zamknął drzwi lodówki i włączył ją z powrotem do sieci. Dość rzadko spotykany sposób.

- Słyszałem już kiedyś o takim połączeniu - powiedział Kabakov spokojnie. Zbyt spokojnie.

- Jutro z samego rana przeniesiemy pana do Bethesda Naval Hospital. Tutaj nie jesteśmy w stanie zapewnić panu bezpieczeństwa.

- Nie zostanę...

- Owszem, zostanie pan. - Corley wyjął z kieszeni marynarki ostatnie wydanie nowojorskiej „Post” i wręczył Kabakovowi. Na trzeciej kolumnie widniało jego zdjęcie zrobione przez ramię sanitariusza w chwili, gdy wnoszono rannego do izby przyjęć; jego twarz pokrywała sadza, ale rysy widać było wyraźnie.

Podają pana nazwisko „Kabov”, bez adresu i zawodu. Nakazaliśmy milczenie policyjnej sekcji informacji do czasu ustalenia pańskiej tożsamości. Mam na karku Waszyngton. Dyrektor uważa, że Arabowie mogą rozpoznać pana na tym zdjęciu i kropnąć.

Wspaniale. Weźmy więc tego, który przeżył i przedyskutujmy to z nim.

- O, nie. W tym szpitalu to niemożliwe. Trzeba by najpierw ewakuować całe skrzydło. A gdyby im się powiodło? Jakież pożytek miałbym z pana martwego? Nie chcemy, żeby był pan następnym Yosefem Alonem.

Pułkownik Alon, izraelski attache do spraw lotnictwa w Waszyngtonie, został zastrzelony przez terrorystów na podjeździe swojego domu w Chevy Chase, w Maryland, w 1973 roku. Kabakov znał i lubił Alona; stał obok Moshe Dayana na lotnisku w Lód, kiedy z samolotu wnoszono jego ciało w trumnie przykrytej flagą, szarpaną przez wiatr.

- Mogą przysłać tych samych ludzi, którzy zabili pułkownika Alona - podsunął Moshevsky z krokodylim uśmiechem.

Corley, zmęczony, potrząsnął przecząco głową. - Nie, myślę, że przysłaliby wynajętych morderców. Nie, nie będzie żadnej strzelaniny w szpitalu. Później, jeśli będziecie mieli ochotę, możecie sobie nawet wygłaszać przemówienia na schodach Misji ZRA w czerwonych kombinezonach, to już nie moja sprawa; na razie jednak mam rozkaz utrzymać pana przy życiu. Lekarz twierdzi, że co najmniej przez tydzień musi pan leżeć nieruchomo na plecach. Rano pakujemy nocnik

i przenosimy się do Bethesda. Prasię powiemy, że przenosi się pan do Brookl Army Hospital, na oddział oparzeń w San Antonio.

Kabakov zamknął oczy na kilka minut. W Bethesda wpadnie w ręce biurokratów. Przez najbliższe sześć miesięcy będą mu pokazywać zdjęcia podejrzanych Arabów wypiekających arabskie placki.

Postanowił, że nie pojedzie do Bethesda. Potrzebna mu była niewielka pomoc lekarska, całkowita dyskrecja i miejsce, w którym mógłby odpocząć dzień, dwa, nie niepokojony żadnymi poleceniami. Znał miejsce spełniające wszystkie te warunki.

- Corley, ja sam mogę się lepiej o siebie zatroszczyć. Czy powiedziano panu, że to musi być Bethesda?

- Powiedziano mi, że jestem odpowiedzialny za pańskie bezpieczeństwo. I pan będzie bezpieczny.

W tym oświadczeniu zawarta była nie wypowiedziana groźba. Jeśli Kabakov sprzeciwi się. Departament Stanu dopilnuje, aby odesłano go do Izraela.

W porządku. Do rana zorganizuję wszystko, a pan opuści ten szpital, o której godzinie będzie panu wygodnie.

- Niczego nie obiecuję. Ale będzie pan pamiętał o innych możliwościach? - Kabakov nie cierpiał podlizywania się.

Zobaczmy. Tymczasem zostawiam pięciu moich ludzi na tym piętrze. Nie może pan przeboleć przegrania tej rundy, co?

Kabakov spojrzał na niego i nagle Corleyowi przypomniał się borsuk, którego jako chłopiec złapał w sidła w Michigan. Borsuk przyszedł do niego ciągnąc za sobą wnyki, złamaną łapą zamiatając ziemię. Jego oczy miały taki sam wyraz jak oczy Kabakova w tej chwili.

Kiedy tylko drzwi pokoju zamknęły się za agentem FBI, Kabakov poderwał się chcąc usiąść, ale zakreśliło mu się w głowie z wysiłku i natychmiast z powrotem opadł na plecy.

- Moshevsky, zadzwoń do Rachel Bauman - zwrócił się do sierżanta.

Rachel Bauman, doktor medycyny, w książce telefonicznej Manhattanu figurowała w dziale lekarzy. Moshevsky nakręcił numer małym palcem, bo tylko ten mieścił się w otworach tarczy, i połączył się z biurem informacji. Doktor Bauman wyjechała na trzy dni.

Odnalazł numer Rachel Bauman w spisie telefonów mieszkaniowych Manhattanu. Odpowiedziała ta sama telefonistka z biura informacji. Owszem, powiedziała, doktor Bauman może wpaść do domu, ale to nic pewnego. Czy telefonistka zna numer, pod którym można zastać doktor Bauman? Niestety, nie może ujawnić numeru. Moshevsky poprosił jednego z szeryfów, pełniących straż na korytarzu, aby z nią porozmawiał. Chwilę czekali, aż w biurze sprawdzą jego tożsamość i

oddzwonią.

- Doktor Bauman jest w pensjonacie w Mt. Murray w Górach Pocono - oświadczył szeryf. - Wczoraj zostawiła wiadomość w biurze informacji, że zadzwoni później i poda numer swego pokoju. Ale jeszcze nie zadzwoniła. Jeżeli zamierzała dopiero później podać telefonicznie numer pokoju, to znaczy, że z góry wiedziała, iż nie będzie się meldowała pod własnym nazwiskiem.

- Tak, tak zakrakał Kabakov.

- Na ksiutach pewnie - szeryf nie dawał za wygraną. Właściwie, pomyślał Kabakov, czego mogłem się spodziewać, skoro nie odzywałem się od siedmiu lat?

-Jak daleko stąd jest ta miejscowość?

-Jakieś trzy godziny jazdy.

-Moshevsky, jedź i przywieź ją.

Siedemdziesiąt mil od szpitala, w Lakehurst w New Jersey, Michael Lander bawił się przełącznikami telewizora. Aparat miał doskonały odbiór, wszystkie przystawki działały bez zarzutu, mimo to Lander ciągle nie był zadowolony. Dahlia i Fasil nie dawali poznać po sobie zniecierpliwienia. Dopiero o szóstej, kiedy wiadomości szły już jakiś czas, zostawił odbiornik w spokoju.

- W wyniku wybuchu w Brooklynie, który miał miejsce wcześniej rano, zginął importer Benjamin Muzi. Drugi mężczyzna został poważnie ranny - powiedział prezydent. - Oto sprawozdanie Franka Frizzella z miejsca wypadku.

Prezydent wpatrywał się w kamerę przez dłuższą chwilę, zanim puszczono film. W gmatwaninie węży strażackich na chodniku przed domem Muziego stał Frank Frizzell.

... wywalił ścianę kuchenna i w niewielkim stopniu uszkodził sąsiedni budynek. Trzydziestu pięciu strażaków, wyposażonych w sześć pomp, gasiło ogień ponad pół godziny. Sześciu strażakom udzielono pomocy lekarskiej z powodu zatrucia dymem.

Pokazano ścianę domu z ziejącą w niej dziurą. Lander podniecony pochylił się do przodu, starając się ocenić siłę wybuchu. Fasil patrzył jak zahipnotyzowany.

Strażacy zbierali węże. Ekipa telewizyjna musiała się pojawić, kiedy gaszenie prawie dobiegło końca. Teraz pokazywano rampę przed szpitalem. Jakiś inteligentny dyspozytor telewizyjny, wiedząc, że College Hospital na Long Island wyznaczony jest do przyjmowania ofiar wypadków w okręgu 76, wysłał ekipę z kamerą od razu pod szpital. Ekipa wiadomości pojawiła się tuż przed karetką pogotowia. Oto personel karetki wyciąga nosze, dwóch ludzi je popycha, a trzeci trzyma butelkę z kroplówką. Obraz zachwiał się, gdy ktoś z tłumu popchnął operatora. Potem operator znów biegł obok noszy i obraz podskakiwał. Zatrzymali się na chwilę na podjeździe pod izbą przyjęć. Zbliżenie na usmoloną twarz rannego.

- Dawid Kabov, brak adresu, pozostał w College Hospital na Long Island; jego stan określa się jako krytyczny.

- Kabakov! - krzyknął Fasil. Odsłonił zęby i przeszedł na arabski, wypowiadając wiązaną ohydnych przekleństw. Dahlia też zaczęła mówić po arabsku. Pobladła na wspomnienie pokoju w Bejrucie, czarnej, skierowanej ku niej lufy pistoletu maszynowego, ciała Najeera rozprysniętego na ścianie.

- Mówcie po angielsku. - Lander dwa razy musiał powtórzyć swoją prośbę, zanim go usłyszeli.

- Kto to jest?

- Nie jestem pewna - odpowiedziała Dahlia, oddychając ciężko.

- A ja tak - Fasil trzymał grzbiet nosa między kciukiem i palcem wskazującym. - To brudny, izraelski tchórz, który przychodzi nocą, żeby zabijać, zabijać, zabijać - kobiety, dzieci... jest mu obojętne kogo. Ten łajdaki Żyd zabił naszego przywódcę, zabił wielu innych, omal nie zabił Dahlii.

Podświadomie ręka Fasila powędrowała ku policzkowi ze śladem po pocisku, pamiętce po ataku w Bejrucie.

Głównym motorem działania Landera była nienawiść, ale jego nienawiść zrodziła się z okaleczenia i wściekłości. A teraz spotkał się z nienawiścią zaprogramowaną, co sprawiało, że czuł się nieswojo, choć gdyby przyszło mu określić, na czym polega różnica, nie potrafiłby tego zrobić.

- Może umrze - powiedział.

- O, tak - potwierdził Fasil - na pewno umrze.

ROZDZIAŁ 10

Kabakov leżał rozbudzony w środku nocy, wsłuchując się w szelest nylonowych fartuchów, pisk miękkich podeszew butów na woskowanych posadzkach i zawodzenie bezzębnego chorego, który gdzieś na końcu korytarza wzywał Chrystusa. Przysłuchując się ruchowi na korytarzu, mógł polegać na swoich zmysłach. Szpitale straszą nas dawnymi nieszczęściami z dzieciństwa - niekontrolowanym wypróżnieniem, chęcią płaczu.

Kabakov nie operował kategoriami odwagi i tchórzostwa. Myślał o wszystkim, co mu się przydarzyło jak behawiorysta. W pochwalnych opiniach przydawano mu różne cnoty, do posiadania których nie przyznawał się. Fakt, że w swoich ludziach budził lęk, pomagał mu w kierowaniu nimi, z czego zresztą nie był specjalnie dumny. Zbyt wielu umierało tuż obok.

Widział odwagę. Mógłby zdefiniować ją jako bezwzględne czynienie tego, co konieczne. Z akcentem na słowo konieczne, a nie na bezwzględne. Znał dwóch lub trzech mężczyzn, kompletnie pozbawionych lęku. Ale to byli psychopaci. Lęk można kontrolować i kierować nim. To tajemnica zwycięskiego żołnierza.

Kabakov wyśmiałby przypuszczenie, że jest idealistą, ale gdzieś tam w głębi siebie cierpiał na dychotomię, bliską w samej swej istocie temu, co nazywa się żydostwem. Potrafił być skrajnie pragmatyczny w ocenie ludzkich zachowań, a jednocześnie czuć w głębi swego serca gorące dotknięcie Boga.

Nie należał do ludzi religijnych w powszechnym tego słowa znaczeniu. Nie znał się na obrzędach judaistycznych. A jednak miał świadomość, że jest Żydem w każdej minucie swojego życia. Wierzył w Izrael. Zrobi to, co do niego należy, najlepiej jak potrafi, resztę zaś zostawi rabinom.

Poczuł swędzenie pod przepaską na żebrach. Odkrył, że jeżeli się trochę pokręci, przepaska przesuwa się na swędzące miejsce. Nie zastępowało to wprawdzie drapania, ale trochę pomagało. Lekarz, młody jak-mu-tam, ciągle wypytywał go o stare blizny. Kabakov uśmiechnął się do siebie na wspomnienie, w jaki sposób Moshevsky - poczuwszy się urażony ciekawością lekarza - zareagował na nią. Powiedział mu, że Kabakov jest zawodowym kierowcą na wyścigach motocyklowych. Przemilczał natomiast o walce o Mitla Pass w 1956 roku i o syryjskich bunkrach pod Rafid w 1967 i innych, mniej znanych polach bitew, które naznaczyły Kabakova - jak na przykład dach hotelu w Trypolisie czy doki na Krecie, gdzie pociski rozłupywały deski - jako że Kabakov bił się wszędzie tam, gdzie były gniazda arabskich terrorystów.

To właśnie pytania lekarza o stare rany obudziły w Kabakovie wspomnienie o Rachel. Teraz, leżąc w ciemnościach, zaczął myśleć o tym, jak to się zaczęło.

Jest 9 czerwca 1967 roku. On i Moshevsky leżą na noszach przed szpitalem polowym w Galilei; wiatr z gwizdem sypie piaskiem w płócienne ściany, słysząc łoskot generatora, zagłuszający jęki rannych. Lekarz, stąpając wysoko jak ibis pośród śmieci, przeprowadza okrutną, ale niezbędną segregację rannych. Kabakov i Moshevsky, obaj zranieni z broni krótkiej podczas nocnego szturmu na

wzgórza syryjskie, zostali wniesieni do szpitala, w światło awaryjnych lamp, kołyszących się obok lamp izby operacyjnej. Drętwota ogarniająca całe ciało, pochylony lekarz w masce chirurgicznej - Kabakov przygląda się sobie jak obcy, nie patrzy na siebie, w dół; prawie bez zdziwienia odkrywa, że ręce lekarza sięgające po świeże, sterylne rękawiczki to ręce kobiety. Doktor Rachel Bauman, oddziałowy lekarz psychiatra w Mt. Sinai Hospital w Nowym Jorku, chirurg wojenny z własnej woli, usunęła właśnie pocisk, który naruszył obojczyk Kabakova.

Jako rekonwalescent leżał w szpitalu w Tel-Awiiwie, gdy pojawiła się na jego oddziale, przeprowadzając pooperacyjne badania. Była atrakcyjną kobietą w wieku około dwudziestu sześciu lat, z ciemnorudymi włosami zebranymi w węzeł. Kabakov nie spuszczał jej z oka od chwili, w której zaczęła obchód w towarzystwie starszego lekarza z oddziału i pielęgniarki.

Pielęgniarka ściągnęła prześcieradło. Doktor Bauman nie odezwała się do Kabakova, zaabsorbowana raną, uciskając ją wokół palcami. Potem ranę obejrzał lekarz oddziałowy.

- Dobra robota, pani doktor Bauman.

- Dziękuję, doktorze. Dawali mi łatwiejsze przypadki.

- Pani to robiła? - zapytał Kabakov. Spojrzała na niego, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie jego obecność.

- Tak - odparła.

- Ma pani amerykański akcent.

- Bo jestem Amerykanką.

- Dziękuję za przybycie do nas.

Milczenie, zamrugła oczami, zarumieniła się.

- Dziękuję za oddychanie - powiedziała w końcu i odeszła korytarzem. Na twarzy Kabakova widać było zdumienie.

- Głupiec - powiedział starszy lekarz. - Jakby się pan czuł, gdyby jakiś Żyd powiedział: „Dziękuję, że przez cały dzień zachowywał się pan jak Żyd?” - Poklepał Kabakova po ramieniu i odszedł od jego łóżka.

W tydzień później, kiedy w mundurze opuszczał szpital, spotkał ją na frontowych schodach.

- Doktor Bauman.

- O, major Kabakov. Ciszę się, że pan wychodzi. - Nie uśmiechała się. Wiatr zwał jej pasmo włosów na policzek.

- Proszę zjeść ze mną obiad.

- Dziękuję, ale nie mam czasu. Muszę już iść. - I zniknęła w szpitalu.

Przez następne dwa tygodnie nie było go w Tel-Awii; wyjechał na front syryjski, aby nawiązać ponowne kontakty ze służbami wywiadowczymi. Poprowadził zwiad przez linię przerwania ognia, podchodząc w bezksiężycową noc pod pozycję syryjskiej wyrzutni raketowej, która uparcie łamała umowę o przerwaniu ognia mimo nadzoru wojsk ONZ. Rakiety rosyjskiej produkcji, odpalane równocześnie ze swoich stanowisk, pozostawiały kratery na wzgórzach.

Gdy rozkazy sprowadziły go z powrotem do miasta, odszukał znajome kobiety i jak zwykle cieszył się z ich towarzystwa. Ale nie zrezygnował z ponawiania prób zaproszenia doktor Bauman. Pomagała teraz w sali operacyjnej w przypadkach ran głowy i pracowała szesnaście godzin na dobę. W końcu, zmęczona, pachnąca środkami dezynfekcyjnymi, zaczęła spotykać się z Kabakovem nieopodal szpitala na zjadanych w pośpiechu posiłkach. Była kobietą powściągliwą, która chroniła siebie i swój styl życia. Czasami, po ostatnim zabiegu chirurgicznym, siadali wieczorem na ławce w parku i popijali brandy prosto z butelki. Była zbyt zmęczona, żeby rozmawiać, ale to, że siedzi obok dużej, ciemnej postaci Kabakova, przynosiło jej komfort psychiczny. Nie chciała pójść do jego mieszkania. Taki układ skończył się nagle. Siedzieli w parku i choć Kabakov nie widział tego w ciemności, czuł, że była bliska łez. Beznadziejna operacja trwająca cztery godziny nie udała się; był to przypadek uszkodzenia mózgu. Jako specjalistkę od urazów głowy wezwano ją do pomocy w ustaleniu diagnozy; potwierdziła oznaki podtwardówkowego nowotworu u siedemnastoletniego arabskiego żołnierza. Podwyższone ciśnienie płynu mózgowo-rdzeniowego oraz obecność krwi w płynie nie budziły wątpliwości. Pomagała neurochirurgowi w operacji. Nastąpił nieunikniony w tej sytuacji krwotok śródmózgowy i młody człowiek zmarł. Zgasł w chwili, gdy spojrzała na jego twarz.

Kabakov, nie wiedząc o niczym, opowiedział jej ze śmiechem historię kierowcy czołgu, który miał w bieliźnie skorpioną i w efekcie rozjechał na płask stalowy bunkier. Rachel nic nie odpowiedziała.

- Myślisz? - zapytał.

Za nimi przejeżdżała dudniąc kolumna transporterów opancerzonych i musiała mówić głośno, żeby usłyszał.

- Myślę właśnie, że być może w Kairze, w jakimś szpitalu, też ciężko pracują, aby naprawić szkody, które ty wyrządziłeś.

Bo przecież wy to robicie nawet w czasie pokoju, prawda? Wy, i ci fedaini.

- To nie jest czas pokoju.

- W szpitalu krążą różne plotki. Jesteś kimś w rodzaju komandosa, tak? - Nie mogła się już powstrzymać i mówiła ostrym głosem. - Wiesz, przechodząc kiedyś przez hali hotelowy w drodze do swojego pokoju, usłyszałam nagle twoje nazwisko. Niski, tęgi mężczyzna, drugi sekretarz pewnej dyplomatycznej placówki, pił z izraelskimi oficerami. I on właśnie powiedział, że gdy wreszcie zapanuje prawdziwy pokój, będą musieli ciebie zagazować jako psa wojny.

Żadnej reakcji. Kabakov siedzi nieruchomo, jego profil rozmywa się na tle ciemnych drzew.

Złość nagle ją opuściła, oklapła, chora z żalu, że go tak uderzyła. Mówiła teraz z wysiłkiem, ale musiała dokończyć, była mu to winna.

- Oficerowie wstali, jeden z nich uderzył w twarz grubego mężczyznę i wyszli, zostawiając na stole swoje drinki - dokończyła żałośnie.

Kabakov stanął przed nią. - Proszę się wyspać, doktor Bauman - powiedział i odszedł.

Przez następny miesiąc zrywał się na przydzieloną mu robotę biurową. Został bowiem przeniesiony z powrotem do Mossadu, gdzie zawzięcie pracowano nad ustaleniem szkód wyrządzonych podczas Wojny Sześciodniowej wrogom Izraela oraz oceną ich potencjału przed następnym uderzeniem. Odbywały się wyczerpujące przesłuchania pilotów, dowódców jednostek i poszczególnych żołnierzy. Kabakov prowadził wiele przesłuchań osobiście, zestawiając je z informacjami dostarczonymi ze źródeł w krajach arabskich i streszczając wyniki badań do zwięzłych notatek, uważnie czytanych później przez szefów. Była to męcząca, nudna praca i Rachel Bauman tylko z rzadka nawiedzała jego myśli. Ani się z nią widywał, ani dzwonił. W tym czasie całą swoją uwagę skupił na pewnej dojrzałej sabryjce w randze sierżanta, z piersiami, które rozsadały bluzę i która z powodzeniem mogłaby osiąść indyjskiego byka bez trzymania się liny. Jego sierżanta wkrótce przeniesiono i znowu został sam, ale sam z wyboru, otepiał od rutynowej roboty, i dopiero pewne przyjęcie przywróciło go życiu.

Była to pierwsza prawdziwa uroczystość od czasu zakończenia wojny. Zorganizowało ją dwudziestu czterech mężczyzn, którzy służyli w sekcji spadochronowej Kabakova, a uczestniczyła w niej zwariowana paczka pięćdziesięciu przyjaciół - kobiet i mężczyzn; wszyscy byli żołnierzami. Jasnoocy, opaleni i przeważnie młodszy od Kabakova. Wojna Sześciodniowa wypaliła z ich twarzy młodość, która teraz, nieposkromiona jak odporne ziarno, wracała. Kobiety były szczęśliwe, że mogły włożyć spódnice, sandały i barwne bluzki zamiast munduru i przyjemnie było na nie patrzeć. Niewiele mówiono o wojnie. Nikt nie wspominał poległych. Kadisz już raz odmówiono, za jakiś czas odmówi się znowu.

Cała gromada objęła w posiadanie kawiarnię na przedmieściu Tel-Awiwu, obok drogi do Hajfy, w samotnym budynku, błękitnobiałym w poświęcie księżyca. Kabakov, jadąc jeepem, słyszał odgłosy przyjęcia z odległości trzystu jardów. Miało się wrażenie, jakby gdzieś toczyła się bitwa przy akompaniamencie muzyki. Pary tańczyły w kawiarni i na częściowo zadaszonym tarasie.

Przez salę przeszła fala zainteresowania, kiedy wszedł do środka i torując sobie przejście między tańczącymi, odpowiadał na powitania przekrzykując łoskot muzyki. Kilku młodszych żołnierzy pokazywało go swoim towarzyszkom spojrzeniem i skinieniem głowy w jego stronę. Kabakov dostrzegał to wszystko i było mu przyjemnie, choć bardzo się starał, żeby tego nie okazywać. Uważał, że właściwie to niedobrze, iż traktują go jak kogoś wyjątkowego. Przecież każdy mężczyzna miał szansę. A ci ludzie byli jeszcze dostatecznie młodzi, by mieć ochotę brać udział w tym całym gównie. Żałował, że nie ma z nim Rachel, że nie przyszła z nim, i wierzył naiwnie, że to pragnienie nie ma nic wspólnego z powitaniem, jakie go tutaj spotkało. Do diabła z Rachel!

Przecisnął się do długiego stołu przy końcu tarasu, gdzie siedział Moshevsky z kilkoma wesołymi dziewczynami. Przed Moshevskym, który opowiadał pieprzne dowcipy z szybkością automatu, stała bateria butelek. Kabakov czuł się dobrze, a wino jeszcze poprawiło mu nastrój. Mężczyźni obecni na przyjęciu mieli różne stopnie wojskowe, byli oficerowie i wojskowi bez rangi oficerskiej, ale nikogo nie dziwiło, że major z sierżantem bawią się ramię w ramię. Dyscyplina, która prowadziła Izraelitów przez Synaj, zrodziła się z wzajemnego szacunku, a podtrzymywał ją esprit; razem tworzyły coś na podobieństwo zbroi, którą można było powiesić na drzwiach przy pewnych okazjach. Przyjęcie było udane - ludzie rozumieli się nawzajem, wino było izraelskie, a tańce takie, jakie tańczono w kibucach.

Gdzieś około północy, pośród wirujących tancerzy Kabakov dostrzegł Rachel, stojącą niezdecydowanie na krawędzi światła. Po chwili poszła w kierunku tarasu, gdzie pary tańczyły, klaszcząc w ręce i śpiewając.

Miękkie powietrze opływało jej ramiona, pieściło jej nogi pod krótką, płócienną spódnicą - powietrze nasycone zapachem wina, mocnego tytoniu i nagranych kwiatów. Dostrzegła Kabakova półleżącego, jak Neron, przy długim stole. Ktoś włożył mu za ucho kwiat, w zębach trzymał cygaro. Jakaś dziewczyna, mówiąc coś, pochylała się nad nim.

Rachel nieśmiało zaczęła iść między tańczącymi w kierunku jego stołu. Jakiś młodzieńcy porucznik porwał ją nagle do szalonego tańca, a gdy sala przestała wirować, przed nią stał Kabakov z błyszczącymi od wina oczyma. Nie pamiętała, że jest taki wysoki.

- Dawidzie - odezwała się, patrząc w górę na jego twarz. - Chciałam ci powiedzieć...
- Że chcesz się napić - wpadł jej w słowo, podając kieliszek.
- Jutro wracam do kraju... dowiedziałam się, że jesteś tutaj i nie mogłam wyjechać bez...
- Bez zatańczenia ze mną? Ależ oczywiście.

Kiedyś, w czasie lata spędzonego w kibucu, Rachel często tańczyła i teraz z łatwością przypomniała sobie kroki tańca. Kabakov posiadał niesłychaną umiejętność tańczenia z kieliszkiem w ręce i uzupełniania jego zawartości w locie; pili z tego samego kieliszka na zmianę. Drugą ręką sięgnął z tyłu do jej włosów i wyjął z nich spinki. Włosy rozsypały się ciemną, rudą masą na plecy, wokół policzków; Kabakov nie sądził, że można mieć tak dużo włosów. Wino rozgrzało Rachel i tańcząc, śmiała się. Tamto wszystko, w czym była pogrążona na co dzień, ból i rany, gdzieś się oddaliło.

Nagle zrobiło się późno. Hałas przycichł, wielu uczestników zabawy wyszło nie zauważonych przez Kabakova i Rachel. Zaledwie kilka par tańczyło nadal na tarasie. Muzycy zasnęli z głowami na stoliku obok podium dla orkiestry. Jakaś para tańczyła przytulona do siebie, w takt starej piosenki Edith Piaf, której dźwięki dochodziły z szafy grającej obok baru. Taras usłany był połamanymi kwiatami, niedopałkami cygar i zalany winem. Jakiś młodzieńcy żołnierz ze stopą w gipsie opartą o krzesło nucił razem z Piaf, ściskając butelkę wina. Było późno, godzina, gdy księżyc blednie i kontury wszystkich przedmiotów twardnieją w półświatle, aby wkrótce przybrać realne kształty dnia.

Kabakov i Rachel ledwo poruszali się w takt muzyki. W końcu stanęli na dobre, odczuwając wzajemnie swoje ciepło. Kabakov scałował kroplę potu z jej szyi; smakowała jak kropla żywego morza. Na oczach i szyi czuł dotyk ciepłego, przesiąkniętego zapachem róż powietrza, które ona rozgrzała. Zachwiała się, szukając równowagi udem objęła mocno jego udo, przypominając sobie absurdalnie chwilę, kiedy pierwszy raz oparła swój policzek na ciepłej szyi konia.

Odsuwali się od siebie powoli, pogłębiając kształt litery „V”, by wyjść na zewnątrz, w spokojny świt; Kabakov w przelocie chwycił jeszcze ze stołu butelkę brandy. Gdy wspinali się dróżką na wzgórze, krople rosy zmoczyły kostki nóg Rachel; z nienaturalną jasnością widzenia, która następuje po bezsennej nocy, dostrzegali wszystkie szczegóły skał i zarośli.

Wsparci plecami o skałę obserwowali wschód słońca. W świetle jasnego dnia Kabakov dostrzegał drobne skazy na jej twarzy - piegi, zmarszczki zmęczenia pod oczami, wydatne kości policzkowe. Kiedyś pragnął jej bardzo, ale ten okres przeminął.

Całował ją przez długie minuty, czując ciepło na dłoni pod jej włosami.

Jakaś para schodziła ścieżką z gąszczu powyżej, zawstydzona w świetle dnia, otrzepując liście z ubrania. Przystąpili przez nogi Kabakova i Rachel siedzących obok ścieżki, minęli ich nie zauważeni.

- Jestem wstrząśnięta, Dawidzie - powiedziała Rachel, gryząc trawkę. - Nie chciałam, żeby się coś zaczęło, wiesz?

- Jesteś wstrząśnięta?

- No, niespokojna, zmartwiona.

- Hm, ja... - Kabakov szukał jakiegoś miłego zwrotu, wreszcie obruszył się. Lubił ją. Słowa nic nie znaczyły. Do diabła ze słowami, a jednak musiał powiedzieć:

- Wilgotne majtki i późne żale to kosmiczna bzdura. Jedź ze mną do Hajfy. Mogę się postarać o tygodniowy urlop. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną. A za tydzień porozmawiamy o twoich obowiązkach.

- Za tydzień. Za tydzień mogę w ogóle stracić głowę. Mam w Nowym Jorku zobowiązania. Czy w ciągu tygodnia coś się zmieni?

- Wspólne wstawanie z łóżka, rozsuwanie żaluzji, wylegiwanie się w słońcu, przyglądanie się sobie nawzajem coś chyba jednak zmieni.

Odwróciła się od niego szybko.

- Tylko nie rób miny obrażonej damulki.

- Wcale nie jestem obrażona - odparła.

- To nie rób takich min, bo wyglądasz, jakbyś była obrażona. - Uśmiechał się. Ona też.

Zapanowała niezręczna cisza.

- Wrócisz? - zapytał.

- Nieprędko. Muszę doprowadzić moją pracę do końca. Chyba żeby znowu wybuchła wojna. Dla ciebie wojna nie skończyła się nawet na krótko, prawda, Dawidzie? Dla ciebie nigdy się nie skończy.

Nie odpowiedział.

- To dziwne, Dawidzie. Uważa się, że kobiety prowadzą życie wypełnione błahymi, drobnymi sprawami, a mężczyźni spełniają obowiązki. To, czym ja się zajmuję, jest realne, cenione i ważne. I jeśli mówię, że to jest mój obowiązek, jest to tak samo realne jak twój mundur. I nie będziemy o tym mówić za tydzień.

- Świetnie - powiedział Kabakov. - Idź więc wypełniać swój obowiązek.

- Ty też się nie obrażaj.

- Wcale nie jestem obrażony.

- Dziękuję ci, Dawidzie, za zaproszenie. Gdybym mogła, też bym cię zaprosiła. Żebyś pojechał ze mną do Hajfy albo gdzie indziej. Żeby razem wyskakiwać z łóżka.

Zamilkła, a potem dodała: - Żegnaj, majorze Kabakov. Nie zapomnę cię nigdy.

I już zbiegała ścieżką w dół. Nie uświadamiała sobie, że płacze, dopóki jej jeep nie nabrał prędkości i zimny wiatr nie osuszył łez na policzkach.

Łzy osuszone przez wiatr siedem lat temu w Izraelu.

Do pokoju Kabakova weszła pielęgniarka, przerywając jego wspomnienia; ściany szpitala znowu zamknęły się wokół niego. Pielęgniarka przyniosła pigułkę w papierowym kubku.

- Wychodzę, panie Kabov. Zobaczymy się jutro po południu.

Kabakov spojrział na zegarek. Moshevsky powinien już odezwać się z pensjonatu, była niemal północ.

Z samochodu zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy Dahlia Iyad obserwowała grupkę pielęgniarek idących na nocną zmianę, aż zniknęły w szpitalnym gmachu. Odnotowała czas i odjechała.

ROZDZIAŁ 11

W czasie, gdy Kabakov łykał pigułkę, Moshevsky stał w drzwiach nocnego klubu „Boom-Boom-Room” w pensjonacie w Mt. Murray. Ze zmarszczonymi brwiami patrzył na tłum. Trzygodzinna jazda samochodem w niewielkiej śnieżycy, przez pasmo Gór Pocono zamieszkałe przez hodowców bydła rasowego, doprowadziła go do rozdrażnienia. Zgodnie z przewidywaniami, w rejestrze gości nie było doktor Rachel Bauman. Nie zauważył jej pośród tłumu na obiedzie, chociaż jego inwigilacja zwróciła uwagę szefa sali, który trzykrotnie proponował mu stolik. Orkiestra w „Boom-Boom-Room” grała głośno, ale niezłe, pracownik zaś pełniący funkcję „koordynatora rozrywki” był jednocześnie mistrzem ceremonii. Ruchoma plama światła ślizgała się od stolika do stolika, zatrzymując się na chwilę przy każdym. Często klienci machali ręką, kiedy padało na nich światło.

Rachel Bauman, siedząca ze swym aktualnym narzeczonym i parą poznaną w pensjonacie, nie machała ręką, gdy światło padło na jej stolik. Myślała o tym, że pensjonat jest brzydki i nie ma z niego żadnych widoków, i że Góry Pocono to beznadziejne małe górki. A cały ten tłum jest niechlujny. Artystycznie grawerowane narzeczeńskie i małżeńskie obrączki, których było sporo na sali, sprawiały, że pobłyskiwała ona jak jakaś mętna konstelacja. Przygnębiało ją to, bo przypominała sobie, że zgodziła się poślubić młodego, przystojnego, ale nudnego prawnika siedzącego obok niej. Taki typ mężczyzny nie powinien być znaleźć się w jej życiu.

Na dodatek, ich pokój był urządzony wulgarnie, kosztował sześćdziesiąt dolarów dziennie, a w wannie znalazła cudze włosy. Meble były w stylu brooklyńskiego orientu, a w wannie niewątpliwie były włosy łonowe. Jej narzeczony nosił fular do szlafroka i zegarek w łóżku. Boże drogi, a ja? - przecież ja mam na palcach małe pierścionki z oczkami z emalii.

Moshevsky wyrósł obok ich stolika jak wieloryb, który zagłęda z góry do łodzi. Powtórzył sobie, co ma mówić. Postanowił, że zacznie dowcipnie.

- Doktor Bauman, my zawsze spotykamy się na przyjęciach. Jestem Moshevsky, pamięta pani, Izrael 1967 rok? Czy moglibyśmy zamienić parę słów?

- Słucham?

Właściwie to było wszystko, co Moshevsky przygotował sobie na początek rozmowy. Zawahał się, potem zebrał się w sobie, pochylił nad stołem, jakby chciał pokazać swoją twarz niskiemu dermatologowi i powtórzył:

- Jestem Robert Moshevsky, Izrael 1967 rok, major Kabakov, szpital, przyjęcie, pamięta pani?

- Ach, naturalnie! Sierżant Moshevsky! Nie poznałam pana po cywilnemu.

Moshevsky był zakłopotany. Sądził, że użyła słowa „skiv-vies”, którego znaczenie znał. Szybkim spojrzeniem obrzucił swoją garderobę. Wszystko w porządku. Narzeczony Rachel i druga para patrzyli na niego.

- Marc Taubman; to jest Robert Moshevsky, mój dobry przyjaciel - Rachel przedstawiła go

swojemu towarzystwu. - Proszę, niech pan siada, sierżancie.

- Tak, proszę siadać - powiedział Taubman niepewnie.

- Co się takiego... - nagle jej twarz zmieniła się i zapytała: - Czy z Dawidem wszystko w porządku?

- Prawie - odparł Moshevsky, myśląc jednocześnie, że dość tych towarzyskich rozmówek. W instrukcjach, które otrzymał, nie było ani słowa o rozsiadaniu się i gadaniu. Co by na to powiedział Kabakov?! Pochylił się do ucha Rachel:

- Muszę porozmawiać z panią na osobności - zadudnił. - To bardzo pilne - dodał.

- Pozwolisz? - położyła rękę na ramieniu Taubmana, gdy zaczął się podnosić. - To potrwa jedną chwilkę, Marc. Wszystko w porządku.

Po pięciu minutach Rachel wróciła, żeby wywołać Taubmana z sali. A w dziesięć minut później Taubman siedział już sam przy barze, podpierając głowę ręką. Rachel z Moshevskym pędzili do Nowego Jorku; śnieg spływał równymi pasmami z przedniej szyby samochodu.

Gdy skręciła na południe, na Garden State Parkway, śnieg zamienił się w deszcz ze śniegiem i bębnił o dach i przednią szybę kombi Landera, którym jechała. Autostradę posypano piaskiem, ale droga 70, która prowadziła na zachód, do Lakehurst, była śliska. Do domu dojechała o trzeciej nad ranem i wbiegła do środka. Lander nalewał właśnie kawę do filiżanki. Położyła dwugwiazdkowe wydanie „Daily News” na kuchennym blacie, otworzyła na kolumnie fotograficznej. Twarz mężczyzny na noszach była wyraźna. Zdjęcie przedstawiało Kabakova, nie ulegało wątpliwości. Śnieg w jej włosach roztopił się i zimne krople dotarły do skóry na głowie.

- No więc to jest Kabakov, i co z tego? - zapytał Lander.

- Rzeczywiście, co z tego - odezwał się Fasil, wychodząc ze swego pokoju. - Kabakov miał okazję rozmawiać z Muzim, może mieć pana rysopis. Do Muzeju musiał trafić przez statek, a na statku mógł otrzymać również mój rysopis. Mógł jeszcze nie ustalić mojej tożsamości, ale wie o moim istnieniu. Wszystko mu się skojarzy. Widział Dahlię, musi zniknąć.

Lander z brzękiem odstawił filiżankę. - Nie pieprz mi tu, Fasil. Gdyby policja domyślała się czegoś, już by tu byli. Chcesz go zabić po prostu z zemsty. Zastrzelił waszego przywódcę, tak? Wszedł i strzelił mu w tyłek.

- We śnie go zabił. Skradał się...

- Wy mnie naprawdę zdumiewacie. To dlatego Żydzi dają wam systematycznie wycisk; wy tylko wciąż myślicie o zemście, ciągle chcecie im oddać za to, co oni zrobili wam w ubiegłym tygodniu. I chcecie narazić na ryzyko całą naszą akcję jedynie dla zemsty.

- Kabakov musi umrzeć - powiedział Fasil podniesionym głosem.

- I nie tylko o zemstę wam chodzi. Boicie się, że jeśli nie dostaniecie go teraz, kiedy jest ranny - wcześniej czy później on przyjdzie do was w środku nocy.

Słowo „boicie się” zawisło w powietrzu między nimi. Fasil ogromnym wysiłkiem woli powstrzymał się od wybuchu. Arabowi łatwiej połknąć ropuchę niż zniewagę. Dahlia ruszyła spokojnie po dzbanek z kawą, przerywając kontakt wzrokowy z Fasilem. Naląła filiżankę i stanęła opierając się o blat; siedzeniem mocno przyciskała szufladę z nożami do mięsa.

Fasil, pokonując suchość w gardle, odezwał się pierwszy:

- Kabakov to ich najlepszy fachowiec. Jeśli zginie, zastąpi go ktoś inny, ale to już nie będzie to. Proszę sobie pozwolić powiedzieć, panie Lander, że Muziego zlikwidowano wyłącznie dlatego, że widział pana. Widział pańską twarz i pańską... - język Araba potrafi być pełen finezji, jeśli tylko chce. Fasil wahał się tak długo, że Lander z łatwością domyślił się, że następnym słowem miało być słowo „ręka”, ale Fasil zmienił je taktownie na: - poznał pański akcent. Poza tym, czy nie mamy wszyscy blizn po swoich ranach?

Fasil poklepał się po bliźnie na policzku. Lander nie odezwał się, więc Fasil ciągnął dalej:

- Jest więc człowiek, który znał Dahlię z widzenia. Istnieją miejsca, w których może zdobyć jej zdjęcie.

- Gdzie?

- Moje zdjęcie jest w Biurze Rejestracji Cudzoziemców. Tam udawałam kogoś innego, na szczęście. Ale w rocznikach Amerykańskiego Uniwersytetu w Bejrucie...

- W rocznikach szkolnych? Daj spokój, przecież on nigdy...

- Już z tego korzystali, Michael. Wiedzą, że często rekrutują nas spośród studentów uniwersytetów w Bejrucie i Kairze. Często robią zdjęcia, a roczniki wydaje się zazwyczaj, zanim ktoś zaangażuje się w nasz ruch. On będzie szukał i tam.

- Jeśli Dahlia zostanie zidentyfikowana, jej zdjęcie zacznie krążyć - dodał Fasil. - I gdy nadejdzie dzień ataku, jeżeli okaże się, że przybędzie prezydent, wszystko dookoła będzie obstawione tajnymi służbami.

- Prezydent przybędzie, przybędzie, sam zapowiedział.

- Wobec tego tajne służby pojawią się na lotnisku. Może dotrą do jej zdjęcia, do mojego też, mogą też dostać rysopis pana, a wszystko to dzięki Kabakovowi, jeśli zostawimy go przy życiu.

- Nie mogę ryzykować, żeby was złapano - wybuchnął Lander. - A byłbym głupi, gdybym sam poszedł.

- To wcale nie jest potrzebne. Możemy to zrobić za pomocą zdalnego sterowania - powiedziała Dahlia, ale kłamała.

W College Hospital na Long Island Rachel musiała się dwukrotnie legitymować agentom FBI, zanim pozwolono jej pójść z Moshevskym na piętro, tam gdzie leżał Kabakov.

Kabakova zbudziło lekkie skrzypnięcie drzwi. Rachel przeszła przez ciemny pokój, położyła rękę na jego twarzy i czując, jak jego rzęsy podnoszą się, odgadła, że nie śpi.

- Jestem, Dawidzie.

Sześć godzin później Corley wrócił do szpitala. Zaczęły się godziny odwiedzin i krewni pacjentów chodzili po korytarzach z kwiatami, naradzali się, niespokojni, pod drzwiami z napisami: „Odwiedziny zabronione” i „Tu podaje się tlen, zabrania się palić”.

Corley spotkał Moshevsky'ego na ławce, zjadającego hamburgera Big Mac, pod pokojem Kabakova. Obok, na wózku, siedziała może ośmioletnia dziewczynka. Ona też jadła hamburgera.

- Kabakov śpi?

- Kąpie się - odparł Moshevsky z pełnymi ustami.

- Dzień dobry - powiedziało dziecko.

- Dzień dobry. Kiedy skończy się kąpać, Moshevsky?

- Kiedy pielęgniarka skończy go skrobać - odpowiedziało dziecko. - To łaskocze. Czy był pan kiedyś kąpany przez pielęgniarkę?

- Nie. Moshevsky, powiedzcie jej, żeby się pośpieszyła. Muszę...

- Czy chciałby pan ugryźć kawałek hamburgera? Poprosiliśmy z panem Moshevskym, żeby je nam kupiono. Tutaj jest okropne jedzenie. Pan Moshevsky nie pozwolił mi kupić hamburgera dla pana Kabakova. I pan Kabakov powiedział o tym coś brzydkiego.

- Aha - Corley obgryzał paznokcie kciuka.

- Ja też jestem oparzona, jak pan Kabakov.

- Współczuję ci.

Dziewczynka zakołysała się delikatnie na boki w fotelu, żeby dosięgnąć frytek z torebki na kolanach Moshevsky'ego.

Corley otworzył drzwi pokoju, wsunął głowę i szybko powiedział coś pielęgniarce, po czym wycofał się.

- Jeszcze jedna noga - zamruczał pod nosem. - Jeszcze jedna noga.

- Gotowałam i wylałam cały rondel gorącej wody na siebie - poinformowało go dziecko.

- Słucham?

- Powiedziałałam, że gotowałam i poparzyłam się gorącą wodą.

- O, jak mi przykro.

- Powiedziałałam panu Kabakovowi, bo widzi pan, jemu też się to przydarzyło, no więc, powiedziałałam mu, że najwięcej wypadków w domu zdarza się w kuchni.

- Rozmawiałaś z panem Kabakovem?

- No pewnie. Przyglądaliśmy się z jego okna, jak na placu po drugiej stronie ulicy chłopcy grali w baseball. Grają codziennie przed lekcjami. W moim pokoju z okna można zobaczyć tylko ceglana ścianę. Pan Kabakov zna fajne kawały. Chce pan posłuchać?

- Nie, dziękuję, mnie już opowiadał.

- Ja też mam łóżko z namiotem i...

Pielęgniarka wyszła na korytarz, dźwigając pojemnik z wodą.

- Można już wejść.

- Świetnie - powiedziało dziecko.

- Zaczekaj, Dotty - zadudnił Moshevsky. - Zostań ze mną. Nie skończyłaś jeszcze jeść czipsów.

- Frytek - poprawiła dziewczynka.

Corley zastał Kabakova podpartego poduszkami do pozycji siedzącej.

- No, teraz, kiedy jest pan już czysty, możemy pogadać. Mamy pozwolenie na przesłuchanie załogi „Letycji”. Okazuje się, że trzech członków załogi widziało tę łódź. Nikt nie pamięta jej numerów, ale i tak pewnie były fałszywe. Mamy trochę farby, zdrapanej o burtę statku. Została oddana do analizy.

Kabakov wykonał niewielki gest zniecierpliwienia. Corley zlekceważył to i mówił dalej:

Specjaliści od elektroniki rozmawiali z operatorem radaru na kutrze Straży Przybrzeżnej. Ich zdaniem łódź musiała być drewniana. Wiemy na pewno, że jest szybka. Na podstawie opisu pracy silników możemy się domyślać, że ma silniki turboodrzutowe, co z kolei mogłoby znaczyć, że jest to łódź przemytnicza. Wcześniej czy później ustalimy to. Przecież gdzieś ją zbudowano, w jakiejś bardzo dobrej stoczni.

- A co z tym Amerykaninem?

- Nic. Pełno jest takich w naszym kraju. W tej chwili nasz specjalista pracuje z załogą „Letycji”

nad portretem mężczyzny, który wszedł na statek. Niestety, musimy posługiwać się tłumaczem i dlatego idzie to wolno. „Miał świńskie oczka” - takie mniej więcej dają nam opisy. Przyślę naszego artystę do pana, może uda się wam ustalić portret tej kobiety. Laboratorium pracuje nad Madonną.

Kabakov pokiwał głową.

- Więc tak, ewakuację pana mam przygotowaną na 11. 30. O 11. 00 wyruszymy samochodem do portu lotniczego marynarki wojennej na La Guardia...

- Czy mogłabym z panem zamienić słowo, panie Corley - od drzwi odezwała się Rachel. W ręce trzymała klisze prześwietlenia Kabakova i jego historię choroby, a na sobie miała mocno wykrochmalony biały fartuch.

- Mogłem już być w izraelskiej ambasadzie i tam nie mógłby mnie pan tknąć, Corley. Niech pan z nią porozmawia.

Pół godziny później Corley rozmawiał z dyrektorem szpitala, który z kolei porozmawiał z działem informacji szpitala, którego pracownik chciał w ten właśnie piątek wyjść wcześniej do domu. Pracownik włożył notatkę o stanie zdrowia pacjenta pod telefon i szybko zapomniał o całej sprawie.

Stacje telewizyjne, które przygotowywały wiadomości na szóstą po południu, nieco wcześniej dzwoniły w sprawie ofiar różnych wypadków. Powołując się na otrzymaną notatkę, urzędnik odpowiadał, że „pan Kabov został ewakuowany do szpitala wojskowego w Brooke”. Tego dnia było dużo wiadomości i żadna ze stacji nie rozwinęła krótkiej informacji o Kabowie.

„New York Times”, dokładny jak zwykle, przygotował krótką notatkę o przeniesieniu pana Kabova. „Times” zadzwonił ostatni, gdy notatka spod telefonu została już wyrzucona. Pierwsze wydanie „Timesa” ukazuje się na ulicach dopiero o dziesiątej trzydzięci wieczorem. O tej porze Dahlia była już w drodze.

ROZDZIAŁ 12

Z pociągu ekspresowego IRT, który z łoskotem przejechał pod East River i zatrzymał się na stacji Boro Hali College Hospital na Long Island, wysiadło jedenaście pielęgniarek, które miały się stawić na dyżur nocny o jedenastej trzydzieści. Zanim wyszły schodami na ulicę, było ich już dwanaście. Szły zwartą grupą ciemnym brooklyńskim chodnikiem i jedynie na widok cieni odwracały lekko głowy, w błyskawicznym odruchu samoobrony, charakterystycznym dla miejskich kobiet. Jakiś pijak, samotny na ulicy, zataczając się zbliżał się ku nim. Pielęgniarki dostrzegły go z odległości jakichś dwudziestu pięciu jardów i ich torebki natychmiast powędrowały pod pachy; ominęły go z obydwu stron, zostawiając za sobą smugę przyjemnego zapachu pasty do zębów i lakieru do włosów, czym jednak pijak nie mógł się napawać, gdyż miał zatkany nos. Prawie wszystkie okna szpitala były ciemne. Syrena karetki pogotowia zawodziła coraz bliżej i bliżej.

- Grają naszą melodię - odezwała się jedna z kobiet zrezygnowanym tonem.

Ziewający strażnik otworzył szklane drzwi.

- Legitymacje proszę.

Coś tam mrużąc pod nosem, kobiety zaczęły grzebać w torebkach, aż znalazły swoje legitymacje; jedne dla personelu stałego szpitala, inne - żółto-zielone, wydawane przez Uniwersytet Stanowy Nowego Jorku - dla pielęgniarek prywatnych. Była to jedyna kontrola przy wejściu do szpitala.

Strażnik rzucił okiem na legitymacje, jakby liczył uczniów w klasie. Machnął ręką i pielęgniarki rozbiegły się po wielkim budynku, dążąc na swoje stanowiska. Jedna poszła do toalety dla kobiet na wprost wind na parterze. Zgodnie z przewidywaniami, było w niej ciemno. Zapaliła światło i przejrzała się w lustrze. Blond peruka była dopasowana idealnie, a efekt rozjaśnienia brwi wynagrodził trud, jaki sobie zadała, chcąc go uzyskać. Z policzkami wypchanymi tamponami waty, w okularach z fantazyjną oprawką, która zmieniała proporcje jej twarzy, trudno było rozpoznać Dahlię Iyad.

Powiesiła płaszcz w jednej z kabin i z wewnętrznej kieszeni wyjęła małą tackę. Postawiła na niej dwie buteleczki, termometr, plastikową szpatułkę do uciskania języka i papierowy pojemnik na pigułki, przykrywając to wszystko serwetką. Tacka stanowiła jedynie kamuflaż. Istotny element wyposażenia znajdował się w kieszeni jej fartucha. Była to strzykawka do podskórnego zastrzyku, napełniona chlorkiem potasu w ilości zdolnej zatrzymać akcję serca u silnego wołu.

Włożyła na głowę wykrochmalony pielęgniarski czepek i umocowała go spinkami. Jeszcze raz oeniła swój wygląd w lustrze. Niedopasowany, zbyt luźny pielęgniarski strój zniekształcał jej figurę, ale skutecznie osłaniał płaski pistolet automatyczny, który miała zatknięty za gumkę rajstop. Dahlia była zadowolona z całości.

Hol na parterze, gdzie mieściły się biura administracji, był pusty i mroczny; palenie światła ograniczano do minimum, oszczędzając energię.

W miarę jak szła korytarzem, odnotowywała w pamięci kolejne tabliczki - „Rachunkowość”, „Akta”, o, jest - „Informacja o pacjentach”. W okrągłym okienku było ciemno.

Drzwi zabezpieczał zwyczajny zatrzask. Wystarczyło trzydzieści sekund manipulacji plastikową szpatułką, a zasuwę cofnęła się i drzwi stanęły otworem. Następny ruch wymagał poważnego zastanowienia i - chociaż było to wbrew jej instynktownej chęci ukrycia się - Dahlia zapaliła światła zamiast użyć latarki. Jedna po drugiej zapalały się jarzeniówki.

Podeszła do dużego rejestru leżącego na biurku i otworzyła go. Pod literą „K” nie było Kabakova. Będzie więc musiała chodzić od drzwi do drzwi, sprawdzać w dyżurkach pielęgniarek, uważając na strażników, ryzykując ujawnienie mistyfikacji. Zaraz! W telewizyjnych wiadomościach mówiono o Kabowie. W gazetach też występował Kabov. U dołu strony. Tak. D. Kabov, bez adresu. Zapytania prosimy kierować do kierownictwa szpitala. Informacje osobiste u dyrektora szpitala, w biurze ochrony szpitala lub w FBI nr tel. LE-5-7700. Kabov leży w pokoju 327.

Dahlia odetchnęła głęboko i zamknęła rejestr.

- A pani skąd tu się wzięła?

Dahlia odruchowo omal nie podskoczyła, ale jednak nie zrobiła tego, tylko chłodno spojrzała na strażnika, który zaglądał przez okienko dla interesantów.

- Jeżeli chce pan w czymś pomóc - zwróciła się do niego - niech pan zaniesie ten rejestr siostrze przełożonej, to nie będę musiała go taszczyć z powrotem na górę. Waży chyba z dziesięć funtów.

- Jak się pani tu dostała?

- Miałam klucz od siostry przełożonej. - Gdyby poprosił o pokazanie klucza, zabiłaby go.

- W nocy nikt nie ma tu prawa wstępu.

- Jeśli pan chce, proszę zadzwonić na górę i powiedzieć im, że muszę mieć pana pozwolenie, bardzo proszę, niech pan dzwoni. Kazano mi to przynieść i to wszystko. - Gdyby chciał zadzwonić, zabiłaby go. - A co, miałam się panu zameldować, że mnie tu przysłali? Gdybym wiedziała, zrobiłabym to.

- Widzi pani, jestem za to odpowiedzialny. Muszę wiedzieć, kto tu jest. Widzę światło, a nie wiem, kto wszedł. Muszę odejść od drzwi, żeby to sprawdzić. A jeżeli ktoś czeka chcąc wejść? Wtedy mnie ochrzaniają, że nie ma mnie przy drzwiach. Następnym razem niech mi pani powie, że ma pani coś do załatwienia, dobrze?

- Dobrze, oczywiście, przepraszam.

- Tylko proszę dobrze zamknąć i pogasić światła, dobrze?

- Dobrze.

Skinął głową i wolno oddalił się korytarzem.

W pokoju 327 panowała cisza i było ciemno. Tylko światło latarń z ulicy przedostawało się przez żaluzje, rzucając słabe jasne smugi na sufit. Gdy oczy przyzwyczyły się już do ciemności, można było zobaczyć łóżko, zaopatrzone w aluminiową ramę, podtrzymującą nakrycie pacjenta. Na łóżku, pogrążona w głębokim dziecięcym śnie, leżała Dotty Hirschburg; kciukiem ręki dotykała górnej wargi, reszta palców spoczywała na poduszce. Przez całe popołudnie wyglądała na plac zabaw przez okno swojego nowego pokoju i była zmęczona. Przyzwyczyła się już do nocnych wizyt pielęgniarek i nie budziła się za każdym razem, gdy ktoś powoli otwierał drzwi. Kolumna światła na przeciwległej ścianie zrobiła się grubsza, przesłonił ją jakiś cień i znowu stała się cienka, kiedy drzwi cicho zamknięto.

Dahlia Iyad stała oparta plecami o drzwi czekając, aż rozszerzą się źrenice jej oczu. Dzięki światłu z korytarza dostrzegła, że w pokoju nie ma nikogo poza pacjentem; poduszki fotela były jeszcze wgniecione przez czuwającego Moshevsky'ego. Dahlia otworzyła usta, żeby uspokoić oddech. Drugi oddech dobiegał z ciemności. Za nią, na korytarzu, rozległy się kroki pielęgniarki; zatrzymały się - weszła do pokoju naprzeciwko.

Dahlia podeszła cicho do nóg łóżka, okrytego namiotem. Postawiła tackę na stoliku na kółkach i wyjęła strzykawkę z kieszeni. Zdjęła ochraniacz z długiej igły, wcisnęła tłok i na końcu igły pojawiła się kropelka płynu.

Wszystko jedno, gdzie wbije. A więc w tętnicę szyjną. Tylko szybko. Przesunęła się w ciemnościach ku głowie łóżka i ostrożnie poszukała szyi, dotknęła włosów, skóry chorego. Jakie miękkie. Gdzie puls? Tam. Zbyt delikatny. Wszystkimi palcami objęła szyję. Zbyt cienka. Włosy zbyt miękkie, skóra zbyt delikatna, szyja zbyt cienka. Schowała strzykawkę do kieszeni i wyjęła latarenkę w kształcie ołówka.

- Hej! - odezwała się Dotty Hirschburg, mrugając oczami. Chłodne palce Dahlii spoczywały na jej szyi.

- Hej! - odpowiedziała Dahlia.

- To światło razi mnie w oczy. Czy będę miała zastrzyk? Patrzyła niespokojnie na twarz Dahlii oświetloną od dołu. Ręka Dahlii przesunęła się do jej policzka.

- Nie, nie dostaniesz zastrzyku. Czy dobrze się czujesz? Niczego ci nie potrzeba?

- Czy pani chodzi do wszystkich i sprawdza, czy śpią?

- Tak.

- To dlaczego nas pani budzi?

- Żeby się upewnić, że nic wam nie jest. Możesz spać dalej.

- To mi się wydaje głupie - budzić ludzi, żeby sprawdzić, czy śpią.

- Kiedy cię przeniesiono do tego pokoju?

- Dzisiaj. To był pokój pana Kabakova. Moja mama poprosiła, żeby mnie tu przenieśli, żebym mogła patrzeć na plac zabaw.

- Gdzie jest pan Kabakov?

- Wyjechał.

- On był ciężko chory - czy był zakryty, kiedy go wynoszono?

- Pyta pani, czy nie umarł? Ależ nie, tylko ogolili mu głowę w jednym miejscu. A wczoraj oglądaliśmy wspólnie grę w piłkę. Zabrała go pani doktor. Może pojechał do domu.

Dahlia zawahała się na korytarzu. Wiedziała, że nie powinna przeciągać struny. Musi wyjść ze szpitala. Zrezygnować. A jednak prowokowała los dalej. Spędziła kilka minut za dyżurką pielęgniarek, obok lodówki, wrzucając do dzbanka kostki lodu. Przełożona pielęgniarek, cała wykrochmalona, w okularach, ze stalowosiwymi włosami, prowadziła z salową nudną, nie kończącą się nocną rozmowę. W końcu przełożona wstała i ruszyła w drugą część korytarza, wezwana przez siostrę oddziałową.

Dahlia w jednej chwili znalazła się przy jej biurku i zaczęła przerzucać alfabetyczny spis chorych. Nie ma Kabakova. Ani Kabova. Salowa przyglądała się jej. Dahlia odwróciła się do niej.

- Co się stało z pacjentem z pokoju trzysta dwudziestego siódmego?

- Z kim?

- No, z mężczyzną z pokoju trzysta dwudziestego siódmego.

- Tak często się zmieniają, że nie nadażam. Chyba cię nigdy nie widziałam?

- Możliwe. Pracowałam w szpitalu St. Vincent. Była to częściowo prawda - w czasie popołudniowej zmiany ukradła dokumenty jakiejś pielęgniarki ze szpitala St. Vincent na Manhattanie. Musiała szybko skończyć tę rozmowę, nawet jeśli miałyby to wzbudzić podejrzenia tej kobiety.

- Gdyby go przeniesiono gdzie indziej, byłoby to tutaj zaznaczone, prawda?

- Tak, ale na dole, a teraz biuro jest zamknięte. Jeśli nie ma go tu w kartotece, to znaczy, że nie ma go na tym piętrze, a jeśli nie ma go na tym piętrze, to prawdopodobnie nie ma go w ogóle w naszym szpitalu.

- Dziewczyny opowiadały, że kiedy go przywieziono, było dużo zamieszania.

- Tu zamieszanie jest bez przerwy, moja droga. Wczoraj, na przykład, koło trzeciej nad ranem, przyszła jakaś lekarka i zażądała jego zdjęć rentgenowskich. Musiałam iść na górę i otworzyć pracownię radiologiczną. Pewnie przewieźli go w dzień, kiedy już zeszedłem z dyżuru.

- Jak się nazywa ta pani doktor?
- Nie wiem. Uparła się, że musi mieć te zdjęcia.
- A pokwitowała ich odbiór?
- Na górze, jak wszyscy, musiała podpisać, że je zabiera. Wracała przełożona. Teraz szybko.
- Radiologia jest na czwartym?
- Na piątym.

Przełożona rozmawiała z salową, gdy Dahlia wchodziła do windy. Drzwi zamknęły się. Dahlia nie widziała, że dziewczyna skinieniem głowy wskazała drzwi windy. Nie widziała, jak zmienił się wyraz twarzy przełożonej, gdy przypomniła sobie instrukcję z poprzedniej nocy, i jak szybko sięgnęła po telefon.

W izbie przyjęć odezwał się radiotelefon przypięty do pasa policjanta Johna Sullivan.

- Stul gębę! - powiedział Sullivan do klnącego pijaka, którego trzymał jego kolega. Po czym odpiął radiotelefon i odpowiedział na wezwanie.
- Przełożona pielęgniarek z drugiego piętra, Emma Ryan, melduje o podejrzanej osobie, która prawdopodobnie znajduje się w pracowni radiologicznej na piątym piętrze. Biała, włosy blond, lat około dwudziestu siedmiu, bliżej trzydziestki, ubrana w strój pielęgniarski - poinformował Sullivan dyspozytor okręgu. - Strażnik będzie na ciebie czekał koło wind. Siedem-jeden w drodze.
- Dziesięć-cztery - i Sullivan wyłączył się.
- Jack, przypnij tego drania do ławki i pilnuj schodów, dopóki siedem-jeden nie przyjedzie. Ja idę na górę. Strażnik czekał z pękiem kluczy.
- Zablokuj wszystkie windy z wyjątkiem pierwszej - polecił Sullivan. - Idziemy.

Dahlia nie miała najmniejszych kłopotów z zamkiem do pracowni radiologicznej. Zamknęła za sobą drzwi. W ciągu jednej chwili znalazła się przy masywnym stole do prześwietleń z pionowym rentgenoskopem. Pchnęła jeden z ciężkich, ołowianych ekranów na kółkach pod drzwi z matowym szkłem i zapaliła latarkę w kształcie ołówka. Wąska smuga przesunęła się po zwiniętej wężownicy z barem, goglach i rękawiczkach wiszących obok rentgenoskopu. Rozległ się słaby dźwięk syreny. Karetka? Policja? Rozejrzała się szybko. Te drzwi - to ciemnia. Całe pomieszczenie było zastawione wielkimi szafami kartoteki. Szuflada na kółkach wysuwa się z hałasem - klisze w kopertach. Mały pokój, biurko, rejestr. Kroki na korytarzu. Krążek światła na stronach. Przewrócić stronę, jeszcze. Zapisy z wczorajszą datą. Strona z podpisami i numerami chorób. Nazwisko kobiety. Sprawdzić godziny, lewa kolumna, czwarta rano, numer choroby, nazwiska chorego brak, prześwietlenie zabrała doktor Rachel Bauman. Brak podpisu stwierdzającego zwrot.

Kroki zatrzymują się pod drzwiami. Brzęk kluczy. Pierwszy nie pasuje. Wrzucić perukę razem z

okularami za szafę z kartotekami. Drzwi uderzają w ołowiany ekran. Wchodzą zwalisty policjant i strażnik.

Dahlia Iyad stała przed włączoną przeglądarką. Klisza prześwietlenia płuc przypięta była do oświetlonego ekranu przeglądarki, żebra odbijały się na przemian jasnymi i ciemnymi pasami na jej stroju. Kiedy odwróciła głowę w stronę mężczyzn, cienie kości odbiły się na jej twarzy. Policjant stał z wyciągniętą bronią.

- Słucham, panie oficerze? - odezwała się Dahlia i udając, że dopiero zauważyła pistolet, dodała: - Boże, czy coś się stało?

- Proszę się nie ruszać - Sullivan wolną ręką szukał przełącznika. W pokoju rozbrzmiało światło i Dahlia zobaczyła szczegóły, których nie dostrzegła w mroku. Policjant szybko rozejrzał się po pokoju.

- Co pani tu robi?

- Oczywiście przeglądam zdjęcia.

- Czy jest tutaj jeszcze ktoś?

- Już nie. Ale kilka minut wcześniej była tu pielęgniarka.

- Blondynka pani wzrostu?

- Tak, chyba tak.

- Dokąd poszła?

- Nie wiem. A co się stało?

- Właśnie chcemy to ustalić.

Strażnik zajrzał do pomieszczeń połączonych z pracownią rentgenowską i wrócił przecząco kręcąc głową. Policjant przyglądał się Dahlii. Coś mu się w niej nie podobało, ale nie był w stanie określić co. Powinien ją przeszukać i sprowadzić na dół, pokazać pielęgniarce, która złożyła meldunek. Powinien zabezpieczyć to piętro. Powinien porozumieć się ze swoim kolegą. Ale pielęgniarki posiadają jakąś umiejętność wytwarzania czystej atmosfery wokół siebie. Nie chciał dotykać rękoma białego uniformu. Nie chciał obrażać pielęgniarki. Ani też wyjść na durnia, zakładając jej kajdanki.

- Będzie pani musiała z nami pójść na parę minut. Musimy zadać pani kilka pytań.

Skinęła głową. Sullivan schował broń, ale nie zapiął paska zabezpieczającego. Polecił strażnikowi sprawdzić wszystkie inne drzwi na korytarzu i odpiął od pasa radiotelefon.

- Sześć-pięć, sześć-pięć.

- Tak, John - usłyszał w odpowiedzi.

- W pracowni zastałem jakąś kobietę, mówi, że była tu poszukiwana i wyszła.

- Tylne i główne wejście zabezpieczone. Chcesz, żebym przyjechał na górę? Jestem teraz na drugim piętrze.

- Ja z nią zjadę na drugie. Niech przełożona będzie z tobą.

- John, przełożona mówi, że o tej porze w pracowni rentgenowskiej nie powinno być nikogo.

- Kto tak powiedział? - zapytała Dahlia zaczepnie. - Ona... też coś...

- Idziemy. - Szedł za nią do windy, nie spuszczać jej z oka, z kciukiem zgiętym w futerale. W windzie stanęła przy tablicy z przyciskami. Drzwi się zamknęły.

- Drugie? - spytała.

- Sam przycisnę - zdjął rękę z kabury, by sięgnąć do przycisku.

Dłoń Dahlii ukradkiem zbliżyła się do przełącznika światła. Ciemność w windzie, odgłos stóp walących o podłogę, skrzypienie futerału, jęk bólu, przekleństwo, odgłosy mocowania się, chrapliwy, ciężki oddech, zapalające się kolejno światełka w ciemnej windzie.

Na drugim piętrze kolega Sullivana obserwował zmieniające się światełka nad drzwiami windy. Drugie - czekał; nie zatrzymała się. Pierwsze - stanęła.

Zaskoczony, wcisnął guzik „do góry” i czekał, aż podjedzie.

Drzwi otworzyły się.

- John? O Boże, John!

Policjant John Sullivan siedział oparty o ścianę windy, z otwartymi ustami, szeroko rozwartymi oczami, a z jego szyi zwisała, niczym banderilla, igła od strzykawki.

Dahlia biegła. Długi korytarz pierwszego piętra kołysał się w jej oczach, chłostały ją światła nad głową; mijając zdumionych sanitariuszy wpadła za róg, do magazynu z bielizną. Narzuciła na siebie jasnozielony chirurgiczny fartuch, upchnęła włosy pod czapkę lekarską, wokół szyi zawiązała płócienną maskę. Teraz na dół, do izby przyjęć, na końcu korytarza na parterze. Idzie wolno, spostrzegła trzech policjantów; rozglądają się jak aportujące psy. Na krzesłach siedzą przygnębieni krewni. Słysząc wycie pociętego nożem pijaka. Ofiary niewielkich bójek czekają na opatrzenie. Jakaś niska Portorykanka siedzi na ławce z twarzą ukrytą w dłoniach i szlocha. Dahlia podeszła do niej, usiadła obok, objęła pulchną, małą kobietę.

- No tenga miedo - zagadała.

Kobieta spojrzała na nią, w brunatnej twarzy błysnął złoty ząb.

- Julio?

- Będzie zdrowy. Proszę iść ze mną, proszę. Przejdziemy się trochę, zaczerpnie pani świeżego powietrza, poczuje się lepiej.

- Ale...

Cicho teraz, proszę mnie posłuchać.

Pomogła wstać kobiecie, która wsparta wygodnie na jej ramieniu stała jak dziecko z wyдутym brzuchem, w rozlatujących się butach.

- Mówiłam mu, dziesięć razy mu mówiłam.

- Nie trzeba się martwić.

Poprowadziła ją w kierunku bocznego wyjścia z izby przyjęć. Przed drzwiami stał gliniarz. Wielkie chłopisko, pocące się w niebieskiej koszuli.

- Dlaczego nie wrócił do domu? Dlaczego to się zawsze musi kończyć bójką?

- Będzie dobrze. Może zmówi pani różaniec? Usta kobiety poruszały się. Policjant ani drgnął. Dahlia spojrzała na niego.

- Panie oficerze, tej pani potrzebne jest świeże powietrze. Czy mógłby pan z nią trochę pospacerować?

Kobieta miała opuszczoną głowę, jej usta poruszały się w modlitwie. Po drugiej stronie sali słychać było trzaski radiotelefonów. Lada chwila rozlegnie się alarm. Martwy gliniarz.

- Nie mogę odejść od drzwi, proszę pani. To wyjście jest zamknięte.

- To może ja mogłabym z nią wyjść na kilka minut? Tutaj zaraz zemdleje.

Kobieta mruzczała pod nosem, przebierając paciorki różańca grubymi, brunatnymi palcami. Policjant otarł sobie kark. Miał dużą, pokierszowaną twarz. Kobieta zatoczyła się na Dahlię.

- Hm, jak się pani nazywa?

- Jestem doktor Yizzini.

- Dobrze, pani doktor. - Policjant oparł się całym ciałem o drzwi. Zimne powietrze owiało ich twarze. Chodnik i cała ulica mieniły się błyskami czerwonego światła z policyjnych wozów. Tylko nie uciekać, naokoło policja.

- Proszę głęboko oddychać - powiedziała. Kobieta kiwała głową. Zatrzymała się żółta taksówka. Wysiadł z niej jakiś lekarz, stażysta. Dahlia dała znak taksówkarzowi i zatrzymała praktykanta.

- Wchodzi pan do szpitala?

- Tak.

- Czy mógłby pan wprowadzić z powrotem tę panią? Dziękuję.

Kilka przecznic dalej, na Gowanus Parkway, Dahlia oparta o siedzenie z głową odchyloną do tyłu, z zamkniętymi oczami, powiedziała do siebie: „Naprawdę się o nią martwię”.

Policjant John Sullivan nie był martwym gliniarzem, jeszcze nie - ale był bliski śmierci. Jego kolega, klęcząc w windzie z uchem przytkniętym do jego klatki piersiowej, słyszał jakieś niewyraźne szmery pod żebrami. Odwrócił go i ułożył płasko na podłodze windy. Jej drzwi zaczęły się zamykać, więc zablokował je butem. Emma Ryan nie na darmo była przełożoną pielęgniarce. Ręką upstrzoną wątrobowymi plamami zablokowała windę i głośno wezwała zespół wypadkowy. Potem uklękła nad Sullivanem, obrzuciła go od góry do dołu bystrym spojrzeniem szarych oczu i zabrała się do masażu serca; jej zaokrąglone plecy unosiły się i opadały rytmicznie.

Policjant robił w tym czasie sztuczne oddychanie usta-usta. Po chwili zastąpiła go salowa, a on mógł wreszcie nadać alarm drogą radiową; ale najcenniejsze minuty były już stracone.

Nadbiegły pielęgniarki z noszami na kółkach. Podniosły ciężkie ciało i ułożyły je na noszach; Emma Ryan zaskoczyła wszystkich niespodziewaną siłą. Wyrwała igłę z szyi Sullivana i wręczyła ją pielęgniarce. Igła przebiła skórę policjanta w dwóch miejscach, pozostawiając czerwone ślady jak po ukąszeniu żmii. Część dawki rozprysnęła się na ścianie windy, kiedy koniec igły wyszedł na zewnątrz. Płyn spłynął po ścianie, tworząc malutką kałużę na podłodze.

- Sprowadź doktora Fielda, trzeba dać mu środki podtrzymujące - poleciła pielęgniarce. I zwróciła się do drugiej:

- Weź próbkę krwi po drodze! No, jedziemy!

Nie minęła minuta, gdy Sullivan był już podłączony do sztucznego płuco-serca na oddziale intensywnej terapii, pod okiem doktora Fielda. Mając wynik badania krwi i analizę moczu oraz tackę ze środkami pobudzającymi, doktor Field zajął się Sullivanem. Będzie żył. Przywróci go życiu.

ROZDZIAŁ 13

Próbie zabójstwa policjanta w Nowym Jorku można porównać z próbą dotknięcia anakondy zapalonym papierosem. Śmietankę policyjną Nowego Jorku ogarnia wtedy fala okrutnego i gwałtownego gniewu. Zabójca gliny nie ma ani chwili spokoju, nie zapomną o nim, nigdy mu nie wybaczą. Zaniepokojenie w kołach dyplomatycznych i w Departamencie Sprawiedliwości wywołane udanym zamachem na Kabakova mogło się skończyć co najwyżej konferencją prasową burmistrza i komisarza policji, przemówieniami i apelami przywódców okręgu wyborczego Brooklynu, no i wyteżoną pracą dwudziestu, trzydziestu wywiadowców. Z chwilą jednak, gdy igła utkwiała w szyi Johna Sullivana, ponad trzydzieści tysięcy policjantów z pięciu okręgów zgłosiło gotowość zajęcia się tą sprawą.

Kabakov, mimo protestów Rachel, opuścił łożo boleści, które przygotowała dla niego w gościnnym pokoju i następnego dnia w południe znalazł się przy łóżku Sullivana. Gniew już miał za sobą, rozpacz zdławił. Sullivan był na tyle silny, że mógł się posłużyć albumem identyfikacyjnym; widział kobietę z przodu i z profilu, w dobrym świetle. Wspólnie, za pomocą albumu i policyjnego rysownika, Kabakov, Sullivan i strażnik szpitalny stworzyli portret bardzo przypominający Dahlię Iyad. O trzeciej po południu, kiedy policjanci się zmieniali, wszystkie patrole, wszyscy wywiadowcy dostali kopię tego portretu. Wczesne wydanie „Daily News” reprodukowało go na drugiej stronie. Sześciu policjantów z wydziału identyfikacji i czterech urzędników z Urzędu do Spraw Imigracji i Naturalizacji, zaopatrzonych w kopię portretu pamięciowego kobiety, sprawdzało kartoteki Arabów.

O związku incydentu w szpitalu z Kabakovem wiedzieli jedynie Emma Ryan - przełożona pielęgniarek, agenci FBI zajmujący się sprawą i najwyżsi funkcjonariusze nowojorskiego Departamentu Policji. Emma Ryan umiała trzymać język za zębami.

Waszyngton, jak również wszystkie agencje stojące na straży prawa nie życzyły sobie wzniecania lęku przed terroryzmem. Nie chciano, aby środki masowego przekazu mieszały się do spraw, które mogą mieć tak tragiczny finał jak ta. Policja podała do publicznej wiadomości, że w szpitalu znajdują się zarówno narkotyki, jak i cenne radioaktywne pierwiastki i że intruz właśnie tego mógł poszukiwać. Nie zadowolilo to całkowicie prasy, ale w natłoku nowojorskich wydarzeń dziennikarze mogą zapomnieć o tym, co działo się wczoraj. Władze żywiły nadzieję, że za kilka dni zainteresowanie środków masowego przekazu osłabnie.

Dahlia również miała nadzieję, że za kilka dni gniew Landera osłabnie. Był wściekły, kiedy zobaczył jej portret w gazecie i dowiedział się, co zrobiła. Przez chwilę sądziła, że ją zabije. Potulnie kiwała głową, gdy zabronił jej jakichkolwiek dalszych zamachów na Kabakova. Fasil nie wychodził ze swojego pokoju przez dwa dni.

Rekonwalescencja Dawida Kabakova u Rachel Bauman stała się dla niej dziwnym, niemal surrealistycznym przeżyciem. Jej mieszkanie było jasne i panował w nim niemal przesadny ład, a on wszedł do niego jak posiwiały kocur, który wraca do domu po bójce w deszczu. Rozmiary i proporcje jej pokoi i mebli zmieniły się, gdy znaleźli się w nich Kabakov i Moshevsky. Jak na tak potężnych mężczyzn, robili niewiele hałasu. Z początku Rachel przyjmowała to z ulgą, ale później zaczęło ją to trochę niepokoić. W naturze duże rozmiary i cisza to groźna kombinacja. Kombinacja

zapowiadająca zagładę.

Moshevsky starał się dostosować ze wszystkich sił. Po tym, jak kilka razy przestraszył Rachel, nagle pojawiając się w kuchni z tacą, zaczął zapowiadać swoje pojawienie się chrząkaniem. Przyjaciele Rachel z mieszkania po przeciwnej stronie korytarza wyjechali na Wyspy Bahama, zostawiając jej klucze. Kiedy nie mogła już dłużej znieść chrapania Moshevsky'ego na kanapie, zainstalowała go w ich mieszkaniu. Kabakov z jednym wyjątkiem - wyprawy do Sullivana - posłusznie stosował się do jej zaleceń w sprawie leczenia. Z początku niewiele rozmawiali. Nie wrócili do przyjacielskich pogwarek - Kabakov wydawał się być myślami daleko, a ona nie chciała mu przeszkadzać.

Rachel zmieniła się od czasu Wojny Sześciodniowej, ale tylko pod jednym względem. Stała się bardziej sobą, wszystkie jej dawne cechy jakby się jeszcze utrwaliły. Prowadziła rozległą praktykę, jej życie było uporządkowane. Jeden, dwóch mężczyzn przez te lata. Dwa narzeczeństwa. Obiady w ekskluzywnych, wynajdywanych przez jej partnerów miejscach, w których szefowie kuchni składają skromny podpis na banalnych potrawach w postaci bogatego ugarniowania. Żaden z tych związków nie naruszył jej istoty. Mężczyzn, którzy mogli rozpalić w niej ogień, odtrącała. Pozwalała sobie na jeden luksus - ale za to najwyższy - luksus dobrej pracy, i to ją podtrzymywało na duchu. Zgłaszała się do różnych zajęć, jak sesje terapeutyczne dla ludzi zwolnionych z więzień, całkowicie i warunkowo, albo dla dzieci z zaburzeniami psychicznymi. W czasie październikowej wojny w 1973 roku pracowała w Mt. Sinai Hospital na dwie zmiany, aby umożliwić wyjazd do Izraela jednemu z lekarzy, posiadającemu świeższe niż ona doświadczenie chirurgiczne.

Zewnętrznie szybko się starzała. W czasie sobotnich zakupów takie domy handlowe jak Bloomingdale's, Bonwit Teller, Lord & Taylor, Sachs były dla niej wyrocznią. Gdyby nie z lekka prowokujące akcenty, podpatrzone na ulicy, wyglądałaby jak przykładna żydowska matrona, ubrana kosztownie, nieco opóźniona w stosunku do najświeższej mody. Przez pewien czas wyglądała na kobietę trzydziestoletnią, walczącą z wiekiem za pomocą akcesoriów córki. Później przestała się w ogóle przejmować tym, co nosi i przylgnęła do spokojnej codziennej sukni do pracy, o której nie musiała myśleć. Coraz dłużej pracowała, a jej mieszkanie było coraz lepiej wysprzątane i czyste. Płaciła wygórowaną pensję sprzątacze, która pamiętała, gdzie co leżało i odkładała wszystko dokładnie w to samo miejsce.

A teraz pojawił się Kabakov, który szperał między książkami na półkach, godzinami przeżuując kawałek salami. Miała wrażenie, że cieszy go oglądanie każdej rzeczy i odkładanie jej nie tam, skąd ją wziął. Nie miał zwyczaju wkładania rannych pantofli i zapinania bluzki od piżamy. Starła się nie patrzeć na niego.

Jego stan przestał już budzić jej obawy. On też - na to wyglądało - powoli zapominał o wstrząsie. W miarę ustępowania zawrotów głowy ich stosunki zmieniały się; bezosobowy stosunek lekarz-pacjent, który starła się podtrzymać, nabierał bardziej osobistego charakteru.

Kabakov odkrył, że towarzystwo Rachel działa na niego łagodząco. Odczuwał przyjemną potrzebę myślenia, kiedy rozmawiali. Zdarzało mu się mówić rzeczy, o których wcześniej nie wiedział, że je wie czy czuje. Lubił na nią patrzeć. Była długonoga, kanciasta, a jej uroda miała znamiona czegoś trwałego. Kabakov postanowił powiedzieć jej o swojej misji, a ponieważ lubił ją, z

trudem przychodziło mu to. Całe lata uważał na to, co mówi. Wiedział, że kobiety na niego działają, a samotność związana z wykonywanym zawodem kusiła, żeby opowiadać o swoich problemach. Rachel udzieliła mu pomocy, kiedy jej potrzebował, nie zadając niepotrzebnych pytań. Została wciągnięta w jego sprawy i może jej teraz grozić niebezpieczeństwo - wizyta morderczynie w pracowni rentgenologicznej najlepiej o tym świadczy.

Ale nie poczucie sprawiedliwości czy przekonanie, że ona ma prawo wiedzieć, przywiodło go do chęci zwierzenia się jej. Kierował się bardziej praktycznymi względami. Rachel posiadała najwyższej klasy umysł, który mógł mu się przydać. Prawdopodobnie jednym ze spiskowców był Abu Ali - psycholog. Rachel była psychiatrą. Pośród terrorystów była kobieta. Rachel była kobietą. Jej znajomość niuansów ludzkiego zachowania się oraz fakt, że wraz ze swoją wiedzą jest wytworem amerykańskiej kultury, może jej ułatwić konstruktywny wgląd w sprawę. Kabakov uważał, że sam potrafi myśleć jak Arab, ale czy umie myśleć jak Amerykanin? Czy w ogóle można się nauczyć myśleć jak Amerykanin? Kabakov uważał Amerykanów za ludzi pełnych sprzeczności. Gdyby Amerykanie żyli tutaj, na tej ziemi, dłużej, być może mieliby własny sposób myślenia.

Siedzieli w słońcu przy oknie, ona zakładała mu opatrunek na oparzoną nogę, on objaśniał jej sytuację. Zaczął od faktu, że komórka Czarnego Września ukrywa się gdzieś na północnym wschodzie, gotowa uderzyć za pomocą olbrzymiej ilości plastiku; przypuszczalnie pół tony lub więcej. Wyłożył punkt widzenia Izraela, który sprowadzał się do tego, że on, Kabakov, bezwzględnie musi powstrzymać terrorystów. Na koniec dodał coś o względach humanitarnych. Skończyła bandażowanie i siedziała na dywanie ze skrzyżowanymi nogami, słuchając, co mówi. Od czasu do czasu spoglądała na niego i zadawała jakieś pytania. Przeważnie widział tylko czubek jej pochylonej głowy i przedziałek we włosach. Zastanawiał się, jak ona to przyjmuje. Nie potrafił odgadnąć, co myślała teraz, gdy śmiertelna walka zrodzona na Bliskim Wschodzie, której była świadkiem, dotarła tu, do tego bezpiecznego miejsca.

Właściwie Rachel odczuła ulgę ze względu na samego Kabakova. Zawsze chciała poznać szczegóły. Chciała wiedzieć dokładnie, co się wydarzyło i co kto powiedział, zwłaszcza tuż przed wybuchem w mieszkaniu Muziego. Była zadowolona, gdy przekonała się, że odpowiada szybko i konsekwentnie. Kiedy pytano go w szpitalu o ostatnie wspomnienia, jego odpowiedzi brzmiały mgliście i Rachel nie była pewna, czy jest to celowe uchylanie się od odpowiedzi, czy skutek urazu głowy. Jej niechęć do zadawania konkretnych pytań przeszkadzała w ocenie jego stanu. Teraz szczegółowe pytania służyły dwóm celom. Po pierwsze, chciała wiedzieć, czy on spodziewa się od niej pomocy, po drugie - zależało jej na zbadaniu jego reakcji emocjonalnych. Sprawdzała, czy jej pytania nie wywołują rozdrażnienia, które wskazywałoby na zespół Korsakowa albo zespół amnezjno-konfabulacyjny, będący częstym następstwem wstrząsu.

Zadowolona z jego cierpliwości i jasnych odpowiedzi, skoncentrowała się na uzyskanej informacji. Kiedy skończył opowiadać, był kimś więcej niż pacjentem, a ona sama stała się kimś w rodzaju współnika. Kabakov zakończył swoją opowieść pytaniami, które go dręczyły: kim był Amerykanin? Gdzie nastąpi uderzenie terrorystów? Czuł się dziwnie zawstydzony, jakby widziała go płaczącego.

- Ile lat miał Muzi? - zapytała spokojnie Rachel.

- Pięćdziesiąt sześć.

- I jego pierwsze słowa brzmiały: „Najpierw przyszedł jakiś Amerykanin”?

- Właśnie tak. - Kabakov nie miał pojęcia, do czego Rachel zmierza. Na razie miał dość tej rozmowy.

- Chcesz znać moje zdanie? Skinął głową.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa ten twój Amerykanin to przedstawiciel rasy białej z grupy kaukaskiej, nie-semickiej, w wieku około trzydziestu lat.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem, tylko się domyślam. Muzi był w średnim wieku. A ludzie w jego wieku określają osoby, które opisałam wcześniej, słowem Amerykanin. Prawdopodobnie, gdyby Amerykanin, którego zobaczył, był czarny, to by o tym wspomniał. Użyłby określenia oznaczającego rasę. Czy cały czas rozmawialiście po angielsku?

- Tak.

- Gdyby ta osoba była kobietą, przypuszczalnie użyłby określenia „kobieta” albo „Amerykanka”. Mężczyzna w wieku Muziego, z jego pochodzeniem etnicznym, nie określiłby Amerykanina pochodzenia arabskiego czy żydowskiego jako Amerykanina. Należy wyłączyć kobiety, osoby semickiego lub latynoskiego pochodzenia, bo we wszystkich tych przypadkach słowo „American” pełni rolę przymiotnika. Rzeczownik „American” odnosi się tylko do mężczyzn rasy białej, nie należących do żadnej mniejszości narodowej. Może wyrażam się zbyt pedantycznie, ale tak jest naprawdę.

Kabakov w rozmowie telefonicznej z Corleyem powtórzył mu to, co usłyszał od Rachel.

To nam zawęży liczbę podejrzanych do zaledwie czterdziestu milionów ludzi - ucieszył się Corley. - Nie, no, oczywiście, wszystko może pomóc.

Sprawozdanie Corleya z poszukiwań łodzi nie brzmiało zachęcająco. Agenci Urzędu Celnego i policja nowojorska sprawdziły wszystkie baseny jachtowe na City Island. Policja z Nassau i Suffolk sprawdziła wszystkie baseny jachtowe w Long Island. Policja stanowa New Jersey przepytowała wszystkich właścicieli przystani wzdłuż całego wybrzeża. Agenci FBI odwiedzili najlepsze stocznie jachtowe, takich legendarnych skutników jak Rybovich, Trumpy i Huckins, a także stocznie mniej znane, w których rzemieślnicy nadal budują drewniane łodzie. Żadna, z nich nie rozpoznała zbiegłej jednostki. - Łodzie, łodzie, łodzie - powtarzała sobie Rachel. Kabakov patrzył przez okno na padający śnieg, a Rachel przygotowywała obiad. Usiłował coś sobie przypomnieć, zmierzając ku temu nie wprost, lecz jakby bokiem, po omacku. Technika zastosowana do wysadzenia Muziego w powietrze dręczyła go bezustannie. Gdzie coś takiego zdarzyło się wcześniej? W jakimś raporcie, jednym z tysięcy, które przeszły przez jego biurko w ciągu minionych pięciu-sześciu lat, wymieniono bombę w łódźce. Przypomniawszy sobie, że raport był w brunatnej teczce, ze zszytym grzbietem. To by

oznaczało, że widział go przed 1972 rokiem, w którym Mossad zmienił wiązania opraw na takie, które umożliwiają przechowywanie mikrofilmów. I jeszcze jedno wspomnienie wróciło do niego - notatki w sprawie różnych technik zakładania min-pułapek, którą na jego polecenie przed laty rozesłano do jednostek komandosów. Zawierała opis działania wyłącznika ręcznego - tak modnego u fedainów - oraz dodatek o urządzeniach elektrycznych.

Właśnie układał telegram do kierownictwa Mossadu, wykorzystując strzępki danych, które odtworzył w pamięci, gdy nagle przypomniał sobie: Syria, 1971 rok. Pewien agent Mossadu ginie w wyniku wybuchu w jednym z domów w Damaszku. Ładunek nie był duży, ale lodówka została zniszczona. Przypadek? Kabakov zadzwonił do konsulatu izraelskiego i podyktował telegram. Urzędnik przyjmujący telegram zwrócił mu uwagę, że w Tel-Awiwie będzie czwarta rano.

- To jest 0200 Zulu we wszystkich naszych placówkach na 162

świecie, przyjacielu - powiedział Kabakov. - Nigdy nie zamykamy. Nadaj ten telegram.

Zimna grudniowa mżawka kłuła twarz i szyję Moshevsky'ego, który czekał na rogu, żeby złapać taksówkę. Przepuścił trzy dodge'e, zanim pojawiło się to, na co polował - wielki wóz z szachownicą, który z trudem przeciskał się w porannym tłoku. Chodziło o dużo miejsca, żeby Kabakov nie musiał zginać chorej nogi. Moshevsky kazał kierowcy zatrzymać się przed domem Rachel, w połowie drogi między dwiema przecznicami. Kabakov wyszedł kuśtykając, wgramolił się do taksówki i usiadł obok Moshevsky'ego. Podał kierowcy adres izraelskiego konsulatu.

Kabakov wypoczywał, tak jak mu to Rachel zaleciła. Ale teraz zacznie działać. Mógł zadzwonić do ambasadora Telia z mieszkania, ale jego sprawa wymagała najbezpieczniejszego telefonu - stacji szyfrowej. Zamierzał prosić Tel-Awiw, aby zasugerował Departamentowi Stanu zwrócenie się o pomoc do Rosjan. Prośbę Kabakova powinien przekazać Tell. Nie w smak mu było zwracanie się do Rosjan; jego zawodowa duma cierpiała. I choć wiedział i niby akceptował to, że w tym momencie nie może sobie pozwolić na zawodową dumę - nie czuł się z tym dobrze.

Od wiosny 1971 roku sowiecki Komitet Gosudarstwiennoj Bezopasnosti, sławetne KGB, posiadał specjalną sekcję, która zajmowała się udzielaniem technicznej pomocy Czarnemu Wrześniowi za pośrednictwem wywiadu al-Fatah. Kabakov zamierzał zastukać do tych drzwi.

Zdawał sobie sprawę, że Rosjanie nie zechcą pomóc Izraelowi, ale wobec rozluźnienia napięcia w stosunkach Wschód-Zachód sądził, iż mogliby pomóc Stanom Zjednoczonym. Prośba musi wyjść od Amerykanów, ale Kabakov nie może zasugerować tego posunięcia bez zgody Tel-Awiwu. I właśnie dlatego, że nienawistna jest mu myśl pytania o zgodę, zamierza sam podpisać pismo do Tel-Awiwu, uwalniając od odpowiedzialności Telia.

Kabakov postanowił przysiąc, że plastik pochodzi od Rosjan, bez względu na to, jak jest naprawdę. Może Amerykanie też przysięgną. To powinno wyrzucić presję na Rosjan.

Po co tak duża ilość materiałów wybuchowych? Czy ta ilość oznacza jakąś szczególnie sprzyjającą okazję w tym kraju? Przy rozwiązaniu tego problemu KGB mogło być przydatne.

Komórka Czarnego Września w Ameryce zostanie teraz odcięta nawet od swojego partyzanckiego dowództwa w Bejrucie. Piekielnie trudno będzie ją znaleźć. Po opublikowaniu portretu kobiety terrorystki zagrzebią się głęboko w swojej norze. Musieli być gdzieś blisko - zbyt szybko zareagowali po wybuchu. Cholerny Corley nie obstawił szpitala! Niech szlag trafi tego skurwysyna!

Co zaplanowano w kierownictwie Czarnego Września w Bejrucie i kto w tym brał udział? Najeer. Najeer nie żyje. Ona ukrywa się. Abu Ali? Ali nie żyje. Nie ma jak się upewnić, czy Ali też był w to wmieszany, ale to bardzo prawdopodobne, jako że był jednym z niewielu ludzi na świecie, którym Najeer ufał. Ali był psychologiem. O, Ali potrafił wiele rzeczy! - Ale po co im był psycholog? Ali nigdy już nie odpowie na to pytanie.

Kim był ten Amerykanin? Kim był Libańczyk, który przywiózł materiały wybuchowe? Kto wysadził w powietrze Muziego? Czy kobieta, która przysłała do szpitala, żeby go zabić, jest tą samą kobietą, którą widział w Bejrucie?

Taksówkarz podjechał swoim wielkim wozem pod sam krawężnik wilgotnego chodnika i podskakując na wybojach, zahamował gwałtownie przy pierwszych czerwonych światłach. Moshevsky ze zrezygnowaną miną wygramolił się z tylnego siedzenia i usiadł z przodu, obok kierowcy.

- Tylko bez podskakiwania i wstrząsów.

- Dlaczego? - zapytał kierowca. - Czas to pieniądz, kolego. Moshevsky nachylił się do niego konfidencjonalnie.

- A co mnie wstrzyma przed przetrąceniem twojego pieprzonego karku? Właśnie dlatego.

Kabakov spoglądał nieobecny wzrokiem na tłumy śpieszące chodnikiem. Był sam środek popołudnia i zaczynało się ściemniać. Co za miejsce! Miejsce, w którym jest więcej Żydów niż w Tel-Awii. Wyobraził sobie, jak żydowscy emigranci opuszczali swoje kraje, stłoczeni na statkach, przeganiani przez Ellis Island, wielu traciło nazwiska, kiedy półanalfabeci - urzędnicy imigracyjni bazgrząc wpisywali im w dokumentach wjazdowych jakieś „Smith” czy „Jones”. Wyrzuceni z Ellis Island w ponure popołudnie na tę zimną skałę, gdzie nie było nic za darmo z wyjątkiem tego, co mogli sobie ofiarować nawzajem. Rozbite rodziny, samotni mężczyźni.

Co się działo z samotnym mężczyzną, który umierał, zanim zdołał wywalczyć sobie tutaj miejsce i ściągnąć rodzinę? Samotny mężczyzna. Kto odprawiał nad nim sziwę - sąsiedzi?

Plastikowa Madonna na tablicy rozdzielczej taksówki sprawiła, że Kabakov z poczuciem winy wrócił myślami do spraw, które go nurtowały. Przymykając oczy na chłodne popołudnie, zaczął myśleć o całej sprawie od samego początku, to jest od misji do Bejrutu, która w końcu przywiodła go tutaj.

Przed akcją w Bejrucie odbyła się odprawa, w której brał udział. Izraelczycy wiedzieli, że w określonym domu w Bejrucie mają być obecni Najeer i Abu Ali, ale zakładali, że mogą się tam

znaleźć również inni wyżsi funkcjonariusze Czarnego Września. Kabakov tak dokładnie studiował teczki przywódców, którzy mieli znaleźć się w Libanie, że znał wszystko na pamięć. Nawet teraz widział te materiały, ułożone w porządku alfabetycznym na swoim biurku.

Pierwszy, Abu Ali. Abu Ali, który zginął w zamachu w Bejrucie, nie miał żadnej rodziny poza żoną, a ona również zginęła. On - samotny mężczyzna! Zanim myśl do końca wykielkowała, zaczął stukać w plastikową przegrodę oddzielającą kierowcę od tylnej części wozu. Moshevsky odsunął szybę.

- Powiedz mu, żeby tutaj zahamował.

- Aha, teraz pan chce, żebym zahamował - odezwał się kierowca przez ramię.

Moshevsky wyszczerzył zęby.

- Dobrze, już dobrze, hamuję.

Konsulat Izraela i Misja przy ONZ mieszczą się w budynku z białej cegły przy Second Avenue 800 na Manhattanie. System zabezpieczający jest tu precyzyjny i dobrze przemyślany. Przez chwilę Kabakov wściekle miotał się po holu, wreszcie szybko udał się do sekcji łączności.

Zakodowany telegram do Tel-Awiwu w sprawie Abu Alego został potwierdzony w niecałą minutę. Wprowadził on w ruch subtelne mechanizmy. W piętnaście minut później przysadzisty młody człowiek opuścił budynek Mossadu i udał się na lotnisko w Lód. Poleci na Cypr, do Nikozji, zmieni paszport i złapie następny lot do Bejrutu. Kiedy już znajdzie się w stolicy Libanu, pójdzie przede wszystkim na kawę do małej kawiarenki z doskonałym widokiem na śródmiejski posterunek policji, gdzie - miejmy nadzieję - przez przepisany prawem okres powinien się znajdować numerowany karton z dobytkiem Alego. Właśnie on zgłosi się po jego odbiór.

Kabakov rozmawiał z Tellem przez stację szyfrową pół godziny. Ambasadora nie zdziwiły żądania Kabakova, aby okrężną drogą zdobyć pomoc Rosjan. Kabakov miał wrażenie, że Joachim Tell w ciągu całego swojego życia niczemu się nie dziwił. Kiedy się żegnali, Kabakov miał wrażenie, iż wyczuł w jego głosie cień sympatii. Czy rzeczywiście? Kabakov poczerwieniał i statecznie pomaszerował ku drzwiom sekcji łączności. W rogu pokoju terkotał telex i głos urzędnika zatrzymał go w drzwiach. Właśnie nadeszła odpowiedź na jego pytanie w sprawie bombardowania w Syrii w 1971 roku.

Bombardowanie miało miejsce 15 sierpnia, podał telex. Akurat w tym czasie al-Fatah prowadziła wielką akcję werbunkową w Damaszku. Wiadomo było, że w Damaszku przebywają trzech organizatorzy tej akcji:

- Fakhri al-Amari, szef grupy, która zamordowała premiera Jordanii Wasfi el-Tel i wypiła jego krew. Amari podobno przebywa teraz w Algierii.

- Abdel Kadir, który w Izraelu ostrzelał z bazooki autobus szkolny; zginął w 1973 roku, kiedy jego fabryka bomb koło Cheikh Saad wyleciała w powietrze. Telex dodawał, że niewątpliwie

Kabakovowi nie trzeba odświeżać pamięci w sprawie śmierci Kadira, bo był przy niej obecny.

- Muhammad Fasil alias Yusuf Halef alias Sammar Tufiq. Najprawdopodobniej pomysłodawca zbrodni w Monachium, człowiek najusilniej poszukiwany przez Mossad. Z najnowszych ustaleń wynika, iż działał ostatnio w Syrii. Według danych Mossadu w czasie bejruckiej akcji Kabakova Fasil przebywał w Damaszku, ale wedle ostatnich - jeszcze nie potwierdzonych - doniesień, ostatnie trzy tygodnie spędził w Bejrucie. Wywiad izraelski nagli wszystkich swoich informatorów o podanie miejsca jego pobytu.

Zdjęcia, wraz z negatywami, el-Amari i Fasila zostaną przesłane via satelita do ambasady izraelskiej w Waszyngtonie i przekazane Kabakovowi. Kabakov skrzywił się. Jeśli przysyłają negatywy to znaczy, że zdjęcia są złe; tak złe, że nie będzie z nich wiele pożytku po przekazie elektronicznym. No, ale to jednak jest coś. Szkoda, że nie mógł zaczekać i zapytać o Rosjan. Muhammad Fasil - mruknął Kabakov. - Tak, to przedstawienie w twoim stylu. Mam nadzieję, że tym razem przybyłeś tu osobiście.

Wyszedł w deszcz, żeby wrócić do Brooklynu. Moshevsky i trójka Izraelczyków pod jego kierunkiem przeczesali wszystkie bary, lokale szybkiej obsługi, salony i kantory gier w Cobble Hill w poszukiwaniu greckiego pomocnika Muziego. Może ten Grek widział Amerykanina. Kabakov wiedział, że ten teren należy do FBI, ale jego ludzie nie wyglądali na policjantów, nie rzucali się w oczy w etnicznej mieszaninie, jaka zamieszkiwała dzielnicę i mogli podsłuchiwać rozmowy w kilku językach. Kabakov zainstalował się w biurze Muziego, przeglądając niewiarygodną ilość papierzysk pozostawionych przez importera w tej szcurzej norze, w nadziei, iż znajdzie bodaj strzęp informacji o Amerykaninie albo o kontaktach Muziego z Bliskim Wschodem. Jakies imię, miejsce, cokolwiek. Jeśli istniał chociaż jeden człowiek między Istambułem a Zatoką Adeńską, który znał cel akcji Czarnego Września w Stanach Zjednoczonych, i Kabakov poznałby jego nazwisko, gotów był porwać go albo zginąć, usiłując tego dokonać. Wczesnym wieczorem odkrył, że Muzi prowadził co najmniej trzy książki rachunkowe, ale nie dowiedział się niczego więcej. Zmęczony, wrócił do mieszkania Rachel. Czekwała na niego. Wyglądała jakby trochę odmieniona i patrząc na nią, Kabakov przestał czuć się zmęczony. Całodniowa rozłąka uświadomiła im coś jasno.

Niemal niepostrzeżenie zostali kochankami. Ich dalsze zbliżenia zaczynały się i kończyły z wielką delikatnością, jakby obawiali się, że mogliby rozerwać kruchy namiot, jakim uczucia otoczyły ich łóżko.

- Jestem głupia - powiedziała kiedyś w chwili wytchnienia. - Ale nie dbam o to, że jestem głupia.

- Mnie to naprawdę nie przeszkadza, jeżeli jesteś głupia - powiedział Kabakov i dodał: - Chcesz cygaro?

Ambasador Tell zadzwonił o siódmej rano, kiedy Kabakov brał prysznic. Rachel otworzyła drzwi łazienki i zawołała go po imieniu. Kabakov wyszedł szybko, mijając Rachel w drzwiach. Owinięty ręcznikiem kuśtykał do telefonu. Rachel pilnie zajęła się swoimi paznokciami.

Kabakov był niespokojny. Jeśli ambasador ma jakąś wiadomość na temat Rosjan, nie powinien

używać tego telefonu. Głos Telia był opanowany i bardzo rzeczowy.

- Majorze, otrzymaliśmy zapytania o pana z „The New York Times”. A także niewygodne pytania w sprawie incydentu na „Letycji”. Chciałbym, żeby pan do mnie przyszedł. Będę wolny zaraz po trzeciej, jeżeli to panu odpowiada.

- Dobrze, będę.

Na wycieracze pod drzwiami znalazł „Times’a”.

Strona pierwsza: MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH IZRAELA PRZYBYŁ DO WASZYNGTONU NA ROZMOWY BLISKOWSCHODNIE. - To przeczytam później. KOSZTY UTRZYMANIA. GENERAL MOTORS WYCOFUJE FURGONETKI. Strona druga: - O, do diabła, jest: ARAB TORTUROWANY PRZEZ IZRAELSKICH AGENTÓW, OŚWIADCZYŁ KONSUL.

Autorka: Margaret Leeds Finch.

„W ubiegłym tygodniu w porcie nowojorskim na pokładzie libijskiego statku handlowego izraelscy agenci przesłuchiwali i torturowali libańskiego marynarza, po czym marynarz ten został aresztowany przez amerykańską służbę celną pod zarzutem przemytu - oświadczył we wtorek wieczorem konsul libański.

W ostro sformułowanym proteście, skierowanym do Departamentu Stanu USA, konsul Yusuf el-Amedi oświadczył, iż pierwszy oficer na frachtowcu «Letycja», Mustafa Fawzi, został poddany elektrycznym wstrząsom i pobity przez dwóch mężczyzn podających się za Izraelczyków. Konsul stwierdził, że nie wie, czego szukali agenci i odmówił wyjaśnień na temat tajemniczego przemytu, o który został oskarżony Fawzi.

Rzecznik Izraela stanowczo zaprzeczył tym twierdzeniom oświadczając, że zarzuty są «niezręczną próbą wzniesienia antyizraelskich nastrojów ».

Lekarz z Departamentu Więziennictwa Carl Gillette oświadczył, że badał Fawziego w Federalnym Areszcie Śledczym na West Street i nie znalazł śladów pobicia.

Konsul Amedi twierdzi, że Fawzi został zaatakowany przez majora Dawida Kabakova z Izraelskich Sił Obronnych i jeszcze jednego nie zidentyfikowanego mężczyznę. Kabakov ma powiązania z ambasadą izraelską w Waszyngtonie.

«Letycja» została zaaresztowana... ”

Kabakov przeczytał pobieżnie resztę artykułu. Władze celne milczały na temat śledztwa na „Letycji” i dziennikarze jeszcze nie wiedzieli - dzięki Bogu - nic o Muzim.

Ma pan oficjalny rozkaz powrotu do kraju - poinformował go ambasador.

Kącik ust Kabakova drgnął. Miał uczucie, jakby dostał cios w żołądek. Tell końcem pióra przesunął papiery na swoim biurku.

- Wiadomość o aresztowaniu Mustafy Fawziego przekazano rutynowo konsulowi libańskiemu, jako że Fawzi jest obywatelem Libanu. Adwokata wyznaczył konsul. Działa on najwidoczniej zgodnie z zaleceniami Bejrutu i gra na sprawie Fawziego jak na organach. Libijczycy zostali powiadomieni o wszystkim, bo statek należy do Libii. A skoro raz padło pańskie nazwisko, nie mam wątpliwości, iż al-Fatah wzmogła czujność, a wraz z nią i pułkownik Kadafi, oświecony libijski mąż stanu. Nie widziałem zeznania podpisanego zapewne przez Fawziego, ale domyślam się, że jest barwne. I sugestywnie przedstawia szczegóły anatomiczne. Czy pan go bił?

- Nie musiałem.

- Libańczycy i Libijczycy będą protestować, dopóki nie zostanie pan odwołany. Przymuszalnie dołączą do nich Syryjczycy. Kadafi ma w kieszeni niejednego arabskiego dyplomatę. Wątpię, czy któryś z nich wie, dlaczego się pan tu znajduje, no, może z wyjątkiem Kadafiego.

- A co mówi amerykański Departament Stanu? - Kabakov poczuł się nagle chory.

- Nie życzą sobie dyplomatycznego zgiełku wokół tej sprawy. Chcą ją stłumić w zarodku. Oficjalnie przestał pan być mile widzianym przedstawicielem Izraela w Stanach Zjednoczonych.

- Idioci z tłustymi gębami! Zaslugują, żeby... - Kabakov klepnął się dłonią w usta.

- Jak panu wiadomo, majorze, Narody Zjednoczone wyraziły w tym tygodniu poparcie dla ruchu Zjednoczonej Republiki Arabskiej potępiającego Izrael za akcje przeciwko obozom fedainów w Syrii w ubiegłym miesiącu. Nie należy pogarszać sytuacji inną drażliwą sprawą.

- A gdybym zrezygnował ze swojego pełnomocnictwa i otrzymał zwyczajny paszport? Tel-Awiv mógłby się do mnie nie przyznawać, gdyby to było konieczne.

Ambasador Tell nie słuchał go. - Kusi mnie taki obraz sytuacji - Arabom udaje się ich plan, Boże broń, Amerykanie wpadają wtedy we wściekłość i podwajają swoją pomoc dla Izraela. Obaj - i pan, i ja - wiemy, że tak się nie stanie; wszyscy uznają za oczywiste, że ten koszmar wydarzył się właśnie dlatego, że Stany Zjednoczone pomagały Izraelowi. Ponieważ zaangażowały się w następną brudną małą wojnę. Po Indochinach Ameryka ma dość angażowania się w wojny, podobnie jak Francuzi, i to jest zrozumiałe. Nie byłbym zaskoczony, gdyby al-Fatah uderzyła na Paryż, jeśli Francuzi sprzedadzą nam Mirage.

Tak czy owak, jeżeli tutaj się coś wydarzy, rządy arabskie po raz czterechsetny odżegnają się od al-Fatah, a Kadafi II przekaże tej organizacji kilka milionów dolarów. Stany Zjednoczone nie mogą sobie pozwolić na zbyt długie boczenie się na Arabów. Brzmi to strasznie, ale Ameryce będzie wygodnie złożyć winę wyłącznie na al-Fatah. Ten kraj zużywa zbyt wiele ropy, żeby mogło być inaczej.

Jeśli Arabom się uda, mimo że próbowaliśmy ich powstrzymać, nasza sytuacja nie będzie taka zła. Gdybyśmy jednak przestali pomagać Amerykanom - nawet na wyraźne żądanie Departamentu Stanu - a Arabom by się powiodło, o, to wtedy okaże się, że to nasza wina. Aha, przy okazji, wiem już, że Amerykanie nie zwrócą się do rosyjskiego wywiadu o pomoc, bo sprawa dotyczy Bliskiego

Wschodu. Otrzymaliśmy wiadomość z Departamentu Stanu, że Bliski Wschód jest „strefą nieustannego napięcia na linii Wschód-Zachód” i wystąpienie z takim żądaniem jest niemożliwe. Nie chcą przyznać się przed Rosjanami, że CIA nie potrafi sama zdobyć takiej informacji. Ale miał pan rację, że chciał pan spróbować tej drogi, Dawidzie.

- A tu, proszę - Tell podał Kabakovowi telegram z kierownictwa Mossadu. - Ta sama informacja została przesłana do pana do Nowego Jorku.

Telegram informował, że Muhammada Fasila widziano w Bejrucie nazajutrz po akcji Kabakova. Na policzku miał ranę podobną do tej, jaką opisywał Mustafa Fawzi, pierwszy oficer na „Letycji”.

- Muhammad Fasil - powiedział Tell spokojnie - najgorszy z nich wszystkich.

- Nie zamierzam...

- Poczekaj, poczekaj, Dawidzie. Nadeszła chwila całkowitej szczerości. Czy zna pan kogoś, w Mossadzie czy gdzie indziej, kto jest lepiej przygotowany do prowadzenia tej sprawy niż pan?

- Nie, sir.

Kabakov chciał powiedzieć, że gdyby nie zabrał taśmy w Bejrucie, nie przesłuchał Fawziego, gdyby nie przeszukał kabiny na statku, nie sprawdził dzienników pokładowych, nie zaskoczył Muziego, nie wiedzieliby nic. A powiedział tylko: „Nie, sir”.

- Takie jest również nasze zdanie. - Na biurku Telia zadzwonił telefon.

- Tak? Za pięć minut - Tell odwrócił się znów do Kabakova. - Panie majorze, proszę się zameldować w sali konferencyjnej na pierwszym piętrze. Może pan przy okazji poprawić krawat.

Kołnierzyk koszuli wpijał się w szyję Kabakova. Miał uczucie, jakby się dusił i przed wejściem do sali konferencyjnej zatrzymał się na chwilę, aby wziąć się w garść. Może attache wojskowy odczyta mu rozkaz powrotu do kraju. Na nic by się zdały protesty. Zaraz, co Tell mówił o opinii ambasady? Jeżeli będzie musiał wrócić do Izraela, to wróci, ale na Boga, wtedy partyzanci w Syrii i Libanie pożałują, że nie został w Stanach.

Kabakov otworzył drzwi. Szczupły mężczyzna stojący przy oknie odwrócił się.

- Proszę wejść, majorze Kabakov - odezwał się minister spraw zagranicznych Izraela.

Po piętnastu minutach Kabakov znalazł się znów na korytarzu, usiłując stłumić uśmiech. Samochód ambasady powiózł go w kierunku National Airport. Przy stanowisku samolotu El Al na międzynarodowym lotnisku Kennedy'ego znalazł się dwadzieścia minut przed rozkładowym lotem 601 do Tel-Awiwu. Margaret Leeds Finch z „Times'a” zaczęła się przy kontuarze. Zadawała mu pytania, gdy oddawał bagaż, a potem przechodził obok wykrywacza metali. Odpowiadał uprzejmymi monosylabami. Szła za nim przez wejście dla pasażerów, machając pracownikom lotniska legitymacją prasową, i dalej, aż do schodków pasażerskich, pod same drzwi samolotu; tam dopiero została uprzejmie, ale stanowczo zatrzymana przez służbę bezpieczeństwa El Al.

Kabakov minął pierwszą klasę, potem sekcję turystyczną, następnie skręcił do kuchenki, gdzie właśnie ładowano gorące obiady. Uśmiechając się do stewardesy, wyszedł przez otwarte drzwi wprost na podniesioną skrzynię wozu dostawczego. Skrzynia opadła i samochód wrócił do garażu. Kabakov wyskoczył i wsiadł do samochodu, w którym czekali na niego Corley i Moshevsky.

Kabakov został oficjalnie wydalony ze Stanów Zjednoczonych. Nieoficjalnie - właśnie wrócił.

Od tej chwili musi zachować niezwykłą ostrożność. Jeden fałszywy krok i jego kraj zostanie skompromitowany. Kabakov zastanawiał się, o czym mówiło się z Sekretarzem Stanu na obiedzie u ministra spraw zagranicznych. Nigdy nie pozna szczegółów, ale problem musiał zostać omówiony bardzo dokładnie. Instrukcje dla niego brzmiały tak samo jak poprzednio: powstrzymać Arabów. Jego ludzi, z wyjątkiem Moshevsky'ego, wydalono. Kabakov miał być ex officio doradcą Amerykanów. Był pewien, że ostatnia część instrukcji nie była dyskutowana podczas obiadu; gdyby trzeba było działać, a nie tylko doradzać, miał się postarać, żeby nie pozostawiać nieprzyjaznych świadków.

W drodze na Manhattan panowała w samochodzie pełna napięcia cisza. W końcu przerwał ją Corley:

- Przykro mi, że się tak stało, stary przyjacielu.

- Nie jestem twoim starym przyjacielem, stary przyjacielu - odpowiedział spokojnie Kabakov.

- Urząd Celny zobaczył ten kawałek plastiku i palił się, aby się dorwać do tych facetów. Sami musieliśmy się nimi zająć.

- Nie ma sprawy, Corley. Jestem tu, żeby wam pomóc, stary przyjacielu. Proszę, spójrz na to. - I Kabakov wręczył mu jedno ze zdjęć otrzymanych w ambasadzie. Było jeszcze wilgotne, prosto z ciemni.

- Kto to jest?

- Muhammad Fasil. Masz, czytaj jego akta.

Corley gwizdnął. - Monachium! Skąd masz pewność, że to jest on? Załoga „Letycji” nie zidentyfikuje go. Mogę się założyć, że adwokat tak im poradzi.

- Nie będą wcale musieli go identyfikować. Czytaj. Fasil był w Bejrucie na drugi dzień po naszej akcji. Powinniśmy go byli dostać z innymi, ale nie spodziewaliśmy się, że tam będzie. Na policzku ma ślad po kuli. Libańczyk na frachtowcu miał bliznę biegnącą przez policzek. Tak twierdzi Fawzi.

Zdjęcie wykonano w kawiarni w Damaszku, przy bardzo kiepskim świetle i było niewyraźne.

Jeżeli masz negatyw, możemy poprawić jego jakość za pomocą komputera w NASA - powiedział Corley - w taki sam sposób, jak robią to ze zdjęciami z Marinera. - Corley przerwał na chwilę i zapytał: - Czy rozmawiał z tobą ktoś z Departamentu Stanu?

- Nie.

- Ale „twoi” rozmawiali, co?

- Corley, „moi” zawsze ze mną rozmawiają.

- O tym, że masz działać za naszym pośrednictwem? Że ty jesteś od myślenia, a my od roboty, zgadza się?

- Zgadza się, bracie.

Samochód podrzucił Kabakova i Moshevsky'ego pod gmach Misji Izraelskiej. Poczekali, aż zniknął im z oczu i złapali taksówkę do domu Rachel.

- Przecież Corley i tak wie, gdzie mieszkamy, nie? - zapytał Moshevsky.

- Tak, ale nie chcę, żeby sukinkot myślał, że może wpadać, kiedy tylko będzie miał ochotę - powiedział Kabakov. Gdy to mówił, nie myślał ani o Corleyu, ani o mieszkaniu Rachel. Jego myśli zajmował jeden człowiek -- Fasil, Fasil, Fasil.

Muhammad Fasil leżał na łóżku w gościnnym pokoju na parterze u Landera i też był głęboko pogrążony w myślach. Namiętnie lubił szwajcarską czekoladę i teraz właśnie się nią zajadał. Na polu walki jadał proste potrawy fedainów, ale gdy był sam lubił gnieść kawałek czekolady między palcami, aż się rozpuszczała. Wtedy zlizywał ją z palców. Fasil miał kilka takich słabostek, którym oddawał się w samotności.

Był skłonny do pewnej powierzchownej namiętności, potrafił też okazywać wzruszenie, ale czuło się, że nie ma w tym głębi. Nie znaczyło to, oczywiście, że brakło mu głębi, nie; był zimny do głębi i ta chłodna głębia kryła mroczne, okrutne sprawki, które walczyły i gryzły się nawzajem w ciemności. Fasil bardzo wcześnie poznał samego siebie. Niestety, również jego szkolni koledzy poznali się na nim i został sam. Miał wspaniały refleks, był masywny i silny. Nie wiedział co to strach ani litość i był zły. Żywy dowód na to, że fizjonomika jest fałszywą nauką. Szczupły i przystojny, był potworem.

Rzecz szczególna, ale jedynie ludzie albo bardzo prymitywni, albo przeciwnie, ci najbystrzejsi, potrafili go od razu rozgryźć. Fedaini podziwiali go na odległość i chwalili jego postawę w ogniu walki, nie wiedząc, że jego opanowanie to coś innego niż odwaga. Z analfabetami i całkowitymi ignorantami, z tymi przeżuwaczami baraniny, gryzącymi pestki przy ognisku, nie mógł się zadawać. Ci pełni przesądów mężczyźni mieli swoje instynkty na wierzchu. W jego towarzystwie rychło zaczynali się czuć nieswojo i jak tylko pozwalały na to maniery, szybko odchodzili. Gdyby pewnego dnia przyszło mu stanąć na ich czele, musiałby najpierw rozwiązać ten problem.

Tak samo było z Abu Alim. Ten niewysoki, mądry mężczyzna, psycholog, zanim poznał dogłębnie Fasila, przebył okrężną, długą drogę w swoim umyśle. Pewnego razu, kiedy siedzieli przy kawie, Ali opowiedział swoje najdawniejsze wspomnienie - był to obraz jagnięcia, chodzącego po rodzinnym domu. Potem poprosił Fasila, by i on opowiedział o swoim najdawniejszym wspomnieniu.

Fasil odpowiedział, że pamięta, jak matka zabijała kurczaka trzymając jego głowę w ogniu. Dopiero później zorientował się, że nie była to taka sobie, jałowa rozmowa. Na szczęście Abu Ali nie mógł mu zaszkodzić w oczach Hafeza Najeera, gdyż sam Najeer był dostatecznie niezwykły. Śmierć Najeera i Alego pozostawiły lukę w kierownictwie Czarnego Września, a Fasil zamierzał ją wypełnić. Z tego właśnie powodu chciał jak najprędzej wrócić do Libanu. Ponieważ fedaini prowadzili politykę wzajemnego wyniszczania, Fasil obawiał się, że ewentualny rywal mógłby pod jego nieobecność zdobyć zbyt silną pozycję. Po masakrze w Monachium Fasil cieszył się wielkim autorytetem w ruchu. Czyż prezydent Kadafi osobiście nie uściskał go, gdy ocaleli bojownicy przybyli do Trypolisu, żeby powitać bohatera? Wprawdzie Fasil uważał, że władca Libii uściskał ludzi, którzy byli w Monachium, jakby nieco bardziej gorąco niż jego, Fasila, który tę akcję zaplanował, ale Kadafi zdecydowanie był pod wrażeniem. Czy Kadafi w nagrodę za Monachium nie ofiarował al-Fatah pięciu milionów dolarów? To też było zasługą Fasila. Jeśli akcja w czasie Wielkich Rozgrywek się powiedzie, jeśli Fasil sobie będzie mógł przypisać za to zasługę, wtedy stanie się najpopularniejszym partyzantem w świecie, nawet bardziej znanym niż ten idealista Guevara. Fasil wierzył, iż wtedy mógłby liczyć na poparcie Kadafiego i libijskiego skarbcza przejmując kierownictwo Czarnego Września, a z czasem mógłby nawet zająć miejsce Yasira Arafata, jako najwyższy przywódca al-Fatah.

Fasil doskonale wiedział, że wszyscy, którzy próbowali zastąpić Arafata, już nie żyli. Dlatego potrzebny był mu czas na zbudowanie bezpiecznej bazy, aby w chwili przejęcia władzy wkroczyli równocześnie do akcji mordercy Arafata.

Gdyby dał się zabić w Nowym Orleanie, jego śmierć nie posłużyłaby sprawie.

Początkowo nie zamierzał brać udziału w akcji; po Monachium już nie. Nie dlatego, żeby się bał, ale prześladowała go myśl, kim mógłby się stać, gdyby przeżył. I gdyby nie kłopoty na „Letycji”, nadal byłby w Libanie.

Fasil rozumiał, że najnowszy plan akcji stwarza minimalną, jeśli w ogóle jakąkolwiek szansę, aby mógł wyjść czysty z Nowego Orleanu. Do niego należało zorganizowanie ludzi do osłony Landera i Dahlii na lotnisku w Lakefront w czasie mocowania bomby do sterowca. Nie było możliwości przeprowadzenia tej operacji gdzie indziej, ponieważ niezbędna była przy niej obsługa naziemna lotniska oraz maszt cumowniczy sztywno unieruchamiający sterowiec w czasie ich pracy. Lander mógłby wprawdzie przez kilka najważniejszych sekund zagadać obsługę oświadczając, że skorupa zawiera jakiś tajemniczy sprzęt telewizyjny, ale podstęp szybko by się wydał. Doszłoby do użycia siły, a po odlocie sterowca Fasil zostałby sam na otwartej przestrzeni lotniska, być może w zacieśniającym się kręgu policji. Uważał, że rola, jaką otrzymał w tej akcji, jest grubo poniżej jego możliwości. Gdyby Ali Hassan nie zginął na frachtowcu, otrzymałby tę właśnie funkcję. W każdym razie taka rola z pewnością nie mogłaby usprawiedliwić śmierci Muhammada Fasila.

Gdyby nie schwytano go na lotnisku, najlepszym wyjściem byłaby ucieczka porwanym samolotem do jakiegoś zaprzyjaźnionego kraju. Ale z lotniska nad jeziorem Pontchartrain, które stanowiło własność prywatną, nie odlatywały samoloty pasażerskie dalekiego zasięgu. Mógłby wprawdzie porwać prywatny samolot zdolny dolecieć na Kubę, ale to nic nie da. Nie może liczyć na to, że Kuba zapewni mu azyl. Fidel Castro jest nieubłagany wobec porwaczy, a w obliczu gniewu Ameryki mógłby wydać Fasila Amerykanom. Ponadto nie będzie miał samolotu pełnego

zakładników, a żaden prywatny samolot nie jest dość szybki, aby zbiec przed amerykańskimi myślicami, które wystartują z sześciu nadbrzeżnych baz.

Nie, nie ma ochoty runąć do Zatoki Meksykańskiej w wypełnionej dymem kabinie pilota, ze świadomością, że wszystko skończone z chwilą, w której rozbije się o wodę. To by było głupie. Fasil był na tyle fanatykiem, że gotów był umrzeć w razie potrzeby za cenę satysfakcji, ale nie miał ochoty umierać głupio.

Gdyby udało mu się jakoś wymknąć i przez całe miasto dotrzeć do lotniska międzynarodowego w Nowym Orleanie, to też niewiele by dało. Z Nowego Orleanu nie ma lotów o tak dużym zasięgu jak lot do Libii bez lądowania celem uzupełnienia paliwa, a szansę na to, że udałoby mu się zatankować, były nikłe.

W Ministerstwie Wojny zawrzałyby tak, jak kiedyś po Pearl Harbor. Fasil przypomniał sobie wypowiedziane wówczas słowa japońskiego admirała: „Obawiam się, że zbudziliśmy śpiącego olbrzyma i wyzwoliliśmy w nim straszliwą determinację”.

A gdyby nawet udało mu się wystartować, dopadliby go zaraz po lądowaniu dla zatankowania paliwa. Najprawdopodobniej, na czas wybuchu, ruch w powietrzu zostałby wstrzymany. Dla Fasila było jasne, że jego miejsce znajduje się w Bejrucie, na czele nowej armii bojowników frontowych, którzy zgromadzą się przy nim po tym sukcesie. Złą przysługę oddałby sprawie, gdyby umarł w Nowym Orleanie.

A więc sumując, było oczywiste, że Lander miał kwalifikacje, aby doprowadzić sprawę do końca. Kiedy go zobaczył, uwierzył, że on naprawdę chce to zrobić. Wydaje się, że Dahlia ma nad nim kontrolę. Pozostał jedynie problem pomocy w ostatniej chwili, na lotnisku. Jeśli Fasil rozwiąże ten problem, jego obecność nie będzie konieczna. Będzie mógł wtedy czekać w Bejrucie z mikrofonem w ręku. W ciągu kilku minut, dzięki połączeniu satelitarnemu z Nowym Jorkiem, jego obraz i oświadczenie znajdą się w telewizji światowej. Będzie mógł wystąpić na konferencji prasowej. W ciągu jednej chwili stanie się najgroźniejszym Arabem na świecie.

Wystarczy wprowadzić pod rozkazy Dahlii kilku doświadczonych strzelców, nieświadomych swojej roli do chwili wkroczenia do akcji na lotnisku. To da się zorganizować. Fasil podjął decyzję. Dotrwa do ostatniego etapu montowania bomby, dopilnuje, aby dotarła do Nowego Orleanu i wtedy wyjedzie.

Dla Fasila tempo pracy Landera nad olbrzymią bombą było irytująco powolne. Lander zażądał maksymalnej ilości materiału wybuchowego, jaką sterowiec może udźwignąć w idealnych warunkach atmosferycznych. Nie spodziewał się, że dostanie tyle, ile żądał. Ale skoro miał już ten plastik, postanowił go w pełni wykorzystać. Problemem był ciężar i pogoda; pogoda 12 stycznia w Nowym Orleanie. Sterowiec może latać w każdych warunkach; w których można rozgrywać mecze piłki nożnej. Ale deszcz oznacza dodatkowe obciążenie, a w Nowym Orleanie spadło w zeszłym roku siedemdziesiąt siedem cali wody, dużo więcej, niż wynosi średnia krajowa. A nawet rosa, pokrywając wielką powłokę, zmniejsza siłę udźwigu sterowca o siedemset funtów wagi. Lander obliczył nośność bardzo dokładnie i zamierza wycisnąć ze sterowca ile się da, kiedy już wzniesie się w górę ze swym śmiertelnym jajem. W pogodny dzień może liczyć na efekt „przegrzania”; udźwig

większa się, jeśli hel wewnątrz balonu jest cieplejszy od powietrza na zewnątrz. Ale musi się przygotować również na opady, w przeciwnym razie deszcz może wszystko zepsuć. Zanim będzie gotów do startu, obsługa naziemna zostanie prawdopodobnie zastrzelona, a wkrótce potem nadleci desant z powietrza. Sterowiec musi odlecieć, i to odlecieć natychmiast. Uwzględniając możliwość deszczu, Lander podzieli kadłub tak, by można było zostawić jego część. Jaka szkoda, rozmyślał Lander, że Aldrich nie wykorzystał nadwyżki sterowców marynarki wojennej i poprzestał na mniejszych. Lander latał na sterowcach marynarki wojennej, które przewoziły sześć ton lodu, wielkie tafle, które ślizgały się na boki i spadały połyskliwą, kruchą kaskadą, gdy wchodził w cieplejsze powietrze. Ale tamte sterowce, dawno wymarłej generacji, były ośmiokrotnie większe niż statek Aldricha.

Równowaga kadłuba musi być niemal doskonała; albo całości, albo przynajmniej dwóch trzecich. Oznaczało to fakultatywne rozmieszczenie punktów mocujących na ramie. Zmiany te zabrały nieco czasu, ale nie tak wiele, jak obawiał się Lander. Do Wielkich Rozgrywek Pucharowych zostało niewiele ponad miesiąc. Z tego ostatnie dwa tygodnie będzie musiał stracić na oblatywanie meczów piłkarskich. Zostanie siedemnaście dni roboczych. A więc jest jeszcze trochę czasu na dopracowanie szczegółów.

Ułożył na stole gruby kawałek włókna szklanego o wymiarach pięć na siedem cali i półtora cala. Szkło było wzmocnione metalową siatką i zakrzywione z dwóch stron; do złudzenia przypominało kawałek skóry arbuza. Lander rozgrzał kawałek plastiku i ukształtował z niego plaster takiej samej wielkości, starannie zbierając plastik ze środka i pogrubiając końce.

Następnie przykleił wymodelowany plastik do wypukłej strony włókna szklanego. To, co powstało, wyglądało jak wypaczona książka z okładką tylko po jednej stronie. Na plastik położył trzy warstwy ceraty wyciętej ze szpitalnego materaca. Na to dopiero szedł kawałek lekkiego płótna, najeżonego pociskami.

Przyklejał je płaskimi podstawami, gęściej niż gwoździe na łożu fakira. Jeśli mocno naciągnęło się płótno na wypukłym szkłe, pociski odchylały się lekko. I właśnie aby uzyskać to odchylenie, szklana rama była wypukła z jednej strony. To było konieczne, jeżeli pociski miały się rozproszyć w określony z góry sposób. Lander starannie opracował krzywe balistyczne. Kształt pocisków będzie stabilizował je w locie, podobnie jak stalowe strzały używane w Wietnamie.

Nałożył jeszcze trzy warstwy płótna oklejone pociskami. W sumie zużył dziewięćset czterdzieści cztery naboje. Z odległości niemal sześćdziesiąt metrów, jak obliczał, pokryją obszar tysiąca stóp kwadratowych; jeden pocisk przypadnie na powierzchnię 1,07 stopy kwadratowej i osiągnie prędkość pocisku karabinowego o dużej sile rażenia. W strefie wybuchu nikt nie pozostanie żywy. A przecież to był tylko mały model testowy. Prawdziwy, ten, który zawisnie pod sterowcem, będzie trzysta siedemnaście razy większy, jeżeli chodzi o powierzchnię i wagę, a dla każdej z osiemdziesięciu tysięcy dziewięćset osiemdziesięciu pięciu osób, które znajdą się na stadionie w Tulane, przypadnie średnio trzy i pół pocisku.

Lander mocował właśnie zewnętrzną warstwę ze szklanego włókna tej samej grubości co dolna, kiedy do warsztatu wszedł Fasil.

Lander nie odezwał się do niego.

Fasil nie okazał zbyt wielkiego zainteresowania przedmiotem leżącym na stole, ale poznał, co to jest, i był przerażony. Przez kilka minut rozglądał się po warsztacie, starając się niczego nie dotykać. Jako technik z wykształcenia, z praktyką w Niemczech i Wietnamie Północnym, nie mógł nie podziwiać staranności i oszczędności, z jaką wielki kadłub został skonstruowany.

- To trudny materiał do spawania - odezwał się, klepiąc rury stopowe Reynoldsa. - Nie widzę tu spawarki łukowej, oddawał pan to do spawania?

- Wypożyczyłem sprzęt z mojej firmy na weekend.

- Widzę, że rama nie ma naprężeń. No, panie Lander, to się dopiero nazywa pycha.

Był to żart, który jednocześnie miał być wyrazem uznania dla umiejętności Landera. Fasil doszedł do wniosku, że jego obowiązkiem jest utrzymać dobre stosunki z Amerykaninem.

- Gdyby rama się wypaczyła, powłoka ze szklanego włókna mogłaby pęknąć, a wtedy ktoś mógłby dostrzec pociski w chwili, kiedy będziemy zdejmować całe urządzenie z ciężarówki - wyjaśnił beznamiętnym głosem Lander.

- Myślałem, że teraz, kiedy do akcji pozostał tylko miesiąc, będzie pan już wkładał plastik do środka.

Jeszcze nie jestem gotowy. Najpierw muszę coś sprawdzić.

- Może mógłbym jakoś pomóc?

Zna pan wskaźnik wybuchowości tego materiału? Fasil ponuro pokręcił głową. To bardzo nowa rzecz.

- A widział pan, jak to detonuje?

- Nie. Wiedziałem tylko, że ma większą siłę niż C-4. Wie pan, co się stało z mieszkaniem Muziego.

- Widziałem tylko dziurę w ścianie, a na tej podstawie niewiele mogę wywnioskować. Najczęstszym błędem w konstruowaniu urządzeń do niszczenia ludzi jest umieszczanie szrapnela zbyt blisko zapalnika, co powoduje, że szrapnel w czasie wybuchu traci swą integralność. Niech pan to sobie przemyśli, Fasil. Jeśli pan o tym nie wiedział, to teraz proszę sobie to zapamiętać. Niech pan przeczyta ten podręcznik polowy, tam jest wszystko. Te wielkie słowa przetłumaczę panu. Nie chcę, żeby podczas wybuchu pociski rozerwały się na kawałki. Moim celem nie jest dostarczenie kilkudziesięciu instytutom dla głuchych nowych pacjentów. Nie wiem, jak gruba podkładka jest konieczna między nabojami i plastikiem, żeby osłonić naboje.

- A jaka jest w urządzeniach typu Claymore?...

- To żadna wskazówka. Mamy tu do czynienia z większym zasięgiem i daleko większą ilością materiałów wybuchowych. Nigdy jeszcze nie skonstruowano tak wielkiej bomby jak ta. Bomba typu Claymore jest wielkości podręcznika szkolnego, a ta dorównuje wielkością łodzi ratunkowej.

- W jakiej pozycji ta powłoka zostanie zdetonowana?

- Nad pięćdziesięciojardową linią boiska, dokładnie sto stóp nad ziemią, równoległe do długości stadionu. Może pan zobaczyć, że krzywa powłoki pokrywa się z krzywą stadionu.

- A więc...

- A więc, Fasil, muszę mieć również pewność, że pociski rozstrzelą się odpowiednim łukiem, a nie zbitymi partiami. Zostawiłem pewien luz wewnątrz powłoki. Gdyby zaszła potrzeba, mogę powiększyć jej krzywiznę. A jaki osłabiacz odrzutu będzie potrzebny i jaki będzie rozrzut pocisków, dowiem się, kiedy zdetonuję to - powiedział Lander klepiąc urządzenie leżące na stole. Jest tu co najmniej pół kilograma plastiku.

Rozumiem. Ale nie może pan tego detonować bez zwrócenia na siebie uwagi policji.

Owszem, mogę.

Nie zdąży pan ocenić wyników, a już będzie policja.

Zdążę.

- Ależ to... - chciał powiedzieć „szaleństwo”, ale w porę się powstrzymał. - To nierozsądne.

- Nie martw się o to, Arabie.

- Czy mógłbym sprawdzić obliczenia? - Fasil miał nadzieję, że coś wymyśli, żeby powstrzymać go przed eksperymentem.

- Proszę bardzo, tylko pamiętaj, że to nie jest zmniejszony model naszej powłoki. To tylko dwie krzywizny, które mają zapewnić odpowiedni rozrzut pocisków.

- Będę pamiętał, panie Lander.

Fasil rozmawiał na osobności z Dahlią, gdy wynosiła śmieci.

- Pomów z nim - powiedział po arabsku. - Wiemy przecież, że to i tak będzie działało. Ten test to zbyt wielkie ryzyko. Wszystko zaprzepaści.

- Może nie działać perfekcyjnie - odparła po angielsku. - Wszystko musi się odbyć bez usterek.

- To wcale nie musi być aż tak perfekcyjne.

- Dla niego - musi. Dla mnie też.

- Dla realizacji naszej misji, dla naszych celów, wszystko jest już dostatecznie dobre.

- Towarzyszu Fasil, naciśnięcie guzika w tej gondoli 12 stycznia będzie ostatnim czynem Landera w jego życiu. Tego, co stanie się potem, on już nie zobaczy. Ja też, jeśli zażąda, żebym z nim leciała. Więc my musimy wiedzieć, co stanie się potem, rozumiesz?

- Rozumiem, że zaczynasz mówić jak on, a nie jak bojownik na pierwszej linii frontu.

- Wobec tego jesteś ograniczony.

- W Libanie zabiłbym cię za to.

- Jesteśmy daleko od Libanu, towarzyszu Fasil. Jeżeli któreś z nas ujrzy jeszcze Liban, będziesz mógł do woli próbować.

ROZDZIAŁ 14

Doktor medycyny Rachel Bauman siedziała przy biurku w Halfway House w Południowym Bronxie i czekała. Ośrodek rehabilitacji narkomanów budził w niej wiele wspomnień. Rozejrzała się po małym, jasnym pokoiku z amatorskimi obrazkami na ścianach i pozbieranymi gdzie bądź meblami i pomyślała o zagubionych, nieszczęśliwych umysłach, do których usiłowała dotrzeć, sprawach, o których jej opowiadali pacjenci, gdy tu pracowała. To właśnie ze względu na wspomnienia wybrała ten pokoiak na miejsce spotkania z Eddiem Stilesem.

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi i wszedł Stiles - drobny, łysiejący mężczyzna, który obrzucił pokój szybkim spojrzeniem. Ogolił się specjalnie na tę okazję. Skaleczenie na brodzie było zaklejone kawałkiem bibułki. Uśmiechnął się z zażenowaniem, mnąc w rękach czapkę.

- Siadaj, Eddie. Dobrze wyglądasz.

- Jak nigdy, doktor Bauman.

- A jak tam sobie radzisz na holowniku?

- Jeśli mam być szczery, to nudna robota. Ale lubię ją, lubię, ma się rozumieć - dodał szybko. - Dobrze mną pani pokierowała, znajdując mi tę robotę.

- Ja ci wcale tej pracy nie znalazłam, Eddie. Ja tylko poprosiłam tego człowieka, żeby ci się przyjrzał.

- Tak, oczywiście, nigdy nie myślałem inaczej. A jak pani się czuje? ' Wygląda pani jakoś inaczej, to znaczy, jakby się pani dobrze czuła. Co ja wygaduje, przecież pani jest lekarzem - roześmiał się z roztargnieniem.

Rachel zauważyła, że przytył. Kiedy poznała go trzy lata temu, był aresztowany za przemyt papierosów z Norfolk na czterdziestostopowym trawlerze; przemyt zapewniał mu codzienną porcję heroiny wartą siedemdziesiąt pięć centów. Spędził wiele miesięcy w ośrodku rehabilitacji narkomanów, wiele godzin przegadał z Rachel. Pracowała z nim, kiedy był na głodzie.

- W jakiej sprawie chciała się pani ze mną spotkać, doktor Bauman? To znaczy, bardzo mi miło panią widzieć i w ogóle, może chciała pani wiedzieć, czy jestem czysty...

- Wiem, że jesteś czysty, Eddie. Chciałam poprosić cię o radę.

Nigdy przedtem nie wykorzystywała zawodowych kontaktów i czuła się nieswojo robiąc to teraz. Stiles zauważył to od razu. Wrodzona ostrożność walczyła z nim z szacunkiem i sympatią, którą czuł dla niej.

- To nie ma nic wspólnego z tobą - powiedziała. - Pozwól, że przedstawię ci, o co mi chodzi; zobaczymy, jakie jest twoje zdanie.

Stiles rozprężył się nieco. Nie musiał się w nic angażować natychmiast.

- Muszę znaleźć pewną łódź, Eddie. Określoną łódź. Taką, której się używa do lewych interesów. Jego twarz nie wyrażała niczego.

- Obiecałem pani, że będę się zajmował holowaniem i zajmuję się tylko holowaniem, pani o tym wie.

- Wiem, ale znasz wielu ludzi, Eddie. A ja nie znam nikogo, kto by się zajmował lewymi interesami na łodziach. Potrzebuję twojej pomocy.

- Potrafiliśmy się zawsze dogadać, prawda, pani doktor?

- Prawda.

Nie wygadała pani nikomu tego, co pani opowiadałem, leżąc na kozetce, zgadza się?

- Zgadza.

- Dobra, proszę powiedzieć, o co chodzi i komu to jest potrzebne.

Rachel zawahała się. Prawda jest jedna i nic jej nie zastąpi. Powiedziała mu.

- Federalni już mnie przepytывali - powiedział Stiles, gdy skończyła mówić. - Facet wlaźł na pokład i od razu przy wszystkich zaczął mnie wypytywać, nie byłem tym zachwycony. Słyszałem, że przesłuchiwali też innych facetów, moich znajomych.

- A wyście ochoczo odpowiadali.

Stiles uśmiechnął się i poczerwieniał. - Nie miałem im nic do powiedzenia, wie pani? A mówiąc szczerze, to nie wysiłałem się zbytnio. I chyba nikt się nie wysiłał, bo słyszę, że dalej pytają.

Rachel czekała; nie chciała go ponaglać. Drobnym mężczyzną poprawił kołnierzyk, dotknął policzka, a potem z namaszczeniem znowu położył ręce na kolanach.

- Chce pani pogadać z facetem, który jest właścicielem tej łodzi? To znaczy, nie pani sama, to nie byłoby... pani przyjaciele chcą.

- No właśnie.

- Tylko pogadać?

- Tylko pogadać.

Za pieniądze? Nie dla mnie, doktor Bauman. Tylko, na Boga, niech pani tak nie myśli, ja już pani i tak wiele zawdzięczam. Chodzi o to, że gdybym znał tego faceta, to rozumie pani, niewiele rzeczy jest za darmo. Mam parę setek, bardzo proszę, ale to może...

Nie martw się o pieniądze.

- Proszę jeszcze raz opowiedzieć od tego miejsca, jak Straż Przybrzeżna dostrzegła tę łódź, i dalej, kto i co.

Stiles słuchał potakując i od czasu do czasu zadając jakieś pytanie.

- Może się zdarzyć, że w ogóle nie będę mógł pani pomóc, doktor Bauman rzekł w końcu. - Ale coś tam obilo mi się o uszy. Rozejrzę się.

- Rozejrzyj się uważnie.

Może pani na mnie polegać.

ROZDZIAŁ 15

Dozorca Harry Logan objeżdżał zdezelowaną furgonetką magazyn ciężkiego sprzętu, należący do United Coal Company; odbywał taką rundę co godzina, pilnując buldożerów i wózków do wywozu ziemi. Jego obowiązkiem była ochrona sprzętu przed złodziejami i sabotażystami - przeciwnikami postępu, ale nigdy nikogo nie złapał. Na przestrzeni wielu mil nie było żywej duszy. Wszystko w porządku - mógł spokojnie odjechać.

Zawrócił na gruntową drogę, wyjeżdżoną w olbrzymim korycie wyżłobionym przez sprzęt kopalni odkrywkowej pośród pensylwańskich wzgórz; z tyłu, za furgonetką, unosił się obłok czerwonego kurzu. Koryto miało osiem mil długości i dwie szerokości i wydłużało się stale w miarę, jak wielkie koparki wgryzały się coraz głębiej w zbocze. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez sześć dni w tygodniu, dwie największe na świecie koparki wgryzały się swymi szczękami w zbocze niczym hieny rozdzierające brzuch ofiary. Zatrzymują się jedynie w Dzień Pański, ponieważ prezes United Coal jest bardzo religijnym człowiekiem.

Była niedziela i na otwartym pustkowiu poruszał się jedynie pył unoszony wiatrem. Tego dnia Harry Logan trochę sobie dorabiał. Był śmieciarzem i pracował w terenie skazanym wkrótce na zagładę przez kopalnię. Co niedziela Logan opuszczał swój posterunek przy składzie sprzętu i jechał do małej, opuszczonej wioski na wzgórzu, która leżała dokładnie na drodze koparek.

Sypiące się domy stały puste, wypełniał je zapach uryny po wandalach, którzy wybili szyby. Właściciele wyprowadzając się zabrali wszystko, co miało jakąś wartość, ale nie mieli tak bystrego oka jak Logan, żeby dostrzec wśród pozostawionych śmieci przedmioty posiadające wartość handlową. Logan był urodzonym szperaczem. Ze starych ścieków i przewodów hydraulicznych można było odzyskać dobry ołów. Ze ścian zdjąć przełączniki, były też sitka od pryszniców i miedziane przewody. Wszystko to Logan sprzedawał swojemu zięciowi do jego składu ze starzyzną. Tej niedzieli zamierzał dobrze się obłowić, ponieważ została już tylko jedna ósma mili lasu dzielącego wioskę od kopalni. Za dwa tygodnie wioska zniknie z powierzchni ziemi.

Wjechał tyłem do garażu obok domu. Kiedy wyłączył silnik, zapanowała wielka cisza. Słychać było wiatr przelatujący z gwizdem przez rozproszone, pozbawione szyb domy. Ładował akurat na furgonetkę płytę wykładzinową ze ściany, kiedy usłyszał samolot. Czerwona, czteroosobowa Cessna dwukrotnie przeleciała nisko tuż nad wioską. Patrzył w dół poprzez drzewa, jak samolot kieruje się w stronę drogi w kopalni. Gdyby Logan znał się na takich rzeczach, z przyjemnością przyglądałby się lądowaniu z bocznym wiatrem; ślizg boczny, wyrównanie i mały samolocik toczy się gładko, a pył unosi się tylko z jednej strony.

Logan podrapał się po głowie i plecach. Ciekawe, czego oni chcą? Czy to nie inspektorzy z firmy? Zawsze może powiedzieć, że sprawdzał wioskę. Samolot potoczył się dalej i zniknął z pola widzenia za gęstym laskiem. Logan ostrożnie zsuwał się pomiędzy drzewami. Wreszcie dostrzegł samolot - koła były zablokowane, a kabina pusta. Spoza drzew po lewej dobiegły go jakieś głosy, zaczął więc skradać się w tym kierunku. Była tam wielka pusta stodoła, a obok trzyakrowe pastwisko. Logan wiedział, że w stodole nie ma nic, co warto by było ukraść. Stojąc na skraju lasku zobaczył na pastwisku dwóch mężczyzn i kobietę, po kostki zanurzonych w jasnozielonej ozimie.

Jeden z mężczyzn był wysoki, nosił okulary przeciwsłoneczne i kurtkę narciarską. Drugi był ciemny, z jakąś blizną na twarzy. Mężczyźni rozwinięli długi kawałek sznurka i odmierzyli kawałek pastwiska od ściany stodoły. Kobieta ustawiła teodolit geodezyjny i wysoki mężczyzna patrzył przez lunetę, a ciemny robił farbą jakieś znaki na ścianie stodoły. Potem wszyscy troje gestykulując skupili się nad notatnikiem.

Logan wyszedł z lasu. Śniady mężczyzna dostrzegł go pierwszy i powiedział coś, czego Logan nie dosłyszał.

- A co wy tu, ludziska, robicie?

- O, hej! - odezwała się kobieta z uśmiechem.

- Czy możecie się wylegitymować, że jesteście z firmy?

- Nie jesteśmy z firmy - powiedział wyższy mężczyzna.

- To jest własność prywatna. Nie wolno tu wchodzić. Ja tu jestem po to, żeby nikogo nie wpuszczać.

- Chcieliśmy tylko zrobić kilka zdjęć - powiedział wysoki mężczyzna.

- Tutaj nie ma co fotografować - odrzekł nieufnie Logan.

- A ja? - odezwała się kobieta i oblizała wargi.

- Robimy zdjęcia do, powiedzmy, takiego prywatnego magazynu, wie pan, takiego śmiałego magazynu.

- Niby do takiego o nudystach?

- My wolimy to nazywać wydawnictwem naturystycznym - powiedział wysoki. - Tego rodzaju zdjęć nie można robić ot tak, byle gdzie.

- Mogliby mnie aresztować powiedziała kobieta śmiejąc się. Było na co popatrzeć, trzeba przyznać.

Ale na takie zdjęcia jest za zimno - zauważył Logan. To zdjęcie będzie miało tytuł „gęsia skórka”. W tym czasie śniady mężczyzna rozwijał szpulę drutu od trójnogu w kierunku drzew.

- Nie róbcie mnie w konia, nic nie wiem o tym wszystkim. W biurze nic mi nie mówili o wpuszczaniu tutaj kogokolwiek. Zabierajcie się stąd.

- Chce pan zarobić pięćdziesiąt dolarów za pomoc? To zajmie tylko pół godziny i odjedziemy kuśił wysoki mężczyzna.

Logan zastanawiał się przez chwile. Ale nie będzie zdejmował ubrania.

- To nie będzie potrzebne. Czy poza panem jest tu ktoś jeszcze?

- Nie, nie ma nikogo.

- No, to dla nas w sam raz. - Mężczyzna wyjął pięćdziesiąt dolarów. - Czy czuje pan wstręt do mojej ręki? - zapytał nagle.

- Och, nie, nie.

- To czemu pan na nią patrzy?

Kobieta drgnęła nerwowo i przysunęła się do wysokiego mężczyzny.

- Nie miałem zamiaru - odparł Logan. Widział swoje odbicie w jego okularach przeciwsłonecznych.

- Wy oboje przynieście z samolotu dużą kamerę, a ja i ten pan przygotujemy wszystko.

Kobieta i jej śniady towarzysz zniknęli w lasu.

- Jak się pan nazywa?

Logan.

Dobrze, panie Logan. Niech pan zbierze trochę desek i ułoży je w trawie pod ścianą stodoły, pośrodku, żeby pani miała na czym stanąć.

Co mam zrobić?

- Niech pan ułoży kilka desek, tam, na środku. Ziemia jest zimna, a my chcemy, żeby było widać jej stopy. Niektórzy to lubią.

Podczas gdy Logan szukał desek, wysoki mężczyzna usunął z trójnożnego teodolitu i przymocował jakiś dziwnie wyglądający, zakrzywiony przedmiot. Odwrócił się i zawołał do Logana:

Nie, nie tak. Jedna deska na drugiej. - Złożył dłonie wokół przymrużonych oczu.

Teraz proszę wejść na nie, zobaczymy, czy tak jest dobrze. Dobrze, proszę się nie ruszać, o, już idą z celownikiem. - Zniknął pomiędzy drzewami.

Logan chciał się podrapać w głowę. Przez mgnienie jego mózg zarejestrował oślepiający błysk, ale huk już nie usłyszał. Dwadzieścia kul rozerwało go, a podmuch rzucił na ścianę stodoły.

Lander, Fasil i Dahlia nadbiegli w obłokach dymu.

- Mielonka - powiedział Fasil. Odwrócili zwiotczone ciało i zbadali je od tyłu. Szybko zrobili zdjęcie ściany stodoły. Była wklęsnięta do środka i wyglądała jak jakiś olbrzymi cedzak.

Lander wszedł do wnętrza. Przez setki małych dziurek w ścianie wpadało światło i Lander, który pstrykał zdjęcie za zdjęciem, wyglądał jak cętkowany.

- Pełen sukces - odezwał się Fasil.

Wciągnęli ciało do stodoły, oblewając je benzyną wraz z suchym drewnem dookoła; rozlali też benzynę w otoczeniu stodoły, w promieniu jakichś dwudziestu jardów. Ogień pomknął do środka, rozbłyskując mocniej na kałużach, a na twarzach poczuli falę gorąca.

Gdy Cessna wspinała się w górę, nad stodołą uniósł się czarny kłęb dymu.

- Jak pan znalazł to miejsce? - zapytał Fasil, wychylając się z tylnego siedzenia do przodu, żeby przekrzyczeć warkot silnika.

- W lecie szukałem tutaj dynamitu - odparł Lander.

- Jak pan myśli, prędko pojawi się policja?

- Wątpię, czy w ogóle się pojawi. Tutaj ciągle są wybuchy.

ROZDZIAŁ 16

Eddie Stiles siedział przy oknie baru z przekąskami w nowojorskim Akwarium i martwił się. Ze swego miejsca widział w dole, w odległości jakichś czterdziestu jardów, Rachel Bauman stojącą obok ogrodzenia wybiegu dla pingwinów. Ale nie ona go niepokoiła, lecz dwaj mężczyźni, którzy z nią stali. Stilesowi nie podobał się ich wygląd. Ten z lewej wyglądał jak człowiek-yeti. Drugi był nieco mniejszy, ale sprawiał jeszcze gorsze wrażenie. Miał lekkie, oszczędne ruchy i spokój, którego Eddie nauczył się bać. Tak poruszali się drapieźcy w jego światku. Ci kosztowniejsi. Cała różnica w twardych mięśniach, którymi umieli się posłużyć; barczyści, twardzi faceci, kołyszący się na obcasach.

Eddiemu bardzo nie podobał się sposób, w jaki ten niższy facet obrzucał spojrzeniem wszystkie wyższe kondygnacje, dach pomieszczenia dla rekinów, ogrodzenia na wydmach pomiędzy Akwarium a mołem na Coney Island. Po jednym uważnym spojrzeniu zaczął szczegółowo badać teren, zwyczajem żołnierzy piechoty - od miejsca najbliższego do coraz dalszego. I przez cały czas nie przestawał kiwać palcem nad głową zaintrygowanego pingwina.

Eddie żałował, że wybrał to miejsce na spotkanie. W powszedni dzień nie było tu tłumów, które zapewniałyby mu poczucie anonimowości.

Doktor Bauman dała mu słowo, że nie będzie w nic zamieszany. A ona nigdy go nie oszukała. Jego życie, życie, które usiłował zbudować, miało się oprzeć na tym, czego dowiedział się o sobie przy pomocy doktor Bauman. I jeśli ona nie mówiła prawdy, to już nic nie było prawdą. Dopił swoją filiżankę kawy, szedł szybko na dół i okrążył basen waleni. Z daleka słychać już było dmuchanie. Była tam czterdziestostopowa samica w eleganckiej, błyszczącej czarno-białej plamie. Odbywał się właśnie pokaz. Na platformie nad wodą stał młody człowiek i trzymał rybę w bladym zimowym słońcu. Woda w poprzek basenu wybrzuszyła się nagle, gdy pod powierzchnią niczym czarna lokomotywa przemknęła orka. Wystrzeliła pionowo z wody i wydawało się, iż zawisła w powietrzu całą swą długością, chwytając rybę trójkątnymi zębami.

Eddie słyszał za sobą oklaski, gdy schodził do podziemnej galerii wokół basenu. Było tam wilgotno i mrocznie, jedyne światło dawały promienie słoneczne, przebijające się przez niebieskozieloną wodę, widoczną poprzez wielkie tafle szklane wokół galerii. Eddie zajrzał do basenu. Orka przetaczała się ponad upstrzonym plamkami światła dnem niczym walec, i żuła, żuła. Jakieś trzy rodziny zeszły ze schodów i stanęły obok. Dzieci zachowywały się hałaśliwie.

- Tatusiu, ja nic nie widzę.

Ojciec posadził sobie chłopca na ramionach; mały uderzył głową o sufit i zaczął tak wrzeszczeć, że ojciec go wyprowadził.

- Jak się masz, Eddie - odezwała się Rachel.

Dwaj jej towarzysze stali z drugiej strony, dalej od Eddiego. To się nazywa mieć dobre maniery, pomyślał. Gangsterzy stanęliby po obu stronach. Gliny też.

- Dzień dobry, doktor Bauman - odpowiedział i rzucił błyskawiczne spojrzenie przez jej ramię. Eddie, to jest Dawid, a to Robert.

- Miło mi panów poznać Eddie uściśnął ich dłonie. Olbrzym ma na pewno gnata pod lewą pachą, pomyślał. Może ten drugi też coś ma, ale płaszcz lepiej na nim leży. Ten Dawid. Ma powiększone kłykcie dwóch pierwszych palców, a krawędź dłoni jak tarnik. I na pewno nie kształcił się po to, żeby popijać yo-yo. Doktor Bauman jest mądrą i wiele rozumiejącą kobietą, ale są rzeczy, o których nie ma pojęcia, myślał Eddie.

- Pani doktor, chciałbym z panią porozmawiać, hm, na osobności, jeśli można.

Na drugim końcu sali zwrócił się do niej, mówiąc wprost do ucha. Wrzeszczące dzieci zagłuszały jego słowa.

- Pani doktor, czy zna pani tych facetów? Wiem, że pani się zdaje, że pani ich zna, ale czy zna ich pani r z e c z y w i ś c i e? To bardzo twardzi faceci. Bo, widzi pani, są twardzi i twardzi. Na tym to ja się akurat znam. Ci tutaj są najtwardsi z twardych, to nie są żadni frajerzy, jeśli pani rozumie, co mam na myśli. Nie wyglądają mi na gliniarzy. Jakoś nie widzę pani w towarzystwie tego typu facetów. No, chyba że to jacyś krewniacy czy coś w tym rodzaju i nic na to nie można poradzić.

Rachel położyła rękę na jego ramieniu. - Dziękuję ci, Eddie. Wiem, co masz na myśli, ale ja znam ich od dawna. To moi przyjaciele.

Do basenu wpuszczono morświna, żeby dotrzymał orce towarzystwa. Właśnie pochłaniał kawałki ryby, podczas gdy treser odwracał uwagę orki. Przepłynęła obok podwodnego okna, co zabrało jej pełne dziesięć sekund, łypiąc małym oczkiem na ludzi rozmawiających po drugiej stronie szyby.

- Ten facet, o którym słyszałem - Jerry Sapp - miał pewną robotę na Kubie jakieś dwa lata temu - mówił Stiles do Kabakova. - Przewiózł pod radarem z wybrzeża w pobliżu Puerta Cabanas kilku Kubańczyków z Miami na wyspę. - Stiles, powiedziawszy to, przeniósł wzrok z Kabakova na Rachel i z powrotem. - Mieli jakiś interes na brzegu, wie pan. Przedostali się przez fale przybrzeżne w jakiejś nadmuchiwanej łodzi, typu Avon czy Zodiac, i ulotnili się ze swoją skrzynką. Nie mam pojęcia, co to było za diabelstwo, ale ten facet nie wrócił już na Florydę. Wymknął się kubańskiej łodzi patrolowej z Bahia Honda i popłynął prosto na Jukatan. Miał wielki nadmuchiwany zbiornik na pokładzie dziobowym.

Kabakov słuchał, stukając palcami o poręcz. Orka była spokojna, odpoczywała na powierzchni. Wielki ogon wygięła w łuk sięgający dziesięciu stóp poniżej lustra wody.

- Te bachory doprowadzają mnie do szału - powiedział Eddie. - Wyjdźmy stąd.

Stali w ciemnym korytarzu pomieszczenia dla rekinów, obserwując długie, szare kształty, bez końca zataczające koła, i małe, jasne rybki przemykające między nimi.

- W każdym razie, zawsze się zastanawiałem, jak udało mu się dostać tak blisko Kuby.

Zwłaszcza że od czasu Zatoki Świń mają tam taki silny radar, że aż trudno uwierzyć. Mówił pan, że ten pański facet wymknął się radarowi Straży Przybrzeżnej. Czyli tak samo jak tamten. No więc popytałem trochę o tego Sappa. Okazuje się, że dwa tygodnie temu był u Sweeneya w Asbury Park. Ale od tamtej pory nikt go nie widział. Ma łódź, trzydziestoosmiostopową, sportową łódź wędkarską, zbudowaną u Shing-Lu w Hongkongu; ale jak zbudowaną! - jest cała z drewna.

- Gdzie trzymał tę łódź? - zapytał Kabakov.

- Nie wiem. Chyba nikt nie wie. No, rozumie pan, nie można za wiele pytać. Ale barman u Sweeneya przyjmuje wiadomości dla niego, myślę, że mógłby się z nim skontaktować. Gdyby to miał być interes.

- Właśnie, a jaki interes wchodziłby w grę?

- To zależy. Musi wiedzieć, że jest spalony. Jeżeli sam przyjął robotę, która pana interesuje, to oczywiście wie, że jest spalony. Jeśli wynajął łódź na kontrakt, wtedy z pewnością cały czas słuchał radia na częstotliwości Straży Przybrzeżnej. Pan też by tak zrobił, prawda?

- A dokąd by pan uciekł na jego miejscu?

- Przede wszystkim, na drugi dzień po powrocie, obserwowałbym łódź, czy nie jest obstawiona przez tajniaków. Potem, gdybym miał gdzie, przemałowałbym ją, założył legalną tablicę rejestracyjną i porobił inne zmiany - na przykład, zainstalowałbym wieżę na tuńczyka. Potem dogoniłbym flotyllę Gold Platersów płynących na południe, na Florydę, Rowem Bahamskim i dalej Szlakiem Intracoastal, i przyłączył się do tych jachtów; ci bogaci faceci lubią pływać w grupach - wyjaśnił Eddie.

- Daj mi przykład jakiegoś zyskownego interesu, na który można by go wywabić z ukrycia - powiedział Kabakov. --Coś, do czego potrzebna jest łódź.

- Heroina - Eddie spojrzał na Rachel z poczuciem winy. - Z Meksyku, dajmy na to, do Corpus Christi czy Aransas Pass na wybrzeżu Teksasu. Mógłby na to pójść. Ale do tego musiałaby być jakaś zaliczka. No, i trzeba z nim postępować bardzo delikatnie, bo łatwo go spłoszyć.

- Zastanów się, Eddie, jak się z nim skontaktować; dziękuję ci - powiedział Kabakov.

- Zrobiłem to dla pani doktor.

Rekiny spokojnie krążyły w oświetlonym basenie.

- No to ja spływam, nie chce mi się już na nie patrzeć.

- Spotkamy się później na mieście, Dawidzie - powiedziała Rachel.

Kabakov ze zdziwieniem dostrzegł w jej oczach, skierowanych na niego, coś w rodzaju niesmaku. Odeszła razem z Eddiem, szli z pochylonymi głowami i rozmawiali. Ramieniem obejmowała małego mężczyznę.

Kabakov wolałby trzymać Corleya z dala od tego wszystkiego. Na razie agent FBI nie wiedział nic o sprawie Jerry'ego Sappa i jego łodzi. Kabakov sam pragnął ją poprowadzić. Musiał porozmawiać z Sappem, zanim ten zasłoni się Konstytucją.

Kabakov nie miał oporów przed naruszaniem praw człowieka, jego godności czy fizycznej nietykliwości, pod warunkiem, że gwałt przyniesie natychmiastowe korzyści. Nie nękały go z tego powodu wyrzuty sumienia, ale ziarno, które w nim tkwiło i żywiło się sukcesem, jaki zapewniały takie metody, niepokoiło go. Czuł, że zaczyna się w nim rodzić pogardliwy stosunek do sieci mechanizmów chroniących obywatela przed podporządkowaniem go korzyściom śledztwa. Nie próbował racjonalizować swojego postępowania sloganami w rodzaju „większe dobro”, bo nie należał do ludzi, którzy filozofują. Ale chociaż środki, jakimi się posługiwał, uważał za konieczne z uwagi na ich skuteczność, obawiał się, że człowiek postępujący w ten sposób może stać się zły i niebezpieczny; własna twarz jawiła mu się - jak twarz Hitlera.

Kabakov odkrył, że to, co robi, zostawia ślad w jego umyśle, podobnie jak na jego ciele. Chciał wierzyć, że jego narastająca niecierpliwość dla ograniczeń prawa jest wyłącznie rezultatem jego doświadczenia, że złoścżą go te przeszkody, tak jak w zimowe poranki sztywność w starych ranach.

Ale nie była to zupełna prawda. Źródła tej jego postawy tkwiły w jego naturze, odkrył to wiele lat temu koło Twerii w Galilei.

Jadąc na inspekcję pozycji na granicy syryjskiej zatrzymał się przy studni u stóp wzgórza. Wiatrak, obracany starym amerykańskim silnikiem lotniczym, pompował zimną wodę ze skał. Silnik zgrzytał w regularnych odstępach czasu, przy każdym pełnym obrocie łopat; był to jedyny dźwięk, jaki się rozlegał w ten jasny i spokojny dzień. Oparty o jeepa, czując jeszcze zimną wodę na twarzy, Kabakov obserwował stado owiec pasących się wyżej, na zboczu wzgórza. Nagle ogarnęło go uczucie osamotnienia, zdał sobie sprawę z kształtu i pozycji swego ciała pośród tych wielkich, sklepionych przestrzeni. Potem spostrzegł orła lecącego wysoko, z lotkami rozsuniętymi jak palce, kolebiącego się na boki nad szczytem. Jego cień prześlizgiwał się szybko nad skałami. Była zima, w stadzie nie było jagniąt i ptak nie polował na owce, ale krążył nad nimi, a one widząc go beczwały. Kabakovowi zakręciło się w głowie od patrzenia na orła, bo przeszkadzała mu stromizna stoku. Żeby zachować równowagę, musiał przytrzymać się jeepa. Wtedy właśnie zdał sobie sprawę, że orła kocha bardziej niż owce i że zawsze tak będzie, ponieważ taki już jest i w oczach Boga nigdy nie będzie doskonały.

Kabakov cieszył się, że nigdy nie będzie miał żadnej prawdziwej władzy.

Siedząc w mieszkaniu na Manhattanie zastanawiał się, w jaki sposób zarzucić przynętę na Jerry'ego Sappa. Jeśli chce wytropić go sam, musi wykorzystać kontakty Eddiego Stilesa. Eddie był jedyną znaną Kabakovowi osobą, mającą dostęp do kryminalnych środowisk na wybrzeżu. Poza nim pozostawały już tylko możliwości Corleya. Ale Stiles zrobi to dla Rachel.

- Nie - powiedziała Rachel przy śniadaniu.

- Jeśli ty go poprosisz, zrobi to. Będziemy go cały czas ubezpieczać...

- Nie, i zapomnij o tym.

Aż trudno było uwierzyć, że dwadzieścia minut wcześniej ciepła i świeża jak kropla rosy pochylała się nad nim, a jej włosy rytmicznie i delikatnie muskały jego twarz i piersi.

- Wiem, że nie chcesz go wykorzystywać, ale na Boga...

- Nie chcę go wykorzystywać i nie chcę, żebyś ty mnie wykorzystywał. Ja ciebie też wykorzystuję, ale w odmienny sposób, którego jeszcze nie ogarniam. Ale to jest w porządku, że my wykorzystujemy się nawzajem. My mamy coś jeszcze poza tym i tak jest dobrze. Ale z Eddiem już koniec.

Jest naprawdę wspaniała, myślał Kabakov, z tym rumieńcem wydobywającym się spod koronki wokół szyi.

- Nie mogę tego zrobić, nie chcę - powiedziała. - Napijesz się soku pomarańczowego?

- Tak, proszę.

Rad nierad, Kabakov zwrócił się o pomoc do Corleya. Podał mu wszystkie informacje na temat Jerry'ego Sappa, nie zdradzając ich źródła.

Przez dwa dni Corley pracował nad przynętą z Biurem Narkotyków i Niebezpiecznych Leków. Godzinę spędził przy telefonie, rozmawiając z Mexico City. Następnie spotkał się z Kabakovem w biurze FBI na Manhattanie.

- Masz coś o tym Greku?

- Jeszcze nie - odparł Kabakov. - Moshevsky dalej objeżdża bary. Co z Sappem?

- Biuro Narkotyków nie ma go w swoich kartotekach. Ktokolwiek to jest, pod tym nazwiskiem jest czysty. W rejestrach Straży Przybrzeżnej też go nie ma. Ich kartoteki nie mają odsyłaczy dotyczących typu łodzi i szczegółów, które nas interesują. Próbką farby, którą mamy, wystarczy do porównania, ale ustalenie jej pochodzenia to już zupełnie inna sprawa. W każdym razie nie jest to farba używana w marynarce wojennej. Jest to gatunek handlowy, półpołyskowy, kładziony na gruby podkład, dostępny wszędzie.

Co z towarem?

Zaraz do tego dojdę. Oto paczuska. Słyszałeś może o sprawie Krapf - Mendoza w Chihuahua? Ja też nie znałem szczegółów. Otóż w latach 1970-1973 sprowadzono do Stanów sto piętnaście funtów heroiny. Ślady prowadziły do Bostonu. Posłużono się bardzo sprytną metodą. Za każdym razem, gdy trzeba było przewieźć towar, pod byle pretekstem wynajmowali obywatela amerykańskiego, który jechał do Meksyku. Raz był to mężczyzna, innym razem kobieta, ale zawsze byli to ludzie samotni, nie posiadający bliskiej rodziny. Taki frajer leciał z turystyczną wizą i po kilku dniach nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności umierał. Ciało z brzuchem pełnym heroiny odsyłano do kraju. Mieli tutaj własne przedsiębiorstwo pogrzebowe. Aha, wiesz, ładnie ci włosy

odrastają.

- Mów dalej, mów dalej.

- W tej historii ważne są dla nas dwie rzeczy: facet z forszą w Bostonie nadal cieszy się uznaniem klientów. Nam pomaga, bo chce się wykręcić od czterdziestu lat odsiadki. Władze meksykańskie zostawiły faceta w Cozumel na ulicy; lepiej nie pytać, czego taki pragnie uniknąć.

- A więc, jeżeli nasz człowiek puści w obieg wiadomość, że szuka kogoś właściwego z łodzią do przewiezienia towaru z Cozumel do Teksasu, wszystko będzie wyglądało naturalnie, bo starą metodę zarzucono - powiedział Kabakov. - Jeżeli Sapp zgłosi się do naszego człowieka, ten będzie mógł się powołać na Meksyk i Boston.

- Tak. Sapp zresztą najpierw wszystko sprawdzi, zanim się odezwie. Sądzę, że samo nawiązanie z nim kontaktu nastręczy nam trudności. Najbardziej martwi mnie to, że jak już go znajdziemy, właściwie nic na niego nie będziemy mieli. Możemy wymyślić jakiś diabła wart zarzut spiskowania z użyciem łodzi, ale lepiej mieć czas, żeby zebrać dowody. Na razie nie mamy nic, czym można by mu zagrozić.

Owszem, mamy, zaprzeczył Kabakov w duchu.

Wczesnym popołudniem Corley zwrócił się do Sądu Okręgowego w Newark z prośbą o pozwolenie na założenie podsłuchu w dwóch telefonach w barze Sweeneya w Asbury Park. O czwartej po południu otrzymał odmowę. Sędzia oświadczył, że Corley nie ma żadnych dowodów na to, iż w barze Sweeneya dzieje się coś złego i że działa jedynie na podstawie anonimowych zarzutów o niewielkiej wadze. Na koniec dodał, że naprawdę jest mu przykro.

O dziesiątej rano następnego dnia niebieska kryta ciężarówka podjechała na parking pod supermarketem sąsiadującym z barem Sweeneya. Przy kierownicy siedziała starsza pani. Parking był przepełniony, jechała więc wolno, wypatrując pustego miejsca. W samochodzie zaparkowanym obok słupa telefonicznego, w odległości trzydziestu stóp od zaplecza baru Sweeneya, drzemał mężczyzna.

- Na litość boską, on śpi - powiedziała starsza pani najwyraźniej w kierunku swojego biustu.

Drzemiący mężczyzna obudził się, kiedy radio obok niego zachrypiało ze złością. Zakłopotany, wyjechał z parkingu. Ciężarówka tyłem wjechała na jego miejsce. Paru klientów pchało chodnikiem wózki z zakupami. Człowiek, który opuścił parking, wysiadł z samochodu.

- Zdaje się, że złapała pani gumę, proszę pani.

- O, czyżby?

Mężczyzna przeszedł do tylnego koła, tuż obok słupa telefonicznego. Zbiegały po nim dwa cienkie przewody, równie brunatne jak on, które prowadziły od kabla telefonicznego do podwójnej wtyczki na ziemi. Mężczyzna włączył wtyczkę do gniazdka pod błotnikiem.

- Nie, to tylko koło jest niżej. W porządku, może pani jechać dalej. - I odjechał.

W tyle ciężarówka leżał Kabakov z rękami pod głową. Na uszach miał słuchawki i palił cygaro.

- Nie musi pan trzymać ich na uszach przez cały czas - powiedział młody, łysiejący mężczyzna przy miniaturowej centrali telefonicznej. - Mówię, że nie musi pan ich nosić cały czas. Kiedy odezwie się dzwonek albo gdy ktoś z tej strony podniesie słuchawkę, wtedy zobaczy pan światełko i usłyszysz sygnał. Chce pan kawy? Proszę. - Pochylił się w kierunku ścianki kabiny i zawołał: - Hej, mammo, chcesz kawy?

- Nie - dobiegł głos z przodu. - I radzę ci, nie tykaj torby z cebulakami, bo dostaniesz gazów.

Matka Berniego Binera przesiadła się z siedzenia kierowcy na miejsce obok. Robiła na drutach barwną chustę. Była matką najlepszego niezależnego elektromontera w interesie i do jej obowiązków należało prowadzić ciężarówkę, wyglądać niewinnie i uważać na policję.

- Bierze za godzinę jedenaście dolarów i czterdzieści centów i pilnuje mojej diety - poinformował Biner Kabakova.

Rozległ się dzwonek. Szybkie palce Binera włączyły magnetofon. Obaj założyli słuchawki. Usłyszeli dzwonek telefonu w barze.

- Halo, bar Sweeneya.

- Freddy? - odezwał się kobiecy głos. - Słuchaj, kochanie, nie mogę dzisiaj przyjść.

- Do diabła, Frances, co jest - dwa razy w ciągu dwóch tygodni?!

- Freddy, przykro mi, ale mam takie bóle, że nawet sobie nie wyobrażasz.

- Co tydzień masz bóle? To może lepiej idź do doktora dla fuszerów, dziecinko. A co z Arlene?

- Dzwoniłam już do niej; nie ma jej w domu.

- No to postaraj się o kogoś; nie mogę jednocześnie obsługiwać stolików i być przy barze.

- Postaram się, Freddy.

Usłyszeli odkładanie słuchawki w barze i śmiech kobiety, zanim rozłączono się po tamtej stronie. Kabakov wydmuchał kółko dymu i uzbroił się w cierpliwość. Wysłannik Corleya przekazał pilną wiadomość dla Sappa pół godziny wcześniej, kiedy otwierano bar Sweeneya. Zęby przyśpieszyć sprawę, dał barmanowi pięćdziesiąt dolarów. Informacja była prosta - barman miał przekazać, że jest interes i prosić Sappa, żeby zadzwonił na podany numer na Manhattanie, by od razu omówić sprawę, albo żeby sprawdził referencje. Numer telefonu miał być podany tylko samemu Sappowi. Gdyby zadzwonił, Corley będzie starał się go namówić na spotkanie. Kabakov nie był zadowolony. Dlatego właśnie wynajął Binera, który otrzymał już zaliczkę za sprawdzanie raz w tygodniu, czy telefony w ambasadzie izraelskiej nie są podsłuchiwane. Kabakov nie uzgadniał tego posunięcia z Corleyem.

Światelko w centralce Biner zapaliło się w chwili, gdy w barze Sweeneya podniesiono słuchawkę. Usłyszeli, że wykręcono dziesięciocyfrowy numer. Potem słychać było dzwonięcie telefonu, którego nikt nie odebrał.

Bernie Biner cofnął taśmę, potem puścił ją w zwolnionym tempie, licząc poszczególne skoki tarczy. - Kod rejonu - trzy-zero-pięć. To Floryda. A teraz numer: osiem-cztery-cztery-sześć-zero-sześć-dziewięć. Chwileczkę. - Zajrzał do grubej książki sygnałów wywoławczych. - To gdzieś w rejonie West Palm Beach.

Dopiero pół godziny później centralka w ciężarówce zasygnalizowała, że w barze znowu wykręcono dziesięciocyfrowy numer.

- Pensjonat „Glamareef”.

- Dzwonię do pana Sappa. Powiedział, że w razie potrzeby mogę zostawić wiadomość pod tym numerem.

- Kto mówi?

- Freddy Hodges od Sweeneya. Pan Sapp będzie wiedział.

- O co chodzi?

- Chciałbym, żeby do mnie zadzwonił.

- Nie wiem, czy uda mi się go złapać telefonicznie. Powiedział pan: Freddy Hodges?

- Tak. On zna numer. Niech mu pan powie, że to ważne. Jest pewien interes.

- Może wpadnie tutaj koło piątej-szóstej. Czasami przychodzi. Jak go zobaczę, to powiem.

- Niech pan powie, że to ważne. Że dzwonił Freddy Hodges.

- Dobra, dobra, powiem.

Połączenie zostało przerwane.

Bernie Biner zadzwonił do informacji w West Palm Beach, gdzie otrzymał potwierdzenie, że był to numer pensjonatu „Glamareef”.

Cygaro Kabakova miało na końcu dwa cale popiołu. Był podniecony. Oczekiwał, że Sapp zabawi się w telefoniczną konspirację, podstawí kogoś, kto go nie zna, żeby przyjmował dla niego wiadomości. A tu zwyczajnie, wiadomość zostawia się w barze.

- Bernie, zależy mi, żeby pan cały czas miał bar Sweeneya na podsłuchu. A gdy Sapp zadzwoni, proszę mi natychmiast dać znać.

- Gdzie pan będzie?

- Na Florydzie. Przekażę panu numer, gdy tylko się tam znajdę. - Kabakov spojrział na zegarek. Zamierzał być w „Glamareef” o piątej po południu. Miał więc jeszcze sześć godzin.

Pensjonat „Glamareef” w West Palm Beach to budynek o żelbetowej konstrukcji, stojący na plaży. Jak wiele lokali na Południu, wzniesionych po upowszechnieniu klimatyzacji, nie miał okien. Na początku była to buda z szafą grającą, bilardem i piwem, pod nazwą „Shangala”; miała głośno pracującą klimatyzację i blok lodu w pisuarze. Teraz lokal nastawiał się na bardziej wyrafinowaną klientelę. Buty z juchtowej skóry i bar z przyćmionym światłem przyciągały ludzi z dwóch światów - płacących czekami podstarzałych amantów i żeglarzy z grubą gotówką, którzy lubią się pospolitować. „Glamareef, wcześniej „Shangala”, to dobre miejsce, jeśli kogoś interesują młode kobiety z problemami małżeńskimi; to także dobre miejsce dla starszych, zamożnych kobiet poszukujących mężczyzny, który nigdy nie robił tego na jedwabnym prześcieradle.

Kabakov siedział przy końcu bari i pił piwo. Po wylądowaniu wynajęli z Moshevskym samochód i pognali siejąc popłoch; po drodze, na pełnym gazie, minęli cztery baseny jachtowe. W West Palm Beach było prawdziwe miasteczko łodzi, w tym również sportowych. Oni jednak musieli najpierw znaleźć człowieka, a dopiero potem - łódź.

Kabakov czekał już godzinie, kiedy do baru wszedł krzepki mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, średniego wzrostu; miał trwałą opaleniznę, a pod sportową koszulką kryły się mocne mięśnie. Barman postawił przed nim coś do picia i podał mu jakąś kartkę. Kabakov zamówił jeszcze jedno piwo i poprosił o drobne. Przyglądał się nowo przybyłemu w lustrze na przedniej ścianie automatu z papierosami. Mężczyzna wypił swój napój kilkoma łykami i poszedł do budki telefonicznej w kącie baru. Kabakov bazgrał bezmyślnie na serwetce. Widział, jak poruszają się usta telefonującego mężczyzny.

Telefon zadzwonił dwukrotnie, zanim barman podniósł słuchawkę. Po chwili zasłonił ją ręką.

- Czy jest tutaj Shirley Tatum? - zapytał głośno, rozglądając się wokoło.

- Nie, niestety, nie ma - powiedział do słuchawki i odwiesił ją. To z automatu nie opodal telefonował Moshevsky, który w ten sposób przekazywał wiadomość od Berniego Binera z Asbury Park. Mężczyzna obserwowany przez Kabakova rozmawiał właśnie z barem Sweeneya, a Brner go podsłuchiwał. Był to Jerry Sapp.

Na pół godziny przed zapadnięciem zmroku Kabakov, z odpowiednim bilonem w kieszeni, znalazł się w przydrożnej budce telefonicznej. Wykręcił numer Rachel.

- Halo!

- Rachel, nie czekaj na mnie z obiadem. Jestem na Florydzie.

- Znalazłeś łódź?

- Tak. Najpierw znalazłem Sappa i szedłem za nim do łodzi. Ale jeszcze jej nie obejrzałem. Ani

nie rozmawiałem z Sappem. Słuchaj, chciałbym, żebyś jutro zadzwoniła do Corleya. Powiedz mu, że Sapp i łódź są w basenie jachtowym w Clear Springs, w pobliżu West Palm Beach. Zanotowałaś? Łódź jest teraz pomalowana na zielono. Zapisz numer: FL 4040 AL. Ale zadzwoń około dziesiątej, nie wcześniej.

- Zamierzasz wejść na nią wieczorem, a rano, jeżeli dożyjesz, zadzwonisz zapewne, żeby mi powiedzieć, że rozmyślałeś się co do mówienia Corleyowi, zgadłam?

- Zgadłaś.

Nastąpiła przedłużająca się cisza. Kabakov musiał ją przerwać.

- To prywatny basen jachtowy, bardzo ekskluzywny. „Szczęśliwy Luciano” trzymał tutaj swoją łódź trzy lata temu. Inni wielcy kryminaliści też. Powiedział mi to facet w sklepie z przynętami. Musiałem kupić wiadro krewetek, żeby się tego dowiedzieć.

- Może poszedłbyś tam z Corleyem i nakazem sądowym?

- Niestety, tam nie przyjmuje się Żydów.

- Ale Moshevsky pójdzie z tobą, mam nadzieję? - Oczywiście, będzie w pobliżu.

- Dawidzie?

- Tak?

- Kocham cię, do pewnego stopnia.

- Dziękuję, Rachel - i Kabakov odwiesił słuchawkę.

Nie powiedział jej, że basen znajduje się na pustkowiu, że od strony lądu otoczony jest dwunastostopową zaporą przeciw-huraganową, tonącą w światłach. Nie powiedział też, że dwóch wysokich mężczyzn uzbrojonych w krótką broń pilnuje wejścia i pomostów.

Kabakov jechał pół mili krętą drogą prowadzącą przez zarośla, ciągnąc podskakującą na przyczepie wynajętą łódź. Zaparkował samochód w krzakach i wdrapał się na niewielki pagórek, na którym leżał Moshevsky z dwiema lornetkami polowymi.

- Ciągle jest na pokładzie - poinformował olbrzym. - Cholera, pchły są w tym piasku?

Przez lornetkę Kabakov dojrzał trzy długie pomosty, wybiegające w jezioro Worth. Na najdalszym powoli, z czapką zsuniętą na tył głowy, spacerował strażnik. Cała przystań miała podejrzany wygląd łatwych pieniędzy. Kabakov mógł sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby przy bramie pokazał nakaz sądowy. Podniósłby się alarm i wszystko, co nielegalne na łodziach, poszłoby za burtę. Na pokładzie łodzi Sappa - albo w jego głowie - musi być jakaś wskazówka, coś, co zaprowadzi Kabakova do Arabów.

- Wychodzi - sygnalizował Moshevsky.

Kabakov znieruchomiał, wpatrzony w zieloną łódź przycumowaną rufą, w rzędzie innych łodzi, do środkowego pomostu. Sapp wyszedł na pokład przez luk dziobowy i zamknął go za sobą. Był ubrany do kolacji. Zszedł z dziobu do clinghy, odbił się o dobry kawałek od łodzi do pustego miejsca i wskoczył na pomost.

- Dlaczego nie poszedł po prostu na rufę i stamtąd nie wszedł na pomost? - zastanowił się na głos Moshevsky, opuszczając lornetkę i przecierając oczy.

- Bo ta cholerna łódź jest pod napięciem - odparł zmęczonym głosem Kabakov. Chodźmy po naszą łódkę.

Kabakov płynął powoli pod pomostem, w ciemnościach wymacując pale. Na twarzy czuł pajęczyny zwisające z desek, a sądząc po zapachu, gdzieś blisko psuła się ryba. Zatrzymał się, obejmując słup, którego nie widział; stopami ścisnął wodorosty, ciasno oplatające słup pod powierzchnią wody. Nieco światła wpadało pod krawędzie długiego pomostu i Kabakov widział ciemne, kwadratowe kształty jachtów motorowych zacumowanych dziobami do pomostu.

Po prawej stronie naliczył ich siedem. A więc zostało jeszcze sześć. Półtorej stopy nad nim znajdowały się deski pomostu przybite gwoździami. W razie przyływu ucierpiałaby głowa. Po karku chodził mu pajak; żeby go utopić, zanurzył się w wodzie, która miała smak ropy.

Usłyszał kobiecy śmiech i grzechot lodu. Podciągnął torbę z narzędziami wyżej na plecy i popłynął. To chyba ta. Opłynął płataninę zardzewiałych przewodów i zatrzymał się przy krawędzi pomostu, pod czarną rufą łodzi. Było tu mniej powietrza i Kabakov oddychał z trudem, kiedy sprawdzał godzinę na fluoryzującej tarczy zegarka. Minęło zaledwie piętnaście minut od chwili, gdy wraz z Moshevskym płynęli łódką wzdłuż części basenu przylegającej do otwartego morza, a Kabakov ześliznął się za burtę. Teraz miał nadzieję, że Sapp zamarudzi przy deserze.

Musiał tu być jakiś rodzaj systemu alarmowego. Albo wrażliwa na dotyk mata w otwartym kokpicie na rufie, albo coś bardziej wymyślnego. Kabakov popłynął wzdłuż rufy i znalazł kabel, którym z brzegu na łódź płynął prąd o napięciu stu dziesięciu woltów. Wyjął wtyczkę z gniazdka na rufie. Jeśli system alarmowy był zasilany z brzegu, to w tej chwili został wyłączony. Usłyszał kroki i schował się pod pomost. Ktoś ciężko kroczył nad jego głową, a po chwili na twarz posypały mu się kawałki żwiru.

Nie, rozmyślał Kabakov, gdybym miał zakładać alarm, to uniezależniłbym się od energii z lądu. Poza tym przewody nie powinny być poprowadzone rufą; wejdzie na pokład dokładnie tą drogą, którą schodził Sapp.

Kabakov popłynął wzdłuż kadłuba, w ciemność, pod wypukły dziób. Liny cumujące, poluzowane na wypadek przyływu, biegły po obu stronach dziobu do słupów. Kabakov podciągnął się na rękach aż do słupka relingu na dziobie. Teraz mógł zajrzeć do kabiny sąsiedniego jachtu. Na kanapce siedzieli kobieta i mężczyzna. Widać było ich głowy z tyłu. Pieścili się. Potem głowa kobiety zniknęła. Kabakov wdrapał się na pokład i położył pod przednią szybą kabiny; kabina

zasłaniała go przed ewentualnymi obserwatorami z brzegu. Okno było szczelnie zamknięte. Ale oto i luk.

Za pomocą śrubokrętu usunął grubą plastikową szybę, umieszczoną pośrodku luku. Powstały w ten sposób otwór był na tyle duży, że mógł przezeń wsunąć ramię do środka. Przekręcił zamek i zaczął obmacywać krawędzie luku, aż znalazł połączenia czujnika alarmu przeciwwłamaniowego. Macając palcami materiał wygłuszający, którym wybity był sufit, wyobrażał sobie sposób założenia przewodów. Przełącznik znalazł na listwie uszczelniającej. Otwierał się za pomocą magnesu zamocowanego do pokrywy luku. Trzeba więc zdjąć magnes i przytrzymać na przełączniku. Tylko nie upuść! Wolno otwieraj luk. Nie dzwoń, nie dzwoń, nie dzwoń!

Skoczył w ciemność przedniej kabiny, zamknął luk, przykręcił plastikową szybę i odłożył magnes na miejsce.

Czuł się dobrze. Piekący ból po klęsce w domu Muziego prawie minął. Przy świetle latarki znalazł skrzynkę połączeń alarmu i odłączył go od suchych baterii. Dobra robota, Sapp. Regulator czasowy pozwalał mu wyjść bez uruchamiania alarmu; uruchamiany magnesem wyłącznik, czuły na poszycie łodzi, umożliwiał powrót.

Teraz Kabakov mógł się swobodnie poruszać. Szybkie przeszukanie kabiny nie przyniosło żadnych rewelacji, poza jedną uncją wysokogatunkowej kokainy krystalicznej i specjalnej łyżki służącej do jej wachania.

Zgasił latarkę i otworzył luk prowadzący do kabiny głównej. Światła z przystani prześwitujące przez burty rozjaśniały nieco pomieszczenie. Nagle w ręce Kabakova znalazło się odbezpieczone parabellum, palec na spuście dosłownie o włos od naciśnięcia.

W kuchni coś się poruszyło. Znowu to dostrzegł - krótki, powtarzający się ruch i znowu drżąca, ciemna plamka na tle burty. Położył się w przejściu, żeby złapać ten drżący cień w świetle. Uśmiechnął się. Była to niespodzianka Sappa dla intruza, który by wszedł na pokład z portu - antena przeszukująca, nowy, kosztowny typ. Bez przerwy przeszukiwała kokpit, w każdej chwili gotowa uruchomić alarm. Kabakov przemknął się na jej tył i przekręcił przełącznik.

Przeszukiwał łódź przez godzinę. W ukrytym schowku obok koła sterowego znalazł belgijski karabin maszynowy i rewolwer. Ale nie znalazł żadnego dowodu, że Sapp lub jego łódź mieli coś wspólnego z przewozem materiałów wybuchowych.

Dopiero w pojemniku na mapy znalazł to, czego szukał. Uderzenie o dziób łodzi przerwało poszukiwania. To dinghy. Wracał Sapp. Kabakov wśliznął się do przedniej kabiny i zamarł w najważniejszym miejscu dziobu.

Nad nim otworzono luk. Pojawiły się stopy, potem nogi. Głowa Sappa była jeszcze na górze, kiedy Kabakov wymierzył mu kopniaka w przepoń.

Gdy Sapp odzyskał przytomność, leżał przywiązany za ręce i nogi do jednej z dwóch koi, ze skarpetką wepchniętą w usta. Z lampy wiszącej u sufitu sączyło się żółtawe światło i rozchodził się

silny zapach nafty. Kabakov siedział na przeciwległej koi, paląc cygaro i czyszcząc paznokcie szpikulcem do lodu.

- Dobry wieczór, panie Sapp. Czy doszedł pan do siebie, czy mam p olać pana wodą? W porządku? No więc, 12 listopada wziął pan na pokład swojej łodzi ładunek plastiku z frachtowca u wybrzeży New Jersey. Chciałbym wiedzieć, kto był wtedy z panem i gdzie ten plastik znajduje się w tej chwili. Poza tym pan mnie nie interesuje. Jeśli odpowie pan na moje pytania, nic panu nie będzie; jeśli nie, zostawię pana w takim stanie, że lepsza byłaby śmierć. Będzie pan ślepy, niemy i okaleczony. Czy mam zademonstrować, co potrafię, żeby pan wiedział, iż mówię poważnie? Sądzę, że nie. Wyjmę teraz skarpetkę z pana ust. Gdyby pan zaczął krzyczeć, to ja dopiero dam panu powód do krzyku. Wszystko jasne?

Sapp skinął głową. Wypluł z ust nici. - Kim pan jest, do diabła?

- To nie pański interes, niech pan opowiada o plastiku.

- Nic o tym nie wiem. Nic pan na mnie nie ma.

- Niech pan zapomni o prawie, panie Sapp. Prawo nie uchroni pana przede mną. Aha, ci, dla których pan pracował, nie mają powiązań ze światem przestępczym i nie musi ich pan kryć.

Sapp milczał.

- FBI poszukuje pana za przemyt. A niedługo, być może, do listy zarzutów dojdzie masowe morderstwo. To była olbrzymia ilość plastiku, Sapp, która może zabić wielu ludzi, chyba że mi pan powie, gdzie on jest. Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię.

- Pocałuj mnie w dupę.

Kabakov wstał i wepchnął z powrotem skarpetkę w usta Sappa. Następnie złapał go za włosy i przycisnął mu głowę do drewnianej grodzi. Czubek szpikulca do lodu wylądował lekko w kąciku oka Sappa. Po chwili Kabakov cofnął szpikulec z oka i z rykiem wcisnął go do ucha Sappa, przyciskając tym sposobem jego głowę do grodzi. Twarz Sappa pobladła, w kabinie rozszedł się nieprzyjemny zapach.

- Masz patrzeć na mnie, gdy do ciebie mówię - warknął Kabakov. - Będziesz mówił? Mrugnij, jeśli tak. Jeżeli nie, to lepiej, żebyś umarł.

Sapp mrugnął i Kabakov wyjął mu skarpetkę z ust.

- To nie ja. Nie wiedziałem, że chodziło o plastik. Kabakov uznał to za prawdopodobne. Sapp był niższy niż mężczyzna opisywany przez pierwszego oficera z „Letycji”.

- Ale to była twoja łódź.

- Tak, ale ja nie wiem, kto na niej popłynął. Nie! Słowo honoru, że nie wiem. W moim interesie lepiej jest nie wiedzieć. Nie chciałem wiedzieć.

- W jaki sposób się z tobą skontaktowano?

- W ostatnim tygodniu października zgłosił się do mnie jakiś mężczyzna. Potrzebował łodzi, gotowej na 8 listopada. Nie przedstawił się, a ja nie pytałem, kim jest. - Sapp skrzywił się z bólu. - Interesowało go kilka szczegółów o łodzi, ale niewiele. Godziny przebiegu silników i czy są jakieś nowe urządzenia elektroniczne, takie tam rzeczy.

- Nowe urządzenia elektroniczne?

- Tak. Powiedziałem mu, że loran nie działa... na litość boską, niech pan zabierze to z mojego ucha.

- Dobrze. Ale jeśli przyłapię cię na kłamstwie, przewlekę to przez drugie. - Czy ten mężczyzna widział wcześniej twoją łódź?

- Au! - Sapp kręcił głową to w jedną, to w drugą stronę, obracał też gałkami ocznymi na boki, jakby chciał dojrzeć ucho.

- Przypuszczam, że tak, z tego, co mówił, można się było tego domyślać. Tytułem zaliczki dał mi tysiąc dolarów. Dostałem je pocztą dwa dni później na adres baru Sweeneya w Asbury Park.

- Masz tę kopertę?

- Nie. To była zwyczajna koperta, z pieczętką New York City.

- Zgłosił się jeszcze raz?

- Tak, około 10 listopada. Zażądał, żeby łódź była do dyspozycji dwunastego, we wtorek. Tej samej nocy dostarczył mi pieniądze.

- Ile?

- Dwa tysiące za wypożyczenie i sześćdziesiąt pięć tysięcy kaucji. Gotówką.

- W jaki sposób je dostarczył?

- Taksówką, w koszyku z prowiantem na wycieczkę. Pieniądze były pod jedzeniem. Parę minut później zadzwonił telefon. To był ten facet. Powiedziałem mu, gdzie znajdzie łódź.

- Nie widziałeś go, jak ją zabierał ani jak zwracał?

- Nie. - Sapp opisał przystań w Toms River.

Kabakov miał przy sobie zdjęcie Fasila i portret pamięciowy kobiety, zabezpieczone w szczelnej, gumowej rękawiczce. Wyjął je. Sapp pokręcił przecząco głową na obydwa zdjęcia.

- Jeśli nadal pan myśli, że płynąłem tą łodzią, to mam alibi na ten dzień. Byłem u dentysty w

Asbury Park. Mam pokwitowanie.

- Spodziewam się, że masz. Jak długo posiadasz tę łódź?

- Długo. Osiem lat.

- Kto przedtem był właścicielem?

- Nikt. Została zbudowana dla mnie.

- W jaki sposób zwróciłeś kaucję?

- Zostawiłem ją w tym samym koszyku, w bagażniku mojego samochodu, pod supermarketem; klucz do bagażnika schowałem pod wycieraczką. Ktoś ją zabrał.

Na mapie wybrzeża New Jersey, znalezionej przez Kabakova w pojemniku na mapy, miejsce spotkania zaznaczone było równą czarną linią, a obok zanotowano czas wypłynięcia oraz okresy trwania poszczególnych etapów trasy. Ołówkiem dopisane były namiary dla pozycji łodzi, ustalanych dwukrotnie radionamiernikiem. Po trzy namiary na każdą pozycję.

Kabakov trzymał mapę za brzegi pod lampą, żeby Sapp mógł ją widzieć.

- Czy to ty zrobiłeś te znaki?

- Nie. W ogóle nie wiedziałem, że ta mapa jest na łodzi, bo bym się jej pozbył.

Kabakov wyjął inną mapę z pojemnika. Była to mapa Florydy.

- A ten kurs ty wytyczyłeś?

- Tak.

Kabakov porównał obie mapy. Pismo Sappa było inne. Do oznaczenia pozycji używał tylko dwóch namiarów radionamiernika. Do oznaczania czasu używał wschodnioamerykańskiego czasu urzędowego. Czas spotkania z „Letycją” zapisany na mapie New Jersey określała godzina 21. 15. Zastanowiło to Kabakova. Wiedział, że kuter Straży Przybrzeżnej zauważył szybką łódź obok frachtowca o godzinie 17 urzędowego czasu wschodnioamerykańskiego. Łódź musiała tam być już jakiś czas, ładując plastik, a więc spotkanie mogło być wyznaczone na 16. 15 lub 16. 30. A na mapie podany był czas o pięć godzin późniejszy. Dlaczego? Również czas wypłynięcia z Toms River i notowania czasu na poszczególnych etapach trasy miały na mapie pięć godzin opóźnienia w stosunku do rzeczywistości. Nie miało to sensu. Naraz - ależ tak, to miało sens! Człowiek, którego Kabakov szukał, używał nie wschodnioamerykańskiego czasu urzędowego, ale średniego czasu zachodnioeuropejskiego, czasu strefowego, czasu pilota!

- Znasz jakichś pilotów? Zawodowych pilotów - zwrócił się do Sappa.

- Nie znam żadnych zawodowych pilotów odparł Sapp.

- Zastanów się.

- No, może pewnego faceta na Jamajce, który ma licencję na transport handlowy. Ale on siedzi w ciupie, odkąd federalni oczyścili mu przedział bagażowy. To z całą pewnością jedyne zawodowy pilot, jakiego znam.

- Nie znasz pilotów, nie wiesz, kto wynajął łódź. Mało pan wie, panie Sapp.

- Naprawdę, nie znam żadnych pilotów. Może mnie pan pobić, i pewnie pan to zrobi, ale ja i tak nic nie wiem.

Kabakov zastanawiał się, czy torturować Sappa. Choć na samą myśl o tym dostawał mdłości, zrobiłby to, gdyby ta metoda miała przynieść oczekiwane skutki. Nie. Sapp nie grał głównej roli w tej sprawie. W sytuacji, kiedy groziła mu rozprawa sądowa, gdy mógł być uznany winnym współdziałania w przestępstwie głównym mającym związek z materiałami wybuchowymi, na pewno poszedłby na współpracę. Staralby się przypomnieć sobie najdrobniejsze nawet szczegóły, umożliwiające identyfikację mężczyzny, który wynajął łódź. Lepiej teraz już go nie ruszać.

Następnym posunięciem powinno być intensywne przesłuchanie Sappa w związku z jego towarzyszeniem i działalnością, a także dokładna laboratoryjna analiza mapy. FBI jest lepiej wyposażone do takiej pracy. Kabakov przebył długą drogę, a zyskał niewiele.

Zadzwoił do Corleya z budki telefonicznej na pomoście.

Sapp nie kłaniał świadomie, ale mylił się mówiąc Kabakovowi, że nie zna zawodowych pilotów. Było to zapomnienie zrozumiałe - minęły lata od chwili, gdy po raz ostatni widział Landera czy wspominał ten przerażający i szalony dzień, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

Było to w czasie sezonowego wyjazdu Sappa na Północ; u wybrzeża Manasquan, w stanie Nowy Jork spławiane drewno pogmiotło obydwie śruby w jego łodzi i utknął. Był silny i zręczny, ale nie mógł wymienić zablokowanej i skreconej śruby na otwartym morzu, przy wzburzonej fali. Łódź dryfowała powoli w kierunku plaży, ciągnąc kotwicę rzuconą dla przeciwstawienia się wiatrowi napierającemu od morza. Nie mógł wezwać Straży Przybrzeżnej, bo strażnicy poczuliby ten sam odór, który zatamował mu oddech, kiedy zszedł na dół po kotwicę burzową odór skór aligatorów, kupionych od florydzkiego kłusownika, o czarnorynkowej wartości pięciu i pół tysiąca dolarów, które wiozł do Nowego Jorku.

Gdy wrócił z kotwicą na pokład, zobaczył zbliżającą się łódź.

Michael Lander, który wypłynął z rodziną małą, schludną motorówką, rzucił Sappowi linę i podciągnął go do osłoniętej zatoczki. Sapp, nie chcąc zostać w basenie jachtowym z uszkodzoną łodzią i gorącym towarem, poprosił Landera, żeby mu pomógł. Pracowali pod wodą w maskach i płetwach, i wspólnymi siłami udało im się zdjąć jedną śrubę z wału i założyć zapasową. Sapp dowlókł się jakoś do domu.

- Przepraszam za ten zapach - powiedział Sapp czując się niezręcznie, gdy siedzieli na rufie

odpoczywając. W trakcie roboty Lander musiał zejść na dół, a Sapp nie mógł ukryć skór.

- Nie moja sprawa - odparł Lander.

Wypadek ten dał początek nieobowiązującej przyjaźni, która skończyła się, gdy Lander po raz drugi wyjechał do Wietnamu. Z Margaret Sapp przyjaźnił się jeszcze przez kilka miesięcy po wyjeździe Landera. I dlatego, w rzadkich chwilach, gdy Sapp myśli o Landerach, przypomina mu się kobieta, a nie pilot.

ROZDZIAŁ 17

I grudnia prezydent poinformował swojego szefa personelu, że stanowczo pojedzie na Wielkie Rozgrywki Pucharowe w Nowym Orleanie, bez względu na to, czy waszyngtońska drużyna „Redskinów” będzie grała, czy nie.

- Niech to szlag trafi - powiedział Earl Biggs, specjalny agent odpowiedzialny za szczegóły w tajnej służbie Białego Domu. Powiedział to spokojnie i bez świadków. Nie był właściwie zdziwiony - prezydent wspominał wcześniej, że prawdopodobnie pojedzie. Lecz Biggs ciągle miał nadzieję, że wyprawa zostanie odwołana.

Powinienem już zmańdrzeć, a nie stale żyć złudzeniami, skarcił się sam. Miesiąc miodowy Wielkiego Człowieka z Narodem skończył się i jego popularność zaczęła nieco spadać, ale na dalekim Południu mógł nadal być pewny owacji na stojąco, na oczach całego świata.

Biggs wykręcił numer sekcji Badań Ochrony Secret Service.

- 12 stycznia, Nowy Orlean, zajmijcie się tym - powiedział.

Sekcja Badań Ochrony ma trzy rodzaje kartotek. Największa zawiera wszystkie groźby pod adresem prezydenta wypowiedziane przez telefon lub listownie oraz doniesienia osób trzecich o pogroźkach, w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Osoby, które powtarzają co jakiś czas pogroźki lub te, które uznano za potencjalnie niebezpieczne, zgrupowano pod hasłem „żywa kartoteka”.

Co pół roku robi się przegląd tej kartoteki i nanosi zmiany adresu, pracy oraz podróże zagraniczne. W chwili obecnej w „żywej kartotece” jest osiemset czterdzieści nazwisk. Z tych osób trzysta dwadzieścia pięć uważanych jest za bardzo niebezpieczne, a ich nazwiska figurują również w kartotece „podróże”. Przed każdą podróżą prezydenta osoby niebezpieczne, zamieszkałe w jej rejonie, są przesłuchiwane.

W ciągu czterdziestu trzech dni pozostałych do wyjazdu urzędnicy w Sekcji Ochrony, a także agenci terenowi, mają dużo czasu, aby sprawdzić Nowy Orlean.

Nazwisko Lee Harveya Oswalda nie figurowało w kartotekach Secret Service. Nie było tam też Michaela Landera.

3 grudnia trzech agenci z tajnej służby Białego Domu zostali wysłani do Nowego Orleanu, żeby dopilnować organizacji ochrony. Od 1963 roku jest to rutynowe działanie: okres czterdziestu dni i grupa trzech agentów. 7 grudnia szef grupy, Jack Renfro, wysłał wstępny raport do Earla Biggsa w Białym Domu.

Renfro nie lubił stadionu w Tulane. Za każdym razem, kiedy prezydent ukazywał się publicznie, Renfro czuł osobiste zagrożenie. Stadion w Tulane, rodzimy stadion drużyny „Green Wave” z Tulane, stadion, na którym odbywały się Młodzieżowe Rozgrywki Klasyczne i grali „New Orleans Saints”, to największy na świecie stadion stalowy. Zrudziały od rdzy, niegdyś szaro-brązowy, pod trybunami stanowi prawdziwy gąszcz dźwigarów i słupów. Koszmar dla sprawdzających. Renfro i jego dwaj

agenci przez dwa dni kręcili się po stadionie. Gdy Renfro wyszedł na boisko, miał uczucie, jakby niebezpieczeństwo czyhało na każdym z osiemdziesięciu tysięcy dziewięciuset osiemdziesięciu pięciu miejsc. Oszklona loża dla VIP-ów, wysoko po zachodniej stronie stadionu, przy końcu galerii prasowej, była bezużyteczna. Wiedział, że prezydent nigdy nie zgodzi się z niej skorzystać, nawet w razie niepogody. Nikt by go tam nie widział. Skorzysta z loży dla VIP-ów przed trybunami dla publiczności, na pięćdziesięciojardowej linii boiska. Renfro spędził w niej wiele godzin. Na cały dzień usadowił w loży urzędnika departamentu nowoorleańskiej policji, a sam z dwoma kolegami sprawdzał linie celowania z różnych miejsc na trybunach.

Osobiście dopilnował, aby Oddział do Zadań Specjalnych, który zostanie oddelegowany na stadion, składał się z samej śmietanki nowoorleańskiej policji. Zbadał trasy z międzynarodowego portu lotniczego w Nowym Orleanie do stadionu - drogą U. S. 61, autostradą stanową 3046, drogą U. S. 90, oraz kombinacją dróg: międzystanową 10 z odcinkiem Claiborne Avenue drogi U. S. 90. Wszystkie wydały mu się zbyt długie, szczególnie z uwagi na notoryczne kłopoty z ruchem w rejonie samego stadionu.

We wstępnej ocenie, którą wysłał do specjalnego agenta Biggsa w Białym Domu, Renfro napisał między innymi:

Zalecamy usilnie, aby prezydent został przewieziony helikopterem z międzynarodowego portu lotniczego w Nowym Orleanie na stadion według następującej procedury:

1. Sznur samochodów będzie oczekiwał na lotnisku, ale zabierze mniej ważne osobistości z grupy prezydenckiej.

2. Dopóki helikopter prezydenta nie wystartuje z międzynarodowego portu lotniczego w Nowym Orleanie, nie należy wyznaczać miejsca lądowania na stadionie. W momencie startu helikoptera z lotniska zastosuje się przenośne urządzenie do oznaczania miejsca lądowania, na południowym krańcu terenu przylegającego do stadionu (patrz szkic A-1). Nie ma tam żadnych przewodów, jest to więc czyste pole lądowania, ale po obu stronach drogi stoją trzy wysokie słupy oświetleniowe. Słupy te nie są oznaczone na mapie sektorów Nowego Orleanu ani na mapie lotniczej zgodnie z przepisami lotu z widocznością ziemi (VFR). Ich obecność należy podkreślić przy odprawie pilota.

3. Z miejsca lądowania do wejścia numer 19 jest sto kroków (patrz załączona fotografia A-2). Należy zażądać usunięcia obrzydliwego pojemnika na śmieci, zaznaczonego pod ścianą stadionu. Zaproponować, aby agenci na miejscu lądowania sprawdzili krzewy na skraju stadionu o godzinie zero minus jedna minuta.

Teren lądowania jest widoczny z górnych pięter pięciu domów od tyłu stadionu Audubon Boulevard. Numery domów: 49, 55, 65, 71 i 73. Wstępne badania wskazują, że wszystkie domy zamieszkałe są przez obywateli nie stanowiących zagrożenia. Jednakże dachy i okna powinny być pod obserwacją w czasie przybycia prezydenta.

Gdyby w chwili przybycia prezydenta kasa sprzedająca bilety przy wejściu numer 19 była obleżona przez tłum, można użyć wejścia numer 18 albo wejścia 18A - dla sprzedawców, ale jest to rozwiązanie mniej pożądane ze względu na to, że później trzeba przejść kawałek pod trybunami.

Od wejścia numer 19 prezydent będzie wystawiony na niebezpieczeństwo przechodząc pod trybunami siedemdziesiąt pięć kroków, aby dotrzeć do linii bocznej przy linii celu.

Prezydent skorzysta z łoża numer 40; jest to podwójna łoża przy pięćdziesięciojardowej linii boiska (patrz załączony szkic A-3). Proszę zwrócić uwagę, że poręcze zapewniają dojście od przodu i od tyłu. Proszę zauważyć również, że tylna część łoża znajduje się o sześć cali wyżej z powodu schodka. Wysocy agenci, zajmujący miejsca za prezydentem w łożu numer 40, zapewnią wystarczającą osłonę od tyłu. Secret Service zajmie łoża numer 14 i 13 usytuowane przed łożem prezydenckim, z prawej i lewej strony. W każdej z łoż 71, 70, 69 i 68 powinien znaleźć się przynajmniej jeden agent na tyłach.

Poręcz łoża prezydenckiego stanowi metalowa rura. Jej końce zaślepione są nasadkami. Tuż przed nadejściem prezydenta należy zdjąć nasadki i sprawdzić wnętrze rury. W łożu znajduje się jedno gniazdko telefoniczne. O szczegółach informuję korpus łączności (notatka dla łączności w załączeniu). Szkic A-4 przedstawia widok ogólny stadionu, mapa zaś - miejsca, jakie zajmą poszczególni agenci, i obszary, za które ponoszą odpowiedzialność.

Nie odnotowaliśmy żadnych zakłóceń na naszej częstotliwości radiowej.

Szczegóły wyjścia będą modyfikowane z uwzględnieniem obserwacji przepływu tłumu po meczu drużyn studenckich 31 grudnia.

Jack Renfro był ostrożnym i sumiennym człowiekiem, wytrawnym specjalistą w swoim fachu. Poznał cały stadion na pamięć. Ale kiedy katalogował wszystkie zagrożenia - ani razu nie spojrzął w niebo.

ROZDZIAŁ 18

Lander skończył konstrukcję bomby dwa dni po Bożym Narodzeniu. Leżała na stojaku, a w jej gładkiej powłoce, granatowej jak niebo o północy, z jaskrawymi insygniami Krajowej Sieci Radiowej, odbijały się ostre światła garażu. Klamry, którymi miała być przymocowana do gondoli sterowca, zwisały z górnej jej krawędzi niczym otwarte dłonie, a na wierzchu, zwinięte porządnie w zwoje, leżały przewody elektryczne i zapalnik zapasowy. Pod powłoką, w dwóch wielkich kawałach o dokładnie wymierzonej grubości, spoczywało najeżone nabojami 1316,7 funtów plastiku wybuchowego. Detonatory, zapakowane oddzielnie, gotowe były do podłączenia.

Lander siedział spoglądając na wielką bombę. W jej boku widział swoje zniekształcone odbicie. Pomyślał, że chciałby na niej usiąść, włożyć na miejsce detonatory i trzymając przewody podłączone do baterii niczym lejce, pomknąć ognistym pociskiem wprost ku Bogu. Zostało jeszcze szesnaście dni.

Telefon dzwonił dość długo, zanim Lander go odebrał. To Dahlia dzwoniła z Nowego Orleanu.

- Skończyłem - oświadczył Lander.

- Michael, wykonałeś wspaniałą robotę. To prawdziwa przyjemność przyglądać ci się, jak pracujesz.

- Załatwiłaś garaż?

- Tak. Na nabrzeżu przy Galvez Street. Dwadzieścia minut jazdy od nowoorleańskiego lotniska w Lakefront. Przejechałam tę drogę dwukrotnie.

- Czy jest wystarczająco duży?

- Wystarczająco. Jest to część magazynu, oddzielona od reszty ściankami. Kupiłam kłódki i pozamykałam. Czy mogę już wrócić do domu, Michael?

- Jesteś zadowolona?

- Jestem.

- Z lotniska też?

- Tak. Nie miałam żadnych kłopotów, żeby się tam dostać. Jak przyjdzie czas, mogę tam wjechać ciężarówką.

- Wracaj do domu.

- Będę późną nocą.

Dobrze się sprawiła, pomyślał Lander, odwieszając słuchawkę. Mimo to wolałby sam

przygotować wszystko w Nowym Orleanie. Tyle że nie było czasu. Musiał jeszcze obcieć dogrywki i Krajową Konferencję Piłki Nożnej i Rozgrywkę Studenckie w Nowym Orleanie przed Wielkimi Rozgrywkami Pucharowymi. Nie miał zupełnie czasu.

A w ogóle niepokoił go problem przewiezienia bomby do Nowego Orleanu, rozwiązanie zaś, jakie znalazł, dalekie było od idealnego. Wypożyczył dwuipółtonową ciężarówkę, stojącą teraz na jego podjeździe; dwaj zawodowi kierowcy wynajęci na jednorazową umowę pojedą z bombą do Nowego Orleanu jutro rano. Skrzynia ciężarówki będzie zamknięta, ale nawet gdyby zobaczyli skorupę, którą wiozą, i tak nie będą wiedzieli, co to jest.

Na samą myśl o oddaniu bomby w obce ręce Lander czuł się nieswojo. Ale nie było rady. Ani Fasil, ani Dahlia nie mogli prowadzić ciężarówki. Na pewno policja rozesłała ich rysopisy na północnym wschodzie. Sfałszowane międzynarodowe prawo jazdy Fasila z całą pewnością zwróciłyby uwagę policji w razie zatrzymania wozu. Dahlia zaś w ogóle wyglądałaby podejrzanie za kierownicą wielkiej ciężarówki. Strzelałaby oczami na lewo i prawo. Poza tym Lander chciał ją mieć przy sobie.

Gdyby potrafił zaufać Fasilowi i wyprawić go do Nowego Orleanu, Dahlia byłaby teraz z nim tutaj, pomyślał z goryczą. Stracił zaufanie do Fasila, odkąd ten oświadczył, że nie będzie obecny przy zamachu. Po tym oświadczeniu Fasila z zadowoleniem dostrzegł we wzroku Dahlii nienawiść. Być może organizuje on właśnie jakichś ludzi, którzy go zastąpią na lotnisku; Dahlia pilnuje, żeby oni dwaj nigdy nie zostawali w domu razem.

Jeszcze jedna pozycja z listy potrzebnych materiałów była do załatwienia - brezent do osłonięcia bomby. Była czwarta czterdzieści pięć. Sklep z towarami przemysłowymi był jeszcze otwarty. Miał czas, żeby to załatwić.

Dwadzieścia minut później Margaret Feldman, dawniej Lander, zaparkowała swojego darta kombi obok wielkiej ciężarówki na podjeździe domu Landera. Siedziała przez chwilę, przyglądając się budynkowi.

Od czasu rozvodu i powtórnego zamążpójścia widziała go po raz pierwszy. Czowała pewne opory przed przyjazdem tutaj, ale chciała odebrać kołyskę i wózek dziecięcy, które zgodnie z prawem należały do niej, a które będą jej potrzebne za kilka miesięcy. Żeby się upewnić, że Michaela nie ma w domu, zadzwoniła wcześniej. Nie chciała, żeby ją opłakiwał. Był silnym i dumnym mężczyzną zanim go złamano. W jej wspomnieniach o nim nadal było sporo swoistego uczucia. Usiłowała zapomnieć o jego chorobliwym zachowaniu pod koniec ich małżeństwa. Nadal jednak śnił jej się kotek i w snach słyszała jego pisk.

Zadumana, przejrzała się w lusterku puderniczki, poprawiła blond włosy, sprawdziła, czy na zębach nie ma szminki i dopiero wtedy wysiadła z samochodu. Zrobiła to wszystko tak samo odruchowo, jak odruchowo wyłącza się zapłon. Miała nadzieję, że nie zabrudzi się ładując kołyskę i wózek do swojego kombi. Naprawdę Roger powinien być z nią przyjechać. Ale on uważał, że nie wypada mu wchodzić do domu Landera pod jego nieobecność.

Nie zawsze był tego zdania, pomyślała Margaret chłodno. Dlaczego Michael próbował ją

zatrzymać? Przecież i tak wszystko było skończone.

Stojąc na cieniutkiej warstwie śniegu Margaret zauważyła, że zamek do garażu został wymieniony na solidniejszy. Postanowiła wejść do domu i od wewnątrz dostać się do garażu. Jej stary klucz nadal pasował do drzwi frontowych. Miała zamiar pójść prosto do garażu, ale kiedy znalazła się w środku, ogarnęła ją nagła ciekawość.

Rozejrzała się dookoła; na dywanie przed telewizorem widniała znajoma plama, pozostałość po kapiących dziecięcych lodach. Nigdy nie udało jej się tego wywabić. Ale poza tym pokój był wysprzątny, kuchnia też. Margaret spodziewała się zastać stos puszek po piwie i tacek po gotowych daniach. Trochę ją dotknął porządek w domu.

Kiedy się jest w cudzym domu, człowiek ma poczucie winy zmieszane z pewnym wzruszeniem, zwłaszcza gdy jest to dom osoby bliskiej. Dużo można odgadnąć po ułożeniu osobistych drobiazgów, szczególnie tych bardziej intymnych. Margaret weszła na górę.

Ich stara sypialnia powiedziała jej niewiele. Buty Landera stały równo w szafie, meble były odkurzone. Stała patrząc na łóżko i uśmiechała się do siebie. Roger byłby zły, gdyby wiedział, o czym myślała, o czym w ogóle zdarzało jej się myśleć, nawet gdy była z nim.

Łazienka. Dwie szczoteczki do zębów. Mała zmarszczka pojawiła się między brwiami Margaret. Kapturek pod prysznic. Kremy do twarzy, płyn do ciała, płyn do kąpieli. No, no. Nie żałowała już, że pogwałciła zacisze domowe Landera. Zaczęła się zastanawiać, jak wygląda ta kobieta. Teraz musiała obejrzeć resztę jej rzeczy.

Zajrzała do drugiej sypialni, potem do pokoju bawialnego. Szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma patrzyła na lampkę spirytusową, draperie na ścianach, świeczniki i ogromne łóżko. Podeszła do łóżka i dotknęła poduszki. Jedwab. O, la, la! - powiedziała do siebie.

- Halo, Margaret - odezwał się Lander.

Odwróciła się z okrzykiem. Lander stał w drzwiach pokoju, jedną ręką trzymał klamkę, drugą miał schowaną w kieszeni. Był blady.

- Ja tylko...

- Dobrze wyglądasz.

Była to prawda. Wyglądała wspaniale. W wyobraźni widział ją nieraz w tym pokoju. Słyszał jęki rozkoszy, jak u Dahlii, czuł, jak go dotyka, jak Dahlia. Poczul w środku bolesną pustkę. Żałował, że nie ma Dahlii. Patrząc na byłą żonę, wyobrażał sobie Dahlię, czuł potrzebę ujrzenia jej. Ale widział Margaret. Margaret, która rozjaśniała powietrze wokół siebie.

- Ty też chyba czujesz się dobrze... to znaczy, wyglądasz dobrze, Michael. Przyznaję, że nie spodziewałam się t e g o - ręką zatoczyła po pokoju.

- A czego się spodziewałaś? - Na twarzy poczul pot. Wszystko, co na nowo odkrył w tym

pokoju, nie wytrzymywało porównania z Margaret.

- Michael, potrzebne mi rzeczy dla niemowlęcia - kołyska i wózek.

- Widzę, że Roger nie próżnował. Och, naturalnie, możesz mieć wątpliwości, czy to on.

Uśmiechnęła się bezmyślnie, starając się, mimo obelgi, aby ten nastrój mu minął, starając się uciec. Dla Landera jej uśmiech oznaczał, że dla niej niewierność była śmieszna, była żartem, z którego można się wspólnie pośmiać. Zapieкло go to tak, jakby dotknął rozpalonego do czerwoności pogrzebacza.

- Mogę sama zabrać te rzeczy z garażu - i ruszyła ku drzwiom.

- Nie szukałaś ich jeszcze? Pokaż jej to. Pokaż i zabij.

- Nie, dopiero zamierzałam..

- Ani kołyski, ani wózka tam nie ma. Włożyłem je do składziku. Do garażu wpadają jaskółki i wszystko brudzą. Odeśle ci te rzeczy. Nie! Zaprowadź ją do garażu, pokaż jej to i zabij ją.

- Dziękuję, Michael. To bardzo miło z twojej strony.

- Co u dzieci? - własny głos brzmiał jakoś dziwnie.

- Dobrze. Miały przyjemne Boże Narodzenie.

- Lubią Rogera?

- Tak. Jest dla nich dobry. Chciałyby się z tobą widywać od czasu do czasu. Pytają o ciebie. Przeprowadzasz się? Widziałam przed domem tę dużą ciężarówkę, pomyślałam więc...

- Czy Rogera jest większy od mojego?

- Słucham?

Lander nie mógł się już powstrzymać. - Ty przeklęta dziwko! - ruszył ku niej. Muszę przestać.

- Do widzenia, Michael - Margaret ruszyła bokiem ku drzwiom.

Pistolet w kieszeni parzył mu dłoń. Muszę przestać. Wszystko zrujnuję. Dahlia powiedziała, że to prawdziwa przyjemność przyglądać się tobie. Dahlia powiedziała: Michael, byłeś dzisiaj taki silny. Dahlia powiedziała: Michael, uwielbiam to robić dla ciebie. Margaret, byłem twoim pierwszym mężczyzną. Nie. Gumka zostawiła czerwony ślad na twoich biodrach. Nie myśl. Dahlia niedługo będzie w domu, niedługo będzie w domu, niedługo będzie w domu. Nie powinienem... pstryk.

- Przepraszam za to, co powiedziałem, Margaret. Nie powinienem. To nieprawda. Przepraszam.

Była jeszcze przestraszona. Chciała wyjść. Jeszcze chwilę mógł wytrzymać.

- Mam tu coś, co chciałem ci posłać, Margaret. Dla ciebie i Rogera. Zaczekaj, zaczekaj. Źle się zachowałem. Dla mnie to ważne, żebyś się na mnie nie gniewała. Będę nieszczęśliwy, jeśli się na mnie pogniewasz.

- Nie gniewam się, Michael. Muszę już iść. Chodzisz do lekarza?

- Tak, tak. Czuję się dobrze. To tylko szok na twój widok. Przy następnych słowach omal się nie udławił, ale wydusił je z siebie.

- Tęskniłem za tobą i zdenerwowałem się. Tylko to. Zaczekaj chwilę. - Poszedł szybko do biurka w swoim pokoju, a gdy wyszedł, ona schodziła po schodach.

- Proszę, weź to. Weź, baw się dobrze i nie złość się na mnie.

- Dobrze, Michael. Do widzenia - wzięła kopertę.

Przy drzwiach zatrzymała się i odwróciła do niego. Musiała mu to powiedzieć. Nie wiedziała dlaczego. Powinien to wiedzieć.

- Michael, przykro mi z powodu twojego przyjaciela Jergensa!

- Co z Jergensem?

- To on przecież budził nas w środku nocy, dzwoniąc do ciebie, prawda?

- A co się z nim stało?

- Zabił się. Nie czytałeś w gazecie? „Pierwsze samobójstwo jeńca wojennego” - tak o tym napisali. Wziął jakieś pigułki i na głowę naciągnął plastikową torbę. Tak mi było przykro, kiedy o tym przeczytałam. Pamiętam, jak rozmawiałeś z nim przez telefon, gdy on nie mógł spać. Do widzenia, Michael.

Jej oczy były jak łebki od gwoździ, ale - nie wiedzieć czemu - poczuła się lżej.

Gdy przejechała trzy przecznice, czekając pod światłami, otworzyła kopertę, którą dał jej Lander. Były w niej dwa bilety na Wielkie Rozgrywki Pucharowe.

Zaraz po odjeździe Margaret Lander pobiegł do garażu. Ziemia usuwała mu się spod nóg. Zaczął szybko pracować, starając się nie dopuścić, aby myśli niby wezbrana czarna woda zawładnęły jego umysłem. Uruchomił wynajęty wózek widłowy i wsunął widełki pod stojak, na którym leżała bomba. Zatrzymał wózek i zszedł z siodelka. Skoncentrował myśli na wózkach widłowych. Zaczai myśleć o wszystkich wózkach, jakie widział w magazynach i portach. Myślał o zasadach działania dźwigni hydraulicznej. Wyszedł na dwór i opuścił tylną klapę ciężarówki. Zamocował pochyłą metalową rampę. Pomyślał o wszystkich lądujących statkach powietrznych, jakie widział, próbując przypomnieć sobie, jak mocowano przy nich rampy. Rozpaczliwie uczeplił się myśli o rampach

załadunkowych. Wyrzwał na ulicę. Nikt nie patrzył. Zresztą i tak nie miało to znaczenia. Znowu wskoczył na wózek i uniósł bombę w górę. Tylko ostrożnie. To delikatna robota. Musi o tym myśleć. Musi być bardzo ostrożny. Powoli wjechał po rampie na skrzynię ciężarówki. Resory zaskrzypiały pod ciężarem. Opuścił widły wózka wraz z bombą, która na nich spoczywała, zaciągnął hamulec, zablokował mocno koła i wszystko powiązał grubą liną. Zaczął myśleć o węzłach. Wiedział wszystko na temat węzłów. Potrafił wiązać dwanaście różnych węzłów. Musi pamiętać, żeby w skrzyni ciężarówki umieścić ostry nóż. Żeby Dahlia, gdy nadejdzie pora, mogła szybko przeciąć linę. Nie będzie miała czasu, żeby bawić się z węzłami. Och, Dahlia, wracaj, ja tonę. Schował rampę załadunkową i torbę z krótką bronią z tyłu ciężarówki i zamknął klapę. Robota skończona.

W garażu zwymiotował. Nie wolno myśleć. Podeszedł do szafki z alkoholami i wyjął butelkę wódki. Żołądek zwrócił wódkę. Dopiero za drugim razem alkohol pozostał w żołądku. Wyjął z kieszeni pistolet i wrzucił go za kuchenkę, skąd nie mógł go wydostać. Butelka - jeszcze łyk i jeszcze łyk. Połowa rozlała się i pociekła po koszuli, po szyi. I znowu butelka, i znowu. W głowie mu wirowało. Nie wolno ci jej zwrócić. Trzymaj. Płakał. Wódka zaczęła działać. Siedział na podłodze w kuchni. Jeszcze dwa tygodnie i nie będę żył. Dzięki Ci, Boże, że nie będę żył. Wszyscy inni też. Wszyscy będziemy tam, gdzie jest cicho. I gdzie niczego nie ma. O Boże, to trwało tak długo. O Boże, to trwało tak długo. Miałeś rację, Jergens, że się zabiłeś. Jergens! Krzyczał teraz. Wstał i potykając się szedł do tylnych drzwi. Krzyczał stojąc w otwartych drzwiach. Po twarzy smagał go zimny deszcz, a on wykrzykiwał na podwórze: - Jergens, miałeś rację!

Schodki zachwiały się pod nim, stoczył się na martwą trawę pod śniegiem i został tak, twarzą do góry, w deszczu. Starczyło mu jeszcze świadomości, żeby pomyśleć: woda jest dobrym przewodnikiem ciepła. Naokoło miliony piecyków, a moje serce leży zimne na ziemi.

Było już całkiem późno, kiedy Dahlia postawiła swoją walizkę w saloniku i zawołała Landera. Zajrzała do warsztatu i weszła po schodach na górę.

- Michael! - Światła były zapalone, w domu było zimno. Poczwała się nieswojo.

- Michael! - Weszła do kuchni.

Tylne drzwi były otwarte. Podbiegła do nich. Gdy go zobaczyła, myślała, że nie żyje. Twarz miał kredowobiałą z niebieskawym odcieniem, mokre włosy przylepiły się płasko do głowy. Uklęka przy nim, żeby posłuchać serca przez nawilgłą koszulę. Biło. Zrzuciła z nóg buty na wysokim obcasie i pociągnęła go do drzwi. Przez pończochy czuła lodowatą ziemię. Postępując z wysiłku, wciągnęła go schodami do kuchni. Porwała koce z łóżka w pokoju gościnnym i rozpostarła je na podłodze obok niego, następnie ściągnęła z niego przemoczone ubranie i zawinęła go w koce. Wytarła go szorstkim ręcznikiem i siedziała potem przy nim w karetce pogotowia przez całą drogę do szpitala. O świcie miał sto pięć stopni Fahrenheita i wirusowe zapalenie płuc.

ROZDZIAŁ 19

Znad jeziora Pontchartrain zbliżał się do Nowego Orleanu samolot pasażerski linii Delta; nad wodą leciał jeszcze na dużej wysokości, potem, bliżej międzynarodowego portu lotniczego, zszedł niżej. Nagłe obniżenie wysokości podniosło nieprzyjemnie żołądek Muhammada Fasila, który zaklął pod nosem.

Zapalenie płuc! Drogocenny pieszczoszek tej baby zalał się i wpadł do kałuży! Ten głupiec leży na wpół przytomny i słaby jak kociak w szpitalu, a ona siedzi przy nim i pochlipuje z żalu! Dobrze chociaż, że przy okazji dopilnuje, by trzymał język za zębami o ich akcji.

Zdaniem Fasila szansę na to, aby za dwa tygodnie Lander mógł polecieć na Wielkie Rozgrywki Pucharowe, równe były zeru. Kiedy ta tępa głowa przekona się, kiedy zrozumie wreszcie, że Lander nie jest zdolny do niczego poza rzyganiem na jej rękę, zabije go i przyjedzie do Fasila do Nowego Orleanu. Dała mu na to słowo.

Fasil był zrozpaczony. Ciężarówka z bombą, zgodnie z harmonogramem, znajdowała się w drodze do Nowego Orleanu. Była więc bomba - a nie było możliwości jej wykorzystania. Musi więc opracować alternatywny plan, a najodpowiedniejszym do tego miejscem jest Nowy Orlean, gdzie zamach ma być wykonany. Hafez Najeer popełnił fatalny błąd, oddając kontrolę tej misji w ręce Dahlii Iyad, powtórzył sobie Fasil chyba po raz setny. No więc teraz koniec z rządzeniem Dahlii. Nowy plan będzie jego, Fasila.

Na lotnisku były tłumy, które przyleciały na rozgrywki Sugar Bowl, powitalne mecze studenckie, trwające trzy dni na stadionie w Tulane. Fasil dzwonił do ośmiu hoteli. Wszystkie były przepełnione. Zmuszony był wziąć pokój w YMCA.

Ciasny, mały pokój, po nocy spędzonej w hotelu „Plaża” w Nowym Jorku, to był właściwie upadek; hotelu „Plaża”, obwieszonym od frontu narodowymi flagami zagranicznych dygnitarzy, z centralą telefoniczną przywykłą do międzynarodowych połączeń. Flagi Arabii Saudyjskiej, Iranu i Turcji wiszą między innymi flagami podczas obecnej sesji Narodów Zjednoczonych, a rozmowy z Bliskim Wschodem nie stanowią rzadkości. Fasil mógł zamówić rozmowę z Bejrutem w komfortowych warunkach i zażądać przysłania odpowiednio uzbrojonych ludzi do Nowego Orleanu. Właśnie kończył kodowanie wiadomości i już miał zamówić rozmowę, gdy zadzwoniła Dahlia i zawiadomiła go o głupim załamaniu Landera. Fasil, wściekły, podarł papier z tekstem wiadomości i spuścił go z wodą w eleganckiej toalecie hotelu „Plaża”.

Siedzi teraz w tej podłej dziurze w Nowym Orleanie z planem, który rozsypał się jak domek z kart. Najwyższy czas, żeby obejrzeć sobie miejsce akcji. Fasil nigdy nie widział stadionu w Tulane. We wszystkim polegał na Landerze. Przepełniony goryczą wyszedł na ulicę i złapał taksówkę.

W jaki sposób mógłby sam dokonać zamachu? Będzie ciężarówka. Będzie bomba. Może zażądać przysłania jeszcze dwóch ludzi. Będzie miał do pomocy Dahlię Iyad, nawet jeśli jej niewierny wypadnie z gry. Fasil był wprawdzie ateistą, ale Landera uważał za niewiernego i wymawiając jego nazwisko, spluwał. Taksówka jechała autostradą U. S. 90 przez śródmieście

Nowego Orleanu w kierunku południowo-zachodnim, pod popołudniowe słońce. Kierowca przez cały czas wygłaszał monolog w gwarze, która dla Fasila była prawie niezrozumiała.

- Syn mojej siostry pracował ze mną, kiedy zajmowałem się hydrauliką, dopóki krzyż mi nie wysiadł. Przeważnie nie mogłem go znaleźć. A nie można robić hydrauliki samemu. Jak się nie ma nikogo, co by podawał człowiekowi potrzebne rzeczy, to trzeba raz po raz wychodzić spod domu. Dlatego wysiadł mi kręgosłup, ciągle tylko musiałem wczołgiwać się pod domy i wychodzić spod nich.

Fasil wolałby, żeby facet się zamknął. Ale on nie zamierzał tego zrobić.

- O, to tam. To jest Superdome, której chyba nigdy nie dokończą. Najpierw miała kosztować sto sześćdziesiąt osiem milionów dolarów, a teraz już dwieście. Wszyscy mówią, że kupił ją Howard Hughes. Co za bałagan. Najpierw weszli robotnicy z cienką blachą, potem...

Fasil spojrzał na wielką wypukłość nad stadionem. Robotnicy pracowali mimo święta. Widział małe, poruszające się figurki. W początkowym stadium przygotowywania zamachu zachodziła obawa, że kopuła zostanie zamknięta przed Rozgrywkami Pucharowymi i użycie sterowca stanie się niemożliwe. Jednak dach nadal prześwitywał wielkimi dziurami. Ale to i tak już nie miało znaczenia, myślał Fasil ze złością.

Postanowił zapamiętać, że ma zbadać możliwość użycia gazów trujących na stadionach zamkniętych. Taka technika mogła się przydać w przyszłości.

Taksówka przejechała na pas szybkiego ruchu, kierowca mówił dalej przez ramię.

- Wie pan, miały się tu odbywać Rozgrywki Pucharowe, tak planowali. Przekroczyli koszty, bo miasto uważa, że to kiepsko wygląda, no, wstyd po prostu, żeby nie móc tego skończyć. Płacą dwa i pół raza więcej za robotę w święta. Oni naprawdę gonią, żeby skończyć do wiosny. Sam bym nie odmówił takich nadgodzin.

Fasil już, już miał go poprosić, żeby przestał gadać, ale zmienił zamiar. Kierowca mógłby go wtedy zapamiętać.

Wie pan, co się stało w Houston z Astrodome. Pokłócili się z „Oilersami” i teraz grają na Rice Stadium. Ci u nas nie chcą, żeby tak się stało. Oni muszą mieć „Saints”, wie pan? Chcą, żeby wszyscy widzieli, że dają sobie radę, ci z Krajowej Ligi Piłki Nożnej i w ogóle, i dlatego pracują też w święta. Myśli pan, że nie pracowałbym w Boże Narodzenie i Nowy Rok za podwójną stawkę? Ha! Stara musiałaby sama wieszkać pończochy.

Droga U. S. 90 zakręciła i taksówka jechała teraz w kierunku północno-zachodnim. Kierowca poprawił osłonę przeciwsłoneczną. Zbliżali się do uniwersytetu w Tulane.

- Tam, po lewej, jest Kolegium Urszulanek. Z której strony stadionu podjechać? Od Willow Street?

- Dobrze.

Widok wielkiego, podniszczonego, brązowo-szarego stadionu podniecił Fasila. Przed oczyma wyobraźni odwijał się film z Monachium.

Stadion był olbrzymi. Fasilowi przypomniawszy pierwszy oglądany z bliska lotniskowiec. Ciągnął się i ciągnął. Fasil wysiadł z taksówki, aparat fotograficzny obijał się o drzwi samochodu.

Południowo-wschodnie wejście było otwarte. Ludzie z obsługi konserwacyjnej wchodzili i wychodzili, kończąc pośpiesznie przygotowania do meczów studenckich. Fasil miał w pogotowiu kartę prasową i akredytację, której używał na Azorach, ale nikt go nie zatrzymał. Spojrzał na obszerne, zacienione przestrzenie pod trybunami, z gąszczem żelaznych elementów i wyszedł na boisko.

Jakie wielkie! Jego rozmiar podniecił go. Sztuczna darń była nowa, numery błyszcząły bielą na tle zieleni. Stał na płycie i zaraz omal nie zeskoczył. Miał wrażenie, jakby stąpnął na jędrne ciało. Szedł przez boisko czując obecność nieskończonych rzędów ław. Trudno jest przejść przez środek stadionu, nawet pustego stadionu, bez uczucia, że jest się obserwowanym. Szybko dotarł do zachodniej strony boiska i wspinał się po ławach do łóż prasowych.

Stał wysoko nad boiskiem; widok rzędów ław ciągnących się łukiem przypomniawszy mu takie same krzywizny bomby i geniusz Michaela Landera, który mu - mimo woli - zaimponował.

Stadion otwierał się jakby ku niebu rozchylonymi jak wargi bokami, nieruchomy, wyczekujący. Myśl o trybunach wypełnionych osiemdziesięcioma tysiącami dziewięćset osiemdziesięcioma pięcioma osobami - wierzącymi się na swoich miejscach, tryskającymi życiem - nappełniła Fasila uczuciem bliskim pożądania. To było miękkie wejście do House of War. Już wkrótce ten rozległy amfiteatr zakipi tłumem, zwartym, wyczekującym.

- Quss ummak - syknął Fasil. Było to starożytne arabskie przekleństwo. A znaczyło tyle co „krocze twojej matki”.

Myślał o zmianie planu. Jakikolwiek wybuch na stadionie lub w jego pobliżu gwarantował rozgłos w prasie całego świata. Właściwie wejście na stadion nie było wielkim problemem. Ciężarówka mogłaby przedrzeć się przez jedno z czterech wejść i dojechać na boisko, aby odpalić tam pocisk. Z tym, że choć byłoby zapewne wiele ofiar, prawie cała energia wybuchu poszłaby w wyżłobienie olbrzymiego krateru w ziemi. Pewien problem stwarzały również zatłoczone, małe uliczki prowadzące do stadionu. Co się stanie, jeśli karetki pogotowia będą stały przy wejściach, blokując je? A jeśli na meczu będzie obecny prezydent, przy wejściach na pewno będą stali uzbrojeni ludzie. Albo co się stanie, gdy kierowcę zastrzelą, zanim zdetonuje pocisk? Kto poprowadzi ciężarówkę? Z pewnością nie on, Fasil. Dahlia wobec tego. Ona ma tyle ikry, to nie ulega wątpliwości. Pochwali ją za to pośmiertnie na konferencji prasowej w Libanie.

Może jakiś ambulans, karetka pogotowia na sygnale będzie miała większe niż ciężarówka szansę wdarcia się na boisko.

Ale bomba jest za duża, żeby się w czymś takim zmieścić; ciężarówka zaś, która ją teraz wiezie,

w niczym nie przypomina karetki. Choć z powodzeniem można pomyśleć, że służy do przewozu, na przykład, sprzętu telewizyjnego. Oczywiście, karetka byłaby lepsza. No więc, wielka, kryta ciężarówka. Można ją pomalować na biało i dodać czerwony krzyż. Cokolwiek to będzie, jedno jest pewne - że konieczny jest pośpiech. Zostało czternaście dni.

Fasil stał na samej górze, nad boiskiem, nad głową miał bezchmurne, niskie niebo, wiatr trzepotał kołnierzem płaszcza. Tylko otwarte niebo dawało łatwy, doskonały dostęp, pomyślał gorzko. Załadowanie bomby do samolotu, a potem porwanie tego samolotu graniczyło z niemożliwością. Gdyby nawet udało się podstępem wprowadzić pocisk na pokład samolotu jako ładunek, Fasil wątpił, aby Dahlii udało się zmusić pilota do zejścia nad stadion, nawet za pomocą pistoletu przytkniętego do skroni.

Fasil spojrział w kierunku północno-wschodnim, na kontury miasta rysujące się na tle nieba: kopuła stadionu odległego o dwie mile, hotel Marriotta, Międzynarodowe Targi. A dalej, w odległości niecałych ośmiu mil, nowoorleańskie lotnisko w Lakefront. Gruby i nieszkodliwy sterowiec przeleci nad tą panoramą, dążąc na Wielkie Rozgrywki Pucharowe 12 stycznia, podczas gdy on boryka się tu na ziemi na podobieństwo mrówki. Niech będzie przeklęty Lander i jego plugawe potomstwo do dziesiątego pokolenia!

Fasil poddał się wizji zamachu takiego, jakim mógł on być. Połyskujący srebrzyście sterowiec nadlatuje, początkowo nie zauważony przez tłum skupiony na oglądaniu gry. Potem, w miarę jak sterowiec opada niżej, coraz więcej widzów spogląda w górę: sterowiec jest wielki, nieprawdopodobnie wielki, wisi nad nimi, jego długi cień zaciemnia boisko, niektórzy patrzą wprost w jasną osłonę w chwili, gdy bomba zostaje zdetonowana z błyskiem, jakby eksplodowało słońce; trybuny unoszą się w górę, niektóre przewracają się, nafaszerowane dwunastoma milionami funtów rozrywającego się metalu. Fala łoskotu i wstrząsów przetacza się po okolicy, ogłusza, wyrывa okna z domów w promieniu dwudziestu mil, statki kołyszą się na boki jak w czasie monsunu. Podmucha wiruje wokół wież House of War, zawodząc: F a s i i i !

Cóż za nieprawdopodobnie piękny obraz. Fasil musiał usiąść. Drżał cały. Zmusił się do myślenia o innych możliwościach. Chciał odciąć się od swoich klęsk. Gdy uspokoił się już, poczuł się dumny z siły swojego charakteru, swojej cierpliwości w obliczu niepowodzenia. Przecież nazywa się Fasil. Wywiąże się z zadania najlepiej jak tylko potrafi.

W czasie powrotnej drogi do centrum Nowego Orleanu pogrążył się w rozmyślaniach o ciężarówkach i farbie. Nie wszystko jeszcze stracone, pocieszał się. Może nawet tak będzie lepiej. Posłużenie się tym Amerykaninem zawsze jakoś kalalo tę operację. Teraz zamach należał wyłącznie do niego. Może nie będzie tak spektakularny, może wybuch nie zostanie wykorzystany optymalnie, ale przecież Fasil i tak zyska niezwykły prestiż; a cały ruch wyzwolenczy zyska na znaczeniu, dodał po namyśle.

Oto stadion zwieńczony kopułą, tym razem z prawej strony. Słońce odbija się od metalowego dachu. Nagle coś wyłania się zza kopuły. To helikopter typu „latający dźwig”. Niesie część jakiejś maszyny. Teraz przelatuje nad dachem; grupa robotników czeka przy otworze. Cień helikoptera prześlizguje się przez kopułę, zasłaniając ich. Powoli, delikatnie, pilot opuszcza ciężki obiekt w otwór w dachu. Czapka jednego z robotników leci miotana podmuchem, mała plamka podskakująca

na kopule, targana wiatrem. Helikopter wzniósł się znowu w górę, uwolniony od ciężaru, i zniknął z pola widzenia, za nie dokończoną kopułą.

Fasil przestał myśleć o ciężarówkach. Ciężarówkę zawsze można zdobyć. Na twarz wystąpił mu pot. Zastanawiał się, czy helikopter pracuje również w niedzielę. Zastukał do kierowcy i kazał mu jechać pod Superdome.

Dwie godziny później siedział w bibliotece publicznej nad pewnym hasłem w dziele Jane'a „Wszystkie Statki Powietrzne Świata”. Z biblioteki udał się do hotelu „Monteleone”, gdzie zapisał sobie numer automatu telefonicznego w budce w holu. Następny numer wziął z telefonu na dworcu Union, po czym udał się do biura Western Union. Na blankiecie telegraficznym starannie sformułował depeszę, często zaglądając do małej karteczki z zakodowanymi numerami, którą przykleił do futerału aparatu fotograficznego. W ciągu kilku minut długim podmorskim kablem krótka prywatna wiadomość pobiegła w kierunku Benghazi w Libii.

Następnego dnia o 9 rano Fasil przyszedł znów na dworzec pasażerski. Usunął z telefonu obok wejścia żółty przylepiec oznaczający, że aparat jest nieczynny, i przykleił go na wybranym przez siebie automacie na końcu rzędu. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze pół godziny. Usiadł z gazetą na ławce obok telefonu.

Fasil nigdy dotąd nie wykorzystywał libijskich powiązań Hafeza Najeera. Gdyby Najeer żył, Fasil i teraz nie ośmieliłby się tego zrobić. Gdy zgodnie z wcześniejszą umową odbierał plastik w Benghazi, kryptonim „Sofia”, wybrany przez Najeera dla akcji, otworzył przed nim właściwe drzwi. W telegramie powołał się na ten kryptonim i miał nadzieję, że znów zadziała.

Telefon zadzwonił o 9. 45. Fasil podniósł słuchawkę po drugim dzwonku.

Chciałbym rozmawiać z panią Yusuf. - Mimo trzasków na linii Fasil rozpoznał głos libijskiego oficera odpowiedzialnego za łączność z al-Fatah.

- Zatem chce pan rozmawiać z Sofią Yusuf. - Proszę mówić.

Fasil mówił szybko. - Potrzebny mi jest pilot umiejący prowadzić helikopter transportowy typu Sikorsky S-58. Sprawa bezwzględnie priorytetowa. Musi być w Nowym Orleanie najdalej za sześć dni. Powinien to być ktoś, kogo można poświęcić.

Fasil zdawał sobie sprawę, że prosi o coś niezwykle trudnego. Ale wiedział również, że w Benghazi i Trypolisie były szczodne źródła, z których al-Fatah mogła czerpać. Kontynuował więc szybko, zanim oficer mógł zaprotestować.

- Te helikoptery są podobne do maszyn rosyjskich używanych w Aswan High Dam. Proszę przekazać moją prośbę wyżej. Na najwyższy szczebel. Działam w imieniu Jedenastki.

„Jedenastka” to był kryptonim Hafeza Najeera.

Głos po drugiej stronie był miękki, jakby mężczyzna pragnął mówić szeptem przez telefon.

- Mogą być kłopoty ze znalezieniem odpowiedniego człowieka. To bardzo trudne zadanie. Sześć dni to tyle co nic.

- Jeśli nie będę go miał w tym terminie, wszystko pójdzie na marne. Poniesiemy wielkie straty. **M u s z ę** go mieć. Proszę zadzwonić w ciągu dwudziestu czterech godzin na ten drugi numer. Sprawa priorytetowa.

- Rozumiem - odpowiedział głos odległy o sześć tysięcy mil. Połączenie przerwano.

Fasil odszedł od telefonu i wyszedł z dworca dziarskim krokiem. Bezpośrednie łączenie się z Bliskim Wschodem było wyjątkowo niebezpieczne, ale brak czasu usprawiedliwiał ryzyko. Prośba o pilota to był raczej spudłowany strzał. W szeregach fedainów nie było ani jednego. Pilotowanie helikoptera towarowego z ciężkim obiektem pod spodem to artystyczna robota. Nieczęsto zdarzają się piloci, którzy to potrafią. Ale Libijczycy już wcześniej załatwiali coś dla Czarnego Września. Czyż pułkownik Kadafi nie pomógł im w przeprowadzeniu zamachu w Chartumie? Broń, z której zamordowano amerykańskich dyplomatów, została przeszmulowana w libijskim bagażu dyplomatycznym. Trzydzieści milionów dolarów rocznie płynie z libijskiego skarbcza do skarbcza al-Fatah. Ile wart może być taki pilot? Fasil miał uzasadnione powody, by mieć nadzieję. Gdyby tylko udało im się znaleźć go na czas.

Sześciodniowy termin wyznaczony przez Fasila niezbyt ściśle odpowiadał rzeczywistości stanowi rzeczy, gdyż do Rozgrywek Pucharowych zostały jeszcze dwa tygodnie. Ale trzeba uwzględnić czas na przystosowanie bomby do innego statku powietrznego, czas realizacji, a jeszcze fachową pomoc pilota.

Fasil oceniał: z jednej strony brak odpowiedniego pilota i samo ryzyko związane z prośbą, z drugiej zaś - satysfakcja z udanej akcji. I doszedł do wniosku, że warto zaryzykować.

A co będzie, jeśli telegram, z pozoru niewinny, dostanie się w ręce władz amerykańskich? Jeśli telefoniczny kod numerowy znany jest temu Żydowi Kabakovowi? Fasil zdawał sobie sprawę, że to mało prawdopodobne, a jednak czuł się nieswojo. Z pewnością władze amerykańskie szukają przeszmulowanego plastiku, ale nie mogą przecież wiedzieć, jaki jest cel całej akcji. Nic nie mogło ich naprowadzić na Nowy Orlean.

Zastanawiał się, czy Lander majaczył. Nonsens. Teraz ludzie nie majaczą w gorączce. Wariatom, owszem, zdarza to się czasami, bez względu na to, czy mają gorączkę czy nie. Gdyby zaczął coś bredzić, Dahlia go zabije.

Tymczasem w Izraelu zachodziły wydarzenia, które wkrótce miały zaważyć na losie Fasila o wiele bardziej niż jakiegokolwiek wpływy zmarłego Hafeza Najeera.

W pobliżu Jaffy, na połowym pasie startowym, czternastu izraelskich pilotów wspinało się do kokpitów siedmiu myśliwców typu Phantom F-4. Podkołowali do drogi startowej, pozostawiając za sobą smugę gorącego powietrza, drgającego niczym pofalowana powierzchnia wody. Maszyny, z dwoma pilotami każda, toczyły się betonowym pasem, po czym jednym skokiem odrywały się kolejno od ziemi i długim, wznoszącym lotem znikały nad Morzem Śródziemnym, kierując się na zachód, do

Tobruku w Libii, z prędkością dwukrotnie większą od dźwięku.

Był to lot odwetowy. Gruzy domu mieszkalnego w Rosh Pina jeszcze dymiły, trafione z rosyjskich katusz, dostarczonych fedainom przez Libię. Tym razem atak nie będzie skierowany przeciwko bazom fedainów w Libanie i Syrii. Tym razem ucierpi dostawca broni.

W trzydzieści dziewięć minut po starcie dowódca eskadry dostrzegł frachtowiec libijski. Był dokładnie tam, gdzie powinien się znajdować według informacji Mossadu: osiemnaście mil od Tobruku, i płynął na wschód, wyładowany bronią dla partyzantów. Należało się jednak upewnić. Cztery Phantomy zostały wysoko, zapewniając osłonę przed arabskim atakiem z powietrza. Trzy schodzą w dół. Samolot prowadzący, redukując moc do 200 obrotów na minutę, przelatuje nad statkiem na wysokości 60 stóp. Nie mylili się. I zaraz wszystkie trzy pikują z rykiem, zrzucają bomby i z przeciążeniem 3,5 g wzlatają w niebo. W kokpitach nie ma okrzyków triumfu, kiedy statek rozlatuje się jak balon ogarnięty ogniem. W drodze do domu piloci z nadzieją obserwowali niebo. Czuli się lepiej, gdyby nadleciały Migi.

Po ataku izraelskim Rada Rewolucyjna Libii zawrzała gniewem. Nigdy się nie dowiemy, kto w Radzie wiedział o planowanym zamachu w Stanach Zjednoczonych. Faktem jest jednak, że gdzieś w Benghazi, za drzwiami jakiegoś gabinetu, zapadła mściwa decyzja.

Izraelczycy zaatakowali samolotami otrzymanymi od Amerykanów.

Sami Izraelczycy powiedzieli przecież: „Ucierpią dostawcy broni”.

Niechże więc tak się stanie.

ROZDZIAŁ 20

- Powiedziałem mu, że może już iść do łóżka, ale on twierdzi, że otrzymał rozkaz dostarczenia tego do pańskich rąk - wyjaśniał Kabakovowi pułkownik Weisman, attache wojskowy w drodze do sali konferencyjnej w ambasadzie izraelskiej.

Młody kapitan drzemał w fotelu. Kiedy Kabakov otworzył drzwi, poderwał się na nogi.

- Majorze Kabakov, melduje się kapitan Reik. Przesyłka z Bejrutu, sir.

Kabakov opanował chęć porwania kartonu i otwarcia go natychmiast. Reik miał za sobą długą podróż.

- Pamiętam pana, kapitanie. Dowodził pan baterią haubic pod Qanaabe. - Uścisnęli sobie ręce, młodszy mężczyzna najwyraźniej był zadowolony.

Kabakov odwrócił się do pudła z płyty pilśniowej, leżącego na stole. Przewiązane szpagatem pudło było kwadratowe, o boku równym dwóm stopom i głębokości jednej stopy. Na wieku nabazgrano po arabsku: „Osobiste rzeczy zmarłego Abu Alego, rue Verdun 18. Sprawa 186047. Trzymać do 23 lutego”. W rogu pudła widniała dziura po kuli.

Wywiad w Tel-Awiiwie przejrzał zawartość pudła powiedział Reik. - Stwierdzono przy tym warstwę kurzu na suplach, więc prawdopodobnie nie było otwierane przez jakiś czas.

Kabakov zdjął wieko i rozłożył zawartość pudła na stole. Budzik z rozbitym szkłem. Dwie buteleczki pigułek. Książeczka czekowa. Magazynek do pistoletu Llama - Kabakov był przekonany, że pistolet został skradziony - pudełeczko na spinki do koszul bez spinek, para pogiętych okularów i kilka czasopism. Niewątpliwie wszystkie wartościowsze przedmioty zostały zabrane przez policję, a resztę dokładnie przesiała al-Fatah. Kabakov przeżył gorzkie rozczarowanie. Miał nadzieję, że chociaż raz obsesyjna tajemniczość Czarnego Września obróci się przeciwko tej terrorystycznej organizacji, że osoba wyznaczona do „oczyszczenia” rzeczy pozostałych po Abu Alim nie będzie wiedziała, co jest, a co nie jest szkodliwe i może przepuści jakiś pożyteczny ślad. Spojrzał na Reika.

- Czy były jakieś straty przy zdobywaniu tego?

- Yoffee otrzymał powierzchowną ranę w udo. Mam od niego coś panu przekazać, sir. Powiedział... - kapitan zająknął się.

- Proszę mówić.

- Powiedział, że jest mu pan winien butelkę Remy Martin... i że nie o tę kozę spod Kuneitry chodziło, sir.

- Aha - Kabakov uśmiechnął się mimo woli. Przynajmniej za tę skrzynkę rupieci nikt nie zapłacił życiem.

- Yoffee poszedł po to - opowiadał Reik. - Miał trochę dziwne dokumenty, niby z jakiejś saudyjskiej firmy prawniczej. Postanowił, że spróbuje załatwić rzecz za pierwszym razem, bez wcześniejszego przekupywania urzędnika, tak żeby nie mieli czasu w tym grzebać i nie sprzedali mu potem śmieci. Dał urzędnikowi z magazynu policyjnego trzy funty libańskie i poprosił, żeby mu pokazał pudło. Przyniósł, ale zatrzymał je za kontuarem mówiąc, że na wydanie musi mieć pozwolenie od dyżurnego oficera. Normalnie oznacza to zazwyczaj następną łapówkę, ale Yoffee nie bardzo ufał swoim papierom. Walnął więc urzędnika i porwał pudło. Na ulicy stał jego mini-cooper i wszystko byłoby dobrze, gdyby dwa radiowozy nie zablokowały Mazraa akurat, gdy wyjeżdżał na rue Unesco. Oczywiście objechał je chodnikiem, ale oni ostrzelali jego samochód. Na Ramlet el-Baida wyprzedzał ich o pięć przecznic. Lecieliśmy po Yoffee'ego helikopterem Huey, pilotował Jacoby. Yoffee wydostał się z wozu przez otwór słoneczny w dachu, kiedy samochód był jeszcze w ruchu i wtedy my go zabraliśmy.

Podnieśliśmy się na jakieś sto stóp w zupełnych ciemnościach. Ten helikopter ma nowego pilota automatycznego do lotów na małej wysokości i można na nim polegać.

- Był pan wtedy z nimi?

- Tak, sir. Yoffee jest mi winien pieniądze.

Kabakov bez trudu wyobraził sobie to wznoszący się, to opadający czarny helikopter, przesmykający się w ciemnościach ponad wzgórzami.

- Dziwię się, że mieliście wolną przestrzeń.

- Musieliśmy lądować w Gesher Haziv.

- Libańczycy nie wysłali żadnych samolotów?

- O tak, w końcu wysłali. Ale zanim wieść dotarła gdzie trzeba, upłynęło trochę czasu. A my byliśmy w Izraelu w dwadzieścia cztery minuty po tym, jak policja dostrzegła nasz helikopter.

Wiedząc, że trzech ludzi ryzykowało życiem dla zdobycia pudła, Kabakov nie mógł okazać rozczarowania jego zawartością. I tak Tel-Awiv uważa pewnie, że zwariował.

- Dziękuję, kapitanie Reik, za znakomitą robotę. Proszę to powtórzyć ode mnie Yoffee'emu i Jacoby'emu. A teraz proszę iść spać. To rozkaz.

Kabakov i Weisman siedzieli przy stole, na którym leżały rzeczy Abu Alego. Weisman taktownie milczał. Nie było żadnych osobistych papierów, nie było nawet egzemplarza „Walki politycznej i militarnej”, wszechobecnej „biblii” al-Fatah. Bez wątpienia dokładnie przejrzelili rzeczy Alego. Kabakov spojrział na czasopisma. Dwa egzemplarze „Al-Tali'ah”, miesięcznika egipskiego. W jakimś wywiadzie coś podkreślono: „... plotki o sile izraelskiego wywiadu to mit. Izraelski wywiad nie jest aż tak rozwinięty”. Kabakov prychnął. Abu Ali kpił z niego zza grobu.

Było też kilka starych numerów gazety bejruckiej „Al Hawadess”, „Paris Match”. Egzemplarz „Sports Illustrated” 7. 21 stycznia 1974 roku. Kabakov zmarszczył brwi i wziął gazetę do ręki. Była

jedynym pismem anglojęzycznym w pudle. Stronę tytułową zdobiła ciemna plama, przypuszczalnie po kawie. Przejrzał pismo raz, potem drugi. Prawie wszystkie artykuły dotyczyły piłki nożnej. Arabowie interesują się amerykańskim futbolem, ale główny artykuł poświęcony był... w głowie Kabakova myśli zaczęły gonić jedna za drugą - Fasil, Monachium, sport. Na taśmie powiedziano: „Zacniemy nowy rok rozlewem krwi”.

Weisman spojrzał bystro na Kabakova, usłyszawszy jego głos.

- Pułkowniku Weisman, co pan wie o tych Wielkich Rozgrywkach Pucharowych?

Dyrektor FBI John Baker zdjął okulary i potarł grzbiet nosa. - Jest to twierdzenie oparte w dużym stopniu na dowolnej hipotezie, panowie.

Corley poruszył się w swoim fotelu.

Kabakov był już znużony mówieniem do nieporuszonej twarzy Bakera, znużony ostrożnością, z jaką Corley formułował uwagi zwracając się do swego szefa: - To więcej niż tylko hipoteza. Niech pan spojrzy na fakty...

- Wiem, wiem, majorze. Wyjaśnił pan to bardzo jasno. Sądzi pan, że celem są Wielkie Rozgrywki Pucharowe, ponieważ ten człowiek - Fasil, zdaje się? - był organizatorem ataku Czarnego Września na wioskę olimpijską; ponieważ na taśmie, którą pan przechwycił w Bejrucie, mówi się o zamachu na początku roku i ponieważ prezydent zamierza być obecny na rozgrywkach.

Zupełnie, jakby mówił o częściach mowy.

- A także dlatego, że stanie się to przed kamerami telewizji przekazującej na żywo i wstrząśnie całym światem - dodał Corley.

- Ale całe dowodzenie bierze się z faktu, że jakiś Ali miał egzemplarz „Sports Illustrated”, choć nie ma pan nawet pewności, że ten Ali brał udział w całej akcji.

Baker wyjrzał przez okno, w szare waszyngtońskie popołudnie, jakby spodziewał się znaleźć odpowiedź na ulicy.

Na biurku dyrektora leżała teczka Corleya zawierająca trzysta dwie strony akt sprawy. Kabakov zastanawiał się, po co go tu wezwano, ale później uświadomił sobie, że Baker - zawodowo podejrzliwy -- chciał go sobie po prostu obejrzeć.

Chciał węchem gliniarza wypróbować źródło informacji. Kabakov dostrzegł upór w jego twarzy. Wie, że będzie musiał coś zrobić, myślał. Ale chce, żeby się z nim pokłócił. Nie lubi, żeby mu mówić, co ma robić, ale chce wiedzieć, jak się to mówi. A teraz musi coś zrobić. Niech to przetrawi. Kolej na jego ruch. - Dziękuję, że poświęcił mi pan czas, panie Baker - powiedział wstając.

- Chwileczkę, majorze, jeśli pan pozwoli. Ponieważ pan już widział taką rzecz, jak pan myśli, co oni zamierzają zrobić? Czy ukryją ten plastik gdzieś na stadionie i - gdy trybuny zapełnią się -

zagrożą wysadzeniem go w powietrze, jeśli ich żądania nie zostaną spełnione - na przykład uwolnienie Sirhana Sirhana, wstrzymanie pomocy dla Izraela, czy coś w tym rodzaju?

- Niczego nie będą żądać. Wysadzą i roztrąbią na cały świat.

- Dlaczego tak pan sądzi?

- A kogo mielibyście im wydać? Większość terrorystów aresztowanych za porwania samolotów jest już na wolności. Ci z Monachium zostali zwolnieni w zamian za zakładników z kolejnych porwań samolotów; podobnie Lelia Khaled. Terrorystów, którzy zastrzelili waszych dyplomatów w Chartumie, rząd sudański odesłał do domu. Wszyscy są wolni, panie Baker. Przerwać pomoc dla Izraela? Nawet gdyby to obiecać, jakie mogą być gwarancje? Po pierwsze, nikt takiej obietnicy nie da, a nawet gdyby została wymuszona, nikt jej nie dotrzyma. Ponadto, żeby posłużyć się zakładnikami, trzeba mieć ich gdzie trzymać. A na stadionie to jest niemożliwe. W panice tłum runąłby ku wyjściom tratując po drodze kilka tysięcy ludzi. Nie, w grę wchodzi tylko wysadzenie stadionu w powietrze.

- W jaki sposób?

- Nie wiem. Jeżeli posiada się pół tony plastiku, można wysadzić trybuny dla widzów po obu stronach stadionu, dla pewności umieszczając ładunki w różnych miejscach i wszystko jednocześnie zdetonować. Ale to nie byłoby łatwe. Fasil nie jest głupcem. W czasie takiej imprezy odbywa się aż nazbyt wiele transmisji radiowych, co właściwie wyklucza zastosowanie sygnału elektronicznego do zdalnej detonacji, a lokowanie ładunków w różnych miejscach zwiększa tylko ryzyko wykrycia.

- Możemy upewnić się, czy stadion jest czysty - odezwał się Corley. - Będzie to kurewska robota, ale zrobimy to.

- Przypuszczam, że ci z Secret Service zechcą to załatwić sami - potrzebni im będą tylko wykonawcy - powiedział Baker.

- Możemy sprawdzić cały personel zatrudniony przy rozgrywkach - wozy z hotdogami, budki z napojami chłodzącymi, możemy zabronić wnoszenia na stadion paczek - ciągnął Corley - możemy użyć psów i elektronicznych wykrywaczy. Jest jeszcze czas, żeby wyszkolić psy do wykrywania plastiku, zwłaszcza że mamy tę figurkę ze statku.

- A co z niebem? - zapytał Kabakov.

- Myśli pan pewnie o tych namiarach na mapie, naniesionych przypuszczalnie przez pilota - odezwał się dyrektor FBI. - Sądzę, że moglibyśmy ogłosić zakaz przelotu samolotów prywatnych w przestrzeni powietrznej Nowego Orleanu na czas trwania rozgrywek. Porozumiemy się w tej sprawie z Federalną Agencją Lotniczą. Dziś po południu będę rozmawiał ze wszystkimi zainteresowanymi agencjami. Dowiemy się czegoś więcej.

Wątpię, pomyślał Kabakov.

ROZDZIAŁ 21

Nieustający odgłos kroków Abdela Awada zaczynał działać na nerwy strażnikowi na korytarzu. Odsunął klapkę w drzwiach celi i zwymyślał Awada przez kratę. Kiedy to zrobił, poczuł się nieco zawstydzony. Facet ma prawo chodzić. Podniósł klapkę jeszcze raz i podał mu papierosa, napominając jednocześnie, żeby go ukrył słysząc zbliżające się kroki.

Awad i tak nasłuchiwał zbliżających się kroków. Kiedyś - dziś w nocy, jutro czy pojutrze, przyjdą. Przyjdą, żeby mu obciąć ręce.

Były oficer Libijskich Sił Powietrznych został skazany za handel narkotykami i kradzież. Kara śmierci została złagodzona, ze względu na jego wcześniejsze zasługi dla kraju, do obcięcia obu rąk. Ten rodzaj kary, zalecany przez Koran, nie był już stosowany w Libii, dopóki pułkownik Kaddafi nie zdobył władzy i nie przywrócił jej. Trzeba jednak dodać, że zgodnie ze swoją polityką unowocześniania kraju, Kaddafi zastąpił topór na placu targowym nożem chirurgicznym i antyseptycznymi warunkami szpitalnymi.

Awad próbował zanotować swoje myśli. Chciał napisać do ojca z przeprosinami za okrycie hańbą rodziny, ale trudno mu było znaleźć właściwe słowa. Bał się, że nim przyjdą po niego, zdąży napisać tylko połowę listu i będzie musiał wysłać nie dokończony - albo skończyć list piórem trzymanym w zębach.

Zastanawiał się, czy wyrok dopuszcza znieczulenie.

Zastanawiał się nad umocowaniem jednej nogawki spodni na zawiasach drzwi, tak aby po owinięciu drugiej wokół szyi powiesić się, siadając. Przez tydzień, który minął od skazania, zabawiał się takimi rozmyślaniami. Lżej by mu było, gdyby podano termin. Być może niepewność, kiedy to ma nastąpić, stanowiła część kary.

Klapka w drzwiach uniosła się.

Wyrzuć! Wyrzuć! - syknął strażnik. Awad stanął na papierosie, a potem kopnął go pod pryczę. Usłyszał odgłos otwierania zamka. Stał twarzą do drzwi, z rękami założonymi do tyłu, wbijając paznokcie w dłonie.

Jestem mężczyzną i dobrym oficerem, myślał. Nie mogli temu zaprzeczyć nawet na procesie. Nie skompromituję się teraz.

Do celi wszedł niski mężczyzna w porządnym cywilnym ubraniu. Mężczyzna mówił coś, jego usta pod małym wąsikiem poruszały się.

- ... czy pan mnie słyszy, poruczniku Awad? Jeszcze nie nadszedł czas na wykonanie kary. Ale pora na poważną rozmowę. Proszę mówić po angielsku. Niech pan usiądzie na krześle, ja usiądę na pryczy. - Mały mężczyzna miał łagodny głos; mówiąc, nie spuszczał wzroku z twarzy Awada.

Awad miał bardzo wrażliwe ręce, ręce pilota helikoptera. Kiedy zaofiarowano mu szansę ich

uratowania oraz pełnego powrotu do zawodu, nie zastanawiał się i szybko przyjął proponowane warunki.

Przewieziono go z więzienia w Benghazi do garnizonu w Ajdabujah, gdzie w ścisłej tajemnicy sprawdzono jego umiejętność pilotowania rosyjskiego helikoptera MI-6; jest to model przystosowany do dużych obciążeń, który w NATO nosi kryptonim „Hook”. Jest to jeden z trzech tego typu modeli, jakimi dysponują libijskie siły zbrojne. Awad znał ten typ helikopterów, chociaż najczęściej miał do czynienia z mniejszymi jednostkami. Dobrze sobie radził. MI-6, choć różnił się nieco od typu Sikorsky S-58, w zasadzie był do niego podobny. W nocy Awad ślęczał nad podręcznikiem obsługi Sikorsky’ego, zdobytym w Egipcie. Jeżeli będzie ostrożnie posługiwał się przyrządami sterowniczymi i nie spuści z oka wskaźnika obciążenia silnika, da sobie radę.

Rządy prezydenta Kadafiego opierają się na moralnych zasadach, do przestrzegania których zmuszają straszliwe kary, co daje ten skutek, iż pewne przestępstwa zostały w Libii rzeczywiście ukrócone. I tak, na przykład, nie kwitnie w Libii cywilizowana sztuka fałszowania, trzeba więc było nawiązać kontakt z fałszerzem w Nikozji, by spreparować Awadowi odpowiednie dokumenty.

Miał on być całkowicie odarty z jakichkolwiek cech, które mogłyby zdradzić jego pochodzenie. A tak naprawdę potrzebny był mu tylko jeden dokument, upoważniający do wjazdu na teren Stanów Zjednoczonych. Nie opuści już Stanów. W czasie wybuchu po prostu wyparuje. Ale Awad nic nie wiedział o tej ostatniej okoliczności. Powiedziano mu tylko, że ma się zameldować u Muhammada Fasila i wykonywać jego rozkazy. Zapewniono go, że nic mu nie grozi. Aby podtrzymać tę iluzję, Awad musiał zostać zaopatrzony w plan ucieczki i potrzebne do tego dokumenty.

31 grudnia, na drugi dzień po zwolnieniu z więzienia, jego libijski paszport, kilka fotografii z ostatniego okresu wraz z próbkami pisma dostarczono do niewielkiej drukarni w Nikozji.

Sztuka fałszowania całej „oprawy” - czyli kompletu wzajemnie dopełniających się dokumentów, takich jak paszport, prawo jazdy, najnowsza korespondencja ze starannie dobranymi znaczkami i pokwitowania - rozwinęła się stosunkowo niedawno pośród fałszerzy na Zachodzie; ale do szerokiej praktyki weszła dopiero wtedy, kiedy handlarze narkotyków mogli sobie pozwolić na opłacenie tak kunsztownej usługi. Fałszerze na Bliskim Wschodzie tworzyli „oprawy” dla swych klientów już od pokoleń. Fałszerz w Nikozji, z którego usług skorzystała al-Fatah, wykonał prawdziwe arcydzieła. Ale równocześnie dostarczył czyste paszporty libańskie Izraelczykom, którzy sami wypełnili puste rubryki. A także sprzedał informację Mossadowi.

Zamówienie Libańczyków było bardzo kosztowne - dwa paszporty: jeden włoski ze stemplem zezwalającym na wjazd do USA i jeden portugalski. Ale nie targowali się o cenę. Co cenne dla jednej strony, może być również cenne dla drugiej, myślał fałszerz wkładając płaszc.

Po godzinie kierownictwo Mossadu w Tel-Awiwie wiedziało, kim Awad był i kim się stał. Proces Awada zainteresował szczególnie agenta Mossadu w Benghazi, któremu wystarczyło zajrzeć do ogólnie dostępnych pism, by odkryć niezwykły talent Awada.

W Tel-Awiwie poskładano to wszystko razem. Awad był pilotem helikoptera, który zamierza wjechać do Stanów jedną drogą, a wyjechać inną. Linia telefoniczna do Waszyngtonu mruzczała przez

czterdzieści pięć minut.

ROZDZIAŁ 22

30 grudnia po południu rozpoczęto drobiazgowo przeszukanie stadionu Tulane w Nowym Orleanie przed studenckimi rozgrywkami klasycznymi, mającymi się odbyć w wigilię Nowego Roku. Podobne przeszukania zaplanowano na 31 grudnia na stadionach w Miami, Dallas, Houston i Pasadenie - we wszystkich miastach, w których w Nowy Rok miały się odbyć Wielkie Rozgrywki Studenckie.

Kabakov był zadowolony, że Amerykanie zmobilizowali swoje ogromne siły przeciw terrorystom, ale bawiły go okoliczności, które ich do tego skłoniły. Typowe dla biurokracji. Dyrektor FBI, John Baker, zwołał spotkanie na najwyższym szczeblu FBI, Krajowej Agencji Bezpieczeństwa i personelu Secret Service natychmiast po rozmowie z Kabakovem i Corleyem. Kabakov, siedzący w pierwszym rzędzie, czuł na sobie wiele spojrzeń, gdy zgromadzeni urzędnicy podkreślali kruchość dowodu wskazującego cel zamachu - jakieś czasopismo o niewielkim znaczeniu, zawierające artykuł na temat rozgrywek pucharowych.

Wszystkie grube ryby z FBI i Krajowej Agencji Bezpieczeństwa byli zdecydowani nie dać się przelicytować w sceptycyzmie po wysłuchaniu Corleya, który przedstawił teorię ataku w czasie trwania Wielkich Rozgrywek Pucharowych w Nowym Orleanie.

Jedynie przedstawiciele Secret Service - Earl Biggs i Jack Renfro - milczeli. Kabakov pomyślał, że agenci tajnej służby to najbardziej ponurzy faceci, jakich zna. Ale to zrozumiałe. Maja do czynienia ze sprawami, które nastroją ponuro.

Kabakov zdawał sobie sprawę, że żaden z tych mężczyzn nie jest głupi. I że prawdopodobnie jego niezwykły pomysł przyjęty by był przychylniej, gdyby przedstawiono go każdemu z nich na osobności. W otoczeniu równych sobie rangą, większość mężczyzn reaguje w dwojaki sposób - albo spontanicznie, albo z myślą o tym, jak ocenią go inni. Sceptyczną postawę uznano za właściwą na pierwszym etapie spotkania i dominowała aż do referatu Corleya.

Ale zasada stadnego reagowania działała także w innym kierunku. Kiedy Kabakov opowiedział im szczegółowo o manewrach Czarnego Września przed zamachem w Monachium i nieudaną próbą zamachu w czasie Pucharu Świata sześć miesięcy temu, ziarno niepokoju zostało zasiane. - Czy w świetle tych faktów zamach podczas rozgrywek pucharowych jest mniej wiarygodny niż zamach na wioskę olimpijską? - zapytał Kabakov.

- Ale tam nie będzie ani jednej żydowskiej drużyny - padła natychmiast odpowiedź.

Nikt się nie roześmiał. Gdy zebrani słuchali Kabakova, na sali niepostrzeżenie pojawił się lęk; przekazywany sobie wzajem nieznacznymi ruchami ciała, niespokojnymi, nieskoordynowanymi ruchami rąk, zacieraniami dłoni, pocieraniem twarzy. Mężczyźni ci zmieniali się na oczach Kabakova. Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze niepokoił policjantów, nawet izraelskich. Przypisywał to własnemu zniecierpliwieniu nimi, ale było w tym coś więcej. To w nim samym tkwiło to coś, co działało na policjantów; podobnie jak woń piżmowca niesiona wiatrem podrywa psy na nogi i powoduje, że skupiają się bliżej ognia. Jest sygnałem, że gdzieś tam w ciemnościach jest coś, co nie

lubi ognia; to coś obserwuje i nie boi się.

Oczywisty dowód w postaci czasopisma sportowego, uzupełniony listą przestępstw Fasila, budził dostateczny niepokój, by wciągnąć uczestników spotkania w ekstrapolację. Kiedy już uznano możliwość, iż niebezpieczeństwo istnieje, trzeba było rozstrzygnąć następną wątpliwość: dlaczego właśnie Wielkie Rozgrywki Pucharowe miałyby być celem zamachu? W czasopiśmie przedstawiono wypełniony ludźmi stadion czyż nie może to być jakikolwiek inny stadion? Na Boga, przecież rozgrywki studenckie zaczynają się w wigilię Nowego Roku, czyli pojutrze, a w Nowy Rok będą rozgrywane mecze pucharowe w całym kraju. Trzeba więc przeszukać wszystkie stadiony.

Wraz z lękiem pojawiła się wrogość. Nagle Kabakov ostro odczuł, że jest obcokrajowcem, a na dodatek Żydem. Że część zebranych w sali mężczyźni myśli o tym, iż ma do czynienia z Żydem. Spodziewał się tego. Nie był zaskoczony, że umysły tych ludzi ze świeżo przystrzyżonymi włosami i pierścieniami szkoły prawniczej na palcach kierowały jego myśli raczej ku samemu problemowi, niż ku jego rozwiązaniu. Zagrożenie pochodziło od bandy cudzoziemców, a on był jednym z nich. Nikt tego nie powiedział głośno, ale można to było wyczuć.

- Dziękuję, chłopaki - powiedział Kabakov siadając.

Nie chcecie tego przyjąć od cudzoziemca, myślał. Ale możecie się jeszcze przekonać 12 stycznia, że miałem rację.

Kabakov uważał, że byłoby nonsensem, gdyby Czarny Wrzesień - mając do wyboru zamach na stadion, na którym znajduje się prezydent, i taki, na którym go nie ma - wybrał ten drugi. I dlatego upierał się przy Wielkich Rozgrywkach Pucharowych.

30 grudnia po południu przyjechał do Nowego Orleanu. Na stadionie w Tulane trwało właśnie przeszukanie przed rozgrywkami studenckimi. Ekipa robocza składała się z pięćdziesięciu ludzi - członków FBI, sekcji bombowych policji, wywiadowców, dwóch treserów z Federalnej Agencji Lotniczej z psami przyuczonymi do wykrywania materiałów wybuchowych oraz dwóch wojskowych techników z elektronicznymi wykrywaczami, zaprogramowanymi na Madonnę znaną na „Letycji”.

Nowy Orlean stanowił wyjątek, po pierwsze dlatego, że w przeszukaniu pomagali członkowie Secret Service, a po wtóre że przeszukanie zaplanowano tu dwukrotnie: przed rozgrywkami studenckimi i 11 stycznia, w wigilię Wielkich Rozgrywek Pucharowych. Ludzie pracowali spokojnie, ignorowani na ogół przez pracowników technicznych stadionu, kończących ostatnie przygotowania.

Przeszukanie nie interesowało zbytnio Kabakova. Nie spodziewał się, żeby coś znaleźli. Interesował go natomiast każdy pracownik zatrudniony na stadionie. Pamiętał, że Fasil wysłał do wioski olimpijskiej swoich ludzi, żeby znaleźli sobie pracę na miejscu, sześć tygodni naprzód. Wiedział, że policja nowoorleańska sprawdza dokładnie każdego pracownika zatrudnionego na stadionie, ale mimo to zaglądał im w twarze, jakby liczył na własną instynktowną reakcję, gdyby trafił na terrorystę. Nie czuł nic, patrząc na robotników. W wyniku badań policyjnych ujawniono wśród nich jednego bigamistę, którego zatrzymano, aby wydalić go do Coahoma County w Missisipi.

W wigilię Nowego Roku „Tigersi” z uniwersytetu stanowego Louisiana przegrali siedem do trzynastu z „Nebraską” w rozgrywkach klasycznych. Kabakov był na stadionie.

Nigdy w życiu nie oglądał jeszcze meczu piłki nożnej, teraz też niewiele widział. Wspólnie z Moshevskym większość czasu spędzili kręcąc się pod trybunami i koło wejść, nie zauważani przez licznych agentów FBI i policję na stadionie. Kabakova interesowało szczególnie, czy wejścia są obstawione i czy po zapełnieniu stadionu można jeszcze wejść.

Zawsze bardzo go irytowały masowe imprezy, a ta, ze swoją pompą, proporcami, wielkimi orkiestrami była szczególnie przykra. Maszerujące orkiestry zawsze wydawały mu się śmieszne. Jedyną przyjemną chwilę w ciągu całego popołudnia stanowiły występy Błękitnych Aniołów w przerwie meczu; zgrabne romby odrzutowców, chwytające słońce w pięknych powolnych ewolucjach, wysoko ponad mruczącym sterowcem, który krążył nad stadionem. W pobliżu znajdowały się jeszcze inne odrzutowce; myśliwce przechwytyjące, przyczajone na drogach startowych nie opodał, na wypadek mało prawdopodobnej sytuacji naruszenia przestrzeni powietrznej Nowego Orleanu przez nieznany obiekt latający podczas trwania meczu.

Na boisku kładły się już długie cienie, kiedy ostatni widzowie opuszczali stadion. Kabakov był ogłuszony wielogodzinnym hałasem. Był rozdrażniony i z trudem rozumiał język angielski, którym posługiwali się otaczający go ludzie. Corley znalazł go na skraju drogi poza stadionem.

- No, obyło się bez huków - powiedział.

Kabakov spojrzał na niego szybko, szukając na jego twarzy uśmiechu. Ale Corley był po prostu zmęczony. Kabakov pomyślał, że zapewne we wszystkich miastach, gdzie zmęczeni ludzie przeprowadzają szczegółowe rewizje stadionów w poszukiwaniu materiałów wybuchowych przed meczami w Nowy Rok, porzekadło „porwał się jak z motyką na słońce” stało się bardzo popularne. Przypuszczał, że również tutaj dużo się mówiło poza jego plecami. A przecież nigdy nie twierdził, że rozgrywki studenckie były celem zamachu; ale kto o tym pamiętał? Zresztą, to nieważne. Razem z Corleyem przeszli przez stadion na parking. Rachel czeka w „Royal Orleans”.

- Major Kabakov.

Rozejrzał się wokoło, zanim sobie uświadomił, że głos rozlega się z krótkofalówki w jego kieszeni.

- Kabakov, słucham.

- Telefon do pana ze stanowiska dowodzenia.

- Idę.

Stanowisko dowodzenia FBI zorganizowano pod trybunami, w biurze łączności z widzami. Agent bez marynarki podał Kabakovowi telefon. Dzwonił Weisman z ambasady izraelskiej. Corley usiłował odgadnąć treść rozmowy z krótkich odpowiedzi Kabakova.

- Wyjdźmy stąd - powiedział Kabakov, zwróciwszy agentowi aparat. Nie podobał mu się

sposób, w jaki agenci celowo unikali jego spojrzenia po dniu wyętego wysiłku.

Stanąwszy na linii autowej Kabakov spojrzał na flagi trzepocące na wietrze nad stadionem.

- Sprowadzają pilota helikopterowego. Nie wiadomo, czy specjalnie do tego zadania, wiadomo tylko, że przyjeżdża z Libii. Bardzo im się śpieszy.

Nastąpiła cisza, podczas której Corley przetrwał tę informację.

- Macie coś o nim?

Mamy paszporty, zdjęcie, wszystko. Nasza ambasada przesyła właśnie te materiały do waszego biura w Waszyngtonie. Za pół godziny znajdzie się to tutaj. Pewnie za chwilę będziesz miał telefon.

- Gdzie on jest teraz?

- Jeszcze po drugiej stronie oceanu. Nie wiadomo gdzie. Ale jego dokumenty zostaną jutro odebrane w Nikozji.

- Ale nie będziecie przeszkadzać...

- Oczywiście, że nie. Nie mieszamy się do tej operacji. W Nikozji mamy na oku miejsce, w którym zostaną podjęte dokumenty, oraz lotnisko. To wszystko.

- A więc zamach z powietrza! Tutaj albo gdzie indziej. Cały czas o tym myśleli.

- Być może. Zdaje się, że Fasil zmienia plany. Wszystko zależy od tego, czy on wie, ile my wiemy. Jeśli obserwuje ten stadion, czy jakkolwiek inny, to musi wiedzieć, że wiemy wiele.

W nowoorleańskim biurze FBI Corley i Kabakov przestudiowali raport na temat pilota z Libii. Corley trzepnął palcami żółty arkusz teleksu.

- Przyjedzie z paszportem portugalskim, a wyjedzie z włoskim, w którym już teraz jest pieczętka zezwalająca na wjazd do USA. Obojętne, na którym przejściu granicznym pomacha tym portugalskim paszportem, będziemy wiedzieli o tym w ciągu dziesięciu minut. Jeżeli bierze udział w tej akcji, mamy ich, Dawidzie. Zaprowadzi nas do bomby, Fasila i tej kobiety.

- Być może.

Tylko ciekawe, gdzie zamierzają zdobyć dla niego helikopter? Jeśli celem ataku są Wielkie Rozgrywki Pucharowe, jeden z ich ludzi musi to załatwić tutaj.

- Tak, i to w pobliżu. Mają niewielki wybór.

Kabakov rozerwał dużą, brązową kopertę. Zawierała sto zdjęć Fasila w trzech czwartych z profila oraz sto odbitek portretu pamięciowego kobiety. Wszyscy agenci na stadionie mieli te zdjęcia.

NASA wykonała dobrą robotę powiedział Kabakov.

Zdjęcia Fasila były wyjątkowo wyraźne, zwłaszcza że policyjny artysta dodał mu na policzku szramę po kuli.

Roześlemy je do wszystkich służb latających, do baz marynarki wojennej, wszędzie gdzie mają helikoptery - powiedział Corley. - Co się z tobą dzieje?

- Dlaczego tak późno sprowadzają pilota? Wszystko się zgadza z wyjątkiem tego jednego. Duża bomba, atak z powietrza - dlaczego więc pilot przybywa tak późno? Na podstawie mapy znalezionej na tej łodzi można się było domyślać, że jest w to zamieszany jakiś pilot; ale skoro pilot poznakował tę mapę, to znaczy, że już tutaj był.

- Mapy nawigacyjne można dostać na całym świecie, Dawidzie. Znaki mogły zostać naniesione po drugiej stronie oceanu, na Bliskim Wschodzie. Taka klapa bezpieczeństwa. Spotkanie na morzu, na wszelki wypadek. Mapę mogła przywieźć ta kobieta. A spotkanie na morzu było potrzebne, kiedy się zorientowali, że Muziemu nie można ufać.

- Ale ten pośpiech ze zdobyciem dokumentów nie pasuje do tej wersji. Jeżeli wiedzieli z góry, że posłużą się Libijczykiem, to dlaczego nie mieli dla niego od dawna przygotowanych dokumentów?

- Im później zostanie tu sprowadzony, tym mniejsze ryzyko zdemaskowania.

- Nie - Kabakov potrząsnął głową. - Ten pośpiech z dokumentami nie jest w stylu Fasila. Wiesz przecież, z jakim wyprzedzeniem przygotowywał Monachium.

- Tak czy owak, mamy przerwę. Z samego rana wyślę ludzi z tymi zdjęciami do wszystkich portów lotniczych. Wiele linii będzie zamkniętych w Nowy Rok. Potrzebujemy kilku dni, żeby z wszystkimi porozmawiać.

W hotelu „Royal Orleans” Kabakov jechał windą z dwiema parami, obie głośno się śmiały; panie miały kunsztowne fryzury przypominające pszczele ule. Starał się zrozumieć, o czym rozmawiają, i doszedł do wniosku, że gdyby rozumiał, okazałoby się, że ich rozmowa nie ma sensu.

Znalazł numer i zapukał do drzwi. Hotelowe drzwi zawsze wyglądają nijako. Nie wyrażają nic nawet wtedy, kiedy za nimi znajdują się ludzie, których kochamy. Rachel była za drzwiami, jak się tego spodziewał, i przez kilka sekund przytuliła się do niego nie mówiąc ani słowa.

- Cieszę się, że ten platfus na stadionie przekazał ci wiadomość ode mnie. A swoją drogą, mogłeś mnie tam zaprosić.

- Chciałem zaczekać, aż to się skończy.

- Zupełnie jakbym przytuliła robota. Co tym tam masz pod płaszczem?

- Pistolet maszynowy.

- Zdejmij to i napij się czegoś.

- Jak ci się udało zdobyć taki pokój bez rezerwacji? Corley musiał pójść do domu jednego z miejscowych agentów FBI.

- Znam kogoś z hotelu „Plaża” w Nowym Jorku, a ten hotel należy do tych samych ludzi. Podoba ci się pokój?

- Tak.

Był to mały apartament, cały w pluszach.

- Przykro mi, że nie mogłam nic załatwić dla Moshevsky'ego.

- Jemu jest dobrze za drzwiami. Może spać na kanapie... nie, żartuję. Będzie mu dobrze w konsulacie.

- Zamówiłam coś do jedzenia. Nie słuchał.

- Powiedziałam, że zaraz przyniosą coś do jedzenia. Chateaubriand.

- Myślę, że sprowadzają pilota. - Opowiedział jej szczegóły.

- Ten pilot zaprowadzi cię do reszty, chyba o to właśnie chodzi.

- Jeżeli znajdziemy plastik, dotrzemy i do nich. Rachel chciała o coś zapytać, ale ugryzła się w język. Jak długo możesz zostać? - zapytał Kabakov. Cztery - - pięć dni. A jeśli bym mogła w czymś ci pomóc, to dłużej. Myślę, że wrócę do Nowego Jorku, podgonię trochę wizyty i wrócę tutaj, powiedzmy, dziesiątego lub jedenastego... jeśli chcesz.

- Oczywiście, że chcę. Kiedy to wszystko się skończy, naprawdę zabawimy się w Nowym Orleanie. Wygląda na miłe miasto.

- O, Dawidzie, dopiero zobaczysz, jakie to jest miasto!

- Ale jeden warunek nie chcę, żebyś przychodziła na mecz. Możesz przyjechać do Nowego Orleanu, zgoda, ale nie chcę cię widzieć w okolicy stadionu.

Jeżeli stadion nie jest bezpieczny dla mnie to nie jest bezpieczny dla nikogo. Powinno się ostrzec ludzi.

- To samo powiedział prezydent FBI i Secret Service. Ale jeśli odbędą się rozgrywki pucharowe, on przyjedzie. Rozważa się odwołanie rozgrywek?

- Wezwał do siebie Bakera i Biggsa i oświadczył, że jeśli ludziom - a tym samym i jemu - nie można zapewnić odpowiedniej ochrony podczas rozgrywek, on odwoła całą imprezę i poda powód do publicznej wiadomości. Wtedy Baker oświadczył, że FBI potrafi zapewnić ochronę.

- A co na to Secret Service?

- Biggs nie wygłasza głupich obietnic. Czekaj, co będzie z tym pilotem. On nie zaprosił nikogo, ja też nie. Obiecuj mi, że nie przyjdiesz na stadion.

- Dobrze, Dawidzie.

Uśmiechnął się. - A teraz opowiedz mi o Nowym Orleanie.

Obiad był wspaniały. Jedli przy stoliku pod oknem i po raz pierwszy od wielu dni Kabakov odprężył się. Za oknem, objęty wielkim zakolem rzeki, mienił się światłami Nowy Orlean, a wewnątrz Rachel, łagodna w blasku świec, snuła opowieść o tym, jak przyjechała do Nowego Orleanu z ojcem, jak ojciec zabrał ją do Antoine'a, gdzie czuła się jak wielka dama, choć kelner na widok dziecka taktownie położył poduszkę na krześle.

Kabakov i Rachel planowali, że dwunastego lub wtedy, kiedy zadanie Kabakova zostanie do końca wykonane, pójdą razem do Antoine'a na wielki obiad. A potem, pełni Beaujolais i planów, będą się cieszyli sobą w wielkim łóżku. Rachel zasnęła z uśmiechem na twarzy.

Zbudziła się po północy i zobaczyła, że Kabakov siedzi oparty o wezgiel. Kiedy się poruszyła, poklepał ją machinalnie, domyśliła się więc, że myśli o czymś zupełnie innym.

Ciężarówka wioząca bombę wjechała do Nowego Orleanu 31 grudnia o jedenastej wieczorem. Kierowca jechał drogą nr 10, obok Superdome, do skrzyżowania z drogą nr 90, tam skręcił na południe i zatrzymał się pod magazynem na Thalia Street, poniżej mostu na Missisipi, w miejscu zupełnie wyludnionym o tej porze nocy.

- To jest miejsce, o którym on mówił - odezwał się kierowca do swojego towarzysza. - I niech mnie diabli, jeśli tu ktoś jest. Całe nabrzeże zamknięte.

Głos tuż przy jego uchu przestraszył go. - Zgadza się, to jest to miejsce - odezwał się Fasil, wspinając się na stopień wozu.

- Oto papiery. Podpisałem już pokwitowanie.

Podczas gdy kierowca w świetle latarki sprawdzał dokumenty, Fasil przyjrzał się plombom na klapie ciężarówki. Były nietknięte.

- Kolego, może byś nas podwiózł na lotnisko? Chcielibyśmy zdążyć na najbliższy rejs do Newark.

- Przykro mi, ale nie mogę. Podwiozę was do postoju taksówek.

- Rany boskie, na lotnisko to będzie z dziesięć dolców!

Fasil nie chciał dopuścić do kłótni. Dał im dziesięć dolarów i podwiózł do miejsca, skąd postój taksówek oddalony był tylko o jedną przecznicę. Przez całą drogę do garażu uśmiechał się i

pogwizdywał coś bezmelodyjnie. Cały dzisiejszy dzień, odkąd głos w słuchawce telefonu w hotelu „Monteleone” powiedział mu, że pilot przyjeżdża, Fasil uśmiechał się. W głowie roilo mu się od planów i siłą woli musiał koncentrować się na prowadzeniu.

Przede wszystkim bezwzględnie musi podporządkować sobie tego Awada. Awad powinien bać się i szanować go. To Fasil potrafi wyegzekwować. Następnie trzeba będzie wprowadzić go w całą sprawę, łącznie z przekonującym planem ucieczki po zamachu.

Plan samego zamachu opierał się w głównej mierze na tym, co Fasil podpatrzył przy budowie kopuły. Helikopter typu Sikorsky S-58, który przyciągnął uwagę Fasila, był już nieco przestarzałą maszyną, sprzedaną jako nadwyżka przez armię Niemiec Zachodnich. Wprawdzie swoim udźwigniem pięciu tysięcy funtów nie mógł stanowić konkurencji dla nowoczesnych latających dźwigów, ale dla celów Fasila był aż za dobry.

Do załadowania potrzebne są trzy osoby: pilot, człowiek w komorze kadłubowej oraz kierujący zamocowaniem ładunku na ziemi. Fasil nauczył się tego obserwując pracę helikoptera przy budowie kopuły. Pilot utrzymuje maszynę w jednym miejscu nad ładunkiem, wskazówek udziela mu człowiek w kadłubie, który leży na podłodze i widząc ładunek porozumiewa się z pilotem za pośrednictwem hełmofonu.

Człowiek kierujący zamocowaniem ładunku jest na ziemi. Przyczepia hak do ładunku. Z helikoptera nie można posłużyć się zdalnie kierowanym systemem do zaczepiania haka. Musi to być zrobione na ziemi. W razie awarii pilot może odczepić ładunek, przyciskając czerwony guzik na dźwigni mocy. Fasil dowiedział się tego od pilota, w czasie krótkiej przerwy w pracy. Pilot był dość miłym czarnym facetem, z wyrazistymi, szeroko rozstawionymi oczyma, osłoniętymi okularami przeciwsłonecznymi. Bardzo możliwe, że gdyby mu przedstawić kolegę - pilota, pozwoliliby mu brać udział w mocowaniu ładunku. Dla Awada byłaby to świetna okazja do zapoznania się z kabiną pilota. Fasil miał nadzieję, że Awad jest przystojny.

W Niedzielę Pucharową Awad zabije natychmiast pilota i każdego z obsługi naziemnej, kto mu wejdzie w drogę. Awad i Dahlia będą w helikopterze, on sam zaś będzie kierował zamocowaniem ładunku na ziemi. Dahlia dopilnuje, żeby maszyna zajęła odpowiednią pozycję nad stadionem i - kiedy Awad będzie czekał na sygnał zrzucenia bomby - ona ją po prostu zdetonuje pod helikopterem. Fasil nie wątpił, że Dahlia sobie z tym poradzi.

Niepokoił go jednak czerwony guzik do odczepiania ładunku. Trzeba go będzie unieszkodliwić. Gdyby Awad ze zdenerwowania upuścił bombę, całe przedsięwzięcie poszłoby na marne nie była przeznaczona do zrzucenia. Trzeba będzie związać hak z ładunkiem. Należy to zrobić w ostatniej chwili, luz przed uniesieniem się helikoptera w górę, kiedy Awad nie będzie widział, co dzieje się pod maszyną. Fasil nie mógł zaufać jakiemuś importowanemu frontowemu żołnierzowi, że zadba o takie szczegóły. I właśnie dlatego on sam musi dopilnować załadunku.

Ryzyko było do przyjęcia. Tutaj będzie o wiele bardziej bezpieczny niż na lotnisku w Lakefront przy sterowcu. Tu będzie miał do czynienia z nie uzbrojonymi robotnikami budowlanymi, tam miałby przeciwko sobie ochronę lotniska.

Kiedy nastąpi wybuch, Fasil będzie opuszczał granice miasta w kierunku na Houston, skąd poleci samolotem do Mexico City.

Awad do końca będzie wierzył, że Fasil czeka na niego w samochodzie w Audubon Park za stadionem.

Jest garaż. Cofnięty od ulicy, dokładnie tak, jak Dahlia opisała. Kiedy już znalazł się w środku i zamknął drzwi, otworzył tył ciężarówki. Wszystko było w porządku. Sprawdził silnik wózka widłowego. Zapalił natychmiast. No dobrze. Zaraz po przybyciu Awada i zaznajomieniu go ze sprawą trzeba będzie zadzwonić do Dahlii, powiedzieć jej, żeby zabiła Amerykanina i zgłosiła się w Nowym Orleanie.

ROZDZIAŁ 23

Lander jęknął i poruszył się na szpitalnym łóżku. Dahlia Iyad odłożyła na bok plan Nowego Orleanu, który studiowała, i podniosła się sztywno. Jedna stopa jej zdrętwiała. Pokuśtykała do łóżka i położyła rękę na czole Landera. Było gorące. Przetarła mu skronie i policzki zimną wilgotną serwetką i - kiedy chrapliwy oddech chorego znów stał się równomierny - wróciła na fotel obok lampy do czytania.

Za każdym razem, gdy podchodziła do łóżka, zachodziła w niej dziwna zmiana. Kiedy siedziała w fotelu z planem Nowego Orleanu, patrzyła na Landera nieruchomym, zimnym wzrokiem kota, spojrzeniem, które kryje w sobie wiele możliwości dyktowanych wyłącznie własnymi potrzebami. Przy jego łóżku na jej twarzy odbijały się prawdziwe, szczere ciepło i troska. Żaden mężczyzna nie miał nigdy delikatniejszej, bardziej oddanej pielęgnowarki niż Dahlia Iyad.

Przez cztery noce spała na rozkładanym łóżku w jego pokoju w szpitalu w New Jersey. Nie mogła go zostawić samego bojąc się, że będzie bredził o ich akcji. I bredził rzeczywiście, ale o Wietnamie i osobach, których nie знаła. I o Margaret. Przez cały jeden wieczór powtarzał w kółko: „Jergens, miałeś rację”.

Nie wiedziała, czy zwariował. Wiedziała jedno: do zamachu zostało dwanaście dni. Jeżeli można go uratować, zrobi to. Jeśli nie - no cóż, i tak by umarł. Jedna śmierć nie była gorsza od drugiej.

Wiedziała, że Fasilowi zaczęło się śpieszyć. A pośpiech jest niebezpieczny. Jeśli Lander nie będzie mógł lecieć, a propozycje Fasila nie będą jej odpowiadały, postanowiła wyeliminować Fasila. Ta bomba była zbyt cenna, żeby ją zmarnować w jakiejś naprędce skleconej akcji. Była o wiele cenniejsza od Fasila. Nigdy mu nie wybaczy, że chciał wymigać się z uczestniczenia w akcji nowoorleańskiej. Jego ucieczka od odpowiedzialności nie była wynikiem tego, że zawiodły go nerwy, jak było w przypadku Japończyka, którego zastrzeliła przed zamachem na port lotniczy w Łódź. To był wynik jego ambicji, sprawa o wiele gorsza. - Staraj się, Michael - szepnęła. - Staraj się mocno.

Wczesnym rankiem 1 stycznia agenci federalni i przedstawiciele miejscowej policji udali się do portów lotniczych położonych wokół Nowego Orleanu - Houma, Thibodaux, Gulfport, Hammond, Greater St. Tammany i Bogalusa. Do południa napływały ich raporty. Nigdzie nie widziano ani Fasila, ani kobiety.

Corley, Kabakov i Moshevsky sprawdzili międzynarodowy port lotniczy w Nowym Orleanie i lotnisko w Lakefront, ale bez skutku. Wracali do miasta w ponurym nastroju. Corley dowiedział się drogą radiową, że nadeszły - niestety - negatywne raporty zarówno z wszystkich urzędów celnych w punktach granicznych Stanów, jak również z Interpolu. Nie było śladu libijskiego pilota.

- Ten skurwiel może się tu już kręcić - powiedział Corley przyśpieszając przy wjeździe na autostradę.

Kabakov milczał skwaszony i spoglądał przez szybę. Tylko Moshevsky nie przejmował się. Zamiast wypoczywać, noc spędził oglądając program w klubie Hotsy-Totsy na Bourbon Street i teraz spał na tylnym siedzeniu.

Kiedy skręcili na Poydras w kierunku biura FBI, nagle nad okolicznymi budynkami pojawił się na niebie - niczym wielki ptak, który wyskoczył ze swego ukrycia - helikopter i zawisł nad kopułą stadionu, z ciężkim kwadratowym obiektem podwieszonym tuż pod kadłubem.

- Hej, hej, Dawidzie, spójrz - odezwał się Corley. Pochylił się nad kierownicą, żeby przez przednią szybę lepiej widzieć i gwałtownie zahamował. Samochód jadący za nimi wściekle zatrafił i wyminął ich z prawej strony; za szybą widać było mówiącego coś kierowcę.

Serce Kabakova podskoczyło i zaczęło szybciej bić na widok maszyny. Wiedział wprawdzie, że jest jeszcze za wcześnie na zamach, rozpoznał w obiekcie wiszącym pod wielkim helikopterem część jakiegoś urządzenia - ale to, co zobaczył realnie, idealnie pasowało do tego, co widział w wyobraźni. Lądowisko znajdowało się po wschodniej stronie kopuły. Corley zaparkował samochód sto jardów dalej, obok sterty dźwigarów.

- Jeżeli Fasil obserwuje to miejsce, lepiej by było, gdyby cię nie rozpoznał - powiedział Corley. - Postaram się o hełmy. - Zniknął gdzieś na placu budowy i wrócił po kilku minutach z trzema żółtymi, plastikowymi hełmami i okularami.

- Weź lornetkę polową i idź na górę pod kopułę, tam jest otwór, przez który widać lądowisko - zwrócił się Kabakov do Moshevsky'ego. - Nie stawaj pod słońce, przyjrzyj się oknom po drugiej stronie ulicy, wszystkim miejscom wysoko położonym i terenowi wokół miejsca mocowania ładunku.

Moshevsky ruszył, gdy padały ostatnie słowa.

Obsługa naziemna przytoczyła nowy ciężar i helikopter, kolebiąc się lekko, zaczął się obniżać, by go zabrać. Kabakov wszedł do szopy budowlanej stojącej na skraju placu i przyglądał się przez okno. Człowiek kierujący operacją z ziemi ręką zasłaniał oczy przed słońcem i mówił coś do krótkofalówki, kiedy Corley podszedł do niego.

- Proszę powiedzieć pilotowi, żeby wylądował - Corley osłonił znaczek tak, żeby tylko ten człowiek mógł go widzieć. Brygadzista spojrzał na znaczek, potem na Corleya.

- O co chodzi?

- Poprosi go pan, żeby wylądował?

Brygadzista powiedział coś do krótkofalówki, potem zawołał obsługę naziemną. Robotnicy wytoczyli wielką pompę chłodzenia z placu i odwrócili głowy od kłębow pyłu wznoszonego przez ostrożnie lądującą maszynę.

Brygadzista wykonał ręką ruch cięcia na nadgarstku i skinął głową. Wielkie śmigło zwolniło obroty i zaczęło obracać się coraz wolniej.

Pilot jednym ruchem obrócił się i wyskoczył na ziemię. Miał na sobie kombinezon piechoty morskiej, wytarty prawie do białości na kolanach i łokciach.

- O co chodzi, Maginty?

- Ten facet chce z panem rozmawiać - powiedział brygadzieta.

Pilot spojrział na legitymację Corleya; Kabakov nie dopatrzył się żadnego wyrazu na jego ciemnobrązowej twarzy.

- Może pójdziemy do tej szopy? Pan też, panie Maginty - zaproponował Corley.

- Dobrze - odparł brygadzieta - ale ta trzepaczka do ubijania jaj kosztuje kompanię pięćset dolców na godzinę, tu może byśmy się pośpieszyli?

W zagraconej szopie Corley wyjął zdjęcie Fasila. - Czy widział...

- Może najpierw przedstawicie się, panowie - przerwał mu pilot. - Tak będzie kulturalnie, a ponadto, obecnemu tu Maginty zajmie to czas zaledwie za dwanaście dolarów.

- Sam Corley.

- Dawid Kabakov.

- Jestem Lamar Jackson - uroczyście uściśnął im ręce.

- Chodzi o sprawę bezpieczeństwa narodowego - zaczął Corley. Kabakovowi zdawało się, że dostrzegł błysk rozbawienia w oczach pilota, kiedy ten usłyszał ton głosu Corleya.

- Widział pan tego mężczyznę? Jackson spojrział na zdjęcie i uniósł brwi.

- Tak, trzy-cztery dni temu, kiedy zakładałeś pas na wyciąg tego dźwigu, pamiętasz, Maginty? A kto to jest?

- Uciekinier. Poszukujemy go.

- No to wpadajcie tutaj. Powiedział, że jeszcze przyjdzie.

- Tak?

- Tak. Skąd przyszło wam do głowy, żeby go tutaj szukać?

- Macie to, czego on potrzebuje - odparł Corley. - Helikopter.

- Po co mu helikopter?

- Żeby za jego pomocą zranić wielu ludzi. Kiedy ma przyjść?

- Nie powiedział. Prawdę mówiąc, nie bardzo się nim interesowałem. Mam uczulenie na takich, wie pan, takich, co to się lepią. A co on zrobił? Wspomniął pan, że ma złą...

- To psychopata i zabójca, polityczny fanatyk - powiedział Kabakov. - Dokonał wielu morderstw. Zamierzał pana zabić i zabrać helikopter, kiedy nadejdzie pora. Proszę opowiedzieć, co tu się wydarzyło.

- O, Chryste - odezwał się Maginty. Wytarł twarz chustką do nosa. - Nie podoba mi się to. - Wyrzwał szybko przez drzwi szopy, jakby spodziewał się, że ten maniak zaraz się pojawi.

Jackson potrząsnął głową jak człowiek, który chce się upewnić, że nie śni, ale kiedy zaczął mówić, jego głos brzmiał spokojnie.

- Stał obok lądowiska, gdy szedłem na kawę. Nie zwróciłem uwagi specjalnie na niego, bo wielu ludzi przychodzi tutaj, żeby popatrzeć. A on zaczął mnie wypytywać, jak się podnosi ładunek, jaki symbol ma ten model, i w ogóle. Pytał, czy może zajrzeć do środka. Powiedziałem, że może zajrzeć przez boczne drzwi kadłuba, ale żeby niczego nie ruszał.

- Zajrzał?

- Tak; chwileczkę... potem zapytał, w jaki sposób można przechodzić z komory kadłubowej do kabiny pilota i z powrotem. Powiedziałem, że to bardzo niewygodne, gdyż trzeba podnosić jedno z siedzeń w kabinie pilota. Pamiętam, że to pytanie mnie zdziwiło. Na ogół ludzie pytają, ile helikopter może udźwignąć i czy się nie boję, że ładunek spadnie. Potem powiedział mi, że jego brat lata na helikopterach i że byłby szczęśliwy, gdyby mógł obejrzeć mój.

- A pytał pana, czy pracuje pan też w święta?

- Właśnie do tego zmierzałem. Ten lalusz trzy razy mnie pytał, czy będziemy pracować przez resztę ferii, a ja mu ciągle odpowiadałem, że tak, tak. Kiedy musiałem wracać do roboty, koniecznie chciał mi uścisnąć rękę, i w ogóle. Pytał pana o nazwisko?

- Owszem.

I skąd pan pochodzi? Też.

Kabakov instynktownie polubił Jacksona. Wyglądał mu na człowieka z mocnymi nerwami. Trzeba mieć mocne nerwy, żeby wykonywać taką robotę. A ponadto, niewątpliwie potrafił być bardzo twardy, jeśli było trzeba.

- Był pan pilotem w piechocie morskiej? Zgadza się. W Wietnamie?

Trzydzieści osiem lotów. Potem postrzelono mnie nieco i zostałem zwolniony do chwili, aż wyzdrowieję.

- Potrzebujemy pańskiej pomocy, panie Jackson.

- Aby złapać tego faceta?

- Tak - potwierdził Kabakov. - Chcemy go śledzić po następnej jego wizycie tutaj. Przyjdzie ze swoim przyszywanym bratem, żeby się rozejrzeć. Nie powinien się spłoszyć. Zanim go weźmiemy, musimy go trochę pośledzić. I dlatego potrzebujemy pańskiej pomocy.

- Uhm. Tak się składa, że ja też potrzebuję waszej pomocy. Proszę pokazać mi swoją legitymację, panie FBI.

Patrzył przy tym na Kabakova, ale to Corley, a nie Kabakov, podał mu swoją legitymację. Pilot podniósł słuchawkę telefonu.

- Podam panu numer...

- Sam znajdę numer, panie Corley.

- Może pan poprosić...

- Proszę oficera dyżurnego - powiedział Jackson do słuchawki.

Nowoorleańskie biuro FBI potwierdziło tożsamość Corleya.

- No więc - Jackson odłożył słuchawkę telefonu - chciał pan wiedzieć, czy ten szalony osobnik pytał mnie, skąd jestem. O ile się nie mylę, chodziło mu o informację na temat mojej rodziny. Czyli chciałby mnie przycisnąć.

- Z pewnością tak, gdyby to uznał za konieczne - potwierdził Kabakov.

- Więc dobrze, chcecie, żebym zagrał z wami w tę grę, kiedy ten gość znów się pojawi?

- Będziemy pana cały czas osłaniać. Chcemy tylko pójść za nim, kiedy stąd odejdzie - powiedział Corley.

- A skąd wiecie, czy przy następnej wizycie to draństwo nie spadnie nam na głowę?

- Stąd, że najpierw przyprowadzi swojego pilota, żeby pokazać mu helikopter. Poza tym, znamy datę zamachu.

- Uhm, dobra, zrobię to. Ale za pięć minut zadzwonię do mojej żony w Orlando. Chciałbym usłyszeć od niej, że pod domem stoi rządowy samochód, a za nim siedzi czterech koszmarnych lalusiów, jakich w życiu nie oglądała. Nadażać pan za mną?

- Skorzystam z pańskiego telefonu - powiedział Corley.

Całodobowa obserwacja lądowiska helikoptera ciągnęła się przez wiele dni. W godzinach pracy na miejscu byli Corley, Kabakov i Moshevsky. Nocą, kiedy helikopter stał zabezpieczony, czuwała trójka agentów FBI. Fasil nie pojawił się.

Jackson codziennie przybywał rzeżki i gotów do roboty; narzekał tylko, że z dwoma agentami federalnymi na karku, nie odstępującymi go nawet po pracy, czuje się skrępowany. Psuli mu dotychczasowy tryb życia.

Pewnego wieczoru Kabakov z Rachel zaprosili Jacksona na drinka do hotelu „Royal Orleans”; przy sąsiednim stoliku siedzieli dwaj agenci ochrony osobistej Jacksona, oziębli i ponurzy. Jackson zwiedził wiele miejsc, widział wiele rzeczy i Kabakov polubił go bardziej niż innych Amerykanów.

Z Magintym było całkiem inaczej. Kabakov żałował, że w ogóle wciągnięto go do sprawy. Widać było po nim napięcie - był nerwowy i łatwo wpadał w gniew.

Rankiem 4 stycznia deszcz opóźnił przystąpienie do pracy i Jackson przyszedł do szopy na kawę.

- Co to za typ? - zwrócił się do Moshevsky'ego.

- Galii - Moshevsky, za pobłażliwym przyzwoleniem Kabakova, zamówił w Izraelu nowy typ ręcznego karabinu automatycznego. Wyjął magazynek i pocisk z komory i podał broń Jacksonowi. Wskazał na otwieracz do butelek, wbudowany w podstawę, co uważał za nader interesujący szczegół.

- W Wietnamie mieliśmy w helikopterze AK-47 - powiedział Jackson. - Ktoś zdobył go na żołnierzu Vietcongu. Wolałem go od M-16.

Do szopy wszedł Maginty, ale na widok broni wycofał się. Kabakov postanowił, że zakáže Moshevsky'emu wyciągać karabin z zanadru. Nie było sensu straszyć i tak już przestraszonego Maginty'ego.

- Ale jeśli mam być szczery, to w ogóle nie lubię broni - mówił dalej Jackson. - Wielu facetów cofa się na jej widok, nie wy, oczywiście, bo taki jest wasz zawód, ale niech mi ktoś pokaże człowieka, który to kocha...

Krótkofalówka Corleya przerwała Jacksonowi. - Jaskółka siedem, jaskółka siedem.

- Tu jaskółka siedem, słucham.

- Nowy Jork informuje, że obiekt „jętka” opuścił komorę celną lotniska Kennedy'ego o godzinie 9. 40 wschodnioamerykańskiego czasu urzędowego. Ma rezerwację na lot numer 704 Delta do Nowego Orleanu, planowy przylot godzina 12. 30 urzędowego czasu środkowoamerykańskiego. „Jętka” to kryptonim Abdela Awada.

- Roger, jaskółka siedem, skończyłem.

- Kabakov! Ten sukinsyn przyjeżdża. Już on nas zaprowadzi do Fasila, plastiku i tej kobiety.

Kabakov odetchnął z ulgą. Był to pierwszy, niepodważalny dowód, że złapał właściwy trop, że Wielkie Rozgrywki Pucharowe istotnie stanowiły cel zamachu.

- Mam nadzieję, że dopadniemy ich, zanim dobiorą się do plastiku. W przeciwnym razie może być bardzo dużo hałasu.

- A więc to dzisiaj jest ten dzień - oświadczył Jackson. W jego głosie nie czuło się niepokoju. Był opanowany.

Nie wiadomo, może dzisiaj, a może jutro. Jutro jest niedziela, może zechce zobaczyć pana przy pracy w niedzielę. Zobaczymy.

Trzy godziny i czterdzieści pięć minut później w międzynarodowym porcie lotniczym w Nowym Orleanie z samolotu pasażerskiego linii Delta wysiadł Abdel Awad. Niósł małą walizeczkę. Za nim w sznurze pasażerów zszedł potężnie zbudowany mężczyzna w średnim wieku, w szarym garniturze człowieka interesu. Na chwilę jego oczy spotkały się ze wzrokiem Corleya, czekającego po drugiej stronie korytarza. Potężny mężczyzna obrzucił krótkim spojrzeniem plecy Awada, po czym odwrócił głowę.

Corley, z walizką w ręce, szedł śladem pasażerów z samolotu do hallu. Nie śledził Awada, przyglądał się grupie witających, wypatrując Fasila i kobiety.

Ale Awad najwyraźniej nie wypatrywał nikogo. Zjechał w dół schodami i wyszedł na ulicę, gdzie zawahał się na chwilę obok kolejki pasażerów czekających na limuzyny.

Corley wszedł do samochodu, w którym byli Kabakov i Moshevsky. Kabakov czytał gazetę. Uzgodnili, że położy się nisko na wypadek, gdyby Awadowi na odprawie pokazano jego zdjęcie.

- Ten wielki facet to Howard powiedział Corley. Zostanie z nim, gdyby wziął limuzynę. Jeśli weźmie taksówkę, Howard przekaże jej numer chłopakom w radiowozach.

Awad wziął taksówkę. Howard przeszedł za nią i zatrzymał się, żeby wydmuchać nos.

Obserwowanie, jak przebiega akcja śledzenia, było prawdziwą przyjemnością. Brały w niej udział trzy samochody osobowe i pikap; podczas długiej drogi do miasta żaden z pojazdów nie stał za śledzoną taksówką dłużej niż kilka minut. Kiedy stało się jasne, że zmierza ona pod hotel Marriotta, jeden ze śledzących ją samochodów podjechał szybko pod boczne wejście do hotelu i agent znalazł się przy kontuarze recepcji, zanim Awad zgłosił się po swój zarezerwowany pokój. Z recepcji agent poszedł szybko w stronę wind, mijając po drodze mężczyznę stojącego pod palmą. Powiedział do niego dwa słowa: „sześćset jedenaście”. Agent spod palmy wszedł do windy. Był na szóstym piętrze, gdy Awad szedł za chłopcem hotelowym do swojego pokoju.

Pół godziny później FBI miało pokój obok i swojego agenta w centrali telefonicznej. Do Awada nie było telefonów, a on sam nie ruszał się za próg. O ósmej wieczorem zamówił stek do pokoju. Przyniósł mu go agent, za co otrzymał dwadzieścia pięć centów napiwku, monetę, którą trzymał za krawędzie przez całą drogę na dół, gdzie zdjęto z niej odciski palców.

Obserwacja trwała całą noc.

Niedzielnny rano 5 stycznia był zimny i pochmurny. Moshevsky nalał mocnej kawy „Cajun” do

filiżanek i podał je Kabakovowi i Corleyowi. Przez cienkie ścianki szopy słycać było łopaty wirnika wielkiego helikoptera tnące powietrze, kiedy unosił się w górę z ciężarem.

Wbrew swojemu instynktowi Kabakov opuścił hotel, w którym został Awad, ponieważ zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że powinien czekać tutaj. Nie mógł prowadzić bezpośredniej obserwacji nie narażając się na rozpoznanie przez Awada czy Fasila, gdyby ten się pojawił. Inwigilacja w hotelu pod bezpośrednim nadzorem kierownika nowoorleańskiego biura FBI była, zdaniem Kabakova, doskonała.

Nie miał wątpliwości, że terroryści najpierw przyjdą tutaj, do helikoptera, a potem dopiero tam, gdzie ukryli bombę. Awad może wprowadzić zmiany w ładunku, żeby go dostosować do helikoptera, ale nigdy odwrotnie i dlatego najpierw musi zobaczyć helikopter.

To miejsce stało się teraz punktem największego zagrożenia. Arabowie będą się kręcić w ogromnym labiryncie materiałów budowlanych, będą mieli styczność z cywilami, z których dwóch zdaje sobie sprawę, że są oni niebezpieczni. Całe szczęście, że dzisiaj nie ma Maginty'ego, myślał Kabakov. Na sześć dni inwigilacji Maginty nie przyszedł do pracy dwa razy z powodu choroby i dwa razy się spóźnił.

Zagrzechotała krótkofalówka. Corley manipulował gałką, żeby wytłumić szumy.

- Jednostka jeden do jednostki cztery. - To zespół agentów na szóstym piętrze Marriotta wzywał szefa.

- Słucham cię, czwórka.

- „Jętką” opuścił pokój i udał się do windy.

- Roger, czwórka. Piątka, słyszeliście?

- Piątka gotowa. Minęła minuta.

- Jedyńska, tu piątka. Idzie przez hali.

Głos był stłumiony i Kabakov domyślił się, że agent w hallu mówi do mikrofonu ukrytego w dziurce od guzika.

Kabakov wpatrywał się w krótkofalówkę, mięśnie szczęk mu chodziły. Jeżeli Awad udawał się do innej części miasta, będzie mógł w kilka minut dołączyć do pogoni. Dosłyszał słaby szum obrotowych drzwi, następnie gwar ulicy, kiedy agent wyszedł za Awadem z Marriotta.

- Jedyńska, tu piątka. Idzie na zachód, na Decatur. Nastąpiła dłuższa pauza.

- Jedyńska, wchodzi do Bienville House.

- Trójka, podejmij trop.

- Roger.

Minęła godzina, a Awad nie wychodził. Kabakov myślał o wszystkich pokojach, w których przypadło mu czekać. Zapomniał już, jak męcząco i depresyjnie działają na człowieka takie pokoje. Nikt się nie odzywał. Kabakov wyjrzał przez okno. Corley patrzył na radio. Moshevsky badał coś, co wygrzebał ze swojego ucha.

- Jedyńka do piątki. Wychodzi. Jest z nim „karaluch”.

Kabakov nabrał w płuca dużo powietrza i wypuścił je wolno. „Karaluch” to Muhammad Fasil.

Piątka mówił dalej: - Zatrzymali taksówkę numer 4758. Numer licencji stanowej na prowadzenie taksówki 478 Juliett Lima. Dwunastka z lotnej... - Tu włączyła się następna wiadomość.

- Tu dwunastka, mamy ich, skręcają na zachód, na Magazine.

- Roger, dwunastka.

Kabakov podszedł do okna. Zobaczył, że obsługa naziemna poprawiała liny na następnym ładunku; jeden z robotników zastępował brygadzystę.

- Jedyńka, tu dwunastka, teraz skręcają na północ, na Poydras. Chyba jadą do was, jaskółka siedem.

- Tu jaskółka siedem, Roger, dwunastka.

Corley został w szopie budowlanej, Kabakov zaś i Moshevsky zajęli pozycje na zewnątrz: Kabakov z tyłu ciężarówki pod osłoną opuszczonej plandeki, Moshevsky - w przenośnej toalecie z dziurką w drzwiach. We trzech tworzyli trójkąt zamykający lądowisko helikoptera.

- Jaskółka siedem, jaskółka siedem, tu dwunastka. Śledzony obiekt jest na rogu Poydras i Rampart i jedzie dalej na północ.

Corley odczekał, aż helikopter z Jacksonem opuści się znad dachu ku ziemi i zwrócił się do niego na częstotliwości maszyny:

- Będzie pan miał towarzystwo. Proszę zrobić przerwę za pięć minut.

- Roger - głos Jacksona był opanowany.

- Jaskółka siedem, tu dwunastka z lotnej. Są po przeciwnej stronie ulicy, wysiadają z taksówki.

- Roger.

Kabakov nigdy nie widział Fasila i teraz przyglądał mu się przez szczelinę w brezencie, jakby był on okazem jakiegoś egzotycznego, dzikiego zwierzęcia. Potwór z Monachium. Sześć tysięcy mil do długa pogoń.

Futerał na aparat fotograficzny. To tam masz broń. Powiniennem z tobą skończyć w Bejrucie.

Fasil i Awad stali obok stosu skrzynek na skraju lądowiska i przyglądali się helikopterowi. Byli najbliżej Moshevsky'ego, ale poza polem jego widzenia. Rozmawiali. Awad powiedział coś i Fasil skinął głową. Awad odwrócił się i nacisnął klamkę kryjówki Moshevsky'ego. Ale drzwi były zamknięte na haczyk. Poszedł do toalety obok i po chwili wrócił do Fasila.

Helikopter wylądował i obaj Arabowie odwrócili głowy przed kurzem. Jackson jednym rzutem ciała wy dostał się z kabiny na ziemię i poszedł wolno do zbiornika z zimną wodą, z którego korzystała obsługa naziemna. Wziął kubek wody i wtedy dopiero zauważył Fasila; od niechcenia pomachał mu ręką, dając do zrozumienia, że go dostrzegł. Dobrze, pomyślał Kabakov, bardzo dobrze. Fasil i Awad podeszli do Jacksona. Fasil przedstawił Awada. Uścisnęli sobie ręce. Jackson skinął głową. Poszli w kierunku helikoptera rozmawiając z ożywieniem. Awad gestykulował przy tym w sposób charakterystyczny dla wszystkich pilotów, kiedy mówią o sprawach zawodowych. Awad zajrzał przez drzwi w kadłubie i rozejrzał się. Zadał jakieś pytanie. Jackson jakby się wahał. Rozejrzał się wokół, jakby sprawdzając, czy nie ma szefa, potem skinął głową. Awad wdrapał się do kabiny pilota.

Kabakov nie obawiał się, że Awad mógłby porwać helikopter, wiedział bowiem, że Jackson ma w kieszeni kluczyk od zapłonu. Jackson też wszedł do kabiny. Fasil rozglądał się wokoło - czujny, ale spokojny. Minęły dwie minuty. Jackson i Awad wyszli z kabiny. Jackson potrząsał głową i wskazywał na zegarek.

Dobrze idzie, myślał Kabakov. Jak się tego spodziewali, Awad poprosił, żeby Jackson pozwolił mu wsiąść ze sobą, kiedy będzie podnosił ładunek. Jackson odparł, że w godzinach pracy nie może tego zrobić ze względu na ubezpieczenie, ale potem, na przykład rano, przed przyjściem szefa, być może to się uda.

Znowu uścisnęli sobie ręce. Teraz niechybnie pojedą tam, gdzie jest plastik.

Zza rogu szopy budowlanej wyszedł Maginty, grzebiąc w przepastnym pojemniku z lunchem. Był już w środku lądowiska, kiedy dostrzegł Fasila i zamarł.

Kabakov bezdźwięcznie poruszył ustami: - No nie, wynoś się stąd, ty sukinsynu!

Maginty, z półotwartymi ustami, pobladł na twarzy. Fasil patrzył na niego. Jackson uśmiechnął się szeroko.

Jackson wszystko uratuje, Jackson wszystko uratuje, myślał Kabakov.

Jackson mówił teraz głośniejszym głosem, nawet Moshevsky go słyszał: Przepraszam na chwilę, koledzy. Hej, Maginty, jednak postanowiłeś przyjść. Najwyższy czas.

Maginty wyglądał jak sparaliżowany.

- Najpierw opiłeś się tego świństwa, potem przez całą noc się wylegiwałeś, nic dziwnego, że okropnie wyglądasz, chłopie.

Jackson odwrócił go, żeby poprowadzić do szopy i wtedy Maginty głośno zapytał:

- Gdzie policja?

Fasil warknął coś do Awada i rzucił się do ucieczki, sięgając jednocześnie do futerału aparatu fotograficznego.

Corley krzyczał do krótkofalówki: - Łapcie ich, niech to szlag, łapcie ich!

Kabakov odrzucił brezent.

- Stój, Fasil.

Fasil strzelił do niego, magnum wyrwało w skrzyni ciężarówce dziurę wielkości pięści. Uciekał szybko, przemykając między stertami materiałów budowlanych, Kabakov biegł za nim w odległości dwudziestu jardów.

Awad ruszył za Fasilem, ale Moshevsky wyskoczył ze swojej kryjówki, dopadł go i jednym ruchem powalił na ziemię uderzeniem w podstawę czaszki; potem ruszył za Kabakovem i Fasilem.

Arab próbował się podnieść, ale Corley i Jackson już go trzymali.

Fasil biegł w kierunku Superdome. Dwukrotnie zatrzymał się, żeby strzelić do Kabakova. Przy drugim strzale Kabakov, czując pęd powietrza na twarzy, schylił się odruchowo. Fasil jednym skokiem przebył otwartą przestrzeń między stertami materiałów i otwartymi drzwiami Superdome, przeskakując fontanny pyłu, wzniesione serią z pistoletu maszynowego Kabakova.

- Halt! Andek!

Fasil, nie zważając, że kawałeczki żwiru podbite pociskami ranią mu nogi, zniknął we wnętrzu kopuły.

Kabakov usłyszał wezwanie i strzał, kiedy biegł do wejścia. Z drugiej strony, gdzieś z wnętrza kopuły, nadbiegali agenci FBI. Miał nadzieję, że nie zabili Fasila.

Kabakov nurknął do środka i przypadł za paletą z ramami okiennymi. Górne rejony obszernego, mrocznego wnętrza pobłyskiwały tu i ówdzie jasnymi plamami żółtych hełmów ekipy budowlanej.

Trzy wystrzały z pistoletu odbiły się echem pod kopułą. A potem głośniejszy huk magnum Fasila. Kabakov podczołgał się do końca palety. Na otwartej przestrzeni stał przenośny generator, za którym przykucnęli dwaj agenci FBI. Jakies trzydzieści jardów dalej, pod kątem do ściany, stał stos worków cementu na wysokość piersi. Jeden z agentów dał ognia i cementowy pył posypał się z podziurawionych worków leżących na górze.

Kabakov pochylił się nisko i szybko pobiegł w stronę agentów. Za barykadą z cementu coś mignęło; Kabakov dał nurka na ziemię, przetoczył się, słysząc huk magnum - i już był za generatorem.

Ze skaleczonego kawałkiem betonu przedramienia zaczęła sączyć się krew.

- Dostał? - zapytał agentów.

- Nie sędzę - odparł jeden z nich.

Fasil był zabarykadowany. Od frontu, do wysokości piersi, chroniły go worki z cementem, a betonowy załom ściany osłaniał go z boków. Trzy jardy otwartej przestrzeni dzieliły jego pozycję od pozycji Kabakova i agentów, ukrytych za generatorem.

Fasil nie mógł uciec. Cała sztuka polegała na tym, żeby go wziąć żywego i zmusić do wyznania, gdzie ukryty jest plastik. Ale wzięcie Fasila żywcem można by przyrównać do łapania grzechotnika za łeb.

Arab strzelił. Pocisk trafił w silnik generatora i z chłodnicy zaczęła sączyć się woda. Kabakov oddał cztery strzały, żeby osłonić Moshevsky'ego, który biegł do niego.

- Corley będzie tu zaraz z gazem i dymem - poinformował Moshevsky.

Głos zza barykady worków z cementem miał jakąś niesamowitą kadencję:

- Majorze Kabakov, dlaczego pan tu nie przyjdzie i nie weźmie mnie? Jak pan myśli, ilu z was zginie, żeby wziąć mnie żywcem? Nigdy się to panu nie uda. Proszę, proszę, majorze. Mam coś dla pana.

Zerkając przez szczelinę w maszynie, która go osłaniała, Kabakov oceniał pozycję Fasila. Musiał działać szybko, w obawie, że Fasil może się zabić, zanim pojawi się Corley z gazem. Pozostawał tylko jeden sposób. Wielka metalowa gaśnica przeciwpożarowa, przymocowana do ściany Fasil musi być bardzo blisko niej. W porządku. Zrób to. I nie myśl o tym więcej. Jeszcze krótkie polecenie wydane Moshevsky'emu, ucięcie jego protestów ruchem głowy - i Kabakov zastygł, jak biegacz na starcie, przy końcu generatora.

Moshevsky podniósł karabin automatyczny i posłał długą serię ognia w górną część osłony Fasila. Zgięty wpół pod gradem kul, Kabakov gnał w kierunku worków z cementem. Dobiegłszy, kucnął pod barykadą, nieruchomiejąc i nie oglądając się na Moshevsky'ego; gestem nakazał mu wzmożenie ognia. Na Fasila zwały się nagle nowa seria z galila i gęsty strumień piany z gaśnicy. Kabakov rzucił się szczupakiem przez barykadę, w potoki piany, spadając na ociekającego nią Fasila. Jego twarz pokrywała piana, strzelał tuż obok karku Kabakova, ogłuszając go na chwilę. Upadł. Kabakov chwycił nadgarstek ręki trzymającej pistolet, odchylając głowę na wszystkie strony przed palcami Araba, który chciał mu je wcisnąć w oczy i wolną ręką złamał Fasilowi obydwa obojczyki. Fasil skręcił się pod nim z bólu; mimo to już po chwili próbował wstać. Wtedy Kabakov powalił go ostatecznie, łokciem zadając silny cios w przepoń.

Moshevsky już był przy nich - szybko podniósł głowę Fasila, otworzył mu usta i wyciągnął język, umożliwiając swobodne oddychanie. Grzechotnik został schwytyany.

Corley usłyszał krzyk z wnętrza kopuły, kiedy wbiegał do niej z pistoletem gazowym. Krzyk

dobiegał zza sterty cementu, obok której stali niezdecydowanie dwaj agenci FBI i zwrócony ku nim z groźną miną Moshevsky.

Gdy Corley podszedł bliżej, zobaczył Kabakova siedzącego na Fasilu, z twarzą o cal od twarzy Araba. - Gdzie to jest, Fasil? Gdzie!? - Kabakov naciskał przy tym obydwie złamane obojczyki Fasila. Corley słyszał chrzęst kości.

- Gdzie plastik?

Corley trzymał rewolwer w dłoni. Przyłożył lufę do nasady nosa Kabakova i rozkazał: - Skończ z tym, Kabakov. Na litość boską, przestań.

Kabakov odezwał się, ale nie do Corleya: - Nie zabijaj go, Moshevsky. - Podniósł wzrok na Corleya. - To nasza jedyna szansa, żeby się dowiedzieć. Nie będziesz musiał wytaczać sprawy przeciwko Fasilowi.

- Przesłucham go. Zabierz rękę.

Po trzech sekundach Kabakov odezwał się: - W porządku. Lepiej przeczytaj mi, co masz na kartce w portfelu.

Wstał. Chwiejąc się, cały w pianie z gaśnicy, oparł się o betonową ścianę, czując, że żołądek podchodzi mu do gardła. Patrząc na niego, Corley poczuł, że też robi mu się niedobrze, ale złość już mu przeszła. Nie podobało mu się spojrzenie, jakie posłał mu Moshevsky. Przecież spełniał tylko swój obowiązek. Wziął krótkofalówkę od jednego z agentów.

- Tu jaskółka siedem. Przyślijcie karetkę pod wschodnie wejście.

Spojrzał w dół, na jęczącego Fasila, w jego otwarte oczy.

- Jesteś aresztowany. Masz prawo nic nie mówić - ciężko zaczął Corley.

Fasil został zatrzymany za nielegalne przekroczenie granicy i pogwałcenie przepisów celnych. Awad za nielegalne przekroczenie granicy. Ambasada Zjednoczonej Republiki Arabskiej załatwiła im obrońcę z pewnej nowoorleańskiej firmy prawniczej. Żaden z Arabów nic nie powiedział. Corley pracował nad Fasilem w więziennym szpitalu przez wiele godzin, aż do niedzielnej nocy, uzyskując jedynie kpiące spojrzenie. Adwokat Fasila wycofał się z obrony usłyszawszy, o co chodzi. Zastąpił go obrońca z urzędu. Fasila nie obchodził ani jeden, ani drugi. Wydawało się, że zadowolona go czekanie.

Corley wyrzucił zawartość brązowej koperty na stół w biurze FBI.

- To wszystko, co Fasil miał przy sobie.

Kabakov przejrzał kupkę. Był tam portfel, koperta zawierająca dwa tysiące pięćset dolarów w gotówce, otwarty bilet lotniczy do Mexico City, fałszywe papiery i paszport Fasila, bilon do telefonu, klucze do pokoi w YMCA i Bienville House oraz jakieś dwa inne klucze.

- W jego pokoju niczego nie znaleźliśmy - odezwał się Corley - jedynie trochę ubrań. Bagaż Awada czysty jak łza. Badamy teraz pistolet Fasila, ale myślę, że przywiózł go ze sobą. Jedna z dziur na „Letycji” pochodziła od kuli z magnum.

- Nic nie powiedział?

- Nic.

Na mocy milczącego porozumienia nigdy nie wracali do starcia pod kopułą, ale w tej chwili obaj o tym myśleli.

- Czy groziłeś mu natychmiastową ekstradycją do Izraela i procesem za Monachium?

- Groziłem mu wszystkim.

- A może by tak zastosować sodium pentathol albo środki halucynogenne?

- Tego nie mogę zrobić, Dawidzie. Doskonale sobie wyobrażam, co tam doktor Bauman prawdopodobnie ma w torebce. I dlatego właśnie nie pozwoliłem ci iść do niego.

- Mylisz się. Ona by tego nie zrobiła. Nie podała by mu narkotyku.

- Ale pewnie prosiłeś ją o to. Kabakov nie odpowiedział.

- To są kluczyki do dwóch kłódek typu masters - mówił Corley. - Ani Fasil, ani Awad nie mają bagażu na kłódki. Fasil coś jednak na nie zamknął. Jeżeli ta bomba jest duża - a musi być duża, stanowiąc jeden ładunek lub nawet jeśli są to dwa ładunki, i one muszą być duże - prawdopodobnie jest na ciężarówce albo w jej pobliżu. A więc garaż, zamknięty garaż.

- Kazaliśmy zrobić pięćset takich kluczy. Dostaną je wszyscy członkowie patroli z instrukcją sprawdzenia wszystkich kłódek w rejonie ich rutynowych obchodów. Gdyby do którejś kłódki klucz pasował, funkcjonariusz ma się wycofać i zawiadomić nas.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Każda nowa kłódka ma komplet dwóch kluczy, tak?

- Tak - odparł Kabakov - ktoś ma dwa klucze do pary z tymi tutaj.

ROZDZIAŁ 24

- Dahlia? Jesteś tutaj? - W pokoju było bardzo ciemno.
- Tak, Michael, jestem tutaj. - Poczł jej rękę na ramieniu.
- Spałem?
- Spałeś dwie godziny. Jest pierwsza po północy.
- Zapal światło, chcę zobaczyć twoją twarz.
- Dobrze, proszę bardzo - ta sama znajoma twarz.

Trzymał ją w dłoniach, delikatnie gładząc kciukami wgłębienia pod kośćmi policzkowymi. Od trzech dni nie miał gorączki. Dostawał dwieście pięćdziesiąt miligramów erytromycyny cztery razy dziennie. Robiła swoje, choć powoli.

- Sprawdzę, czy mogę chodzić.
- Powinniśmy z tym poczekać.
- Chcę zaraz wiedzieć, czy mogę... Pomóż mi wstać. - Usiadł na brzegu szpitalnego łóżka.
- OK, idziemy.

Zarzucił jej rękę na ramiona. Ona trzymała go w pasie. Wstał i zrobił chwiejny krok.

- Kręci mi się w głowie. Idź dalej.

Czuła, jak drży. - Zawróćmy do łóżka, Michael.

- Nie. Dojdę do fotela. - Zapadł się w nim, pokonując falę mdłości i osłabienia. Spojrzał na nią i uśmiechnął się blado.

- Osiem kroków. Od autobusu do kabiny nie będzie więcej jak pięćdziesiąt pięć. Dzisiaj mamy piąty - nie, szósty stycznia, jest już po północy. Zostało nam pięć i pół dnia. Zdamy.

- Nigdy nie wątpiłam, Michael.
- Owszem, wątpiłaś. Teraz też. Byłabyś głupia nie wątpiąc. Pomóż mi wrócić do łóżka.

Spał do późnego rana, zjadł śniadanie; najwyższy czas, żeby mu powiedzieć.

- Michael, obawiam się, że coś się stało z Fasilem.
- Kiedy po raz ostatni z nim rozmawiałaś?

- We wtorek, przez chwilę. Zadzwoił, żeby powiedzieć, że ciężarówka stoi bezpiecznie w garażu. Miał zadzwonić wczoraj wieczorem i nie zadzwonił. - Nie wspomniała ani słowa o libijskim pilocie. Nigdy by tego nie zrobiła.

- Myślisz, że go złapali, tak?

- Fasil jest słowny. Jeżeli do jutra wieczorem nie zadzwoni, to znaczy, że go mają.

- Jeśli złapali go nie w garażu, czy ma coś, co mogłoby ich tam doprowadzić?

- Tylko komplet kluczy. Pokwitowanie wynajmu zniszczyłam natychmiast, Fasil nawet o tym nie wiedział. Nie ma też nic, co pozwoliłoby nas zidentyfikować. Gdyby miał, policja już by tu była.

- A numer telefonu do szpitala?

- Ma go w głowie. Dzwoni tu z przypadkowych automatów.

- W takim razie nastawiamy się, że robimy to. Plastik tam jest albo go nie ma. Samym będzie nam trudniej, ale jeśli będziemy szybcy, damy sobie radę. Zarezerwowałaś pokoje?

- Tak. W hotelu „Fairmont”. Nie pytałam, czy mieszka tam załoga sterowca, bo bałam się, że...

- W porządku. Załoga zawsze tam się zatrzymuje, kiedy lecimy do Nowego Orleanu. I tym razem też. Pospacerujemy trochę.

- Muszę dziś po południu zadzwonić do biura Aldricha i powiedzieć, jak się czujesz.

Gdy zawiadamiała ich o jego chorobie, przedstawiła się jako jego siostra.

- Powiedz, że mam grypę i nie będzie mnie jeszcze co najmniej przez półtora tygodnia. Farley będzie pierwszym pilotem, a Simmons drugim. Pamiętasz, jak wygląda Farley?

Widziałaś go tylko raz, kiedy lecieliśmy z nocnymi reklamami nad Shea.

- Pamiętam.

- Mam go na kilku zdjęciach w domu, gdybyś chciała przypomnieć go sobie.

- Jutro. Jutro pojedę do domu. Chyba ci się już znudziła ta moja sukienka?

Bieliznę kupiła naprzeciwko szpitala, kąpała się w łazience Landera. Poza tym, nie odstępowała go ani na chwilę. Złożyła głowę na jego piersiach. Uśmiechnął się i pogłaskał ją po karku.

Nie słychać już szmerów - pomyślała. - Płuca są czyste.

ROZDZIAŁ 25

Obecność Fasila i Awada w Nowym Orleanie ostatecznie rozwiała wątpliwości agentów FBI i Secret Service, czy Arabowie istotnie planowali zamach podczas Wielkich Rozgrywek Pucharowych. Władze uważały, że wraz ze schwytaniem tych dwóch ostrze niebezpieczeństwa zostało nieco stępione, nie osłabiło jednak ich przekonanie, że stan zagrożenia istnieje nadal.

Dwie osoby przynajmniej marginalnie zamieszane w terrorystyczną akcję - kobieta i jakiś Amerykanin - nadal znajdowały się na wolności. Co więcej, do tej pory nie zostały w ogóle zidentyfikowane, chociaż policja miała portret pamięciowy kobiety. Najgorsze, że pół tony silnego materiału wybuchowego znajdowało się gdzieś w ukryciu, prawdopodobnie w obrębie Nowego Orleanu.

Przez pierwsze kilka godzin po aresztowaniu Corley spodziewał się druzgocącego wybuchu gdzieś na terenie miasta albo telefonu z pogrózkami, żądającego uwolnienia Fasila w zamian za rezygnację z detonacji bomby w zabudowanym terenie. Nie wydarzyło się nic.

Tysiąc trzystu funkcjonariuszy nowoorleańskiej policji przekazywało sobie duplikaty kluczy. Instrukcję, aby wypróbować je na wszystkich kłódkach magazynów i garaży, powtarzano na każdej odprawie. Jednakże Nowy Orlean, jak na tak wielkie miasto, posiadał nieliczne siły policyjne; natomiast było w tym mieście wiele drzwi. Mimo hałaśliwych przygotowań i tłumów, które w miarę zbliżania się rozgrywek napływały coraz liczniej do miasta, poszukiwania trwały przez cały tydzień.

Tłum zjeżdżający na Wielkie Rozgrywki różnił się od tłumu na zawodach studenckich. Ten był bardziej zróżnicowany i lepiej ubrany. W lokalach mniej swobodny, ale za to bardziej wymagający. W Nowym Orleanie pieniądze zawsze płynęły swobodnym strumieniem, a teraz ten strumień był jeszcze szerszy. Kolejki pod modnymi lokalami ciągnęły się na pół ulicy, a w Dzielnicy Francuskiej muzyka wylewała się na ulice do białego rana.

Sprzedano bilety na miejsca stojące, co oznaczało, że na stadionie będą osiemdziesiąt cztery tysiące ludzi.

Wraz z kibicami przyjechali hazardziści, złodzieje i kurwy. Policja miała pełne ręce roboty.

W czwartek Kabakov pojechał na lotnisko i obserwował przybycie waszyngtońskich „Redskinsów” i „Delfinów” z Miami. Poirytowany tłumem, pamiętając śmierć izraelskich atletów na lotnisku w Monachium, badawczo przyglądał się twarzom kibiców i prawie nie zauważył samych graczy, którzy wychodzili z samolotów machając do rozentuzjasmowanych wielbicieli.

Raz Kabakov odwiedził Fasila. Stał w nogach szpitalnego łóżka i przyglądał mu się przez dobre pięć minut. Był z nim Corley oraz dwóch olbrzymich agentów FBI.

W końcu Kabakov przemówił: - Fasil, z chwilą kiedy opuścisz amerykański areszt, jesteś martwym człowiekiem. Amerykanie mogą wydalić cię do Izraela, a tam czeka cię proces za Monachium; zawiśniesz w ciągu tygodnia. Uszczęśliwiłby mnie ten widok. Ale jeżeli powiesz, gdzie jest ukryty plastik, zasądzą cię za przemyt i posiedzisz kilka lat. Może pięć, może trochę więcej.

Jestem pewny, że wierzysz, iż przez ten czas Izrael przestanie istnieć i przestanie ci zagrażać. Nie przestanie - ale wiem, że ty wierzysz, iż tak się stanie. Pomyśl nad tym.

Oczy Fasila stały się wąskie jak szparki. Poderwał głowę i potok śliny splamił przód koszuli Kabakova. Dla Fasila, skrupowanego bandażami wokół ramion, był to bolesny wysiłek, skrzywił się więc i opadł na poduszkę. Corley szarpnął się do przodu, ale Izraelczyk nawet nie drgnął. Patrzył jeszcze przez chwilę na Fasila, po czym odwrócił się i wyszedł z pokoju.

W piątek o północy nadeszła z Białego Domu dawno oczekiwana decyzja. Jeżeli rozwój wypadków nie stanie na przeszkodzie, Wielkie Rozgrywki Pucharowe odbędą się w planowanym terminie.

W sobotę rano, 11 stycznia, Earl Biggs i Jack Renfro z Secret Service odbyli ostatnią konferencję w nowoorleańskim biurze FBI. Obecnych było trzydziestu agentów tajnej służby, którzy mieli uzupełnić zespół podróżujący z prezydentem, czterdziestu agentów FBI i Kabakov.

Renfro stał przed olbrzymim szkicem stadionu w Tulane.

- Stadion będzie jeszcze raz przeczesany w poszukiwaniu materiałów wybuchowych. Akcja rozpocznie się o szesnastej, a zakończy o północy i wtedy wszystkie wejścia zostaną opieczetowane. Carson, co z twoją drużyną?

- Gotowa.

- Dostaniesz dodatkowo sześciu ludzi z wykrywaczem do ostatniej kontroli łoży prezydenta, jutro o 13. 40.

- Tak jest. Oni już dostali instrukcje.

Renfro odwrócił się do szkicu wiszącego za nim na ścianie.

- Jeśli wykluczmy obecność ładunków wybuchowych na stadionie, pozostają jeszcze dwie możliwości: terroryści mogą przywieźć je jakimś pojazdem albo wnieść ze sobą, ile się da.

- Najpierw omówimy wariant z pojazdem - podniósł w górę pałeczkę. - Blokadę będą na Willow Street z obu stron stadionu, dalej przy Johnson, Esther, Barret, Story i Delord. Hickory będzie zablokowana przy skrzyżowaniu z Audubon. Te blokady zatrzymają każdy pojazd jadący z dużą prędkością. Nie chcę, żeby mi ktoś stał i ręcznie regulował ruch. Ścisła blokada nastąpi zaraz po wypełnieniu się stadionu.

Jakiś agent podniósł rękę.

- Tak?

- Ekipa telewizji chce się zainstalować o północy. Dziś po południu przyślą tu wóz telewizji kolorowej, ale chcą mieć dojazd przez całą noc.

- Ciężki orzech do zgryzienia - odparł Renfro. - Powiedz im, że niestety, po północy nikt nie wejdzie na stadion. Kamerzyści mogą zająć swoje miejsca w niedzielę o dziesiątej.

Nikomu nie wolno niczego wnosić. Czy jest tu ktoś z Federalnej Agencji Lotniczej?

- Jestem - odezwał się łysiejący młody człowiek. - Ponieważ dwóch terrorystów już aresztowaliśmy, użycie statku powietrznego jest mało prawdopodobne. - Mówił, jakby odczytywał raport. - Obydwa porty lotnicze zostały dokładnie przebadane. - Młody człowiek przerwał, zastanawiając się nad wyborem odpowiedniejszego słowa: „niemniej” czy „mimo to”. Zdecydował się na „niemniej”. - Niemniej, w czasie kiedy stadion będzie wypełniony ludźmi, żaden prywatny samolot nie wystartuje ani z międzynarodowego portu lotniczego, ani z lotniska w Lakefront; wyjątek stanowią będą loty czarterowe i transportowe, na które wydaliśmy indywidualne zezwolenia. Loty handlowe będą odbywały się zgodnie z planem. Policja nowoorleańska obsadzi obydwa porty na wypadek, gdyby próbowano porwać samolot.

- OK - skwitował Renfro. - Siły Powietrzne zalecają, aby żadna nie zidentyfikowana jednostka latająca nie zapędzała się w obszar powietrzny Nowego Orleanu. Są gotowi do działania, podobnie jak to było 31 grudnia. Naturalnie, gdyby powstał jakiś problem, będą go musieli rozwiązać daleko poza miastem. Ustalili obwód o promieniu stu pięćdziesięciu mil. Nad tłumem na stadionie będzie latał helikopter.

- Teraz w kwestii wpuszczania widzów - środki masowego przekazu zwracają się do posiadaczy biletów, żeby przyszedli półtorej godziny przed rozpoczęciem meczu. Jedni przyjdą, inni nie. Przed wejściem na stadion będą musieli przejść obok wykrywaczy metalu, dostarczonych przez linie lotnicze. To twoja działka, Fullilove. Czy twoi ludzie sprawdzili sprzęt?

- Jesteśmy gotowi.

- Ci, którzy przyjdą później, będą zapewne wściekli, że muszą stać w kolejce do wykrywacza metalu i stracą początek meczu, ale trudno. Majorze Kabakov, czy ma pan jakieś propozycje?

- Owszem - Kabakov wystąpił do przodu. - Chciałbym powiedzieć kilka słów na temat wykrywaczy metalu i rewizji osobistej. Otóż żaden terrorysta nie będzie czekał, aż wykrywacz zasygnalizuje, że ma broń. Należy obserwować kolejkę do wykrywacza. Człowiek z bronią będzie rozglądał się za innym sposobem wejścia. Będzie przenosił spojrzenie z policjanta na policjanta. Może nie będzie ruszał głową, ale jego oczy z pewnością będą niespokojne, ruchliwe. Jeśli ktoś w kolejce wyda się wam podejrzany, weźcie go nagle i z obu stron. Bo gdy się zorientuje, że został zdemaskowany, będzie zabijał na oślep, zanim da się wziąć. - Kabakov pomyślał, że być może policjantom nie podoba się takie pouczanie, ale było mu to obojętne.

- Jeśli to możliwe, przy każdym wejściu powinien być dół na granaty. Ale krąg worków z piaskiem też będzie dobry; oczywiście, najlepszy jest dół otoczony workami. Granat wirujący na ziemi, wśród tłumy, trudno jest schwycić. Ale dopiero wtedy, kiedy się go złapie i nie wiadomo, co z nim zrobić, zaczynają się prawdziwe kłopoty. Najczęściej używane granaty odłamkowe wybuchają po pięciu sekundach. Mogą być przypięte agrafką do ubrania. Nie należy siłą wrywać granatu terrorysty. Trzeba go zabić, albo najpierw unieruchomić jego ręce. Wtedy dopiero, bez pośpiechu,

można zająć się granatami. Jeżeli zostanie ranny i upadnie - trzeba go natychmiast dobić, a nie zajmować się rękami. Strzałem w głowę. Ładunek może mieć w torbie i jeśli damy mu czas, może go odpalić.

Na kilku twarzach Kabakov dostrzegł wyraz niesmaku. Nie dbał o to.

- Strzelanina przy jednym wejściu nie powinna wpłynąć na pracę przy innych. Każdy z was powinien pilnować własnego rejonu, tego, za który jest odpowiedzialny. W przeciwnym przypadku, awantura w jednym miejscu rozprzestrzeni się.

- Jest jeszcze jedna sprawa. Jak wiecie, wśród poszukiwanych jest kobieta. - Kabakov spuścił na chwilę oczy i odchrząknął. Kiedy znów się odezwał, jego głos brzmiał donośniej: - Pewnego razu, w Bejrucie, spojrzałem na nią nie jak na terrorystkę, ale jak na kobietę. To jest jeden z powodów, dla których dzisiaj jesteśmy w takiej sytuacji. Nie popełnijcie podobnego błędu.

Kiedy Kabakov usiadł, w sali panowała głęboka cisza.

- Po obu stronach stadionu będą zespoły rezerwowe Renfro ponownie zabrał głos. - Będą reagować na każdy alarm. Proszę jeszcze nie wychodzić. Po spotkaniu niech każdy weźmie plakietkę identyfikacyjną. Czy są jakieś pytania? - Renfro spojrzał po ludziach. Jego oczy miały połysk czarnego teflonu. - Do dzieła, panowie.

Stadion w Tulane późnym wieczorem w przeddzień Wielkich Rozgrywek był oświetlony i spokojny. Ogromna przestrzeń zdawała się pochłaniać hałasy - niewielkie zresztą - towarzyszące przeszukiwaniu. Mgła płynąca z Missisipi, odległej o milę, kłębiła się w światłach reflektorów.

Kabakov i Moshevsky stali w górnej części stadionu, ogieńki z ich cygar żarzyły się jasno w mrocznej łoży prasowej. Od pół godziny milczeli.

- I tak mogą trochę tego wnieść - odezwał się Moshevsky. - Pod ubraniem. Jeśli nie będą mieli baterii albo broni, wykrywacze tego nie wykażą.

- To fakt.

- Nawet jeżeli jest ich tylko dwoje, wystarczy, żeby narobić wielkiego zamieszania.

Kabakov nic nie powiedział.

- I nic na to nie możemy poradzić - ciągnął Moshevsky. Cygaro Kabakova rozjarzyło się serią gniewnych pyknięć. Moshevsky postanowił zamilknąć.

- Chciałbym, żebyś jutro dołączył do zespołu rezerwowego po zachodniej stronie - powiedział Kabakov. - Będą tam na ciebie czekać.

- Tak jest, sir.

- Gdyby przyjechali ciężarówką, wejdź szybko od tyłu i wyjmij detonatory. W każdym zespole

jest człowiek do tego wyznaczony, niemniej dopilnuj tego osobiście.

- Jeśli z tyłu jest brezent, dobrze by było dostać się do środka z boku. Do klapy może być przymocowany granat. Kabakov skinął głową.

- Powiedz o tym dowódcy zespołu, jak tylko tam się znajdziesz. Rachel popuszcza szwy w kamizelce kuloodpornej dla ciebie. Ja też tego nie lubię, ale chciałbym, żebyś ją włożył. Kiedy zaczną się strzelanina, lepiej żebyś wyglądał jak reszta.

- Tak jest, sir.

- Corley przyjedzie po ciebie o 8. 45. Jeżeli zasiedzisz się w klubie Hotsy-Totsy dłużej niż do pierwszej w nocy, będę o tym wiedział.

- Tak jest, sir.

Północ w Nowym Orleanie, światła neonów na Bourbon Street rozmazują się w mglistym powietrzu. Nad mostem na Missisipi, powyżej warstwy mgły, zawisł sterowiec Aldricha; za sterami siedzi Farley. Wielkie litery rozbłyskują światłami po bokach sterowca: NIE ZAPOMNIJ JUTRO Z RANA ZATRUDNIĆ WETERANA.

W pokoju hotelowym, dwa piętra nad pokojem Farleya, Dahlia Iyad strząsnęła termometr i włożyła go w usta Landera. Był wyczerpany podróżą z New Jersey. Żeby ominąć międzynarodowy port lotniczy w Nowym Orleanie, gdzie mogli Dahlię rozpoznać, polecili najpierw do Baton Rouge, a stamtąd dopiero wynajętym samochodem do Nowego Orleanu; Lander leżał na tylnym siedzeniu. Teraz był blady, ale spojrzenie miał bystre. Spojrzała na termometr - temperatura normalna.

- Może sprawdzisz, co z ciężarówką - odezwał się Lander.

- Albo jest, albo jej nie ma, Michael. Naturalnie, jeśli koniecznie chcesz, pójdę tam, ale im mniej pokazuję się na ulicy...

- Masz rację. Albo jest, albo jej nie ma. Czy mój mundur jest w porządku?

- Powiesiłam go. Wygląda dobrze.

Zamówiła gorące mleko i podała mu je wraz ze słabym środkiem uspokajającym. Po półgodzinie zapadł w sen. Dahlia Iyad nie spała. Wobec słabej kondycji Landera będzie musiała polecieć z nim jutro, nawet gdyby trzeba było zrezygnować z części bomby. Będzie mu mogła pomóc przy sterze wysokości, może też zająć się detonatorem. Musi tak być.

Uświadamiając sobie, że jutro umrze, przez pół godziny płakała, płakała nad sobą. Potem z rozmysłem przywołała bolesne wspomnienia z obozu uchodźców. Przeżyła agonię swojej matki, szczupłej trzydziestopięcioletniej kobiety, skręcającej się z bólu w poszarpanym namiocie. Dahlia miała wtedy dziesięć lat i nie mogła nic zrobić poza odpędzaniem much od jej twarzy. Naokoło było tyle cierpienia. Jej własne życie było niczym, niczym. Wkrótce uspokoiła się, ale nie spała.

W hotelu „Royal Orleans” Rachel Bauman siedziała przy toalecie i szczotkowała włosy. Lubił przyglądać się, jak jej włosy lekko migocą, gdy je szczotkuje. Lubił maleńkie dołki wzdłuż jej kręgosłupa, jakie się pojawiały, kiedy wyginała się do tyłu, żeby potrząsnąć włosami.

- Jak długo jeszcze zostaniesz po jutrzejszym dniu, Dawidzie? - Obserwowała go w lustrze.

- Do chwili odnalezienia plastiku.

- A co z tymi dwojgiem - z tą kobietą i Amerykaninem?

- Nie wiem. W końcu złapią tę kobietę. A bez plastiku niewiele będzie mogła zdziałać. Kiedy znajdziemy plastik, zabiorę Fasila na Wschód i tam stanie przed sądem za Monachium.

Nie patrzyła już na niego.

- Rachel.

- Tak?

- Wiesz, że w Izraelu brakuje psychiatrów? Byłabyś zdumiona ilością zwariowanych Żydów. Chrześcijanie też wariują, ale przeważnie latem. Znam pewnego Araba w Jerozolimie, który sprzedaje im kawałki „prawdziwego” krzyża, pochodzące z połamanych...

- Możemy o tym porozmawiać, kiedy nie będziesz już myślał o tamtej sprawie i będziesz wyrażał się jaśniej.

- Porozmawiamy o tym u Antoine’a jutro wieczorem. A teraz dość już gadania i szczotkowania - czy jasno się wyrażam?

Pogasły światła w hotelach „Royal Orleans” i „Fairmont”. Wokół tych dwojga rozciągało się stare miasto. Nowy Orlean widział to już nieraz.

ROZDZIAŁ 26

W niedzielę 12 stycznia czerwony wschód słońca ogarnął jakby płomieniami sylwetkę miasta. Michael Lander zbudził się wcześniej. Śniły mu się wieloryby i przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Potem, w jednej chwili, wróciło wszystko. Dahlia, z odrzuconą do tyłu głową, siedziała w fotelu, obserwując go przez wpółprzymknięte powieki.

Podniósł się wolno i podszedł do okna. Różowozłociste pasma kładły się na ulicach, biegnących ze wschodu na zachód. Tam, gdzie kończyła się poranna mgiełka, widać było jaśniejsze niebo.

- Będzie bezchmurny dzień - powiedział. Zadzwoił do lotniczej służby meteorologicznej. Północno-wschodni wiatr o sile piętnastu węzłów, w porywach do dwudziestu. To dobrze. Wiatr w plecy od lotniska w Lakefront do stadionu. Na otwartej przestrzeni można wycisnąć ze sterowca nawet ponad sześćdziesiąt węzłów.

- Może jeszcze trochę odpoczniesz, Michael?

Był blady. Wiedziała, że nie ma zbyt wiele siły. Ale może, mimo to, poradzi sobie.

Zazwyczaj sterowiec był już nad stadionem co najmniej na godzinę przed rozpoczęciem meczu, żeby ekipa telewizyjna mogła poczynić ostatnie przygotowania, a widzowie oswoili się z nim zaraz po wejściu na trybuny. Lander też będzie musiał dość długo latać, zanim zawróci po bombę.

- Odpocznę - powiedział. - Załoga zbierze się dopiero w południe. Farley latał dziś w nocy, więc pewnie śpi, ale wyjdzie z pokoju dobrze przed dwunastą, żeby coś zjeść.

- Wiem, Michael. Zajmę się tym.

- Czułbym się lepiej, gdybyś miała broń.

W czasie lotu do Baton Rouge nie mogli ryzykować mając broń przy sobie. Krótka broń znajdowała się na ciężarówce wraz z bombą.

- Wszystko w porządku. Poradzę sobie. Możesz na mnie polegać.

- Wiem, że mogę.

Corley, Kabakov i Moshevsky wyruszyli na stadion o dziewiątej rano. Ulice wokół hotelu „Royal Orleans” pełne były ludzi - bladych, skacowanych po nocnych zabawach, włóczących się po Dzielnicy Francuskiej z turystycznego obowiązku. Wilgotny wiatr przetaczał papierowe kubki i barowe serwetki po Bourbon Street.

Dopóki nie opuścili Dzielnicy Francuskiej, Corley musiał jechać powoli. Był poirytowany. Zapomniał o zarezerwowaniu pokoju w hotelu, kiedy nie nastęczało to trudu, i teraz musiał korzystać z gościnnego pokoju u jednego z agentów FBI, gdzie spało mu się źle. Śniadanie podane przez żonę

agenta było nadzwyczaj skromne. Kabakov najwidoczniej spał dobrze i zjadł przyzwoite śniadanie, co tylko zwiększało irytację Corleya. A na dodatek drażnił go zapach melona, którego Moshevsky jadł na tylnym siedzeniu samochodu.

Kabakov poprawił się na siedzeniu. Potrącił przy tym klamkę u drzwi.

- Co to, u licha? - zapytał Corley.

- To tylko obluzowała się moja sztuczna szczeka - odparł Kabakov.

- Ale śmieszne.

Kabakov rozpiął płaszcz, ukazując krótką lufę pistoletu maszynowego Uzi pod pachą.

- A co ma Moshevsky, bazookę?

- Ja mam wyrzutnię melonów - dobiegła odpowiedź z tylnego siedzenia.

Corley wzruszył ramionami. W ogóle z trudem rozumiał Moshevsky'ego, a cóż dopiero wtedy, gdy ten miał pełne usta.

Na stadion przybyli o 9. 30. Ulice wyłączone z ruchu po zapełnieniu się trybun były już zablokowane. Pojazdy i bariery, mające odciąć dojazd do stadionu po rozpoczęciu meczu, stały przygotowane na trawnikach przy głównych drogach dojazdowych. Tuż przy południowo-wschodnim wejściu stało dziesięć karet pogotowia. Jedynie wyjeżdżające w nagłych wypadkach wozy pogotowia miały być przepuszczane przez blokadę. Tajni agenci byli już rozlokowani na dachach wzdłuż Audubon Avenue, skąd mieli widok na miejsce lądowania prezydenckiego helikoptera.

Wszystko było związane na ostatni guzik. Na spokojnych uliczkach stanowiska otoczone workami z piaskiem tworzyły niezwykle widok. Niektórym agentom FBI przypominał się rok 1963.

O dziewiątej rano Dahlia Iyad zadzwoniła na pokojową i zamówiła trzy śniadania do pokoju. Czekając na nie, wyjęła z torebki parę długich nożyc i rolkę taśmy samoprzylepnej. Potem wyjęła śrubkę łączącą dwie części nożyc; jedną część odłożyła, natomiast w drugiej w miejsce śrubki włożyła trzycalowy sworzeń i przymocowała go taśmą. Na koniec okleiła taśmą cały uchwyt i schowała w rękawie.

Śniadanie przyniesiono o 9. 20.

- Jedz, dopóki gorące, Michael. Ja zaraz wracam - zabrała tacę z jednym śniadaniem do windy i zjechała dwa piętra niżej.

Głos Farleya był rozespany, kiedy odpowiedział na jej pukanie.

- Panie Farley.

- Tak?

- Pańskie śniadanie.

- Nie zamawiałem śniadania.

- Cała załoga dostała śniadanie z życzeniami od hotelu. Ale jeżeli pan nie chce, zabiorę z powrotem.

- Nie, nie. Chwileczkę.

Farley, z rozczochranymi włosami, w samych tylko spodniach, wpuścił ją do pokoju.

Gdyby ktoś w tej chwili przechodził korytarzem obok, usłyszałby gwałtownie urwany krzyk. Minutę później Dahlia wymknęła się z pokoju. Na klamce drzwi umieściła wywieszkę „Nie przeszkadzać” i wróciła na górę, na śniadanie.

Została jeszcze jedna sprawa do załatwienia. Czekwała, aż oboje skończą jeść. Leżeli na łóżku. Dahlia trzymała w dłoniach jego zniekształconą rękę.

- Michael, wiesz, jak bardzo chcę z tobą lecieć. Nie sądzisz, że tak byłoby lepiej?

- Sam sobie poradzę, nie ma potrzeby, żebyś leciała ze mną.

- Chcę ci pomóc. Chcę być z tobą. Chcę to widzieć.

- Nie zobaczysz wiele. Ale usłyszysz, dokądkolwiek pójdziesz z lotniska.

- I tak nie wydam się z lotniska. Wiesz przecież, że w tych warunkach waga nie gra roli. Jest już 70 stopni Fahrenheita, a sterowiec stał na słońcu cały ranek. Chyba że nie dasz rady go podnieść...

- Na pewno go podniosę. Będziemy mieli przegrzanie.

- Mogę, Michael? Przeszliśmy razem tak daleką drogę. Odwrócił się i spojrzał jej w twarz. Na policzku miał czerwone pręgi odcisnięte od poduszki.

- Będziesz musiała szybko wyrzucić z gondoli worki z balastem. Te, które są pod tylnym siedzeniem. Zrównoważymy statek po wzniesieniu się w górę. Możesz lecieć.

Przytuliła go mocno i więcej już nie rozmawiali.

O 11. 30 Lander wstał i Dahlia pomogła mu się ubrać. Policzki miał zapadnięte, ale posmarowała go płynem samoopalającym, który ukrył ich bladość. O 11. 50 wyjęła ze swojej podręcznej apteczki strzykawkę z nowokainą. Podwinęła mu rękaw i znieczuliła krótki odcinek przedramienia. Następnie wyjęła mniejszą strzykawkę do podskórnego zastrzyku. Była to elastyczna plastikowa tubka wypełniona trzydziestoma miligramami roztworu ritalinu, na końcu połączona z igłą.

- Możesz poczuć po tym wielką ochotę do mówienia, Michael. Możesz być bardzo ożywiony. Będziesz musiał wyrównać ten stan. Nie używaj tego, dopóki nie poczujesz, że tracisz siły.

- Dobrze, przygotuj mi to.

Wkłuła igłę w znieczulone miejsce na jego przedramieniu i płasko przykleiła plastrem małą tubkę. Z obu jej stron były krótkie sztyfciki zabezpieczające przed przypadkowym naciśnięciem.

- W razie potrzeby wymacaj po prostu przez koszulę i naciśnij.

- Wiem, wiem.

Pocałowała go w czoło. - Gdybym nie dojechała ciężarówką na lotnisko, jeśli czekają na mnie...

- Wtedy spadnę sterowcem na stadion - powiedział Lander. - Parę osób zmiążdżę w każdym razie. Ale po co myśleć, że coś się stanie. Przecież do tej pory dopisywało nam szczęście, prawda?

- Bo do tej pory postępowałeś bardzo rozsądnie.

- Do zobaczenia o 2. 15 na lotnisku.

Odprowadziła go do windy, potem wróciła do pokoju i usiadła na łóżku. Za wcześnie było jechać po ciężarówkę.

Lander zobaczył załogę sterowca obok recepcji w hallu. Był Simmons, drugi pilot i dwóch operatorów. Podeszedł do nich, starając się zachowywać energicznie.

Odpocznę w autobusie, myślał.

- O, rany, to Mikę! - zawołał Simmons. - Myślałem, że jesteś chory. A gdzie Farley? Dzwoniliśmy na górę, czekamy na niego.

- Farley miał ciężką noc. Jakaś pijana dziewczyna wetknęła mu palec w oko.

- O Jezu!

- Wszystko będzie dobrze, ale muszą mu to opatrzyć. Ja dzisiaj polecę.

- Kiedy przyjechałeś?

- Dzisiaj rano. Ten drań zadzwonił do mnie o czwartej. Chodźmy, spóźnimy się. - Niezbyt dobrze wyglądasz, Mikę.

- No, w każdym razie lepiej od ciebie. Chodźmy.

Przy bramie na lotnisko w Lakefront kierowca nie mógł znaleźć pozwolenia na wjazd i wszyscy musieli okazać swoje dokumenty. Obok wieży stały trzy wozy policyjne.

Sterowiec, srebrzysto-czerwono-błękitne cygaro o długości dwustu dwudziestu pięciu stóp, spoczywał na trawiastym trójkącie między pasami startowymi. W przeciwieństwie do samolotów przycupniętych na ziemi przed hangarami, sterowiec - nawet unieruchomiony - robił wrażenie, jakby się unosił. Podźwignięty nieco na pojedynczym kole, z nosem przy maszcie cumowniczym, wskazywał północny wschód, niczym gigantyczny wiatrowskaz. Obok stał duży autobus, którym przyjechała obsługa naziemna, i traktor z przyczepą techniczną. Na tle srebrzystego sterowca pojazdy i ludzie wyglądali jak miniaturki.

Vickers, szef obsługi, wytarł ręce w szmatę i powiedział:

- Cieszę się, że pan wrócił, kapitanie Lander. Sterowiec jest gotowy do lotu.

- Dziękuję - odparł Lander i przystąpił do rutynowej inspekcji. Wszystko było w porządku, tak jak się spodziewał. Sterowiec był czysty. Podobała mu się właśnie ta czystość sterowców.

- Jesteście gotowi, chłopcy?! - zawołał.

Wspólnie z Simmonsem sprawdzili gondolę przed lotem.

Vickers oceniał wagę dwóch operatorów telewizyjnych.

- Kapitanie Video, może by pan i pański asystent posadzili łaskawie swoje zadki w gondoli, żebyśmy mogli ją wyważyć.

Obsługa naziemna pochwyciła barierkę wokół gondoli i poruszyła sterowcem, stojącym na jednym kole podwozia. Vickers odczepił kilka dwudziestopięciofuntowych worków śrutu, zawieszonych na poręczy. Jeszcze raz poruszyli statkiem.

- O włos za ciężki. Ale to dobrze. - Vickers lubił, kiedy Sterowiec był ciężki w chwili startu. Później, dzięki zużyciu paliwa, wytraci ciężar.

- Gdzie jest coca-cola? Mamy coca-colę? - pytał Simmons. Przypuszczał, że będą w powietrzu co najmniej trzy godziny, a może dłużej. - Dobra, mamy.

- Wsiadamy, Simmons - powiedział Lander.

- OK - Simmons wśliznął się na pojedyncze miejsce pilota z lewej strony gondoli. Pomachał przez przednią szybę. Ludzie z obsługi zwolnili zaczep przy maszcie cumowniczym, ośmiu z nich pociągnęło liny przy nosie sterowca, obracając go.

- Lecimy - Simmons cofnął ster wysokości, wcisnął dźwignię mocy i wielki statek wzniósł się pod ostrym kątem.

Lander rozparł się wygodnie w fotelu pasażerskim obok pilota. Lot na stadion, z pomyślnym wiatrem, trwał dziewięć i pół minuty. Lander obliczył, że na otwartej przestrzeni, jeśli wiatr się utrzyma, można zmieścić się w granicach siedmiu minut.

Pod nimi zwarty strumień pojazdów zakorkował autostradę w pobliżu wejścia na stadion.

- Wielu z nich nie zobaczy początku meczu zauważył Simmons.

- Tak, masz rację - zgodził się Lander. A wszyscy tracą połowę meczu, pomyślał. Była 13. 10. Miał jeszcze niemal godzinę.

Dahlia Iyad wysiadła z taksówki w pobliżu nabrzeża przy Galvez Street i szybkim krokiem pomaszerowała w kierunku garażu. Bomba jest tutaj albo jej nie ma. Policja już na nią czeka albo jeszcze nie. Nie zauważyła przedtem, że chodnik jest tutaj taki popękany i pochyły. Musiała uważać na połamane płyty. Grupka małych dzieci grała w piłkę na ulicy. Chłopiec z kijem w ręce, mający najwyżej metr wzrostu, gwizdnął na nią, gdy przechodziła.

Wóz policyjny rozpędził grających na boki i minął Dahlię z prędkością piętnastu mil na godzinę. Odwróciła twarz, jakby szukała jakiegoś adresu. Wóz skręcił w pierwszą przecznicę. Znalazła w torebce kluczyki i podeszła do garażu. Są kłódki. Otworzyła je i wśliznęła się do środka zamykając za sobą drzwi. W garażu panował półmrok. Pojedyncze pasma słonecznego blasku wpadały przez otwory po gwoździach, pozostałe w ścianach. Ciężarówka była nietknięta.

Wspięła się na tył i zapaliła mdłe światło. Pocisk pokrywała cienka warstewka kurzu. Wszystko w porządku. Gdyby miejsce było śledzone, nie pozwolono by jej dostać się tutaj. Przebrała się w kombinezon z inicjałami sieci telewizyjnej i ściągnęła z boków ciężarówki winylowe osłony kryjące barwne emblematy sieci telewizyjnej.

Do skorupy przyklejona była taśmą lista czynności. Przeczytała ją szybko. Przede wszystkim detonatory. Wyjęła je z opakowania i umieściła wewnątrz powłoki, po jednym w środku każdej z części. Przewody detonatorów połączyła z przewodem, który wprowadzą do sieci zasilania sterowca. Teraz zapalnik i jego detonator znalazły się we właściwym miejscu. Przecięła wszystkie liny mocujące z wyjątkiem dwóch. Teraz torba papierowa dla Landera - rewolwer z tłumikiem i nożyce do cięcia kabla. Jej pistolet maszynowy schmeisser z sześcioma dodatkowymi magazynkami i karabin automatyczny AK-47 z magazynkami były w podłużnej torbie z materiału.

Wysiadając, zabrała schmeissera, położyła go na podłodze w kabinie kierowcy i przykryła kocem. Na siedzeniu kierowcy był kurz. Wyjęła z torebki chusteczkę do nosa i wytarła je starannie. Włosy schowała pod czapkę z daszkiem.

Była 13. 50. Pora jechać. Otworzyła szeroko drzwi garażu i wyjechała na zewnątrz. Zostawiła silnik na jałowym biegu i zamknęła garaż.

Jadąc w stronę lotniska, miała dziwne, radosne uczucie spadania, spadania.

Kabakov obserwował ze stanowiska dowodzenia potok ludzi wlewający się na stadion przez południowo-wschodnie wejście. Byli dobrze ubrani, dobrze odżywieni i zupełnie nieświadomi kłopotu, jaki mu sprawiają.

Trochę narzekali na kolejki tworzące się przy wykrywaczach metalu i głośno protestowali

wtedy, gdy któryś z kibiców musiał przekładać zawartość kieszeni do plastikowego pojemnika. Obok Kabakova stali członkowie oddziału specjalnego odpowiadającego za wschodni odcinek stadionu, dziesięciu uzbrojonych po zęby mężczyzn w kamizelkach kuloodpornych. Kabakov wyszedł na zewnątrz, żeby nie słyszeć trzasków radia i przyglądał się, jak stadion się zapełnia. Słysząc już było hałaśliwe dźwięki orkiestr, coraz mniej rozproszone, w miarę jak napływająca masa kibiców tłumiła echo. O 13. 45 prawie wszystkie trybuny były pełne. Blokady zostały zamknięte.

Osiemset stóp nad stadionem ekipa telewizyjna w sterowcu konferowała drogą radiową z reżyserem, pracującym w dużym telewizyjnym wozie zaparkowanym za trybunami. „Widowiska sportowe NBC” miały rozpocząć program widokiem ze sterowca i emblematem stacji, a na tym tle miał pojawić się napis z tytułem. Reżyser, siedzący przed dwunastoma monitorami, był ciągle niezadowolony.

- Hej, Simmons - zawołał operator - on chce teraz to ujęcie z drugiej strony, od północy, z Tulane w tle. Możesz tak się ustawić?

- Już się robi. - I sterowiec majestatycznie odwrócił się w kierunku północnym.

- Dobrze, dobrze. - Kamera obejmowała jasnozielone boisko otoczone zbitą masą osiemdziesięciu czterech tysięcy ludzi, u góry ozdobione flagami, miotanymi przez wiatr.

Lander widział helikopter policyjny latający jak ważka po obwodzie stadionu.

- Wieża do Nory jeden, zero. Simmons podniósł mikrofon.

- Nora jeden, zero, słucham.

- Obiekt w twoim obszarze w odległości jednej mili na północnym zachodzie. Zbliża, się.

- Roger. Widzę go. Nora jeden, zero, skończyłem. Simmons wskazał kierunek ręką i w odległości sześciuset stóp Lander zobaczył wojskowy helikopter, lecący w ich kierunku.

- To prezydent. Zdejmij czapkę - powiedział Simmons i opuścił północno-wschodni obszar nad stadionem.

Lander przyglądał się oznaczeniom lądowiska dla helikoptera.

- Chcą ująć z przybycia prezydenta - powiedział asystent operatora. - Czy mógłbyś ustawić się poprzecznie?

- Teraz dobrze - powiedział operator. Dzięki jego kamerze o długich soczewkach, osiemdziesiąt sześć milionów ludzi zobaczyło, jak prezydencki helikopter wylądował. Prezydent wysiadł i szybkim krokiem udał się na stadion; po chwili zniknął z pola widzenia.

W woje transmisyjnym reżyser wydał polecenie: - Kamera druga! - i w całym kraju, i na całym świecie widzowie zobaczyli, jak prezydent kroczy linią autową boiska do swojej łoży.

Kiedy Lander spojrział w dół, zobaczył go znowu - krępy blondyn w ciasnym kręgu mężczyzn, z uniesionymi w górę, ku ludziom, rękami; tłumy powstawały, gdy je mijał.

Kabakov usłyszał ryk, który powitał prezydenta. Nigdy go nie widział i był go ciekaw. Ale powstrzymał się od chęci, aby wyjść i spojrzeć na niego; jego miejsce było tutaj, obok stanowiska dowodzenia, gdzie będzie mógł natychmiast zareagować, jeśli coś się stanie.

- Zamieńmy się miejscami, Simmons. Możesz pooglądać rozpoczęcie meczu - zaproponował Lander. Lander był już zmęczony i z trudem manipulował sterem wysokości.

Na boisku zawodnicy odegrali losowanie na użytek widzów, następnie usadowili się do pierwszego strzału.

Lander rzucił okiem na Simmonsa, siedzącego z głową wychyloną przez boczne okno, i pchnął dźwignię mieszanki paliwowej lewego silnika. Mieszanka była tak uboga, że silnik zaczął się natychmiast przegrzewać; w ciągu kilku minut strzałka wskaźnika temperatury znalazła się na czerwonym polu. Lander przesunął dźwignię mieszanki do poprzedniej pozycji.

- Panowie, mamy kłopoty - powiedział i chcąc zwrócić uwagę Simmonsa, postukał we wskaźnik temperatury.

- Co, u diabła - poderwał się Simmons. Przeszedł do tylnej części gondoli, w której pracowała ekipa telewizyjna i zerknął ponad ich głowami na lewy silnik.

- Nie ma oleju - powiedział.

- Co? - zapytał operator.

- Lewy silnik jest przegrzany. Przepuście mnie tutaj. - Sięgnął do komory z tyłu i wyjął gaśnicę przeciwpożarową.

- Chyba się nie pali, co? - operator i jego asystent zaniepokoiili się poważnie, o co chodziło Landerowi.

- Nie, skądże - uspokoił go Simmons. - Ale regulamin wymaga, byśmy mieli gaśnicę pod ręką.

Lander skierował sterowiec na północny wschód, na lotnisko.

- Niech Vickers to sprawdzi - powiedział.

- Zawiadomiłeś go?

- Gdy byłeś z tyłu. - Lander istotnie mruczał coś do mikrofonu, tyle tylko, że nie połączył się z lotniskiem.

Leciał nad drogą nr 10, mając Superdome po prawej, a tereny wyścigowe z owalem torów po lewej stronie. Pokonywanie przeciwnego wiatru z jednym tylko pracującym silnikiem szło opornie. Z

powrotem będzie lepiej, pomyślał Lander. Teraz leciał nad terenami golfowymi nad jeziorem Pontchartrain, mając przed sobą lotnisko. Do bramy lotniska zbliżała się ciężarówka. A więc Dahlii udało się.

Z kabiny ciężarówki widziała nadlatujący sterowiec. Przybyła kilka sekund wcześniej. Przy bramie stał policjant. Pokazała mu przez okno niebieską przepustkę dla pojazdów, a on machnął ręką na znak, że może jechać. Pojechała powoli skrajem płyty.

Obsługa naziemna zobaczyła teraz nadlatujący sterowiec; przy autobusie i obok przyczepy technicznej nastąpiło poruszenie. Lander lubił, żeby pracowano szybko.

Na wysokości trzystu stóp włączył mikrofon. - Schodzę z obciążeniem sto siedemdziesiąt pięć, przygotujcie dużo miejsca.

- Nora jeden, zero, co się stało? Dlaczego nie uprzedziłeś, że wracasz, Mikę? - był to głos Vickersa.

- Uprzedziłem - odpowiedział Lander. Niech się zastanawia, pomyślał.

Obsługa naziemna biegła na swoje stanowiska.

- Podchodzę do maszty z bocznym wiatrem i chciałbym, żebyście zablokowali koło. Niech się nie huśta, Vickers. Mam niewielki problem z lewym silnikiem, naprawdę niewielki. Właściwie nic, ale chcę się ustawić lewym silnikiem tak, żeby był od nawietrznej strony. Nie chciałbym klapnąć, rozumiesz?

Vickers rozumiał. Lander nie chciał, żeby na lotnisku pojawiły się z wyciem wozy ratunkowe.

Dahlia Iyad czekała, aż będzie mogła przejechać przez pas startowy. Na wieży widziała czerwone światło. Obserwowała, jak sterowiec dotknął ziemi, zakolebał się, znowu dotknął, obsługa naziemna chwyciła liny zwisające z jego dziobu. Już nad nim panowali.

Światło na wieży zmieniło się na zielone. Przejechała przez pas startowy i zatrzymała się za przyczepą z traktorem, poza zasięgiem wzroku obsługi, krzątającej się wokół sterowca. W ciągu sekundy opuściła klapę, założyła rampę. Porwała papierową torbę, w której był pistolet i nożyce do cięcia kabla i pobiegła naokoło traktora do statku. Załoga nie zwracała na nią uwagi. Vickers otworzył osłonę lewego silnika. Dahlia podała Landerowi torbę przez okno gondoli i wróciła do ciężarówki.

Lander zwrócił się do ekipy telewizyjnej:

- Możecie rozprostować nogi, to potrwa chwilę. Wydostali się na zewnątrz, on poszedł za nimi. Podszedł do autobusu i prawie natychmiast wrócił do sterowca.

- Hej, Vickers, Lakehurst na linii do ciebie.

- O, do licha... Dobra, Frankie, zajrzyj tu, ale nic nie zmieniaj do mojego powrotu - i pobiegł do

autobusu. Lander wsiadł za nim. W momencie kiedy Vickers podnosił słuchawkę radiotelefonu, Lander strzelił mu w tył głowy. Obsługa naziemna straciła szefa.

Gdy wychodził z autobusu, usłyszał charakterystyczny dźwięk wózka widłowego. Dahlia, siedząc na siodełku, objeżdżała właśnie traktor z przyczepą. Ludzie, zaskoczeni widokiem wielkiej skorupy, pozwolili jej przejechać. Podjechała pod sterowiec, wsuwając długi kadłub pod gondolę, po czym podniosła widły o sześć cali i osłona pocisku uplasowała się na swoim miejscu.

- Co tu się dzieje, co to jest? - dopytywał się mężczyzna przy silniku.

Dahlia zignorowała go. Zatrzasnęła dwie przednie klamry wokół poręczy. Zostały jeszcze cztery.

- Vickers kazał zdjąć worki balastowe! - zawołał Lander.

- Co kazał?

- Zdjąć worki balastowe, no, ruszajcie się!

- Co to jest, Mike? Nigdy tego nie widziałem.

- Vickers wszystko wam wyjaśni. Z gazem, chłopaki, z gazem. Jedna minuta kosztuje telewizję sto siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. A to jest potrzebne sieci telewizyjnej.

Dwaj ludzie odpięli worki balastowe, podczas gdy Dahlia kończyła montować kadłub. Cofnęła wózek. Obsługa naziemna czuła się nieswojo. Coś było nie w porządku. Ta wielka skorupa z emblematem sieci telewizyjnej nigdy nie była wypróbowywana na sterowcu.

Lander podszedł do lewego silnika i zajrzał doń. Niczego nie usunięto. Zamknął osłonę.

Nadszedł operator. - NBS?! Co to jest? To nie nasze...

- Reżyser panu wytłumaczy, niech pan do niego zadzwoni z autobusu.

Lander wspiął się do gondoli i uruchomił silniki. Obsługa naziemna odskoczyła do tyłu, przestraszona. Dahlia już była w środku, z nożycami do cięcia kabli w ręce. Nie było czasu, żeby odkręcać cokolwiek. Sprzęt telewizyjny trzeba wyrzucić przed startem.

Operator zobaczył, jak przecina kable.

- Hej, nie rób tego!

Wskoczył do gondoli. Lander odwrócił się na swoim fotelu i strzelił mu w plecy. W drzwiach mignęła zaskoczona twarz jakiegoś człowieka z obsługi. Mężczyźni, którzy stali najbliżej sterowca, zaczęli się cofać. Dahlia odkręciła kamerę.

- Teraz klin i maszt! - zawołał Lander.

Dahlia zeskokczyła na ziemię ze schmeisserem w rękę. Ludzie z obsługi naziemnej cofali się, niektórzy rzucili się do ucieczki. Wyjęła klin spod koła i podbiegła do masztu, by odczepić sterowiec, który kołysał się już na wietrze. By odcumować jego nos, trzeba wysunąć zaczep z łożyska masztu. Statek tańczył na wietrze. Obsługa odbiegła od lin dziobowych. Wiatr więc obróci sterowiec, wiatr go uwolni. Usłyszała wycie syreny. Przez pas startowy gnał wóz policyjny.

Mimo uwolnienia nosa, sterowiec nadal był przeciążony. Dahlia wspięła się do gondoli - najpierw poszedł na ziemię nadajnik, za nim kamera.

Wóz policyjny jechał teraz równolegle ze sterowcem, błyskając światłami. Lander szarpnął dźwignię mocy do przodu i wielki statek zaczął się toczyć. Dahlia walczyła dalej z ciałem operatora. Jego noga utknęła pod siedzeniem Landera. Sterowiec zakołysał się i znów odzyskał równowagę. Podnosił nos w górę niczym jakieś prehistoryczne zwierzę. Wóz patrolowy znajdował się już w odległości czterdziestu jardów, jego drzwi były otwarte. Lander wypuścił większość paliwa. Sterowiec uniósł się ciężko.

Dahlia, wychylona z gondoli, strzelała do wozu policyjnego; na jego przedniej szybie pojawiły się gwiazdziste pęknięcia. Sterowiec unosił się w górę - jeden z policjantów wyskoczył z wozu w pokrwawionej koszuli, wyciągnął broń i patrzył Dahlii w twarz, kiedy sterowiec przelatował nad nim. Seria z pistoletu maszynowego rzuciła go na ziemię. Ciało operatora, kopnięte przez Dahlię, upadło w pozycji orła na dach policyjnego wozu. Sterowiec piął się coraz wyżej. Pojawiło się kilka innych wozów patrolowych; jechały z otwartymi drzwiami, coraz mniejsze z góry. Dahlia usłyszała syk. A więc strzelają w powłokę z gazem. Wycelowała w najbliższy radiowóz i zobaczyła wokół niego obłoki kurzu, wznoszone pociskami.

Sterowiec szedł w górę pod kątem pięćdziesięciu stopni, silniki wyły. W górę, w górę i jeszcze, poza zasięg pocisków.

Zapalnik i przewody! Dahlia położyła się na zakrwawionej podłodze gondoli i wychylona na zewnątrz, sięgnęła po nie.

Lander kiwał się nad sterami, bliski omdlenia. Sięgnęła mu przez ramię i nacisnęła strzykawkę pod rękawem. Po sekundzie znów podniósł głowę.

Sprawdził przełącznik światła w kabinie. Był wyłączony.

- Podłącz tutaj.

Zdjęła osłonę, wykręciła żarówkę i podłączyła w jej miejsce przewody bomby. Zapalnik, który miał być użyty w przypadku awarii systemu elektrycznego, należało zabezpieczyć wokół składanego siedzenia w tyle gondoli. Dahlia miała kłopoty z przywiązaniem go, gdyż zapalnik był śliski od krwi operatora. Na wskaźniku prędkości mieli sześćdziesiąt węzłów. Za sześć minut znajdą się na stadionie.

Corley i Kabakov pobiegli do wozu Corleya po pierwszym, niejasnym meldunku o strzelaniu na lotnisku. Kiedy pędzili na sygnale międzystanową autostradą nr 10, usłyszeli dokładniejszy raport

o wydarzeniach.

- Nieznani osobnicy strzelają ze sterowca Aldricha - podało radio. - Dwaj policjanci ranni. Obsługa naziemna twierdzi, że do jednostki przymocowano jakieś urządzenie.

- A więc mają sterowiec! - zawołał Corley, waląc pięścią w siedzenie obok. - Tu jest ten twój drugi pilot.

Nad miastem ukazał się sterowiec, rosnąc w oczach. Corley złapał stadion przez radio.

- Wyprowadźcie prezydenta! - wrzeszczał.

Kabakov zmagał się z wściekłością i frustracją, szokiem i nieprawdopodobieństwem tego, co się dzieje. Czuł się schwyty, bezbronny na tej autostradzie, między stadionem a lotniskiem. Musi się zastanowić, zastanowić, zastanowić. Mijali teraz Superdome. Złapał Corleya za ramię.

- Jackson, Lamar Jackson! To jest to! Jedź po tego sukinkota!

Minęli już zjazd z autostrady - Corley zakręcił, przeciął trzy pasy ruchu, zadymiło się spod kół, zjechał na wjazd na autostradę, wprost na jakiś ogromniejący w oczach samochód, zrobił unik, zakolebali się - i już gnali Howard Avenue obok Superdome. Jeszcze tylko zakręć, wzięty z piskiem opon i wóz ostro zahamował. Kabakov pobiegł ku lądowisku, podrywając agentów, którzy nadal tu czuwali. Jackson opuszczał właśnie linę z dachu, żeby podnieść wiązkę rur. Kabakov podszedł do brygadzysty, którego nie znał.

- Każ mu wylądować! Każ mu wylądować!

Sterowiec był już prawie nad Superdome, leciał szybko, niedostępny. Był o dwie mile od przepełnionego stadionu. Od strony samochodu nadbiegł Corley. Zostawił otwarty bagażnik. Niósł karabin automatyczny M-16.

Śmigłowiec siadał; Kabakov skulony wbiegł pod rotor i wspiął się do okienka kabiny pilota. Jackson ręką osłonił ucho.

- Porwali sterowiec Aldricha - Kabakov wskazywał ręką w górę. - Musimy lecieć, musimy gonić!

Jackson spojrział w górę na sterowiec. Przełknął ślinę. Miał jakiś dziwny, zdeterminowany wyraz twarzy.

- Jestem porwany?

- Nie, proszę.

Jackson na chwilę zamknął oczy. - Niech pan wsiada. A facet z kadłuba niech wyskakuje. Nie chcę ponosić odpowiedzialności za niego.

Kabakov i Corley wypchnęli przestraszonego człowieka z komory towarowej i sami tam wsiedli. Śmigłowiec poderwał się z głośnym zawodzeniem łopat wirnika.

Kabakov przeszedł do przodu i rozłożył puste siedzenie drugiego pilota.

- Możemy...

- Czy chcecie ich zestrzelić, czy pogadać z nimi?

- Zestrzelić.

- Dobra, jeżeli ich dogonimy, polecę nad nimi - oni nie mogą widzieć, co się dzieje w górze. Chcecie przestrzelić powłokę gazową? Za mało czasu, żeby gaz uszedł.

Kabakov potrząsnął głową. - Mogą odpalić, kiedy będą spadać. Nie, trzeba zrzucić samą gondolę.

Jackson skinął głową.

- Polecę nad nimi. Jak będziecie gotowi, ustawię się równo z nimi. Ten balonik, dobrze uderzony, nie poleci daleko. Przygotujcie się. Będziemy się porozumiewać przez hełmofon.

Helikopter leciał z prędkością stu dziesięciu węzłów, szybko zmniejszając dystans dzielący go od sterowca, ale ten ciągle miał znaczną przewagę. Wreszcie znaleźli się wystarczająco blisko.

- Nawet jeżeli zastrzelimy pilota, wiatr popędzi sterowiec nad stadion - powiedział Jackson.

- A może wykorzystać hak? Nie można by go złapać na hak i gdzieś odciągnąć?

- Jak? Ten cholerny balon jest śliski. Gdyby było więcej czasu, moglibyśmy spróbować... hej, tam startują gliny!

Wprost przed nimi policyjny helikopter wznosił się w górę na spotkanie sterowca.

- Nie od dołu! - ryknął Jackson. - Nie zbliżajcie się... - nim skończył, mały policyjny helikopter zaczął się kołysać pod gradem kul, przechylił się na bok, łopaty wirnika biły wściekle powietrze, zanim nie opadł.

Jackson widział ruchy steru, kiedy wielki statecznik przepłynął pod nim. Byli nad sterowcem, a stadion był pod nimi. Czas na pierwszy ruch. Kabakov i Corley obejmowali się mocno stojąc w drzwiach kadłuba.

Lander czuł uderzenia łopat wirnika o powłokę sterowca, słyszał silnik helikoptera. Dotknął Dahlii i podniósł znacząco kciuk do góry.

- Daj mi jeszcze dziesięć sekund - powiedział. Dahlia włożyła nowy magazynek do schmeissera. W słuchawkach Kabakova odezwał się głos Jacksona: - Trzymajcie się.

Helikopter gwałtownie opadł z prawej strony sterowca, żołądki podjechały im w górę. Kabakov usłyszał pierwsze pociski uderzające o kadłub; po chwili on i Corley też zaczęli strzelać, gorące łuski wypryskiwały z ich automatycznych pistoletów, szkło sypało się z gondoli. Wokół Kabakova dzwonił metal. Helikopter przechylił się nagle na bok, potem uniósł się raptownie. Corley był ranny, krew rozlewała się plamą po spodniach na wysokości uda.

Jackson w kabynie podziurawionej jak sito, z rozciętym przez szkło czołem, wycierał krew zalewającą mu oczy.

W gondoli nie było już ani jednej szyby, z roztrzaskanej tablicy przyrządów kontrolnych wydobywały się iskry. Dahlia leżała bez ruchu na podłodze.

Lander, który dostał w ramię i w nogę, zorientował się, że sterowiec traci wysokość. Opadał, ale nadal mógł uderzyć w jeden bok stadionu. Był on coraz bliżej, był pod nim - podłoga z twarzy zapatrzonych w górę. Ręka Landera spoczywała na przycisku detonatora. Teraz. Nacisnął. Nic. Przycisk rezerwowy. Nic. Przerwane przewody. Zapalnik. Wydostał się z siedzenia pilota z zapalniczką w ręce; za pomocą zdrowej ręki i nogi czołgał się na koniec gondoli, tam gdzie był zapalnik, podczas gdy sterowiec dryfował nad trybunami pełnymi ludzi.

Hak zwisał pod helikopterem na trzydziestostopowej linii. Jackson rzucał ją, dopóki hak nie ześliznął się po gładkiej powierzchni powłoki. Jedyne miejsce zaczepienia mogła być przestrzeń między sterem a statecznikiem, pod zawieszeniem steru. Kabakov naprowadzał Jacksona, ale kiedy byli już bliscy osiągnięcia celu, hak okazał się za gruby.

Na stadionie wybuchła panika. Kabakov rozpaczliwie rozejrzał się wokół siebie i dostrzegł zawieszony na ścianie zwój nylonowej linki o grubości trzech czwartych cala, z zatraskowymi klamrami na obu końcach. W pół sekundy wiedział ze straszną pewnością, co powinien zrobić.

Moshevsky patrzył z ziemi wyężając wzrok i zaciskając pięści na postać, która spuszczała się, niczym pajak po linie, w dół, pod helikopter. Wyrwał lornetkę polowemu agentowi stojącemu obok, ale i tak już wiedział - to był Kabakov.

Porywy wiatru wzniecane przez łopaty wirnika szarpały nim, kiedy zsuwał się po gładkiej linie. Jej koniec oplatał go w pasie. Teraz helikopter był wprost nad Moshevskym, który przechylał się coraz bardziej do tyłu, aż upadł, ani na chwilę nie przerywając obserwacji.

Kabakov umieścił stopę w haku. W otworze kadłuba widać było twarz Corleya. Mówił coś do hełmofonu. Hak ześliznął się w dół. Kabakov był na wysokości statecznika. Nie! Statecznik podniósł się, zakołysał - uderzył Kabakova, odrzucił go na bok; ale on wraca, przerzuca linę między sterem a statecznikiem, pod górnym zawieszeniem steru, przekłada przez hak, zawiązuje pętlę, macha jednym ramieniem, helikopter wznosi się, lina w pasie Kabakova twardnieje jak stal.

Lander, czołgając się po śliskiej od krwi podłodze gondoli w kierunku zapalnika, poczuł gwałtowny przechył. Zjeżdżał w dół, rozpaczliwie szukając jakiegoś zaczepienia dla rąk.

Helikopter łopatami wirnika wczepił się w powietrze. Ogon sterowca sterczał w górę pod

kątem pięćdziesięciu stopni, dziób zaś dotykał boiska. Widzowie wrzeszcząc biegli ku wyjściom, zablokowanym już przez pierwszych uciekinierów. Lander słyszał ich krzyki wokół siebie. Z zapalniczką w ręce, uparcie starał się dotrzeć do zapalnika.

Nos sterowca podniósł w górę trybuny, tłum w popłochu rozpiezchnął się na wszystkie strony. Teraz statek wpadł na maszty u szczytu stadionu, przeskoczył je, wydostał się na otwartą przestrzeń i popłynął ponad domami nad rzekę. A nad nimi, z wyciem silnika, leciał helikopter. Corley, patrząc w dół, widział Kabakova stojącego na stateczniku, uczeplonego liny. - Dolecimy do rzeki, dolecimy do rzeki - powtarzał Jackson w kółko, zerkając na wskaźnik temperatury zbliżający się do czerwonego pola. Jego kciuk spoczywał na czerwonym przycisku dźwigni do zrzucenia ładunku.

Lander pokonał ostatni odcinek pochylonej ukośnie podłogi gondoli i zapalił zapalniczkę.

Moshevsky przedostał się na wierzchołek trybuny. Helikopter, sterowiec, człowiek stojący na stateczniku sterowca - obraz ten zapadł na zawsze w jego pamięć; w chwilę potem oślepiający błysk i grzmot Sądu Ostatecznego rzuciły nim o drżące deski trybuny. Pociski ścięły drzewa nad rzeką, a podmuch powietrza wyrwał je z korzeniami, spieniona woda wzniosła się ku górze, odsłaniając swoje koryto, które zaraz z rykiem zapełniło się ponownie; woda wznosiła się niczym góra ginąca w dymie. Parę sekund później, daleko w dole rzeki, odłamki pocisków zasypały wodę niczym grad, objając się z brzękiem o metalowe kadłuby statków.

Kilka mil dalej, w restauracji na szczycie wieżowca z widokiem na miasto, kończąca późny lunch Rachel dostrzegła błysk. Wstała i w tym momencie wysoki budynek zadrżał, szyby zadzwoniły, a ona upadła na wznak; szkło sypało się na podłogę, Rachel patrzyła na blat stolika od dołu; już wiedziała. Z trudem podniosła się na nogi. Obok niej siedziała jakaś kobieta z otwartymi ustami. Rachel spojrzała na nią i powiedziała: - On nie żyje.

Ostateczna liczba ofiar wyniosła pięćset dwanaście osób. Na stadionie stratowano na śmierć czternaście osób przy wyjściach, pięćdziesiąt dwie osoby doznały złamań przy próbie ucieczki, reszta miała rany cięte i stłuczenia. Wśród tych ostatnich znalazł się również prezydent Stanów Zjednoczonych. Wszystkie rany otrzymał wtedy, kiedy dziesięciu agentów Secret Service rzuciło się na niego, żeby go osłonić. W mieście sto szesnaście osób zostało niegroźnie rannych odłamkami szkła okiennego.

Następnego dnia w południe Rachel Bauman i Robert Moshevsky stali na małym pomoście na północnym brzegu Missisipi. Stali tak wiele godzin, patrząc, jak policyjne łodzie przeszukują dno rzeki. Trwało to całą noc. W ciągu pierwszych kilku godzin wyciągnięto bosakami trochę zwęglonych kawałków metalu z helikoptera. Potem nie znajdowano już nic.

Pomost, na którym stali, był podziurawiony jak rzeszoto i połupany przez pociski. Duży, martwy sum objął się o pał, miotany prądem. Ryba była całkowicie podziurawiona.

Moshevsky stał nieporuszony. Nie odrywał wzroku od policyjnych łodzi. Obok niego leżała na pomoście jego płócienna torba, ponieważ za trzy godziny leciał do Izraela z Fasilem, który miał tam odpowiadać przed sądem za masakrę w Monachium. Odrzutowiec El Al, przylatujący po nich, miał na pokładzie czternastu komandosów. Uznano, że będą stanowić odpowiedni bufor między

Moshevskym i jego więźniem w czasie długiego lotu do Izraela.

Twarz Rachel była opuchnięta, oczy czerwone i suche. Wpłakała się na łóżku w „Royal Orleans”, ściskając w ręce koszulę Kabakova przesiąkniętą zapachem cygar.

Od rzeki wiał zimny wiatr. Moshevsky zarzucił na ramiona Rachel swoją kurtkę. Sięgała jej poniżej kolan.

W końcu łódź kierująca poszukiwaniami dała pojedynczy, długi sygnał. Reszta załóg wciągnęła bosaki, łodzie skierowały się w dół rzeki. Tylko ona płynęła jak dawniej, niezmiennie dążąc ku morzu. Rachel usłyszała dziwny, zduszony dźwięk i Moshevsky odwrócił od niej głowę. Przytuliła policzek do jego piersi, objęła go ramionami, na ile zdołała, i poklepała go, czując gorące łzy kapiące na jej włosy. Potem wzięła go za rękę i poprowadziła na brzeg, zupełnie jakby prowadziła dziecko.